

*Judith  
Stanton*

*Znajda*

# 1

*Salem, Karolina Północna, czerwiec 1780 roku*

Los odpowiedział *nein*. Nie.

Znowu, pomyślał Jacob Blum, spoglądając niedowierzająco na cienką drewnianą fujarkę, w której wnętrzu tkwił rozstrzygający wszystko skrawek papieru.

Ciągnięcie losów odrzuciło już dwie kandydatki na żonę - pierwszą, zarekomendowaną mu przez jednego z przywódców gminy braci morawskich \*, i drugą, która jemu samemu wydała się odpowiednia na matkę jego osieroconych dzieci. Trzecie ciągnięcie losów odmówiło mu nawet możliwości podróży do Pensylwanii, aby tam poszukiwać małżonki.

Członkowi starszyny zrzedła mina. Potwierdził wynik trzeciego losowania, mówiąc:

- Być może znów nie potrafiliśmy zadać właściwego pytania, bracie Blum.

Siostra Elisabeth Marshall, siedząca u boku męża, chrząknęła dyskretnie.

- Wszakże nie jesteś już kawalerem, który wybiera żonę wedle własnego widzimisię. Masz troje dzieci, bracie.

\* Bracia morawscy - ewangelicka wspólnota religijna, nawiązująca do doktryny i tradycji braci czeskich. Pierwszą gminę założyli w latach 1722-1727 potomkowie wygnańców z Czech i Moraw na Łużycach Górnych w majątku hrabiego N. L. Zinzendorfa. Emigracja i działalność misyjna jednoty spowodowała powstanie gmin braci morawskich na wszystkich kontynentach.

Jacob ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął śmiechem. Czterej członkowie starszyny poruszyli się na krzesłach, najwyraźniej zakłopotani jego niewczesną wesołością. A może jego dziwną sytuacją. Czy zdarzyło się ostatnio, by ktoś pośród nich na próżno szukał żony?

Albo potrzebował jeszcze jednej?

Jacob starał się opanować, podczas gdy brat Marshall postukiwał fujarką o blat stołu, a siostra Marshall pokasywała. Nieżonaty brat Philip Schopp hałaśliwie kartkował swoje bezcenne dokumenty. Okrągłe oblicze siedzącej po przeciwnej stronie stołu niezamężnej siostry Rosiny Krause przybrało wyraz dezaprobaty.

- Nie wydaje mi się, by w tej sytuacji śmiech był na miejscu, bracie Blum - powiedziała po niemiecku.

- Oczywiście, że nie.

Ale lepiej się śmiać, niż złożyć losowi. Jeżeli ta próba jego wiary i wytrzymałości potrwa dłużej, chyba oszaleje.

Dwa miesiące temu Jacob i starszyna gminy po raz pierwszy rzucili losy w nadziei znalezienia mu nowej żony. Już od stu lat bracia morawscy ciągnęli losy, aby poznać wolę Boga, dotyczącą istotnych spraw. Jacob nie byłby się narodził, gdyby los nie zdecydował, że bracia mają opuścić Niemcy i udać się do Pensylwanii. Był młodzieńcem, gdy los udzielił im zgody na osiedlenie się w lasach Karoliny Północnej. Był młodym mężem i ojcem, gdy los zaaprobował jego przeprowadzkę do nowej gminy w Salem.

Po osiedleniu się w Salem bracia morawscy nadal pozwalali, by los decydował o tym, gdzie wybudować dom lub sklep, czy zacząć naukę w nowej szkole oraz kogo pojąć za małżonka. Podczas nieskomplikowanej uroczystości religijnej ktoś ze starszyny losował fujarkę, w której wnętrzu znajdował się kawałek papieru z napisem „ja” albo „nein” lub bez napisu. Czysty kawałek papieru oznaczał, że pytanie należy zadać po jakimś czasie lub że należy je inaczej sformułować.

Jacob wiele razy brał udział w takich uroczystościach. Ostatnio zbyt wiele razy, pomyślał. Na razie boska mądrość nie doprowadziła go do żony, której niezmiernie potrzebował.

Za pierwszym razem starszyzna pytała o Evę Reuter, urodziwą niezamężną siostrę, która nauczwała w szkole dla dziewcząt. Z racji swej pracy wiedziała coś niecoś o dzieciach. Los powiedział *nein*.

Miesiąc temu starszyzna zaczęła się domagać, by teraz on kogoś zaproponował.

Jego wybór padł na owdowiałą siostrę Baumgarten.

- W ten sposób pod jednym dachem znajdzie się siedmioro dzieci, Jacobie - łagodnie zaprotestował Marshall.

- Zupełnie jakbyś uważał, że siódemka pod jej opieką to coś gorszego niż trójka tylko ze mną - odparł Jacob.

Jej umiejętność postępowania z jego dziećmi nigdy nie została sprawdzona, ponieważ los znowu odpowiedział *nein*.

I tak oto owego upalnego popołudnia w czerwcu starszyzna zapytała, czy Jacob powinien się udać do siedziby braci morawskich w Pensylwanii. Tam mógłby znaleźć sobie kogoś odpowiedniego.

Lecz los pozbawił ich i tej nikłej nadziei.

- Bracie Marshallu, moje dzieci muszą mieć matkę.

Dwie starsze kobiety z powagą skinęły głowami. Frederick Marshall odłożył fajarkę do głębokiej misy z losami, która stała na ręcznie ciosanym dębowym stole.

- To prawda - przemówił niezonaty brat Philip Schopp. - Po tym, co w zeszłym tygodniu zrobił Nicholas, powinienem cię prosić, abyś zabrał go z naszej nowej szkoły dla chłopców.

Jacob zeszczywniał.

- Cóż on takiego zrobił? - zapytał, gotów bronić swego starszego syna.

Nauczyciel parsknął.

- Nicholas był... sprawiał trudności.

- Jakie trudności? - zapytał Jacob wprost.

- Twoja latorośl oskarżyła małych braci Tatum o to, że są torysami, a następnie nastawiła innych chłopców przeciwko nim.

Jacob poczuł napięcie w karku.

- Tylko tyle? - zapytał zapalczywie.

- Nie. Z jakiegoś powodu obrzucił innych chłopców pestkami z dyni, miotanymi za pomocą łyżki.

- Chyba nie chłopców mniejszych od niego! - wykrzyknął Jacob, mając ochotę spuścić lanie swemu synowi, choć rozbawiły go jego wyskoki.

- Nie. Tylko tych, którzy są wystarczająco duzi, by mu odpowiedzieć pięknym za nadobne - odparł Schopp sardonijnym tonem. - Odzyskałem tę łyżkę i kazałem mu ją zabrać do domu.

Jacob nie potrafił powstrzymać szerokiego uśmiechu. Wreszcie dowiedział się, gdzie podziały się ich łyżki. Najwyraźniej Nicholas zaatakował swoje ofiary niejedną raz. Jacob będzie musiał ukrócić te wybryki. Co nie przyjdzie mu łatwo. Starszy syn bardzo jego przypominał, kiedy był w wieku dwunastu lat, sprytnego, znudzonego i niesfornego. Jacoba nikomu nie udało się poskromić, a teraz on nie potrafił zapanować nad synem, a nie chciał przecież go związywać ani zamykać na strychu.

Jacobowi potrzebne były rady żony. Syn wymagał łagodnej matczynej opieki.

- Nie koniec na tym - wtrącił się Marshall. - Brat Bonn twierdzi, że twój młodszy syn jest zbyt chudy. Czyżby niedomagał?

- Nie choruje - odparł Jacob. - Ale przyznaję, Matthias jest chudy.

Właśnie dlatego zaproponował siostrę Baumgarten, która gotuje dla wszystkich dzieci.

Rosina Krause spojrzała na Jacoba sponad okularów.

- Jest jeszcze jeden problem.

Jacob pokręcił głową, doskonale zdając sobie sprawę z tego, co usłyszy.

- Moja córka.

Siostra Krause ściszyła głos.

- Anna Johanna... - Nieomal bezwiednym ruchem uniosła dłoń do twarzy. - Ona...

- Wiem. Śmierdzi.

Czterej członkowie starszyny zgodnie skinęli głowami.

Jacob w zakłopotaniu potarł kark. Jego synowie stwarzali kłopoty. Ale dziwactwa jego czteroletniej córki zupełnie go przytłaczały. Nie rozumiał ich. Z całą pewnością wiedział, że jedynym nieszczęściem, jakie ją spotkało w jej dotychczasowym życiu, była utrata matki. Czy to zdarzenie usprawiedliwiało jej strach?

- Nie daje mi się wykapać. Nie mogę nawet zdjąć z niej sukienki. Kiedy próbuję, ona wrzeszczy. I to tak strasznie, że traci oddech i robi się sina.

Siostra Krause pochyliła się do przodu.

- Więc co brat Bonn...

- Nasz szacowny doktor nic nie mówi. Albo raczej nic nie radzi. Mówi, że w końcu dziewczynka wyleczy się ze wstrząsu po utracie matki i że z tego wyrośnie. A do tego czasu... - Jacob wzruszył ramionami.

- Do tego czasu, bracie Blum, potrzebna ci jest żona - stwierdził Frederick Marshall, przejmując kontrolę nad przebiegiem rozmowy. - Bardzo dobrze. Podczas następnego spotkania znów odwołamy się do losu.

- Następne spotkanie! - wybuchnął Jacob. - Od ostatniego ciągnięcia losów minęły dwa miesiące. Christina odeszła już rok temu.

- A ty powinieneś być w żałobie - upomniał go Marshall, po czym zasznurował usta.

- Możecie mi wierzyć, że opłakuję ją każdego dnia - powiedział Jacob gwałtownie. Na myśl o ukochanej żonie i przyjaciółce z dzieciennych lat głos mu złagodniał. Wybuchy gniewu brukały pamięć o niej. Podobnie jak pośpiech w poszukiwaniu nowej żony. Jednakże bez łagodnego przewodnictwa kobiety jego rodzina się rozpadała. - Moim dzieciom potrzebna jest matka. Chcę jeszcze raz pociągnąć losy, teraz.

- Nigdy nie ponaglamy losu - przypomniał mu Marshall.

- Nie ponaglamy go. Byliśmy... byłem bardzo cierpliwy wobec wyroków losu. Trzy razy. Przyjąłbym jego trzecią decyzję. Ale teraz najważniejsze są potrzeby moich dzieci.

Marshall szepnął coś do żony, a potem do Philipa Schoppa.

- Coś takiego nie miało dotychczas miejsca, bracie Blum - przemówił tonem zarezerwowanym na niedzielne kazania. - Zbyt częste zadawanie pytań losowi kwestionuje wolę Zbawcy. Lepiej byłoby się wstrzymać. Ale jeśli zaczekasz na zewnątrz, rozpatrzmy twoje żądanie.

- Świetnie. - Jacob wiedział, co oznaczają te słowa. Starszyzna każe wyjść na zewnątrz zawsze, gdy rada ma rozważyć sprawę, która jest trudna. Zapiął płaszcz i wyszedł z *Gemein Haus*, w którym mieszkały niezamężne siostry i gdzie znajdował się pokój spotkań starszyny.

Jacob wyszedł na rozpalony popołudniowym słońcem plac miejski i westchnął. Nie mógł beczynn timer czekać. Mijając skromny domek brata Schoppa, w którym mieściła się szkoła dla chłopców, uśmiechnął się na myśl o Nicholasiu, ostrzeliwującym kolegów gradem pestek z dyni. Pomysłowy chłopiec, jak jego ojciec.

Powinien stać się lepszym ojcem. Christina radziła sobie z całą trójką. Jacob zdławił smutek i tęsknotę. Brakowało mu żony i nie miał wielkiej nadziei, że uda mu się znaleźć kogoś, kto zastąpi jej towarzystwo i pełną czułości opiekę.

Minął nowy zbiornik na wodę, którego budowę ukończył w zeszłym miesiącu. Jakiś farmer pompował wodę, by napoić spokojne czerwone woły. Być może nie groziła im już wojna. Brytyjski żołnierz napełnił wodą wiadro dla swego spoconego konia. Jego niewielki oddział przybył tu przed południem jako część niekończącego się potoku żołnierzy obydwu stron, które na przemian zalewały miasto.

Ciężka praca Jacoba się opłacała. System nawadniania miasta - jego projekt i jego wykonanie - działał. Wyglądało na to, że zadowala wszystkich.

Jacob przeciął rozległy centralny plac, minął niewielki budynek, który służył za sklep i siedzibę straży pożarnej. Straży pożarnej Jacoba. Silnik zamówiony w Anglii nie został dostarczony na czas z powodu wojny i Jacob sam zaprojektował tymczasowy pojazd.

- *Guten Tag* - pozdrowił go po niemiecku starszy sąsiad.

- Dzień dobry - odezwał się młody żonaty brat, jeden z niewielu ludzi, poza Jacobem, którzy nauczyli się angielskiego. Teraz przynajmniej kilku mieszkańców Salem mogło się zadawać z miejscowymi i nie uchodzić za obcokrajowców.

- Jacob! - zawołał Samuel Ernst, machając do niego ze swego maleńkiego sklepiku z wyrobami skórzanymi. - Nie jesteś na zebraniu starszyny?

- W tej chwili nie, Samuelu.

- Nie jesteś z nimi? - Samuel pociągnął go do płotu, otaczającego plac.

- Losowanie - cicho wyjaśnił Jacob. - Dyskutują nad tym, czy ciągnąć dla mnie losy.

- Ach, znowu? Mnie odpowiedział za pierwszym razem. - Samuel, który w zeszłym tygodniu poślubił Evę Reuter, po przyjacielsku szturchnął go w ramię.

Jacob mruknął coś w odpowiedzi.

Krępy, mocno zbudowany Samuel oparł się o płot.

- Nadał potrzebuję domu dla strażnika.

- Wiemy o tym - odparł Jacob, starając się nie obiecywać czegoś, czego nie może zapewnić.

- Teraz bardziej niż kiedykolwiek. - Samuel ukradkiem wskazał głową w kierunku dwóch żołnierzy brytyjskich, wychodzących właśnie z tawerny. Jacob widział ich już wcześniej. Ich oddział salwował się ucieczką po nieudanej akcji w pobliżu granicy Karoliny Południowej i zatrzymał się tutaj, aby uzupełnić zapasy. Ich wielodniowa obecność oraz napływ innych żołnierzy sprawiły, że nieuzbrojona gmina braci morawskich zwiększyła liczbę nocnych strażników, którzy potrzebowali siedziby, aby przygotowywać się do pracy.

Mimo że Jacob rozumiał niepokój przyjaciela, musiał go przywołać do porządku.

- Sprawą strażnicy zajmie się mój komitet nadzorczy, który spotka się w przyszłym tygodniu.

Będąc projektantem i budowniczym miasta, Jacob przewodził komitetowi nadzorcemu i reprezentował go wobec starszyny. W jego mniemaniu starszyna uosabiała ducha ich wspólnie



kierowanej społeczności i nadzorowała jej rozwój. Wszystkie sprawy praktyczne, z wycenianiem towarów i wznoszeniem budowli włącznie, musiały być rozpatrzone przez nadzór.

Pięć lat temu, gdy miasto było nowe, Jacob zasmakował w powinnościach przewodniczącego, budowniczego i marzyciela. Teraz spowszedniały mu i stały się trudniejsze z powodu toczącej się wojny. Czuł, że go przytłaczają.

- Wobec tego masz jeszcze jeden powód, by sprawę forsować.

Jacob zerknął w stronę żołnierzy.

- Wybuduję ci twoją strażnicę, Samuelu.

- Wystarczy zwyczajna chata z drewnianych bali.

Jacob słuchał go z roztargnieniem. Żołnierze w niedopuszczalny sposób zrównali krok z młodą i ładną niezamężną siostrą, niosącą ciężką bieliznę z tawerny.

Dziewczyna wdzięcznie skinęła im główką. Jej biały kołnierz i takiż fartuch przy skromnej różowej sukni dobitnie świadczyły o czystości i niewinności. Jacob zauważył, że bardziej krępy z żołnierzy chwyta ją za rękę a ona gwałtownie odskakuje.

- Samuelu - warknął Jacob. - Chodź!

Szybko przemierzył dziesięć kroków i zagroził drogę dwóm żołnierzom. Samuel zakaszłał i stanął za nim.

- Dziękujemy za dobre chęci, my pomożemy naszej siostrze - powiedział Jacob surowym tonem.

Nie miał zamiaru zdradzać im imienia siostry, zresztą w zdenerwowaniu umknęło mu z pamięci. Przygotował się, by jej bronić.

Żołnierze szybko się cofnęli, trzymając opuszczone ręce z otwartymi dłońmi, skierowanymi na zewnątrz. Jacobowi zdarzało się czasem zapomnieć, jak bardzo był duży. Gniew przeszedł mu równie szybko, jak go rozpałił. Z bliska przekonał się, że żołnierze byli młodzi i teraz pobledli ze strachu. Ich czerwone płaszcze, które z daleka sprawiały wrażenie schludnych i złowieszczych, okazały się poszarpanymi łachmanami o dyndających guzikach i z odprutymi epoletami, dobitnie świadcząc o niedawno odbytej bitwie.

- My tylko chcieliśmy coś dołożyć - powiedział młody

kapral, pokazując zwinięte ubranie poplamione krwią. - Od naszego porucznika.

- W porządku - odparł Jacob i odebrał tłumoczek, nie spoglądając nań. Poczuł, że tkanina jest delikatna, delikatniejsza niż ta, jaką nosił na co dzień.

Żołnierze odeszli, stukając po drewnianym chodniku. Jacob przez chwilę patrzył za nimi, a potem zerknął na młodą dziewczynę, pewny, że spostrzegł na jej twarzy przelotny wyraz niepokoju, który zniknął równie szybko, jak się pojawił. Obdarzyła go spojrzeniem swych bursztynowych oczu. Dzikich oczu. Oczu wilka. Tęczówki zatańczyły w rozbawieniu, przyprowadzając Jacoba o mocniejsze bicie serca.

Odwrocił wzrok, przez wzgląd na skromność, a potem znów na nią popatrzył, nie chcąc uchybiać uprzejmości. Ich spojrzenia się skrzyżowały, Jacob przytomnie spostrzegł zbłąkane pasmo bursztynowych włosów, które wymknęło się spod wykrochmalonej białej *Haube*, okrywającej głowę kobiety.

A potem zdał sobie sprawę, że zauważając jej włosy, nie był tak bardzo przytomny. Starał się opanować, ale jego wzrok powędrował po jasnej, obramowanej czepkiem twarzy. Każda bez wyjątku siostra nosi *Haube*, napominał siebie.

Ale niewiele z nich nosiło go z takim skutkiem.

- Dziękuję, bracie Blum. - Jej gardłowy, głęboki głos przeczył rozbawionemu spojrzeniu tańczących oczu. - Ale oni nie mieli złych zamiarów.

- Nie mieli prawa grozić ci, siostrze Mary... - Jacob, wytrącony z równowagi swymi zdołnymi myślami, szukał w pamięci reszty jej imienia. Może Magdalena. Ale pamiętał tylko pierwsze imię, Mary.

- Margaretha - podsunął mu Samuel.

Oczywiście, pomyślał Jacob. Mary Margaretha, znajda. Nie miała nazwiska. Przypomniał sobie ową noc, gdy przyszedł jej z pomocą, dziękmu białemu dziecku w indiańskiej sukience ze skóry jelenia, chowającemu suszone dynie i słodkie ziemniaki do ukradzionego worka.

Wyratował ją albo, jak nazwałby to kto inny, schwytał.

Tamtej nocy walczyła w milczeniu, drapiąc go i kopiąc piętami w golenie. Uspokoiła ją żona Jacoba. Później gmina przyjęła dziecko, dała mu dom i chrześcijańskie imię. Ale nie dano jej nazwiska. Po dziś dzień nikt nie wiedział, kim była, poza oczywistym faktem, że miała białą skórę. Nawet ona sama nie umiała nic powiedzieć.

Cóż, mała złodziejka wyrosła na kobietę.

- ...i ty także nie, bracie Blum - usłyszał jej słodki głos, wracając myślami do teraźniejszości.

- Co?

Jej śmiałe spojrzenie objęło jego twarz, a potem przeniosło się na rękę Jacoba, ściskającą rękaw jej sukni. I jej łokieć. Wypuścił go, jakby to był patyk, który zamienił się w węża.

- Wybacz mi, siostrze Mary - wymamrotał w pośpiechu. Nieżonaci bracia i niezamężne siostry mieszkali osobno i przebywali osobno nie bez przyczyny. By nie wspomnieć o przygnębionych wdowcach. - Nie chciałem...

- Wszyscy nazywają mnie Retha - powiedziała pogodnie, odbierając z rąk Jacoba poplamioną koszulę, po czym odwróciła się, przyciskając do piersi stos płótna.

Samuel pośpieszył za nią, wyprzedził i otworzył jej drzwi prowadzące do tej części *Gemein Haus*, w której mieszkały niezamężne siostry. Retha zniknęła w środku, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z ułożonych w jodełkę desek.

Jacob stał na środku placu, w gorącym czerwcowym słońcu, jak porażony gromem. Mały zbik! Była tu przez cały czas, kiedy on niecierpliwie czekał na wynik ciągnięcia losów. Niezamężna siostra do wzięcia. Powinien był o niej pomyśleć, a nie stało się tak, ponieważ żyła wśród nich spokojnie i nie rzucając się w oczy i dla Jacoba nadal była zagubionym dzieckiem. A także dlatego, że siostra Krause nigdy o niej nie wspomniała. A nawet podkreślała, że nie ma tu ani jednej odpowiedniej wolnej kobiety.

Teraz przekonał się, że to nieprawda.

Ile lat mogła mieć siostra Mary, to jest siostra Retha? Nikt nie wiedział na pewno, w jakim była wieku. Kiedy ją przygar-

nięto, ona sama tego nie wiedziała. W tamtym czasie mówiła niewiele, z trudem ucząc się niemieckiego. Potem zaczęła opowiadać o latach spędzonych u Czirokezów, w plemienu, które ją znalazło, gdy była zbyt mała, by zdawać sobie sprawę ze swego wieku. Teraz mogła mieć siedemnaście, dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Z całą pewnością wystarczająco, by wyjść za mąż.

Ale czy umiała zajmować się dziećmi? Do czasu swego niedawnego zamążpójścia siostra Eva Reuter uczyła dziewczynki. Może siostry specjalnie trzymały Rethę z dala od dzieci. Od samego początku krążyły o niej różne pogłoski. Mówiono, że nie umie mówić, jest podpalaczką, wychowaną przez wilki.

Wierutne bzdury, myślał Jacob. Zwłaszcza co się tyczyło pożarów. Jako projektant i budowniczy miasta zorganizował ochronę przeciwpożarową. Wiedział o każdym okopconym kominie.

I, najwyraźniej, siostra Retha nauczyła się mówić po niemiecku równie dowcipnie jak starszy syn Jacoba i miała cięty język jak jego mała córeczka. Jacob podejrzewał, że nie ustępowała im ani trochę.

Dorównywała jego dzieciom! Oto niebezpieczna, groźna myśl. Pozwolił jej dudnić w głowie jak przetaczającemu się w oddali grzmotowi. Niebezpieczna. Potrafił zwalczyć ogień za pomocą ognia. Groźna. Mógłby zapanować nad dziećmi z pomocą kobiety, która kiedyś wiodła życie dziksze od najdzikszych marzeń Jacoba.

- Jacobie! - zawołał Samuel. - Chcą, żebyś do nich wrócił.

Zatopiony w myślach Jacob skrzywił się na widok rozbawionej twarzy przyjaciela.

- Twoja rada. Starszyzna. - Samuel wskazał Jacobowi Philipa Schoppa, który machał ręką, stojąc w drzwiach Domu Wspólnoty. - Chcą, żebyś wrócił.

Jacob przeciął drewniany chodnik, tym razem nie zwracając uwagi na to, jak dobrze wykonali go jego pracownicy. W pokoju spotkań *Gemein Haus* starszyzna rozsiadła się po obu stronach długiego, wąskiego stołu. Jacob powiesił na haku swój płaski kapelusz i zajął miejsce wśród zebranych.

- Bracie Blum, radziliśmy się losu - zaczął Marshall. Z szacunkiem obrócił trzymaną w dłoniach drewnianą misę. - Musimy się spotkać jak najwcześniej w przyszłym tygodniu. Wtedy będziesz mógł zapytać o żonę.

Siedząca obok męża Elisabeth Marshall spoglądała ponuro.

- Jednakże nikogo ci nie rekomendujemy. Nasze kompetencje się skończyły. Jedyna wdowa jest zbyt stara, aby zająć się dziećmi. A siostra Reuter, którą los ci odradził, była naszą jedyną kandydatką - mówiła Rosina ze stanowczym wyrazem na okragłej twarzy. Jacob tylko prychnął. On miał na ten temat swoje zdanie. Co ta kobieta próbuje przed nim ukryć? - Wszystkie nadające się do zamążpójścia kobiety są już zaręczone albo poślubione. Zawsze mieliśmy mniej kobiet niż mężczyzn.

Frederick Marshall przyjrzał się twarzom zebranych członków starszyny i zatrzymał wzrok na Jacobie.

- Możemy popytać w osiedlach farmerów.

- Chyba że ty masz lepszy pomysł - dodała siostra Krause.

Owszem, miał. Jacob przymknął powieki. Bursztynowe oczy prześladowały go, bursztynowe włosy wiły się zalotnie w lokach.

- Jest tutaj jeszcze jedna - powiedziała, uśmiechając się z ulgą.

Tej nocy Retha natężyła uszy, nasłuchując wycia dzikiego wilka. Nasłuchiwała, wstrzymując oddech w zbiorowej sypialni na poddaszu. Jeszcze nie. Wokół niej wierciło się w łózkach sześć przykrytych lekkimi prześcieradłami dziewcząt. Któraś szepnęła, inna odpowiedziała cichutko, ale Retha nie zrozumiała ich słów. Bez wątpienia plotki. Zazwyczaj plotkowano na jej temat. Ktoś je uciszył i drzwi na strych cicho się zamknęły.

Przez niewielkie okno dormitorium wpadała księżycowa poświata, ale Retha nie potrzebowała wiele światła. Sturlała się z łóżka i, przytrzymując w dłoni rąbek prostej nocnej koszuli, podpełzła do drzwi. Bezszelestnie je otworzyła, ciesząc się z własnej zapobiegliwości. Niedźwiedzie sadło zrobiło swoje.

Do położonej w piwnicy kuchni wiodły strome schody. Retha zatrzymała się na podeście parteru. Z dołu docierało tylko czyjeś chrapanie. Stara Sarah Holder usnęła. Ileż to już razy siostrze Sarah nie udało jej się powstrzymać przed nocnymi wycieczkami?

Tym razem, pomyślała Retha, mam dobry powód, by wyjść. Jeszcze raz starała się wychwycić wycie wilka. Na darmo. Ale czuła jego zew.

Na dole gliniane płytki podłogi chłodziły jej stopy. Poczowała woń kapuśniaku i popiołu po wygasłym ogniu. Przez wysokie okna sączyło się światło księżyca, wydobywając z mroku równe rzędy stołów, nakrytych do śniadania. Ale w czarnej paszczy wielkiego paleniska nie było nic widać. Drzwi do spiżarni także były czarne. Retha dobrze знаła jej zawartość. Otworzyła spiżarnię i wzięła odrobinę niedźwiedziego sadła, kulkę mielonego mięsa i niewielką kość szpikową.

Od lat nie wzięłam ani jednej rzeczy, pomyślała, usprawiedliwiając się. A dzisiejszej nocy miała ku temu ważny powód. Jej młody, nie całkiem ozdrowiały wilk nie był jeszcze samodzielny. Jego dzikie, złociste oczy, ufne i stroskane, zapadły jej w pamięć. Pewnego dnia, poszukując w lesie roślin na barwniki, spostrzegła kątem oka szybki ruch. Jakiś szary cień umknął w ciemną otchłań pobliskiej jaskini. Retha poszła za nim, wabiąc zwierzę kawałeczkiem bekonu, który zabrała z sobą, by coś przekąsić.

Dzisiejszej nocy owinęła jedzenie w długi kawałek muślinu, opasała się nim w talii i wyszła z domu. Powietrze było gorące, ciężkie od deszczu, na który się zanosilo. Przemknęła przez plac, kucając przy płocie i zerkając, czy w pobliżu nie ma strażnika, Samuela Ernsta. Z pewnością zniknął za rogiem, ściskając w dłoni ogromną konchę. Samuel miał alarmować miasto, w razie niebezpieczeństwa dmąc w konchę. Ale na pewno nie będzie robił hałasu z jej powodu. Nie odczuwając strachu, uklękła za niedawno posadzoną lipą.

Patrzyła, jak brat Ernst zagląda w wąską alejkę pomiędzy

dwoma, obłożonymi do połowy pruskim murem, domami, a potem przenosi wzrok prosto na małe drzewko, za którym się skryła. Albo na nią. Zamarła w bezruchu. Przez dłuższą chwilę Samuel wpatrywał się w ciemność, a potem ruszył w stronę Rethy. Mocno przycisnęła do siebie pakunek. Nagle rozległy się jakieś ochrypłe głosy i Samuel przystanął w pół kroku. Następnie popędził w kierunku tawerny.

Znowu była bezpieczna. Przestała ścisnąć zawiniątko i pokmnęła pokrytą pyłem ulicą, tuż przy szorstkiej ścianie domu, zbudowanego z cegieł i desek.

Dom brata Bluma, pomyślała z nieoczekiwaną przyjemnością. Dzisiaj był jakiś dziwny, ten wielki złocisty niedźwiedź, spieszący jej na ratunek, chociaż wcale go nie potrzebowała. Jego przystojna twarz o mocno zarysowanej szczęce zapłonęła rumieńcem, gdy Retha zwróciła mu uwagę, że ścisną jej rękę.

Samuel Ernst zniknął w tawernie. Retha przemknęła obok domu brata Bluma i pobiegła przez pole, w dół, ku Tanner's Run, potokowi, który wpadał do rzeki Red Tannery. Minęła szope, w której mieściła się garbarnia, pomieszczenie na odpadki i kadzie.

Dzisiaj podczas *Singstunde*, wieczornej mszy ze śpiewami, brat Blum zachowywał się równie dziwnie. Podczas gdy jego głęboki baryton wlatywał pod dębowy sufit *Saal*, jego wzrok powędrował ku ławce Rethy. Dlaczego tak na mnie patrzył? zastanawiała się zdziwiona. Dotychczas, śpiewając, zawsze spoglądał w uniesieniu w przestrzeń. Przez całe lata przyglądała mu się w niemym zachwycie, pragnąc jak najszybciej nauczyć się niemieckiego, aby móc śpiewać tak jak on.

Chciała, by mężczyzna taki jak on zabrał ją z domu dla niezamężnych sióstr do swego domu, który stanie się jej.

Oczywiście, nie mógł to być brat Blum. Do zeszłego roku miał on tę pulchną, szczęśliwą żonę, pierwszą kobietę spośród sióstr morawskich, która złagodziła jej strach. Żonę, która zmarła zarażona ospą, pozostawiając brata Bluma na pastwę ich straszliwych potomków. Wszyscy opowiadali o kłopotach, jakie ma z dziećmi. Powściągliwie, ponieważ należał do star-

szyzny. I z sympatią, ponieważ był ogólnie lubiany. Ale tak czy siak, był przedmiotem zainteresowania.

Przekroczyła strumień, z przyjemnością zanurzając bosc stopy w letniej wodzie. Niewielka stróżka lśniła w księżycowej poświacie. Wilcze szczenię powitało ją skomleniem, unosząc się na przednich łapach i czołgając ku niej.

Ostrożnie zlizywało niedźwiedzie sadło z dłoni Rethy. Kiedy spróbowała drażnić się z nim, podsuwając mielone mięso, zawarczało.

- Nabierasz sił - powiedziała, zadowolona. Wlokąc po ziemi opuchniętą zadnią łapę, szczenię słańiało się na trzech smukłych nogach, starając się utrzymać równowagę.

Takie dzielne, pomyślała Retha ze ściśniętym gardłem. I podobnie jak ja, znajda.

Młody wilczek, nadal ostrożny, pozwolił się pogłaskać.

Pozostawiwszy mu do ogryzania szpikową kość, uniosła koszulę, aby przejść przez potok. Cieszyła się, że jest na dworze. Powietrze było tu niemal chłodne. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego biali ludzie sypiają w domach. W takie gorące noce Czirokezi rozchylali poły skórzanych namiotów, aby chłodziły ich powiewy wiatru. Stanowili jej rodzinę i Retha tęskniła za nimi, mimo że tak naprawdę nigdy nie stała się jedną z nich.

Życie było wtedy proste, a ona cieszyła się wolnością, zanim żołnierze wybili do nogi szczenię, który ją zaadaptował.

W miejscu gdzie łąka stawała się równiejsza, a trawa niższa, Retha obróciła się w koło. Nie była wystarczająco duża, by przyłączyć się do tańczących Indian, którzy ją wychowywali. A może nie chcieli jej uczyć, bo była biała. Ale pozwalali jej się przyglądać. Pamiętała powolny rytm, hipnotyzujące brzmienie pieśni, śpiewanych całymi dniami i nocami. I dzisiejszej nocy zatańczyła, tak jak tańczyły kobiety, zbliżając się do mężczyzny, który nie był dla nich, a potem wirując i oddalając się od niego.

Wyobrażała sobie, że słyszy ciche, natarczywe dudnienie



bębnow i grzechotanie potrząsanych tykw. Jej ciało poruszało się w zapamiętanym z przeszłości rytmie.

- Siostró Mary Margaretho!

Zdumiona Retha zatrzymała się, słysząc chrapliwy szept Rosiny Krause.

- Nie dość, że nie dostałaś pozwolenia na wyjście z domu... - zaczęła Rosina.

- ...to wszędzie pełno jest żołnierzy, moja droga - dodała Sarah Holder, drżącą dłonią biorąc ją za ramię. - Brytyjczycy, torysi, dezertery.

- Ich przekonania nie będą miały najmniejszego znaczenia, gdy doborą się do młodej, ładniutkiej jak ty istoty - łajała ją Rosina.

Cała radość z tańca minęła bez śladu. A jeśli siostry widziały jej wilczka? Zerknęła ukradkiem w stronę potoku. Ani śladu szczenięcia. Lekko dysząc, spuściła głowę.

Czuła na ramieniu drżącą dłoń Sarah Holder. Wszystkiemu winien podeszły wiek, pomyślała, mając nadzieję, że nie wystraszyła tej słodkiej staruszki, i żałując, że nie zachowała się bardziej ostrożnie.

- Nie chciałam was zaniepokoić. - Nie chciała ich również rozgniewać. Znów jednak będzie musiała wymknąć się do wilczka. Pragnęła, by dobrze się ukrył i bezpiecznie doczekał jej powrotu z następnymi smakołykami ze szpitala.

Powoli, dostosowując się do artretycznego kroku siostry Sarah, szła poprzez pole w kierunku domu brata Bluma.

- Tym razem pozwoliłaś sobie na zbyt wiele, Mary Margaretho - cicho powiedziała Rosina Krause. - Gdzie miałyśmy głowy, pozwalając ci błądzić po lesie w poszukiwaniu barwników? - Monotonne zrzęczenie działało dziewczynie na nerwy.

- Nawet takie wyprawy są teraz zbyt niebezpieczne - dodała Sarah z przejęciem.

Retha ugryzła się w język. Dla niej takie wycieczki wcale nie były niebezpieczne. Siostry nie miały pojęcia, jak bardzo czuła się bezpieczna, bezszelestnie pomykając sekretnymi ścieżkami, tak jak nauczyła ją Śpiewające Kamienie.

- Niepokoisz mnie od początku wiosny - rzekła Rosina

tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Jesteś zbyt nieostrożna, Mary Margaretho. Traugott Bagge nie potrzebuje tak wielu barwników do swego sklepu.

- A my doskonale sobie bez nich radzimy - dodała Sarah.

Czując na ramieniu dłoń siostry Sarah, Retha zaczęła wspinać się po zboczu.

- W głębi kraju pomordowano ludzi, siedzących przy paleniskach we własnych domach - powiedziała Rosina złowieszczo. - Mamy szczęście, że żadna z walczących stron nie okupuje naszego miasta. Jednakże może do tego dojść.

Sarah z przejęciem skinęła głową.

- Bezpieczniej dla ciebie będzie w domu. I my także pocujemy się lepiej.

- Nie będę cię nawet pytała, co robisz poza domem o tak późnej porze! - ciągnęła Rosina, nie zważając na troskliwość Sarah.

I dobrze, pomyślała Retha. Bo nie miała najmniejszego zamiaru odpowiadać. Ale przez jej głowę przelatywały niepokojne myśli. Jakże się teraz zajmę rannym wilkiem?

Kiedy przechodziły przez wąską alejkę między domami, nagle trzasnęły drzwi. Sarah jęknęła, Rosina podskoczyła, serce Rethy zabiło szybciej.

Przyłapaną dwukrotnie, raz po raz.

- Idę na pomoc - zza rogu dobiegł głęboki melodyjny baryton. Głos Jacoba Bluma! Jego wielka sylwetka pojawiła się nad Rethą i jej opiekunkami. Retha patrzyła w ciemność, by się upewnić, czy to on.

On. Uniósł pochodnię, spoglądając w alejkę. Starsze kobiety podeszły ku niemu, zwierając szranki przed Rethą.

- Siostry - zaczął zdziwiony na widok postaci w ciemności. - Co się stało? - Przyjrzał się im, rozpoznając kolejno. - Siostra Krause. Siostra Holder. I siostra...?

Uniósł pochodnię wyżej, ale nie mógł jej dostrzec. Retha zresztą wcale tego nie pragnęła. Opuszczając głowę, by ukryć twarz, spostrzegła kaskadę bieli. Jej koszula. Prześwitująca w świetle pochodni. Brat Blum gotów pomyśleć, że jest goła

jak święty turecki. Dzisiejszego popołudnia z przyjemnością wprawiła go w zakłopotanie. Teraz nie wydawał się zakłopotany.

To ona znalazła się w opałach.

Uniosła oczy i napotkała jego wzrok.

- To ja, bracie Blum.

Jacob z trudem powstrzymał śmiech. Jego przyszła małżonka odezwała się tonem pełnym skruchy, ale jej spojrzenie temu przeczyło.

- Siostra Retha. - Jacob skłonił się z kurtuazją, opanowując rozbawienie, podczas gdy siostry usiłowały przesłonić jej cieniutką letnią bieliznę swymi rozpostartymi spódnicami. Za późno i nadaremnie. Jacob spostrzegł ją tańczącą i na ten widok pośpieszył w ciemność. Dla jej bezpieczeństwa, mówił sobie. - Mam nadzieję, że nic ci się nie stało.

- Dziękuję. Czuję się świetnie.

- Myślałem o tych żołnierzach.

- O jakich żołnierzach? - spytały obie starsze kobiety unisono.

Jacob zauważył, że Retha przestąpiła z jednej bosej stopy na drugą.

- Dwaj żołnierze zaszli dziś po południu drogę siostrze Recie, gdy zmierzała przez plac, i ja...

- Wcale nie - przerwała mu Retha. - Nic mi nie groziło. Oni po prostu dali mi trochę ubrań do prania...

- ...kazałem im odejść - zakończył Jacob.

Dwie starsze kobiety odsunęły się wraz z Rethą na bok i wszystkie trzy szeptały coś w podnieceniu. Jacob nie rozróżniał ich słów, ale wiedział, że obydwoje z Rethą znaleźli się w kłopotach.

Światło latarni rozświetliło włosy, które luźno spływały na jej ramiona i plecy. Bujne, piękne włosy. Odwrócił wzrok, ale nie dość szybko. Jakże śmigały w księżycowej poświacie, kiedy wirowała w tańcu. Czuł nieprzeparłą chęć, by ich dotknąć.

Mężczyzna powinien mieć kobietę. On potrzebował żony. Właśnie tej.

Nie miał pojęcia, dlaczego siostra Retha przeszła na drugą

stronę strumienia, ale widział wszystko, rozbudzony i niepokojny, rozmyślający o skargach na jego dzieci i o spotkaniu starszyny. Noc była księżycowa, ale dzieci spały twardo. Nawet Anna Johanna w swojej smętnej sukieneczce.

Trzy kobiety powróciły z ponurymi minami. Jacob nie słyszał, o czym szeptały, ale rozpoznał ton. Retha była w kłopotach, a jego obecność z jakiegoś powodu pogarszała sprawę.

Oczywiście. Siostra Krause wiedziała, że zapytał los, mając na myśli Rethę. A teraz napotkała dziewczynę nocą poza domem, na wpuł naga.

A na dodatek on miał nieszczęście akurat wtedy wyjść za próg. Co sobie wyobrażała siostra Krause?

Jacob usiłował pochwycić spojrzenie Rethy, ale ona wbiła wzrok w drewniany chodnik. Z buntowniczą miną, jak mu się zdawało. Kiedy siostry popchnęły ją, by razem odejść, Jacob zaproponował, że odprowadzi je przez plac.

- Dziękujemy - odparła siostra Krause, stanowczo wchodząc pomiędzy niego a siostrę Rethę.

Jacob zrozumiał jej taktykę. Niezameżne siostry doskonale się broniły. Kiedy doszli do domu sióstr, Jacob grzecznie życzył im dobrej nocy, kolejno, wedle starszeństwa.

- Dobranoc, siostrze Holder. Dobranoc, siostrze Krause.

Na progu przystanąły smukłe, bezwstydnie nagie stopy.

O czym mógł myśleć?

- Dobranoc, siostrze Retho - powiedział, zebrawszy odwagę.

Spojrzała na niego pytająco. Pociemniałe pośród nocy oczy wyrażały jakieś skryte uczucia.

Serce Jacoba zabiło szybciej i mocniej. Ona chciała czegoś od niego, ale czego?

- Dobranoc, bracie Blum - wyszeptała i zniknęła mu z oczu, po raz drugi tego dnia.

Jej niewypowiedziane pytanie nie pozwoliło mu zmrużyć oka, dopóki nie zaszedł księżyc.

## 2

Retha wmawiała sobie, że potrafi znieść widok krwi.

Spojrzała na mokrą koszulę porucznika pod światło, wpadające przez okno do pomywalni *Gemein Haus*, i zadrżała. Od ramienia do wąskich plisek na piersi rozciągała się plama krwi. Brązowa plama przypominała jej o krwi, sączącej się ze zranionej łapy wilczka.

Potrząsnęła głową, by odegnać od siebie strach, którego nie umiała sprecyzować, zanurzyła koszulę w drewnianej balii. Lepiej myśleć o obecnych kłopotach, niż pozwalać, aby dokuczał jej jakiś nienazwany lęk. Zastanowić się nad tym, jak niezamężne siostry przyłapały ją minionej nocy, pomyśleć o konsekwencjach, które spotkały ją dziś rano w nieskazitelnym gabinecie siostry Rosiny Krause, o utracie wolności, na którą sobie zapracowała przez wiele lat.

- Wiesz, że na sercu leży nam wyłącznie twoje dobro - powiedziała siostra Holder.

- I tak potrzebna nam jest pomoc w pralni - dodała Rosina Krause.

- Ale moje barwniki...

- Te twoje barwniki - i cokolwiek jeszcze wyciągnęło cię nocą z domu - narobiły ci niemało kłopotów.

- Kłopotów! Całe miasto i zależy od moich barwników. Zarabiam pieniądze dla nas wszystkich - warknęła Retha przez zęby. Znała się na barwnikach lepiej niż ktokolwiek w całym

Salem. Od kiedy wyznaczony dla miasta farbiarz został zwolniony, to ona zaopatrywała sklep Traugotta Bagge'a.

- Nie o to mi chodzi - odparła siostra Rosina.

Jej ton sprawił, że Retha poczuła bunt. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zareagować ze stoickim spokojem, którego nauczyli ją Indianie Czirokezi. Przecież nie zrobiła nic złego.

- A poza tym odkąd siostra Eva opuściła nas, by stać się siostrą Ernst, mamy naprawdę mnóstwo prania - dodała radośnie stara siostra Sarah.

Po dzieciństwie spędzonym w sukienkach z jeleniej skóry Retha pogardzała praniem. Pozostawianie w wilgotnej pomywalni z przepoconymi ubraniami obcych ludzi, z ostrym ługiem i brudną wodą wydawało jej się niezasłużoną karą.

- Nie zrobiłam nic złego - zaprotestowała.

- Nie kpij z nas sobie, siostrze Retho - łagodnie powiedziała Rosina Krause.

- Wcale sobie z was nie kpię. Nie śmiałybym. Ale co ja takiego zrobiłam?

- Nie wiemy, co robisz, dokąd chodzisz ani po co. Ale wiemy, że postępujesz nieostrożnie. Z nami jesteś bezpieczna i potrzebujemy tu ciebie.

- A poza tym, siostrze, wszyscy wiedzą, że jesteś w wieku... - pomarszczona twarz Sarah spurpurowiała.

- W wieku?

- W wieku, w którym rozumiemy, że należy zaopiekować się naszą młodszą niezamężną siostrą, by nie zeszała z drogi cnoty - zakończyła Sarah bardzo wymyślnie.

Zbryzgana wodą z balii Retha zrozumiała w końcu, o co podejrzewały ją starsze kobiety. O coś tak poważnego, że nie śmiały nazwać rzeczy po imieniu, nawet po ciemku. Myślały, że wymknęła się nocą na schadzkę z mężczyzną. A przecież tak nie było. I nie będzie. Żaden mężczyzna jej tego nie zaproponuje. Nie uczynił tego Samuel Ernst ani żaden inny mieszkaniec domu niezamężnych braci.

Nie chodzi o to, żeby ich pragnęła. Poza bratem Blumem,

którego niebiański śpiew budził w niej nieopisany zachwyt, mężczyźni w ogóle jej nie interesowali. Ani trochę, ona potrzebowała wolności, by zajmować się swoimi sprawami. Dopiero teraz, po raz pierwszy w życiu, zapragnęła uciec z zatłoczonego *Gemein Haus* do swego własnego domu.

I zapragnęła tego, co odnalazła jej przyjaciółka Eva - miłości.

Zanurzywszy koszulę porucznika w mydlinach, pocierała poplamioną tkaninę o tarę, zdzierając sobie skórę z knykci. Jakże nienawidziła tej rdzawej barwy, tego miedzianego zapachu krwi. Zamknęła oczy. Powróciło wspomnienie splamionej krwią sukienki z jeleniej skóry. Nie pozwoliła jednak, by pamięć dawnych tragicznych przeżyć długo ją dręczyła.

Gniotła i tarła koszulę, a następnie wykrcęcała. Wciąż i wciąż, bez końca. Dotychczas pranie było obowiązkiem Ewy Reuter. Teraz Eva została zamężną siostrą Ewą Ernst. W zeszłym miesiącu losowanie pozwoliło, by krępy Samuel Ernst poprosił Ewę o rękę. Pulchna, rumiana, żywa Eva przyjęła jego oświadczenia. Po niedzielnej mszy byli formalnie zaręczeni, a tydzień potem poślubieni.

Samuel chciał Ewę, a Eva chciała jego, myślała rozmarzona Retha, umilając sobie znienawidzone zajęcie. Po raz chyba już setny zastanawiała się, czy kiedykolwiek miłość stanie się jej udziałem. Niemożliwe, nie tutaj, pośród braci morawskich. Przygarnęli ją i wychowali, ale przecież chrzcili nawet niewolników. Ona, tak jak owi niewolnicy, których kupowano, chrzczono i uwalniano, na zawsze zostanie obcą, zbrukaną latami spędzonymi pośród Czirokezów.

Spojrzała na białą koszulę pod światło. Była czysta, wyglądała prawie jak nowa, ale wykonana praca nie dała jej zadowolenia. Wolała zajęcie w farbiarni i te wszystkie piękne kolory - różowy, bursztynowy, indygo. Nienawidziła pralni. Dopadło ją poczucie beznadziei. Nie podda mu się jednak. Nigdy się nie poddawała. Uniosła głowę, rozwiesiła koszulę, aby wyschła, i umyła się do kolacji.

Kiedy Retha wślizgnęła się do *Saal* na *Singstunde*, chylące się ku zachodowi słońce wciąż zalewało ulice miasta czerwonym

światłem. Nawet tutaj, za grubymi murami z cegły i drewna, panował upał.

Rosina Krause, wachlując się dłonią, spojrzała surowo na Rethę, która wcisnęła się na miejsce koło niej.

- Spóźniłaś się - skarciła dziewczynę.
- Musiałam rozwiesić pranie na sznurze.

Rosina skrzywiła wargi, co nadało jej okrągłej twarzy wyraz dezaprobaty.

- Powinnaś je była starannie przypiąć.
- Przypięłam - szepnęła Retha, zasłaniając usta dłonią.

Tylko że krowa siostry Baumgarten nie zwróciła na to uwagi, szarżując na suszącą się bieliznę, dodała w myśli.

Rosina uciszyła ją syknięciem, bo chór zaintonował pieśń, tony fletu i oboju kończyły troski dnia codziennego. Ławki i podłoga tchnęły gorącem. Retha opuściła głowę.

Co za dzień! Co za dni! Siostra Rosina gotowa pomyśleć, że się modłę. Może to jest modlitwa, myślała Retha. Może modlitwami są te pieśni, podobnie jak śpiewy Czirokezów. Poprzez głosy chóru przebił się wspaniały baryton brata Bluma. Kiedy śpiewał, jego mocno zarysowana szczeka stawała się wydatniejsza, szerokie poważne czoło jaśniejsze, wyraz wydatnych ust łagodniejszy. Retha słuchała go tysiące razy, jego głębokiego i mocnego głosu, tajemniczego i mocarnego jak woda dudniąca pośród skał.

On mógłby jej pomóc.

Jacob dołączył do śpiewaków na przedzie *Saal*. Witał *Singstunde*, godzinę śpiewów, przed udaniem się na nocny spoczynek. Witałby ją jeszcze żarliwiej, gdyby w przegrzanej sali nie tłoczyli się brytyjscy żołnierze. Ostatnio przybyłe oddziały z pewnością zabawią dłużej w Salem, zanim wyruszą w dalszą drogę. Neutralność braci morawskich, nie okazujących niechęci ani Brytyjczykom, ani żołnierzom amerykańskim, zdawała się przyciągać oddziały do miasta, które stanowiło oazę, ośrodek handlu i miejsce odpoczynku. Przybyciu wojska nieuchronnie towarzyszyły plotki i podejrzenia.



Jacob miał dość intryg, niepokojów, nowin o przebiegu bitew i wolałby, aby podczas nabożeństwa nie przypomniano mu o tym wszystkim. Choć z drugiej strony, lepiej, aby żołnierze byli tutaj, niż włóczyli się po mieście, plądrując sklepy. Niedawno tak właśnie zachowali się w Bethabarze, najbliższej wiosce zamieszkaanej przez braci morawskich, jeszcze bardziej wzmagając strach przed mundurem.

Z przyjemnością powrócił myślami do nabożeństwa, nasłuchując wprawnym uchem, jak członkowie zespołu stroją swoje instrumenty. Muzyka stanowiła dla niego wielką pociechę. Kiedy mały zespół zaczął dobrze znany chorał Bacha, Jacob poczuł, że bogactwo tonów uwalnia jego umysł od wszystkich kłopotów dnia.

A miał ich wiele, zbyt wiele. Trzy przedmioty jego troski siedziały na pierwszej ławce, pomiędzy bratem i siostrą Ernstami: Nicholas i zarumieniona Anna Johanna oraz Matthias z opuszczoną głową i z wiecznym wyrazem nabożnego zadumania na twarzy.

Czwarty, najnowszy, jeszcze nie przybył. Przez chwilę Jacob lustrował salę, usiłując nie myśleć o wyzywającym zachowaniu Rethy i o jej tańcu. Niezamężne siostry bez wątpienia kazały jej pozostać w *Gemein Haus*.

W połowie pierwszej pieśni jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie. To Retha usiłowała prześlizgnąć się pod ścianą w tyle sali, ale była zbyt wysoka, by pozostać niezauważoną. Stanik jej różowej sukni rozszerzał się ku dołowi w falbanki, które falowały wokół jej cienkiej talii. Suknia nie była tak skromna, jak mu się wcześniej wydawało. Odwrócił od niej wzrok i zajrzał do śpiewnika.

Chorał dobiegł końca i Jacob uniósł wzrok. Retha usiadła w ławce siostry Krause. Starsza niezamężna siostra chyba ją strofowała, ale Jacob nie słyszał ani słowa. Retha wyszeptwała coś w odpowiedzi i opuściła głowę, biała *Haube* surowo ukrywała burzę jej bursztynowych włosów.

Taka wstrzemięźliwość była ponad jego siły. Nagle zapragnął oglądać wspaniałe włosy Rethy takie, jakie były zeszłej nocy. Chciał oswobodzić je własnoręcznie, rozczesywać je palcami,

owijać nimi dłonie. Na chwilę zapomniał o nabożeństwie i przegrzanym, zatłoczonym pomieszczeniu. Wyobrażał sobie kaskadę złocistych włosów na kremowobiałych ramionach. I wtedy chór zaczął wykonywać następny chorał.

Bez niego.

Tenor, brat Schopp, dyskretnie szturchnął go w żebra. Tak napomniany Jacob podjął swoją partię i skoncentrował się na pieśni. Podczas gdy śpiewał solo, spostrzegł, że Retha uniosła lekko głowę. Pochwycił jej spojrzenie i je wytrzymał.

Bursztynowe oczy, złocisty uśmiech. Omal nie zaczął fałszować.

Na szczęście śpiewy dobiegły końca i brat Marshall odmówił ostatnią modlitwę. Jacob dołączył do uczestników nabożeństwa, którzy wysypywali się na główną ulicę.

- Chcę z tobą zamienić słówko, bracie Blum - powiedział brat Schopp, poklepując go po ramieniu.

Zaskoczony Jacob obejrzał się i zaniepokojony jego pochmurną miną, popatrzył w kierunku wskazanym przez brata.

- Nicholas nie nauczył się lekcji - dodał Schopp.

Dwunastoletni syn Jacoba wypadł na zewnątrz jak bomba, pociągając za sobą kolegów. Jacob westchnął ciężko i ruszył przez plac za synem. Ale szybko się zreflektował. Przypomniał sobie, że po tym, jak go zbeształ, chłopak poprosił, by dać mu jeszcze jedną szansę. I Jacob się zgodził.

- Rozmawiałem z nim o tym, by więcej nie sprawiał kłopotów - powiedział, zwracając się do Philipa.

- Dobrze by było - ponuro odparł nauczyciel. - W moim domu nie ma dużo miejsca i nie potrzebujemy tam rozrabiaków.

Jacob uniósł brew, niezadowolony, że młody nauczyciel tak niepochlebnie wyraża się o jego synu.

- A z nim to zupełnie inna historia. - Schopp wskazał Matthiasa, który ze splecionymi z tyłu rękami, powoli postępował za bratem. - Dobrze by było, gdyby więcej chłopców zachowywało się tak poważnie.

- Och - westchnął Jacob. - Rzecz w tym, że on jest nazbyt poważny.

Schopp rzucił mu pełne niedowierzania spojrzenie i podążył swoją drogą.

Jacob nie wiedział, co go bardziej dręczyło - wybryki starszego syna czy nadmierna nabożność młodszego. Jedno i drugie nasiliło się po śmierci matki chłopców. A może wzmożona pobożność nie powinna go martwić? Nie wtedy jednak, gdy graniczy z fanatyzmem. Chudy i żarliwy Matthias zacznie wkrótce wygadywać zmyślane historie o swym bracie, a także siostrze.

Jacob podniósł wzrok. Pokrytą pyłem ulicą zbliżała się siostra Ernst, niczym kwoka, osłaniająca spódnicami jego małą córeczkę. Anna Johanna natychmiast chwyciła bryczesy ojca, jedynej osoby, której bliskość tolerowała i której sama była w stanie dotknąć. Opuścił rękę, aby dodać córce otuchy, ale szybko ją cofnął.

Serce mu się ścisnęło. Nie mógł jej dotknąć. Nikomu nie wolno było jej tknąć. Na próżno wyteżał umysł, by to zrozumieć. Do śmierci matki była takim śmiałym i szczęśliwym dzieckiem. Gdzieś w głębi serca Jacob pojmował, że niechęć Anny Johanny do dotyku nie była sprawą wyłącznie fizyczną. Jego mała, smutna córeczka jeszcze się nie otrząsnęła po stracie matki. Potrzebowała... sam już nie wiedział czego. Bo nie uwagi, miłości czy rozrywek. Zamęczał się odgadywaniem jej potrzeb.

Anna Johanna zeszła na bok, wycofując się z tłumu, spośród przyjaciół ojca, spośród braci.

- To ty jesteś Anna Johanna - rozległ się głęboki gardłowy głos kobiety.

Jacob się obejrzał i spostrzegł kobietę w białym czepku, która, przykucnąwszy, przemówiła do jego córki.

Ale dlaczego? I czemu znalazła się tak blisko niego? Zacisnął szczęki, poczuwszy nową falę pożądania.

- Skąd wiesz? - zapytała zaciekawiona dziewczynka.

On także był zaciekawiony. Dziecko nie dopuszczało do siebie nawet najbliższych sąsiadów. Nie odzywało się do nikogo spoza rodziny.

- Bo idziesz ze swoim ojcem, a ja chcę z nim chwilę porozmawiać - powiedziała Retha rzeczowym tonem.

- Najpierw porozmawiasz ze mną? - spytała Anna Johanna drżącym głosem.

- Najpierw z tobą.

Jacob się odwrócił. Retha uśmiechała się serdecznie do Anny Johanny, która znów chwyciła się nóg ojca. Skubała węzeł u nogawki bryczesów poniżej lewego kolana. Jacob przeraził się, że drobne paluszki córki odstąpią zaraz jego dziane z wełny skarpety, które opadając w obwarzankach, ukążą nagie łydki.

- Kim jesteś? - spytała Anna Johanna.

- Jestem Retha i podobają mi się twoje ładne czerwone wstążki.

Anna Johanna przestała zajmować się bryczesami i dotknęła wstążek pod brodą. Wszystkie małe dziewczynki nosiły czerwone kokardy, zamężne siostry miały niebieskie kokardy, a wdowy - białe.

- Twoja jest różowa - stwierdziła dziewczynka.

- Ty także będziesz miała różową, kiedy dorosisz - zapewniła ją Retha.

- Kiedy? - spytała Anna Johanna z zaciekawieniem.

Zdumiony Jacob zapomniał o zawiązaniu bryczesów.

- Gdy będziesz wystarczająco duża, by stać się niezamężną siostrą. Kiedy skończysz szesnaście lat.

- Moja mama nosiła niebieską - powiedziała Anna Johanna z własnej inicjatywy. Jacob nie posiadał się ze zdziwienia. Jego milcząca córeczka rozmawiała z obcą osobą. I sama zaczęła mówić o matce.

- Dlatego że była zamężną siostrą - powiedziała Retha łagodnie, a potem zerknęła na Jacoba, jakby pytając, czy zgadza się na tę rozmowę.

Nie miał żadnych obiekcji. Gestem zachęcił ją, by prowadziła ją w dalszym ciągu.

- Moja mamusia umarła - powiedziała Anna Johanna z prostotą dziecka.

- Wiem - odparła Retha serdecznie. - I bardzo ci współczuję. Pewnie bardzo za nią tęsknisz.

Anna Johanna zrobiła krok do tyłu, ku butom ojca. Zatoczyła

się. Jacob zmarszczył brwi. Retha posunęła się zbyt daleko. Chciał chwycić córeczkę za ramiona, ale się powstrzymał. Nie dotykać jej. Jej wrzaski za grubymi murami domu i tak były trudne do zniesienia dla sąsiadów.

- Skąd wiesz? - wyszeptała Anna, a Jacob poczuł, że serce mu krwawi.

- Moja mama także umarła i tęsknię za nią.

- Och. - Zapanowało milczenie. Do Jacoba dotarły głosy mężczyzn i kobiet w otaczającym ich tłumie oraz daleki śpiew drozda. Nieomal słyszał myśli swojej córeczki.

- Ale ty już jesteś duża.

- Wtedy byłam mała. Taka jak ty.

Anna Johanna zaczęła mieć sukienkę, co było złym znakiem. Jacob ujrzał oczyma wyobraźni, jak wlecze dziewczynkę do domu, kopiącą i rozwrzeszczaną, zanim mała rozżłości się jeszcze bardziej.

Ale Retha mówiła dalej.

- Bardzo długo byłam smutna.

- Tak jak ja - cicho powiedziała Anna Johanna.

Jacob wstrzymał oddech, bał się poruszyć. Co za czary wyczyniała Retha wobec jego małej córeczki? I wtedy zobaczył, że Retha wyciąga rękę, aby dotknąć ramienia Anny Johanny. Nie, pomyślał. Ona nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Chciał chwycić dziewczynkę w ramiona i uciec, chroniąc wszystkich przed wybuchem wściekłości Anny Johanny.

Za późno. Retha już uściśnieła małą piąstkę i wygładziła spódnice dziewczynki.

- Muszę porozmawiać z twoim ojcem - powiedziała, podnosząc się z kucek.

- Dobrze - poważnie odparła Anna Johanna, obejmując kolana Jacoba.

Retha uniosła wzrok.

- Słodkie maleństwo.

Jacob nie wiedział, czy ma skinać głową, czy zaprzeczyć. O co tu chodziło? Retha nie mogła wiedzieć, że chce o nią

. zapytać los. I co ma jej teraz powiedzieć? Czuł, że nie potrafi sklecić zdania, aby podziękować jej za cud, którego dokonała.

Retha zadarła głowę, by na niego spojrzeć. W rozpraszającym mroku nocy blasku licznych pochodni wydała mu się jeszcze bardziej ponętna niż wczoraj w świetle pojedynczego płomienia. Jej twarz była gładka i otwarta, spojrzenie śmiałe, włosy gładko zaczesane pod czepek. Poczuł falę pożądania.

- Potrafisz dochować tajemnicy? - zapytała.

Zastanawiał się, o jaką tajemnicę może jej chodzić. O zaczepki żołnierzy, o jej nocny taniec, o przejrzyście koszulę czy może o sposób, w jaki spoglądał na jej zmysłowe usta?

- Oczywiście - odparł, przypominając sobie, jaką zajmuje pozycję w tutejszej społeczności. Ludzie powierzali starszyźnie wszystkie swoje sprawy. Jednakże niezamężne siostry nie zwierzały się mężczyznom ani niezamężnym, ani żonатыm, ani wdowcom. Retha powinna się zwrócić do siostry Krause.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Musiała się znaleźć w poważnych kłopotach.

- Przykro mi z powodu zeszłej nocy - powiedział szybko. - Wyszedłem z domu nie w porę... Siostry musiały sobie pomyśleć, że ja... że my...

Zachowuję się okropnie niezręcznie, pomyślał, pocierając kark.

Ale Retha się roześmiała.

- Tak! Oczywiście, że tak sądziły. Ale ty i ja wiemy, jak było naprawdę. Mam nadzieję, że nie miałeś z mego powodu kłopotów.

- Żadnych.

- A ja mam kłopoty. Ale nie z twego powodu. Głównie dlatego, że mnie znalazły poza domem.

Zamilkła i jej radosny nastrój prysnął.

- Dlaczego wyszłaś z domu? - zapytał.

- Żeby nakarmić wilka - odpowiedziała pośpiesznie.

- Ach. Wilka - powtórzył, zaskoczony jej niespodziewanym wyznaniem. Mary Margaretha z pewnością cierpi na nadmiar fantazji. Słyszał coś o tym. Może właśnie z tego powodu siostra

Krause nie uważała jej za odpowiednią kandydatkę do zamaż-pójścia. Przecież spędziła część dzieciństwa pośród Indian, którzy wywarli na nią dziwaczny wpływ.

- A więc potrzebujesz pomocy.
- Nie, nie ja. Wilk - wyszeptwała.

Jacob zmarszczył brwi, nagle zrozumiał wydarzenia poprzedniej nocy.

- Chodziłaś na łąki, aby karmić zwierzę?
- Poważnie skinęła głową.

- Dwa razy dziennie, odkąd znalazłam je niedaleko strumienia. Młoda wilczyca jest ranna. Zdrowieje, ale nie może jeszcze polować. Dlatego potrzebna mi jest twoja pomoc. Na razie nie mogę do niej pójść za dnia. - Wykonała niecierpliwy gest ręką. - Z powodu mojej nowej pracy w pralni i z powodu... - przerwała na chwilę - ...restrykcji.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Jacob. Nie było mu żal rannego wilka, ale przykro mu było, że ukarano Rethę.

Jej taniec w blasku księżycy nie był jakąś fanaberią. Wyszła z domu w środku nocy, chociaż wiedziała, że nie powinna. Od samego początku była dzikim dzieckiem, ale takie nieposłuszeństwo wobec tutejszych reguł było poważnym wykroczeniem. Niestety, on już oświadczył starszyźnie, że weźmie Rethę za żonę. Kobiety mogą zmienić zdanie, ale mężczyźni - nie. Gdyby się teraz wycofał, straciłby dobrą reputację.

- Będziesz ją karmił przez kilka dni? Jest za Czerwoną Garbarnią, niedaleko strumienia. Ukryła się w jamie. Ale potrzebuje mięsa, w dzień i w nocy.

- Chcesz, żebym ją karmił w dzień i w nocy?

- O, nie - powiedziała, konspiracyjnie ścisząc głos. - Wymknę się w nocy. Po prostu wyjdę nad ranem.

Skonsternowany Jacob spozjrzał na jej twarz. Miała niewinny wyraz. Ale prośba Rethy nie była niewinna. Dziewczyna za nic miała obyczaje społeczności i lekceważąc niebezpieczeństwo, samotnie przebywała nocą poza domem. Odchrząknął.

- Nie mogę się na to zgodzić - powiedział jako członek

starszyny, jako ojciec, mający świecić przykładem swoim dzieciom, i jako przyszły mąż Rethy.

Jej oczy zabłyśły.

- To poproszę kogoś innego.

- Siostró Retho - rzekł cierpliwym tonem, zdając sobie sprawę ze swojej pozycji. - Jestem członkiem tutejszej starszyny. Nie mogę ci pozwolić na takie wyczyny. Twoje postępowanie jest niebezpieczne i niewłaściwe.

- Nie może być niewłaściwe. - Dumnie uniosła brodę. Rozmowa nie była łatwa. Musiał jej odpowiedzieć sensownie i z namysłem.

- W starym kraju, w Niemczech, radziliśmy sobie z wilkami. Zastawialiśmy na nie sidła...

- Czurokezi nauczyli mnie szanować wilki - przerwała mu niecierpliwie. - Pomoc rannemu wilkowi nie może być grzechem.

Grzech. Jej zarzut bardzo go ubódl. Nie chciała go wysłuchać. W Niemczech wycięto wilki w pień na długo przed jego przyjściem na świat. Potarł twarz dłonią, aby zyskać na czasie.

Powinien jej odmówić. Był przecież budowniczym, planistą, członkiem starszyny, a nie jakimś konspiratorem. Poskramiaczem wilków.

Ale przecież zwierzę jej nie zraniło. Wbrew wszelkim pogłoskom na ten temat wilki nigdy nie zaatakowały ich społeczności ani nie splądrowały sklepów. Przyjrzał się ładnej twarzy Rethy. Przybrała wyraz pełen stanowczości.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Nie potrafił odmówić jej prośbie. Potarł kark i jeszcze raz się zastanowił. Ona nie wahała się zaryzykować utraty dobrego imienia.

- No dobrze. Zajmę się tym.

- W dzień? - spytała ostrożnie.

- I w dzień, i w nocy. - Spojrzał na nią poważnie. - Nie wychodź z domu. Czego potrzeba wilkowi?

- Jedzenia, resztek mięsa. Ale nie próbuj jej dotykać, dopóki nie zje. Jest bardzo bojaźliwa. - Spojrzała na córeczkę Jacoba. -



Jak ktoś, kogo obydwójce znamy. - Już miała odejść, ale zmieniła zamiar. Z zaskakującą siłą chwyciła ramię Jacoba. - Naprawdę tam pójdziesz?

Czuł palący dotyk jej dłoni poprzez tkaninę kurtki i koszuli. Z trudem przełknął ślinę i skinął głową.

Bursztynowe oczy Rethy ożyły na nowo.

- W naszej spiżarni nie ma kości szpikowych, a wilczyca bardzo je lubi.

I już jej nie było. Jacob poczuł się jak owego dnia, który spędził wśród zdziczałych koni, wolnych i radosnych. Retha dokonała dwóch wyczynów: najpierw dotknęła jego córeczki, a teraz sprawiła, że postąpił wbrew swoim zasadom.

Jednak Retha miała do niego zaufanie. Zwróciła się właśnie do niego. Wybrała go spośród innych mężczyzn.

Była dziksza, odważniejsza i, o dziwo, łagodniejsza, niż sobie wyobrażał. Tutejsi mieszkańcy - żony, matki i nauczyciele - od wielu miesięcy usiłowali pomóc jego dzieciom. Bezsukcesnie. A ona przykucnęła i w okamgnieniu zaprzyjaźniła się z jego córeczką. Tak samo jak, bez wątplenia, zaprzyjaźniła się z tym swoim dzikim zwierzęciem.

Zaintrygowany i nieco niespokojny, żywił nadzieję, że szczerze modlitwy sprawią, iż los obejdzie się z nim łaskawie.

Jacob przybył na spotkanie starszyny zaraz po pracy w młynie Steinera. Wpadł tam w wielkim pośpiechu, zakurzony i spóźniony. Wiedział, że program zebrania jest napięty, ponieważ tocząca się wojna zaburzyła duchowe zainteresowania społeczności. Wiedział również, że brat Marshall nie znosi spóźnień.

- Miałeś pracowity tydzień, bracie Blum - mruknął Marshall, nie unosząc twarzy znad notatek i nie zaszczycając Jacoba spojrzeniem. - Zaczęliśmy spotkanie bez ciebie. W odpowiedzi na pogłoski o napaści zatwierdziliśmy wniosek, by powiększyć nocną straż o trzech mieszkańców miasta. Jeśli ty nie masz nic przeciwko temu.

Brat Marshall nie znosił sprzeciwu, ale Jacob miał jedną obiekcję. Przeszedł przez salę, wzniciając obłoki kurzu.

- To zbyt wiele. Nasza społeczność liczy zaledwie siedemdziesięciu braci. Wobec faktu, że obydwie armie żądają naszych usług, ludzie i tak są obciążeni do granic wytrzymałości.

Marshall przybrał surowy wyraz twarzy i brat Schopp poszedł jego śladem. Siostry Elisabeth Marshall i Rosina Krause spoglądały zatroskane.

Jacob zastanawiał się nad jakimś bardziej dyplomatycznym sformułowaniem, pocierając gładko wywoskowane oparcie swego krzesła. Zaciśnął pięść. Spieszyło mu się do najistotniejszej sprawy.

A najważniejsze dla niego było ciągnięcie losów w sprawie kandydatki na żonę.

- Zgodzę się, jeżeli swoje głosy odda czworo z was.

- Już to zrobiliśmy. - Marshall uniósł jedną brew, jakby uznał słowa Jacoba za bunt.

- Poprę decyzję rady - powiedział Jacob z namysłem - o ile każdy z mężczyzn zgodzi się na nałożone na niego obowiązki.

- Zgodzą się - powiedział Marshall gwałtownie, zaglądając do swoich notatek. - Tuż przed twoim przybyciem brat Schopp poinformował nas o napadzie na Bethabarę. Wojsko pułkownika Williamsa zabrało wóz, zapasy i sto dwadzieścia galonów ich doskonałej brandy.

Jacob zdawał sobie sprawę, że część ludzi w Salem obawiała się, że ich miasto również zostanie napadnięte pomimo niełatwych negocjacji, które od kilku miesięcy prowadził z obydwoma armiami.

- Wojsko było w odwrocie. Mogło poczynić jeszcze większe szkody - powiedział Jacob stanowczym tonem i w końcu usiadł.

Członkowie starszyny, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, sprawiali wrażenie bardzo zdenerwowanych. Ale nie byli tak przejęci jak Jacob, czekający na chwilę, gdy rozstrzygnie się sprawa, która tak bardzo leżała mu na sercu.

- Obawiam się, że zrobią coś jeszcze gorszego, bracie

Blum, i bliżej naszych domów - powiedziała wystraszona siostra Marshall.

- Nie wydaje mi się, że dowódcy wojsk brytyjskich są pozbawieni rozsądku - zapewnił ją Jacob, spoglądając na drewnianą misę z losami, która stała tuż przy łokciu siostry. Poczł ucisk w żołądku.

Pragnął, by losowanie wreszcie się odbyło.

A jednocześnie lękał się go. Przez cały miniony tydzień widywał Rethę tylko podczas wieczornych nabożeństw. Nie mógł zrozumieć nagłej przemiany, jaka w niej zaszła. Siedziała wyprostowana i pilna, gorliwie wyśpiewując chorały wraz z innymi niezamężnymi siostrami.

Karmienie wilka także napełniało go najgorszymi przeczućiami. Nie wiedział, czy chroni ją od zejścia na manowce, czy może właśnie wspomaga ją w nieposłuszeństwie. Wkrótce zwierzę wyzdrowieje, a wtedy jej nieposłuszeństwo i jego w nim udział okażą się jeszcze bardziej sporne. W jej lekceważeniu obowiązujących zasad starał się dostrzec jednorazowy, powodowany szlachetnymi pobudkami wysiłek, podjęty w celu wyratowania nieszczęsnego, cierpiącego zwierzęcia. Żywił nadzieję, że jej troska o dzikie stworzenie zostanie z czasem przeniesiona na jego niesforne dzieci.

Brat Marshall strząsnął gęsie pióro. Zatrzepotało niczym nerwowy ptak.

- Czekamy na twoje sprawozdanie dotyczące Friedlandu, strażnicy oraz młyna Steinera.

Jacob utkwiał wzrok w stosie sprawozdań i usiłował skupić myśli. Oczy zaszyły mu mgłą. Za chwilę któraś ze spoczywających w misie fujarek zadecyduje o jego losie, być może odmieniając życie jego rodziny. Na tę myśl jego serce zabiło szybciej.

Tej panny młodej pragnął z mocą, której nie odczuwał, gdy odbywały się trzy poprzednie ciągnięcia losów.

- Sprawozdanie, bracie Blum - powiedział Marshall.

Jacob odwrócił wzrok od misy z losami.

Marshall uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie zapomniny o dotyczącej ciebie formalności.

Twarz Jacoba pokraśniała. Kartkował swoją księgę, aby zebrać myśli i przygotować się na ostatni punkt spotkania. Teraz miał jedynie zrelacjonować decyzje, które podjął zarząd.

- Co się tyczy, hm, strażnicy... - odnalazł kartkę z obliczeniami. - Jest zakończona, ale Gottlieb Vogler nie otrzymał jeszcze wyrównania.

- Ile wynosi należność? - zapytał Philip Schopp urzędowym tonem. Zawsze był przeciwny współpracy z Voglerem, godnym szacunku człowiekiem, który jednakże wyrzekł się związku z braćmi morawskimi.

- Połowę kosztów drewna Voglera. Ale to nie wysokość należności stanowi problem - powiedział Jacob stanowczo. - Raczej sposób płatności.

- Pogardza gotówką?

Jacob starał się zachować cierpliwość. W związku z trwającą wojną nowa waluta rządu kontynentalnego była niepewna.

- Vogler ma prawo nie akceptować waluty, a my nie powinniśmy mieć mu tego za złe. Możemy mu zapłacić w skórach, soli lub w zbożu...

Marshall i Schopp wszczęli ożywiony dyskurs na temat tego, jaka forma płatności będzie najmniej uciążliwa dla miasta i najuczciwsza w stosunku do sprzedawcy. Skór było pod dostatkiem, ale sól stanowiła rzadkość, a żniwa miały się rozpocząć dopiero za kilka tygodni.

Jacob przerwał ich debatę.

- Wyraził chęć przyjęcia należności po zbiorach.

- Mam nadzieję, że mu tego nie obiecałeś - stwierdził Marshall.

- Omawialiśmy sprawę.

- Dlaczego poruszyłeś temat, zanim podjęliśmy decyzję? - zapytał Schopp.

Jacob zwlekał z odpowiedzią.

- Negocjowanie ceny należy do mnie, jako że jestem przewodniczącym komitetu nadzorczego. A zresztą Rada Starszych

aprobuje sposób płatności. Skóry lub sól albo plony po żniwach. Do nas należy wybór.

- Nie w sytuacji, gdy pozwoliłeś mi żywić pewne nadzieje - zauważył Schopp.

- Sądzę, że brat Vogler i jego żona będą woleli żywność, o ile susza nie zniszczy nam plonów - łagodnie wtrąciła Rosina Krause.

- On nie jest już bratem Voglerem - zaperzył się Schopp.

- Dla niektórych spośród nas nadal nim pozostał - odparła.

- A więc sprawa ustalona - powiedział Jacob. - Żywność po żniwach. A co do powoływania do wojska przez armię kontynentalną, zachęciłem mieszkańców Friedlandu, aby zwracali się do biskupa Graffa o poświadczenie zwolnienia.

- Muszą zapłacić podatek od zwolnienia - oświadczył Schopp.

- Płacenie potrójnego podatku w czasie wojny jest srogą karą dla farmerów, bracie Schopp - pośpiesznie wtrąciła siostra Krause.

- Skoro go nie zapłacili, muszą iść do wojska - upierał się Schopp.

- Naprawdę chcesz, aby walczyli, mimo że istnieje artykuł mówiący, że nasi wyznawcy nie opowiadają się zbrojnie po stronie żadnego rządu? - zdziwiła się siostra Krause.

Jacob zakończył bezowocną sprzeczkę, stanowczo zmieniając temat.

- Co się tyczy młynówki, przyjąłem do pracy jeszcze dwóch mężczyzn.

- Więcej dezertarów? - zapytał Schopp kąśliwie.

- Tak sądzimy - odparł Jacob, nie wspominając o tym, że nowo zatrudnieni prawdopodobnie zbiegli z armii brytyjskiej. Jeśli tak było w istocie, będą pracowali tym skwapliwiej, że rozpaczliwie potrzebują kryjówki. Brytyjczycy mogą zachować Charleston, angielscy żołnierze generała Charlesa Cornwallisa mogą obstawić granicę z Karoliną Północną, ale w potyczkach w głębi stanu wigowie przewyższali siły torysów.

- Zatrudniwszy nowych robotników, ile czasu potrzebujecie na ukończenie reperacji? - zapytał Marshall.

- Tak, bracie Blum, ile czasu? Wiesz, że amerykańskie oddziały nie mogą się doczekać ziarna - dodała Elisabeth Marshall.

Jacob nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Nikt spośród starszyny nie brał udziału w skomplikowanych i trudnych pracach komunalnych.

- To musi potrwać. Wiosenna powódź spowodowała wielkie zniszczenia. Strumień musi zmienić bieg, należy wzniesć tamę, dawny nurt musi wyschnąć, stare belki należy usunąć, a następnie umieścić nowe...

- Na kiedy przewidujesz koniec robót? - ponaglił go Marshall.

Jacob opanował zniecierpliwienie. Dostrzegał termin ukończenia prac przy remoncie młyna, ale tracił nadzieję na rychły koniec nużącego zebrania. Starał się odpowiedzieć tonem człowieka cierpliwego, praktycznego i znającego się na rzeczy, jakim zazwyczaj bywał.

- W najlepszym razie potrzeba na to jeszcze miesiąca.

Rosina Krause położyła kres męczącej sytuacji, sięgając poprzez stół do miski z losami. Przewodniczyła niezamężnym siostrzom i losowanie partnerów należało do niej.

- Dosyć, bracie Marshall - powiedziała, przesuwając misę na środek stołu, aby zwrócić na siebie uwagę. - Już wystarczająco długo dręczymy brata Bluma.

Zebrane kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Atmosfera spotkania uległa gwałtownej przemianie. Marshall odsunął swoje notatki, a surowa twarz Schoppa złagodniała. Napięcie opadło. Poprzez otwarte okna wpadł lekki, gorący powiew i zaszleścił kartkami niepotrzebnej już książki brata Bluma. Jacob zamknął ją i starannie wyprostował zwilgotniały sztywny kołnierzyk, który uwierał go w szyję.

Na tę chwilę czekał całe popołudnie. A właściwie cały tydzień. Pocił się, ale nie z powodu upału. Kiedy ciągnięto losy w sprawie Christiny, Jacob był zbyt młody, by zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji oraz z trwałości i mocy czekającego ich związku.

Teraz było inaczej. Jeżeli los odpowie „tak”, przyszłość jego rodziny zostanie przypieczętowana. Przychylny los, jeśli uznać, że chodzi tylko o zaspokojenie żądzy Jacoba. Czy Retha, owa znajda, przyjaciółka Indian, opiekunka kalekich wilków, okaże się odpowiednia na matkę dla jego dzieci?

Brat Marshall pochylił głowę.

- Prowadź nas, Zbawicielu, w sprawie oświadczyn brata Bluma o rękę siostry Rethy. Niechaj wszyscy tu obecni staną się świadkami niniejszego wyrazu twojej woli i niechaj radośnie wysłuchają twoich rozkazów.

Elisabeth Marshall sięgnęła po niewielką, głęboką miskę i ustawiła ją przed swym mężem. Ten zamknął oczy. Cicho postukując drewnkami, Elisabeth przemieszała fujarki, obróciła misę i pokierowała dłoń męża do szorstkiego wnętrza naczynia.

Brat Marshall poruszył wargami w milczącej modlitwie, a jego palce odnalazły koniuszki trzech fujarek. Po raz czwarty wybrał fujarkę dla Jacoba, wyciągnął ją i podał skrawek papieru żonie. Zerknęła nań trwożliwie, wystawiając na światło. A potem na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- *Ja*, bracie Blum, tak - powiedziała, z trudem opanowując podniecenie. - Siostra Krause może w twoim imieniu spytać siostrę Rethę, czy cię poślubi. Los mówi „tak”.

Pochyliwszy głowę, Jacob pomyślał o białej koszuli, błysku złocistych włosów, wyzywającym tańcu szczupłych stóp. Poczł przypływ radości. Radości i pożądania.

Ale co uczynił swojej rodzinie?

A raczej co uczyni siostra Retha?

Zastanów się nad tym, siostrze Retho. I pomyśl o tych dzieciach- powiedziała tego samego dnia Rosina Krause, przekazawszy dziewczynie ową zdumiewającą nowinę.

Los zezwolił Jacobowi Blumowi na oświadczy o jej rękę.

Retha poczuła zawrót głowy. Poślubić brata Bluma! Stać się

matką jego dzieci! Od czasu gdy poprosiła Jacoba Bluma, by zaopiekował się wilkiem, minął tydzień. Jego oświadczyzny, należycie przekazane jej przez starszą niezamężną siostrę, sprawiły, że dziewczynie zabrakło słów.

- I zdecyduj się jak najszybciej. A potem nie zmieniaj zdania, tak jak ostatniej zimy uczyniła siostra Grimm - surowo powiedziała Rosina.

- Spróbuję - odparła Retha słabym głosem.

- Te dzieci nie mogą czekać w nieskończoność z powodu panińskiego niezdecydowania. - Słowa Rosiny towarzyszyły dziewczynie, gdy przyłoczona oświadczynami Jacoba Bluma, opuszczała jej nieskazitelne biuro.

Przez całą noc i następny dzień Retha bez przerwy rozmyślała o dzieciach i o ich ojcu. Nie przestała o nich myśleć nawet po południu, gdy wkładała świeżo wypraną bieliznę z tawerny do wiklinowego kosza.

Jacob Blum wystąpił o pozwolenie poślubienia jej i los mu je dał.

Zdumiona, przycisnęła dłoń do czoła. Nie zdecydowała jeszcze, czy się zgodzi. Musiała rozpatrzyć wiele spraw. Przyjęcie Jacoba oznaczało przyjęcie jego dzieci.

Jacob Blum, Rosina Krause i cała społeczność będą oczekiwali, że skoro los powiedział „tak”, Retha go poślubi i zrezygnuje ze swojej pracy i z życia niezamężnej Siostry, a nawet z opieki nad wilkiem. Będą oczekiwali, że przeprowadzi się do domostwa Jacoba i zajmie się jego dziećmi.

Co ona wie o dzieciach? Zwłaszcza o chłopcach?

A co gorsza, co wie na temat mężczyzn?

Żałowała, że jej myśli nie są tak starannie poukładane jak prześcieradła i powłoczki. W głębi serca wiedziała, że wilk jest w tym wszystkim najmniej istotny, ale właśnie z niego było jej najtrudniej zrezygnować. Wilk przyszedł do niej, dziki i wolny, a zarazem potrzebujący jej pomocy, przypominając jej o tym wszystkim, co kiedyś kochała, żyjąc pośród lasów z Indianami. Ratując wilkowi życie, poczuła smak przeszłości. A teraz zamieni obcowanie z wolnym dzikim zwierzęciem na



towarzystwo nieszczęśliwej córeczki Jacoba Bluma, nieszczęśliwej jak ona sama po śmierci matki.

Perspektywa, że będzie musiała zastąpić dzieciom matkę, działała na nią odstrasżająco. Kiedyś słyszała, jak Anna Johanna wrzeszczy na ulicy, widziała, jak dziewczynka kurczowo przytrzymuje swoją sukienkę. Retha jej współczuła. Ona także straszliwie cierpiała po stracie rodziców. Ale jak sobie poradzi z tym dzieckiem? Co innego rozmawiać z dziewczynką przez krótką chwilę, a zupełnie co innego troszczyć się o nią przez całe życie.

A jeśli dziewczynka ją znienawidzi?

A jak będzie z podrośniętymi synami Jacoba?

Nawet nie mogła z nim porozmawiać na temat małżeństwa. Wczoraj wyjechał z miasta, powierzając dzieci opiece Samuela i Ewy Ernstów. Nie odezwał się do niej słowem ani na temat swych oświadczeń, ani na temat opieki nad jej wilkiem.

Retha przyklepała ostatnią poszewkę, gdy rozległ się przenikliwy dźwięk konchy Samuela Ernsta, obwieszczającego popołudniowe targowisko na placu.

W taką pogodę, pomyślała, upychając bieliznę w koszyku, targowisko nie będzie przepełnione. Na zewnątrz było parno i wilgotno. Po niebie mknęły pędzone wiatrem chmury, mroczne jak jej myśli.

Co brat Blum sobie myślał, że poprosił ją o rękę?

Zarzuciła ciężki kosz na ramię i ruszyła ulicą.

Musiał być zdesperowany. Sama, będąc często tematem plotek, starała się je lekceważyć. Ale i tak wszyscy wiedzieli o jego kłopotach z losowaniem. Los odrzucił dwie, a niektórzy powiadali, że nawet trzy proponowane kandydatki na żonę. Z pewnością dlatego siostra Rosina ponaglała ją do podjęcia szybkiej decyzji.

Retha żałowała, że poprosiła go, by karmił jej wilczka. Od czasu gdy poprosiła o to brata Bluma, rozmawiał z nią tylko raz. Przystanęła w pół kroku.

Tylko raz. Po zebraniu starszyzny. Po losowaniu.

Poprawiła kosz i zebrała myśli. Wtedy już wiedział. A o wilku rozmawiał z nią już po zaproponowaniu jej kandydatury.

I w ogóle nie wspomniał o swoich intencjach. Nieważne, że Rosina Krause miała jej o tym powiedzieć pierwsza. Ta jego tajemniczość gniewała ją tak bardzo, że gotowa była odrzucić oświadczenia. Miała do tego prawo.

I nic mu nie zawdzięczała. A przynajmniej niewiele, poprawiła się w myślach.

Tamtego dnia spotkali się przypadkowo na placu.

- Muszę zajrzeć do twego wilczka - powiedział ochrypłym, niemal zagniewanym głosem.

- Dziękuję, że go nakarmiłeś.

- Skąd wiesz?

- Widziałam go.

- Nie tak się umawialiśmy. - Rzucił jej spojrzenie spode łba, ale w jaskrawym popołudniowym świetle jego oczy o odcienu fioletowym zdawały się ją przesywać na wylot.

*Usiłowała go ułagodzić.*

- Zatrzymałam się tylko na chwilę przy strumieniu, zanim wróciłam do domu z praniem.

- Ustaliliśmy, że to dla ciebie zbyt niebezpieczne - powiedział poważnie.

Po pierwsze, nie ustalali, po drugie, wcale nie jest niebezpieczne, pomyślała.

Brat Blum chrząknął, zebrał swoje dzieci i odszedł. Jakby nie miał pojęcia o mającym nastąpić losowaniu. Jakby nie żywił w stosunku do niej żadnych uczuć.

Teraz, obciążona wypraną *bielizną*, *wślizgnęła* się tylnymi drzwiami do tawerny, rozzłoszczona na samą myśl o milczeniu i obojętności brata Bluma. Sama się zajmie swoim wilczkiem.

Żwawy i wesoły Jeremiaś Meyer odebrał od niej kosz z bielizną.

- Zaczekaj - powiedział, wyrzucając pranie z kosza i napełniając go nową porcją brudnej bielizny. - Mam tego więcej. Brytyjski porucznik i jego oddział odjechali przed południem.

Widząc poplamione krwią prześcieradło i czując jego woń, skrzywiła się i wciągnęła łyk świeżego powietrza.

- Wykonuję dla ciebie paskudną robotę, bracie Meyer -

zażartowała, mając nadzieję, że w ten sposób ukryje wstręt, przyprawiający ją o mdłości.

Brat Meyer tylko się roześmiał.

- Bóg kocha ludzi pogodnego serca.

Retha umieściła kosz na drugim ramieniu i, omijając koleiny, ruszyła z powrotem bitą, pokrytą pyłem ulicą. Nie będzie teraz rozmyślać o praniu. Pomyśli o wilczku. Potrzebuje dla niego jedzenia, ale lepiej nie pokazywać się w spizarni.

Dochodziła do placu, musiała go przeciąć i poprzez tłum dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Przyglądała się sprzedawcom, mając nadzieję, że wypatrzy swoją przyjaciółkę, Alice, i jej męża, Gottlieba Voglera. Kilka lat temu, w dzień targowy, Retha spotkała ową parę wyrzutków i szybko się z nimi zaprzyjaźniła, rozmawiając z Alice w jej ojczystym języku. Alice, czystej krwi Indianka z plemienia Czirokeezów, unikająca osadników, czasami nie pojawiała się przez całe tygodnie.

Targowisko kipiało. Schludnie przyodziani w proste stroje bracia morawscy, nie zważając na to, kto jest bogaty, a kto biedny, ani na to, kto jest wigiem czy torysem, układali swoje towary w sąsiedztwie obszarpanych osadników oraz przybyłych z głębi stanu traperów w ubraniach z kozłej skóry. Właściciele dwukołowych wózków oraz ciężkich wozów prezentowali wędzone mięso, skóry zwierząt, wczesną fasolę i kukurydzę. Jakaś kobieta zachwalała kwitnące zioła. Innego dnia Retha kupiłaby trochę, aby spróbować, czy nadadzą się do produkcji barwników. Zarośnięty mężczyzna na koślawym wózku oferował drobną dziczyznę. Wilczkowi smakowałaby wiewiórka, ale cena była zbyt wygórowana.

Retha przystanęła i spostrzegła przywiązaną do wozu krowę. Kobieta o wynędzniałej twarzy i z dzieckiem przy piersi zaprosiła ją gestem, by obejrzała krowę.

- Nadaje się tylko na rzeź - zachęcała.

Retha zerknęła, czy na wozie nie ma czegoś, co by mogła kupić. Kiepska pikowana kołdra, nie wiadomo, na sprzedaż czy ich własna. Skrzywiła się, czując woń krowy. Czirokezi,

wśród których mieszkała, żywili się dziczyzną i nie znosili cuchnącego bydła. Retha z trudem nauczyła się jeść wołowinę.

- Potrzebuję kości szpikowych - powiedziała.

- Nie mamy kości szpikowych. Zostawiliśmy w domu. Nie przynoszą zarobku - wyjaśnił mąż kobiety.

Retha zrozumiała. Byli tak biedni, że żywili się zupą gotowaną na kościach. Ruszyła dalej i zaczepiła stopą o coś, co wyglądało jak kłoda drewna. Upadła, rozsypując brudne obrusy i cuchnące prześcieradła. Odgarnąwszy je z twarzy, uniosła się na czworaki. Ogromny mężczyzna wyplątał nogi z brudnej bielizny i wyczołgał się spod swego wozu.

- Och, Gottlieb - wydyszała - przepraszam.

Gottlieb Vogler wstał i podał jej rękę, by się podniosła. Był mężczyzną jeszcze większym niż Jacob Blum, o dłoniach jak bochny chleba. Powitał ją radośnie.

- Alice będzie uradowana, gdy cię zobaczy - zapewnił serdecznie.

- Przyjechała z tobą? - Retha się rozejrzała, ale nigdzie nie dostrzegła czarnych, gładkich włosów przyjaciółki. - Gdzie ona jest?

- Po przeciwnej stronie wozu, podawała mi narzędzia do reperacji. Po tym jak zeszłej zimy wóz zarekwirowali amerykańscy żołnierze, omal nie odpadły mu koła. Ale i tak mamy szczęście, żeśmy go odzyskali.

Retha obesza wóz i odnalazła swoją jedyną na całym świecie przyjaciółkę z plemienia Czirokezów, stojącą obok ciężkiej skrzynki z narzędziami. Jej indiańska twarz była piękna, pomimo dziobów, pozostawionych przez ospę. Alice pozdrowiła ją łamaną niemczyzną, której nauczyła się z takim trudem. Kiedy Retha wspomniała jej o wilczku, przeszły na język Czirokezów, ostrożnie ścisząc głosy, by nie ściągnąć na siebie zainteresowania otaczających je ludzi.

- Kości szpikowe? - roześmiała się Alice. - Oczywiście, że będziesz je miała. Dla wilka.

Retha usłyszała w jej tonie nutę aprobaty. Alice także ratowałaby bez wahania to szlachetne zwierzę. Przyjaciółka

pobiegła wzdłuż wozu i pomogła Recie odstawić kosz z brudną bielizną. Retha pomyślała, że wykazuje wiele odwagi, przyjeżdżając tu z mężem i narażając się na spotkanie z tłumem białych ludzi, którzy nienawidzili Indian. Ludność miejscowa i żołnierze amerykańscy wybili jej szczep w pień owej straszliwej wiosny, siedem lat temu. Alice uratowała się tylko dlatego, że żołnierze przestraszyli się czarnej ospy.

Retha mówiła, a Alice słuchała jej, zawijając w poszewki dwie kości szpikowe i wsuwając je pomiędzy brudne prześcieradła. Wyjaśnienie, dlaczego niezamężne siostry skierowały ją do *Gemein Haus*, zajęło Recie dłuższą chwilę. Miała właśnie opowiedzieć przyjaciółce o zdumiewających oświadczeniach Jacoba Bluma, gdy panujący na placu targowym gwar nagle ucichł.

- Brytyjczycy! - zawołał jakiś głos.

Retha usłyszała stukot zbliżających się drogą końskich kopyt.

- Wojska amerykańskie! - krzyknął ktoś inny.

Kiedy opadł tuman wzbitego pyłu, okazało się, że nikt nie miał racji. Pięciu miejscowych milicjantów ubranych w brudne, zdekompletowane mundury oraz koźle skóry wstrzymało rozpedzone konie i truchtem wjechało na zapyloną ulicę. Retha skamieniała. Niesforni, niezdiscyplinowani przedstawiciele miejscowej milicji, zwani Liberty Men, z jednaką pasją przesładowali torysów, żołnierzy brytyjskich oraz Czirokezów w imię tak zwanego poparcia dla wysiłków armii amerykańskiej.

Alice ukryła się pod wozem.

- Myślałam, że ostatnio dali jej spokój - wymamrotała Retha do stojącego w gotowości Gottlieba.

- Teraz wymyślili sobie, że jest szpiegiem - odparł cicho.

- Szpiegiem? Czym?

Gottlieb z niesmakiem pokręcił głową, ale nic nie odpowiedział.

Retha zaczynała pojmować. Po rzezi, jaką zgotowali Indianom żołnierze amerykańscy, Czirokezi stali się sojusznikami Brytyjczyków.

- Alice miałyby szpiegować dla wojsk brytyjskich? Ale

przecież ty należysz do braci morawskich. Jesteś neutralny. Wszyscy jesteśmy neutralni.

- Już nie, siostró Retho. - Usłyszała żal w jego tonie, tęsknotę za wiarą, którą nadal wyznawał. - Postąpiłem wbrew wyrokowi losu i ożeniłem się z kobietą innej wiary. Może byłaś zbyt młoda, by zauważyć, jaki wywołałem skandal.

Retha rozłożyła ręce gestem współczucia i rzekła z uśmiechem:

- O, nie. Twoje pełne romantyzmu poświęcenie stało się przedmiotem niekończących się rozmów niezamężnych sióstr.

Ogromny mężczyzna zaczerwienił się.

- Ale co możemy teraz zrobić dla Alice?

- Niech się ukryje. Najlepiej będzie, jeśli jej nie zauważą. Dopóki nie stwierdzą, o co chodzi. - Zaciśnął wielkie dłonie, a jego łagodne oczy załśniły na widok niewielkiej grupy, która zbliżała się do targowiska.

Retha drgnęła.

Wraz z Liberty Men nadjeżdżał Jacob Blum. Rudowłosy kapitan zsunął się z konia i szczerliwie wydał rozkazy swoim ludziom. Jacob zeskoczył ze swojej spracowanej szkapki i stanął naprzeciw kapitanowi. Ten powiedział coś, wymachując dłonią, a następnie podszedł do łaciej krowy.

Kapitan zaczął się targować z ubogim osadnikiem i jego żoną. Retha wsparła się na silnym ramieniu przyjaciela, słuchając, jak wymizerowana kobieta stara się uzyskać godziwą cenę.

Jacob stanowczo wziął stronę kobiety.

Retha patrzyła jak urzeczona. Neutralni, myślała bez przekonania. Jacob powinien zachować neutralność.

Tymczasem sprawiał wrażenie wojowniczego. Retha przyjrzała się obiektowi jego gniewu. Nie mogła dostrzec twarzy kapitana, ale pod zniszczonym trójgraniastym kapeluszem załśniły rade włosy. Przebiegła ją dreszcz. Nienawidziła rudowłosych mężczyzn.

Jacob zerwał z głowy kapelusz i otrzepał pył z bryczesów. Sim Scaife zepsuł mu humor. Jak zwykle. Napastliwy, arogancki Liberty Man przesładował Jacoba od wielu lat, przekonany, że

każdy brat morawski, który mówi po angielsku, musi być brytyjskim szpiegiem.

- Nie targuj się z kobietą, Baker! - zawołał Scaife do sierżanta, który wraz z nim poszedł kupić łąciatą krowę.

Słyszając słabe protesty kobiety, Jacob przebił się przez tłum w kierunku przedmiotu zwady. Nagle przystanął zaskoczony. Jego uwagę przykuły złocistorude włosy. Na zatłoczonym placu, pośród przekupni, stała jego przyszła żona. Z Gottliebem Voglerem. Tylko tego było mu trzeba! Wystarczyło, że wyjechał na jeden dzień, a ona znów się skompromitowała. Ale przecież nie mógł jej trzymać pod kloszem.

- Możemy po prostu zabrać tę przeklętą krowę - zagroził Scaife.

Rozgniewany Jacob starał się opanować. Teraz nie powinien sobie zawracać głowy Rethą. Nie wtedy, gdy musi się zająć Scaife'em.

Odsłaniając w uśmiechu pożółkłe zęby, Scaife sięgnął do raportówki, wyciągnął garść amerykańskich banknotów i podetknął je pod nos biednego osadnika.

- Ale mamy pieniądze.

- Te papiery nie są warte złamanego szeląga - parsknął farmer. - Przyszedłem tu prowadzić handel wymienny.

Jacob stanął pomiędzy kapitanem a sierżantem. Farmer miał rację. Papierowe pieniądze były bezwartościowe, z dnia na dzień setka banknotów była warta tyle co poprzednio jeden.

- Miasto wymieni ją z tobą na sól, Finney - powiedział w swojej oficjalnej angielszczyźnie. Większość braci morawskich nie rozumiałaby ani jednego słowa.

Kobieta gwałtownie potrząsnęła głową.

- Potrzebujemy pszenicy - powiedziała.

- Mamy tylko sól - ciągnął Jacob - chyba że weźmiecie coś z magazynu. - Wiedział, że kobieta potrzebuje podstawowych artykułów. Lato było suche i upalne. Pszenica ucierpiała, żyto także nie wyglądało najlepiej.

Kobieta pokręciła głową.

Scaife wykrzywił wąskie wargi w kpiącym uśmiechu.

- Nie masz nic do zaoferowania, kobieto. Ale my chętnie weźmiemy to z twoich rąk za darmo.

Jacob zwrócił się ku niemu, zdając sobie sprawę, że tłum wokół nich się rozstał.

- Możecie mieć to, po coście tu przybyli. Darmowe wyżywienie i pokoje w tawernie. Pozwólcie kobiecie wymienić krowę. - I potem zwrócił się do farmerki. - Nie możemy wymienić jej na pszenicę, paru' Finney.

- Nie mamy w ogóle... - zaczęła.

- My także nie mamy pszenicy ani na sprzedaż, ani na wymianę - wyjaśnił. - Armia ją zarekwirowała. Wkrótce przyślą wozy, aby ją stąd wywieźć.

- Tak powiadasz! - ryknął Scaife prosto w twarz Jacoba.

- Pokażę ci dokumenty - odparł Jacob gniewnie. Ludzie Scaife'a usiłovali się przedrzeć przez krąg mieszczan i osadników, ale kapitan powstrzymał ich ruchem ręki.

Jacob sposobił się na najgorsze. Popędliwy Scaife był nieprzewidywalny. Tego ranka, przykładając Jacobowi pistolet do głowy, odczytał mu dokument, mówiący, że amerykańska armia rekwiruje ziarno, ale nadal uważał go za szpiega. Następnie nakazał, by Jacob przetłumaczył mu swoje niemieckie dokumenty, protokoły zebrań kościelnych, dotyczących osadnictwa w Bethabarze, żądając najdrobniejszych szczegółów.

- Nie jestem głupcem, Blum. - Twarz mężczyzny poczerwieniała, upodobniając się do jego marchewkowych włosów. - Wasz oberżysta pozwolił brytyjskiemu porucznikowi zatrzymać się w tawernie na pięć dni, a w dniu, w którym odjechał na wschód, złapaliśmy ciebie, kierującego się na południe z pakietem zalakowanych dokumentów.

- Przetłumaczyłem ci je.

- Są napisane po niemiecku.

- Wszystkie papiery, dotyczące kościoła, są spisane w języku niemieckim.

- Mogą oznaczać wszystko. Ja mogę nie znać niemieckiego, ale niektórzy Anglicy go znają. - Splunął na ziemię. - Wszyscy wiedzą, że jesteście bandą torysów.



Jacob tylko wzruszył ramionami. Wigowie sądzili, że bracia morawscy są tory sami, a torysi uważali ich za wigów. A przecież nie byli ani jednymi, ani drugimi. Kiedy u władzy byli Brytyjczycy, bracia morawscy płacili im właściwe należności. Teraz, gdy kolonie uzyskały niepodległość, bracia morawscy płacą nowemu rządowi. Potrójne podatki, aby nie powoływano ich do wojska stanowego. Ale i tak niektórzy z nich zostali powołani.

Niektórzy nawet walczyli. Jacob także miał na to ochotę. Częściowo dlatego, że uważał, iż lepiej wywiązywałby się z zadania niż Sim Scaife i brutalna wojna prędzej by się skończyła. Ale bardziej dlatego, że pokochał wolność, obiecaną temu krajowi.

Krew w nim kipiała, tak rwał się do walki o tę wolność. Nicholas był taki sam jak on. Poczł przypływ poczucia winy. A jeśli to jego tajemne zamiłowanie do walki w jakiś sposób uwarunkowało nieokiełznaną naturę starszego syna?

A zresztą, przypomniał sobie Jacob, nie było w ogóle mowy, by miał nosić broń. Poczucie obowiązku, honor i wiara nakazywały mu trwać w swojej społeczności. Najlepsze, co mógł uczynić, to nie pozwolić, by ludzie w rodzaju Scaife'a ją zniszczyli.

A Scaife będzie tego próbował. Jacob pragnął, by kapitan zaprzestał dręczenia biednych osadników. Surowe warunki życia nie oszczędzały ich. Wojna jeszcze to wzmacniała.

- Kupię krowę Finneya, Scaife - powiedział.

- A ja zabraniam - odparł Scaife, gotując się do walki. Jego trzech ludzie czekali w pobliżu.

Jacob szacował przeciwnika. Liberty Man był od niego lżejszy o dobre trzy kamienie \*, ale podłość kapitana mogła przeważać szalę na jego stronę. Scaife zdjął z ramienia muszkiet i wykonał ruch, jakby chciał go oddać sierżantowi. Zamiast tego rzucił broń w powietrze, chwycił za kolbę i zatoczył łuk muszkietem nisko nad ziemią, jak kosą.

Jacob spostrzegł to w porę i przydepnął broń. Z rykiem rzucił

\* Kamień - miara ciężaru osób = 14 funtów = 6,348 kg.

się na kapitana i przewrócił go na ziemię, padając na niego. Scaife uniósł kościstą dłoń i wpił brudne paznokcie w szyję Jacoba. Jacob wykręcił mu rękę i unieruchomił na ziemi ponad jego głowę.

- Walka byłaby nierówna, kapitanie. - Poruszył się, pozwalając, by leżący pod nim chudzielec poczuł jego ciężar. Krąg wokół nich się zacieśnił. Bracia morawscy odcięli ludzi Scaife'a, nie pozwalając, by przyszli mu z pomocą.

Scaife spojrział zmrużonymi oczyma na napierający tłum, jakby go spostrzegł dopiero teraz. Jacob wiedział, kogo zobaczy oprócz mieszczan. Kilku farmerów i traperów, którym zależało na wymianie z miastem. Paru podejrzanych lojalistów, którzy przybyli na targ wiedzeni potrzebą. Niezależnie od tego, czy byli wigami czy torysami, unikali walki po którejkolwiek stronie. Nikt się nie będzie narażał dla Sima Scaife'a.

- Taaa. Masz sojuszników - powiedział na tyle głośno, by sprowokować otaczający ich tłum.

- Swoje potyczki toczę sam. A ty oszczędź siły na Brytyjczyków.

- Udzielacie im gościny.

- Dostali pokoje. A twoja armia weźmie naszą całą pszenicę.

- Dajcie im konie.

- Zabrali nasze konie. Zabierają je wszystkim. - Jacob ściszył głos, zastanawiając się, co ma powiedzieć Scaife'owi, by go przekonać, że Salem naprawdę jest neutralne. - Ale nie znaleźli najlepszych.

Scaife roześmiał się szczekliwie.

- W takim razie ja je znajdę - powiedział, jakby się nie spodziewał, że neutralni bracia morawscy byli tak sprytni, by ukryć konie. Skrzywił się pod naciskiem ciężaru Jacoba. - Rezygnuję.

- Z czego? - Jacob zamrugał oczami, nie rozumiejąc.

- Wycofuj się! - niecierpliwie parsknął Scaife.

- Co to znaczy?

- Ustępuję, człowieku. Ustępuję ci, Blum. Rób, co chcesz. Tylko mnie puść. Daj mi wstać.

Kręcąc głową, Jacob puścił ręce kapitana i podniósł się. Mieszczanie zaczęli się rozchodzić, ale Jacob przyglądał im się uważnie. Scaife wzruszył ramionami pod przepoconym ubraniem ze skóry, odebrał muszkiet od sierżanta i spojrział w górę.

- Niech no cię tylko przyłapię na szpiegowaniu...

- Nie jesteśmy wrogami - powiedział Jacob cicho. - Idźcie, brat Meyer poda wam kolację.

Scaife zebrał swoich ludzi, którzy ruszyli za nim ulicą, prowadząc wychudzone konie. Odetchnąwszy gniewnie, ale z ulgą, Jacob patrzył na tłoczących się na placu ludzi. Pełen niesmaku myśliwy pakował futra i skóry, szykując się do odejścia. Farmer rozkładał mięso i warzywa, które uprzednio spiesznie pochował, w obawie o zniszczenie. Jeśli tego lata ktoś wystawiał na sprzedaż własne zapasy, oznaczało to, że się znalazł w rozpaczliwym położeniu.

Wszystko się dobrze skończyło, pomyślał Jacob. Rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu Rethy.

Stała otoczona ramionami Gottlieba Voglera.

Na co jeszcze odważy się ta kobieta? - zastanawiał się gniewnie. Poczuł, że rozpiera go dziwne, nieznanne uczucie.

Ona była jego. Jego. Zacisnął szczęki. Nie może być za zdrosny. Nie o Gottlieba Voglera.

Powinna podejść do Jacoba. Zbliżając się do nich, spostrzegł, że jej pobladała twarz jest wilgotna od łez.

- Jesteś ranna? - wydyszał, zbyt zdenerwowany, by spytać o to, czego rzeczywiście musiał się dowiedzieć.

Jesteś bezpieczna? Jesteś moja?

Niezręcznie wyswabdzając się z ramion Gottlieba, podniosła wzrok na Jacoba. Następnie jej oczy z niepokojem powędrowały po brudnym froncie jego koszuli i niżej na pokryte pyłem bryczesy. Znicierpliwiony, wzburzony, poddał się jej inspekcji, a potem lekko uniósł dłonią jej podbródek.

- Kto cię skrzywdził?

Odwrociła wzrok.

- Nikt. Nic się nie stało.

# 3

Rozumiesz, o co cię pytam? - Retha czuła bliskość masywnego ciała Jacoba Bluma, jego przyspieszony po bijatyce oddech. - Nic ci nie jest?

Tak. Nie. Pokręciła głową. Nic jej nie było. Chciała, aby sobie poszedł. Gdyby nie podszedł z chmurną miną, opanowała by drżenie. Nie przejmowała by się tym, że na widok szarpaniny Jacoba z rudowłosym kapitanem ścisnęło jej się gardło.

Kimkolwiek był ten mężczyzna, był niegodziwy. Wiedziała o tym, nie zdając sobie sprawy, po czym to poznała. Kiedy podniósł rękę, gwałtownie gestykulując, a potem zamachnął się muskietem na brata Bluma, padła w ramiona Voglera, przerażona, jakby kapitan wygrażał jej samej.

Jacob opiekuńczo ujął jej łokieć, tak samo jak owego dnia, gdy bronił jej przed żołnierzami, i wyprowadził z tłumu na szeleszczącą, suchą trawę.

- Odpowiesz mi wreszcie? Stało ci się coś? - powtórzył ochryplym głosem. Mimo że w jego tonie pobrzmiwała irytacja, wypowiedziane po niemiecku słowa wydały jej się jedwabście melodyjne.

- Nie, nic mi się nie stało. - Pokręciła głową, zamykając oczy, bo zalała ją fala dziwnej czułości. Mężczyzna, który chciał ją poślubić, był już bezpieczny i ścisnął jej łokieć. W chwili gdy spostrzegła go wjeżdżającego do miasta, wysokiego, krzepkiego i władcze go, postanowiła przyjąć jego oświad-

czyni. Jednak gdy zaczęła się kłótnia, ogarnął ją strach, który jej nie opuszczał, dopóki Jacob nie powalił przeciwnika. Czuła się tak, jakby walczył dla niej, jakby nagrodą za zwycięstwo miało być jej serce. Umarłaby, gdyby został ranny.

- Spójrz na mnie, siostró Retho. - Jego głos brzmiał łagodnie, ale otworzywszy oczy, ujrzała jego chmurne spojrzenie. - Coś ci dolega.

- Ja... - Cóż mogła mu powiedzieć? Że na widok rudowłosego mężczyzny poczuła trwogę? Że z niepokoju o Jacoba omal nie pękło jej serce? - Bijatyki wyprowadzają mnie z równowagi.

- Hmmm - mruknął. Nie sprawiał wrażenia przekonanego. - Bijatyki wyprowadzają z równowagi wielu ludzi, ale nikt poza tobą nie płacze.

Dotknęła swego policzka i stwierdziła, że jest wilgotny.

- To tylko pot, bracie Blum. Wszystkiemu winny ten upał.

Pochylił się, by obejrzeć jej twarz. Zachłannie, jakby miał do niej prawo. Pachniał pyłem i koniem, i męskim odzieniem. Retha poczuła, że się rumieni.

- Twoje rzęsy nie zwilgotniały od upału - stwierdził stanowczo, powiodłszy palcem po jej policzku poniżej oka. Czując jego delikatny dotyk, wstrzymała oddech. - Umiem rozpoznać zapłakaną twarz. Mam w tym wielkie doświadczenie.

- Może i masz - odparła, przypominając sobie o jego sprawiającej kłopoty córeczce. - Ale ja nigdy nie płaczę.

- Anna Johanna mówi to samo - odparł z krzywym uśmiechem.

- Nigdy - powtórzyła, czując napływające do oczu łzy. Łzy to tylko łzy, pomyślała, ścierając dowody skrajem fartucha. Nie ma mowy o płaczu, dopóki człowiek nie szlocha.

- W takim razie - powiedział, nabierając pewności siebie - powiedz mi, co robiłaś w ramionach Gottlieba Voglera.

- Wszystkiemu winna ta bijatyka - odparła, wypuszczając z dłoni brzeżek fartucha.

Śledził wzrokiem jej gesty. Jego ton niebezpiecznie złagodniał.

- W jego ramionach - powtórzył powoli.

- Voglerowie bronili mnie. - Przemysłnie wspomniała o obydwójgu małżonkach, nie o Gottlieb. W rzeczywistości, nie dbając o niewłaściwość swego postępowania, sama rzuciła się w ramiona przyjaciela, przerażona walką Jacoba z rudowłosym kapitanem.

Jacob uniósł brew.

- Alice i Gottlieb są moimi przyjaciółmi - wyjaśniła.

- Przyjaciółmi. - Jacob zmrużył oczy. - Co mam sobie myśleć, co ma sobie myśleć całe nasze miasto, widząc cię w ramionach tego mężczyzny?

Nie podobał jej się jego władczy ton i omal mu tego nie powiedziała.

- Nic sobie nie musisz myśleć. Po prostu byłam przerażona.

- Mężczyzny, który bez żalu, z własnego wyboru, odłączył się od naszej społeczności.

- Z żalem - sprostowała impulsywnie, a potem ugryzła się w język. Jacob Blum nie będzie zadowolony, słysząc, że Voglerowie zwierniają jej się z takich intymnych spraw.

- Skąd miałbym wiedzieć, że żałował swojej decyzji? - Ujął jej ramię i odprowadził dalej od tłumu. Zatrzymał się pośrodku placu. - Powiedz mi prawdę, siostrze Retho.

Prawdopodobnie tak samo wydawał polecenia swoim dzieciom, tylko najwyraźniej bez powodzenia.

- Prawdę? Voglerowie są moimi przyjaciółmi. Potrzebuję ich, wspierają mnie. Zresztą, to nie twoja sprawa.

- Może i nie - powiedział beznamiętnie. - Jeszcze nie. - Ale mięśnie jego zuchwy poruszały się z gniewu.

- Nie twoja sprawa.

Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Przystąpił z nogi na nogę.

- Siostra Krauze z pewnością już z tobą rozmawiała. - W jego głosie zabrzmiała rozpacz.

Nagle pojęła wszystko, jego dotyk, jego troskę, jego gniew, wszystkie jego słowa. Traktował ją jak swoją narzeczoną, zanim jeszcze się jej oświadczył.

Serce Rethy zabiło mocniej. Była całkowicie pewna, że brat

Ernst nie oświadczył się siostrze Evie w taki nieudolny, pozbawiony wszelkich uczuć, sposób.

- Ach, twoje oświadczyły. Teraz nie czas na to i nie miejsce. Na jego twarzy pojawił się żalony wyraz.

- W końcu dostałem na nie zgodę. A więc ci powiedziała.

- Owszem. - I nie było to przyjemne. Retha spojrzała na niego z całą szczerością, na jaką mogła się zdobyć. - Siostra Rosina powiedziała mi, abym się dobrze zastanowiła, zanim wejdę do domu twojego i twoich dzieci.

Wypuścił jej ramię i odszedł, a potem, zatoczywszy krąg, znów do niej powrócił. Górował nad nią. Był taki wielki, szorstki, rozgniewany, a jednocześnie, o czym świadczył rumieniec na jego twarzy, taki zakłopotany.

- Tak się wyraziła? - Zatoczył nieco większy okrąg i znów do niej podszedł. - W takim razie nie mam wiele do powiedzenia - dodał ponuro.

Nie wiedziała, co Jacob ma na myśli.

Owszem, wiedziała. Ma zamiar ją odtrącić. Zmarnowała szanse na posiadanie własnego domu.

Ale on przeczesał dłonią jasne włosy i potarł kark.

- Hm... Siostrzo Retho. - Teraz wydawał jej się mniej rozgniewany, bardziej niezręczny i chłopięcy. Retha poczuła dziwną, nieznaną dotychczas pustkę w brzuchu. - Moje oświadczyły... nie tak je sobie planowałem.

Wykonał zakłopotany gest w jej kierunku.

- Przejdźmy się. Z dala od tego gwaru.

Powiódł ją na przeciwległą stronę placu i oparł się o ogrodzenie, splatając potężne ramiona na piersi.

- Pozwól, że powiem ci, co myślę. Znam Gottlieba Voglera. W handlu można na nim bezwzględnie polegać. Byłem jednak członkiem starszyny, kiedyśmy go wykluczyli ze społeczności. Zlekceważył wyrok losu. Przedłożył coś, co nazwał miłością do Indianki z plemienia Czirokezów, ponad jednoznaczną wskazówkę, by jej nie poślubić. I ani razu nie spojrzał za siebie.

Retha pomyślała, że jego słowa wyrażają żal, spowodowany tym, że odegrał pewną rolę w wykluczeniu Voglera. Wiedziała

jednak, że Jacob nie ogarnia całości sprawy. Ona poświęciłaby życie za uczucie tak silne i szczere, jakie łączyło Gottlieba i Alice.

- On ją kocha - powiedziała.

- Możliwe. Jednakże, ponieważ nie jest już jednym z nas, nie godzi się, by niezamężna siostra utrzymywała z nim znajomość. Z nimi obojgiem. Nawet jeżeli są twoimi przyjaciółmi.

Jego ton złagodniał i Jacob odprężył się. Powiem mu prawdę, skoro o to pyta: nie wstydę się, że ich znam, i nie mam nic do ukrycia, pomyślała Retha.

- Gottlieb Vogler uratował mnie pewnej zimy. Przy wodospadzie. Szukałam barwników i natrafiłam na ich chatę, kiedy zaczął padać deszcz. Gottlieb odprowadził mnie do domu.

Spojrzała na Jacoba i stwierdziła, że się nachmurzył, więc szybko się poprawiła.

- On i Alice odprowadzili mnie do domu, Powiedzieli, że potrzebują towarów ze sklepu Traugotta Bagge'a.

- Miałaś więc szczęście - powiedział wymijająco. - Ale utrzymywanie stosunków z Gottliebem Voglerem nie jest bezpieczne. W kraju toczy się wojna. A jego żona jest Indianką.

Tego już było za wiele. Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Jego żona także jest moją przyjaciółką. Moją jedyną przyjaciółką z plemienia Czirokezów. Ci Indianie znaleźli mnie i przygarnęli. Spędziłam wśród nich dzieciństwo. A może już o tym nie pamiętasz?

- Wszyscy o tym pamiętają, siostró Retho. Dlatego właśnie powinnaś być szczególnie ostrożna.

- Szczególnie ostrożna! W stosunku do Alice? - Zdumiona Retha omal nie zatoczyła kręgu tak, jak uprzednio uczynił to Jacob. A potem przypomniała sobie słowa Gottlieba na temat niebezpieczeństwa, grożącego przyjaciółce. - Ty także wierzysz, że ona jest szpiegiem?

Jacob skinął głową z denerwującą pewnością.

- A co ważniejsze, wierzysz w to Scaife.

- Ten człowiek? Ten rudy Liberty Man? Może powinna



szpiegować jego. To Liberty Men... miejscowi ludzie... wycieli w pień jej szczep. Gdyby nie to, że miała ostry przypadek ospy, ją także by zabili.

- Nic dziwnego, że ich szpieguje...

- Bracie Blum - przerwała mu Retha, jednocześnie broniąc siebie i swej przyjaciółki - wyobrażasz sobie, że z pełną świadomością przestawałabym z brytyjskim szpiegiem?

- Sądzę, że możesz nieświadomie przestawać z brytyjskim szpiegiem, z kimś, kogo podziwiasz z jakiegoś innego powodu.

Jego spokojny, protekcyjny ton oburzył Rethę.

- Podziwiam Czirokeżów. Uratowali mi życie.

Jacob parsknął zirytowany i wymamrotał po angielsku:

- Trzymajcie mnie, dobrzy i miłosierni ludzie, ależ to uparta kobieta!

Retha zrozumiała każde słowo.

- Być może nie zawsze wiemy, kto jest dobrym i miłosiernym człowiekiem - odparła swoją powolną, ale pozbawioną wszelkich naleciałości, angielszczyzną.

Zmarszczył brwi zdumiony, a potem rozjaśniło mu się w głowie.

- Oczywiście. Zapomniałem. Mówisz po angielsku.

- Ale teraz zdarza mi się to z rzadka.

- To jeszcze jeden powód, byś sobie starannie dobierała przyjaciół.

- Co przez to rozumiesz?

Jacob wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość.

- Siostro Mary Margaretho, czyżbyś sobie nie zdawała sprawy z toczącej się wokół nas wojny?

Retha gniewnie wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że sobie zdaję sprawę z...

- Z tego, że każda strona podejrzewa nas o szpiegowanie na korzyść przeciwnika? Scaife mnie prześladowa, ponieważ ja, Niemiec, umiem mówić po angielsku. Jest przekonany, że jestem brytyjską wtyczką w naszym mieście. A teraz okazuje się, że ty także mówisz po angielsku. Przypuśćmy, że spotkałby cię za miastem, w towarzystwie twojej przyjaciółki.

- Nie pozwoliłabym się schwytać żadnemu mężczyźnie - rzekła Retha, obejmując się ramionami, aby ukryć dreszcz, który ją przebiegł na samą myśl o takiej możliwości. Nikt, ale to nikt nie zdoła jej wytropić pośród lasów. Śpiewające Kamienie nauczyła ją, jak przyginać gałązki w taki sposób, aby nie trzeszczały, jak zacierać ślady, wybierając drogę poprzez strumienie, jak ostrożnie stapać po roślinach, które stanowią podszycie lasu.

- Posłuchaj mnie. Jeżeli cię złapie, będziesz się musiała wytłumaczyć po angielsku. Nie ma innego sposobu, byś się wybroniła. Wystarczy jedno poprawnie wypowiedziane zdanie, a znajdziesz się w garnizonie, zanim zdążysz mrugnąć okiem.

- Nigdy mnie nie złapie - obstawała przy swoim Retha.

Jacob zlekceważył jej słowa.

- Chcę, abyś się trzymała z dala od Alice Vogler.

Retha skinęła głową, nie mogąc złożyć takiej obietnicy i wmawiając sobie, że skinienie głową nie jest kłamstwem. Nieczęsto widywała swoją przyjaciółkę.

- I nie mów po angielsku. Słyszac, że siostra morawska posługuje się tym językiem, uznają cię za szpiega tak samo jak mnie.

Miał rację. Nawet bracia morawscy podejrzewali, że jest szpiegiem. I tak już pozostanie. Bezradna, oparła się o ogrodzenie. Małe drzewko lipowe osłaniało ich przed tłumem na targowisku. Jacob pochylił się nad nią. Retha spoglądała na niego niepewnie, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

- Wszystko się teraz między nami popsuło, prawda? - mruknęła w końcu. Miała zamiar przyjąć jego oświadczenia. Teraz jej odmiennosc odstreczy go od niej.

- Mam nadzieję, że nie. Chcę tylko, abyś bezpiecznie dotrwała do chwili, gdy znajdziesz się pod moją opieką.

Ujął jej drobne ręce w swoje ogromne dłonie, jakby już przejął nad nią opiekę.

- Jestem posłuszny losowi - ciągnął Jacob - a wylosowaliśmy pozwolenie. Nie mogę postąpić inaczej. Ani nie chcę. Potrzebujemy ciebie. Wszyscy.

Potrzebował jej dla swoich dzieci. Krótkotrwałe odczucie

przynależności zniknęło. Jej twarz zapłonęła z upokorzenia. Szlachetny, uczciwy, przystojny Jacob Blum potrzebował jej, by wychowywała jego dzieci, do niczego więcej. Pomyślała o nieukrywanym zachwycie, jaki brat Ernst okazywał swojej młodej żonie, i o głębokim, niezmiennym uczuciu, jakim Gottlieb Vogler obdarzał swoją wybraną.

Najwyraźniej jej udziałem nie stanie się ani jedno, ani drugie. Poślubienie całej rodziny Jacoba Bluma stanowiło wysoką cenę za ucieczkę przed życiem niezamężnych siostr i za zdobycie własnego domu. Dla niej ów dom będzie pozbawiony czułej miłości, której tak zazdrościła swoim obydwojm przyjaciółkom.

- Siostró Retho. - Dłonie Jacoba grzały jej ręce. - Mój dom będzie twoim. Naszym domem. Nie ma wyższego powołania niż stanie się zamężną siostrą.

Nie potrafiła się zmusić, by na niego spojrzeć. Patrzyła poprzez plac na jego schludny, obłożony murem pruskim dom. Dom, którego zawsze pragnęła. A potem skierowała wzrok dalej, poza plac, poza wózki i wozy, poza kłębiących się na targowisku ludzi, ku jej łące. Znała każdą jej skałę, kamień, drzewo i każdy zakręt strumienia, za dnia i w nocy, w upale i podczas mrozu. Łąka wzywała ją, a poza nią rozciągał się las, nęciły wolność i dzikie ostępy, przemawiając do tej części jej serca, która na zawsze pozostanie indiańska.

Kiedy przeniosła wzrok na Jacoba, jego fiołkowe oczy spoglądały niepewnie.

- Cóż jeszcze mogę ci oferować? - zapytał.

Miłość, pomyślała.

- Twoja propozycja jest dobra - odparła, a jej serce zabiło boleśnie w oczekiwaniu nieuniknionego. Małżeństwo poprzez ciągnięcie losów. Pan młody wysunął propozycję. Starszyna zaakceptowała. Los dał pozwolenie, usankcjonował wybór. Teraz Jacob będzie przynajmniej zobowiązany do posłuszeństwa wobec losu. Kto inny mógłby się o nią oświadczyć w sposób, w jaki Samuel oświadczył się Evie, a Gottlieb zrezygnował ze swego świata dla Alice? I kimże była ona sama, znajda, aby mieć nadzieję na miłość? - A więc, tak, bracie Blum. Wyjdę za ciebie.

- Jacob. Chcę, abyś zwracała się do mnie Jacob - powiedział z uśmiechem i ucisnął jej dłoń.

- Będę ci dobrym mężem - dodał.

Bo mnie potrzebuje, przypomniała sobie. Ale przecież słyszała o nim same dobre rzeczy. W jego tonie brzmiała taka pełna skromności duma, a nawet błaganie, że miała ochotę go dotknąć. Stłumiła tę chęć. Przyszło jej do głowy, że potrzeba jest rodzajem pragnienia. Zastanawiała się, czy może się zmienić w miłość.

Jacob odprowadził swoją szkapę do dużej stajni miejskiej. Serce łomotało mu w piersi. Nie z powodu odbytej walki. Nie przejmował się, co sobie pomyślą bracia Samuel Ernst i Frederick Marshall, którzy widzieli całe zajście. Strażnik aprobował je, członek starszyny - nie. Jacob nie dbał o ich zdanie. Jak zwykle, postąpił tak, aby było jak najlepiej dla miasta. Nie, niepokoiło go coś innego.

Spartaczył sprawę z siostrą Rethą. Rosina Krause, oczywiście, wcale mu nie pomogła, przedstawiając jego oświadczyzny w tak prostacki sposób. W nagłym przypływie gniewu zacisnął szczęki. Wobec śmierci żony i toczącej się wojny nie miał wpływu na tok własnego życia.

Scaife wyprowadził go z równowagi. Być może, gdyby walka nie rozpałała krwi Jacoba radością działania, zachowałby rozsądek i oświadczył się, jak przystało mężczyźnie. Retha przyjęła jego propozycję z rezygnacją, co go ubodło do żywego.

Wszedłszy do stajni, otarł oczy. W porównaniu z panującym na zewnątrz upałem w stajni było chłodno. Z przyjemnością zagłębił się w mrocznych czeluściach. Retha była piękna, tak, ale jego pociągała nie tylko jej uroda. Podobał mu się sposób, w jaki stawiała mu czoło.

Uśmiechnął się na wspomnienie o niezachwianej, choć źle pojętej lojalności w stosunku do Voglerów. Prawdę powiedziawszy, podziwiał Rethę. I musiał przyznać, że jej lojalność nie była całkowicie chybiona. Gdy Vogler przeciwstawił się spo-

łeczności, by poślubić kobietę, którą kochał, utracił wszystko z wyjątkiem wybranki. Jacob kochał swoją żonę w spokojniejszy, łatwiejszy sposób. Jakaś jego cząstka zazdrościła Voglerowi takiej namiętności, choć od Rethy wymagał, aby się trzymała z dala od Gottlieba i jego indiańskiej żony.

Pomimo zaborczości, która sprawiła, że Jacob cały zeszywniał, widząc swoją przyszłą żonę w ramionach innego mężczyzny, wierzył, że Retha jest niewinna. Jej drzenie i zalana łzami twarz przekonały go, że przestraszyła się na widok bijatyki Samej bijatyki lub czegoś, co się z nią wiązało.

Wiele by dał, aby zrozumieć co. Nie potrafił się otrząsnąć z dokuczliwego wrażenia, że Retha miała jakieś tajemnice.

Bo wszystko wskazywało, że je ma. I owe nieznanne mu tajemnice, a także fakt, że dziewczynie grozi niebezpieczeństwo z powodu znajomości angielskiego, sprawiły mu przykrość.

Zdjął siodło z grzbietu konia, który gwałtownie się otrząsnął. Jacob pomyślał, że Gottlieb jest równie szczęśliwy z Alice, jak on sam był z Christiną. Poczul przypływ nagłego smutku. Co by sobie pomyślała jego uwielbiana małżonka, matka jego dzieci? Czy chciałyby, aby Retha była tylko dobrą opiekunką dla jej dzieci? Czy może pragnęłyby szczęścia dla Jacoba, uczucia, jakiego zaznał od niej? Przed oczami Jacoba pojawiła się jej spokojna, uśmiechnięta twarz. I szybko zniknęła. Nie wiedział, co oznaczał ten uśmiech - aprobatę czy potępienie?

Westchnął ciężko. Niewielu ludzi znajdowało w małżeństwie prawdziwe uczucie. Niezależnie od tego, czy dobierali się zgodnie z wyrokiem losu, czy też na skutek przypadku, który przypisywali miłości. Miał szczęście, że w przypadku jego małżeństwa z Christiną okoliczności, sąsiedztwo i wspólnie spędzone dzieciństwo połączyły dwoje podobnie myślących ludzi. Teraz także żywił nadzieję, że po raz drugi uda mu się stworzyć udany związek.

Gdybyż tylko potrafił odpowiedzieć na zaprzatające go pytanie. Oddał swego konia w ręce niewolnika i zebrał siły na konfrontację z niezamężnymi siostrami, od których miał zamiar wyciągnąć prawdę na temat jednej z nich.

Co jest nie w porządku z siostrą Rethą? Dlaczego nigdy nie proponowałyście jej kandydatury? — wypytywał niecierpliwie Rosinę Krause, kiedy, po upływie godziny, znalazł się w jej gabinecie w *Gemein Haus*. Na ścianach wisiały skórzane wiadra, niezbędne strażakom do gaszenia pożaru. Jacob zasiadł pod nimi, rozpłomieniony gniewem.

Siostra Krause zawahała się chwilę.

- Wszystko jest w porządku. Nie ma nic, co by jej nie pozwoliło zostać odpowiednią...

- Więc dlaczego nie zarekomendowałyście jej na samym początku? Powiedziałyście, że nie ma nikogo odpowiedniego - rzekł oskarżycielskim tonem.

Siostra Krause odpowiedziała mu pytaniem:

- Czy to z twojego powodu znalazła się ona nocą na łące?

- Oczywiście, że nie - odparł obruszony. Czyżby zapomniała, że jest członkiem starszyny? Ale mimo oburzenia rozumiał, dlaczego zadała mu to pytanie. Co by było, gdyby miał umówione spotkanie z Rethą? Niedozwolone schadzki nie należały do rzadkości u zalotników i bracia morawscy tolerowali ludzkie namiętności. Gdyby to on się z nią spotykał, siostry mogłyby ją potraktować mniej surowo i nie musiałyby zamykać jej na noc.

- Ale przecież tam byłeś - stwierdziła oschle Rosina, dając mu przedsmak tego, w jaki sposób sprawowała władzę nad gronem starszych dziewcząt i kobiet.

- Tak. Pod koniec.

Siostra *Krause* pochyliła się do przodu.

- Czy wiesz, co tam robiła?

- Teraz już wiem - powiedział ostrożnie.

Zamiast wypytywać go dalej, siostra Krause podniosła swą imponującą postać i odeszła od biurka, by wyjrzeć przez okno. Jacob podziwiał sposób, w jaki siostra manewrowała nim jak marionetką, wykorzystując go dla własnych celów. On także bywał negocjatorem.

Po dłuższej chwili z trzaskiem zamknęła okiennicę.

- W takim razie może wiesz, dlaczego siostra Retha wy-  
mykała się z domu nocami, odkąd ją do siebie przyjełyśmy.

- Co noc? - zapytał zdumiony. Nie miał o tym pojęcia.
- Nie wiemy, czy wymykała się każdej nocy.

Jej odpowiedź oznaczała przyznanie się do porażki. Jacob pojął to od razu. Siostra Krause była jedną z pierwszych kobiet, które przybyły do Salem. Cechowało ją wielkie poczucie obowiązku i odpowiedzialności. Niełatwo godziła się z niepowodzeniami.

- Samuel Ernst z pewnością by ją wytropił - stwierdził Jacob, starając się, by jego wypowiedź zabrzmiała spokojnie i logicznie, mimo że opadły go nowe, dręczące wątpliwości.

- Nie, nie udało mu się. Retha zawsze była nieuchwytna. Usiłowaliśmy zachować jej wyjścia... wyłącznie do naszej wiadomości, ale siostra Holder i ja nigdy nie byliśmy pewne...

- Siostra Holder także o tym wie? - zapytał Jacob, doskonale zdając sobie sprawę, jak rozprzestrzeniają się plotki w mieście, które nie liczy nawet dwustu mieszkańców wraz z dziećmi i niemowlętami.

- Tak, bracie Blum, siostra Holder wie. I nikt więcej, poza tobą.

Jacob westchnął. Jego rodzina nie powinna stać się przedmiotem dalszych plotek.

- To dobrze. Bardzo dobrze, jak sądzę. Ale jak siostra Retha sobie radzi?

- Jak się wymyka? Często się zastanawiam. Po prostu nie możemy pilnować jej każdej nocy. - Rosina Krause odchrząknęła nerwowo. - Jeśli zachowasz to w tajemnicy...

Jacob niechętnie skinął głową. Nie kwapił się, by poznać jeszcze jeden sekret.

- Ja śpiam tak mocno, że nawet burza nie jest mnie w stanie obudzić. A siostra Holder chrapie.

Jacob się roześmiał i nagle poczuł się w tym schludnym gabinecie trochę mniej nie na miejscu. Był niezadowolony, że nie panuje nad sytuacją, ale siostry także dalekie były od ideału. Przywołał się do porządku.

- Przepraszam, siostrze Krause.

- Och, nie ma za co. Gdyby nie to, że sytuacja jest tak poważna, ja także śmiałybym się z tego.

Sprawa istotnie była poważna. Jacob potarł kark. Jego przyszła żona miała jakiś powód, by się wymykać z domu nocami.

- Wiecie, dlaczego to robi? Domyślcie się?

Rosina Krause pokręciła głową.

- Nie mamy pojęcia, jak często, w jaki sposób ani dokąd ona chodzi.

- Myślicie, że... - przerwał. Wilczka karmiła dopiero od niedawna. A więc miała jakiś inny powód. Knowaniom ze szpiegami zaprzeczyła tak zdecydowanie, że Jacob nie mógł sobie wyobrazić, by mogła to rzeczywiście czynić. A jeśli chodzi o jakiegoś innego mężczyznę... nie, nie. Na pewno nie.

Minęła chwila, zanim się zorientował, że Rosina czeka, by mówić dalej.

- Nie może mieć...

- Nie, bracie Blum. Poza tym, że sprawiła nam zawód, nie możemy zarzucić jej nic złego. Dodam jeszcze, że gdy była mała, stwierdziłyśmy, że jest lunaticzką. Chodzi we śnie, odkąd się u nas znalazła. A owej nocy, kiedy nas napotkałeś, znalazłyśmy ją... tańczącą.

Niczym sylfida, pomyślał Jacob, ale nie powiedział tego głośno. Rosina Krause nie musi wiedzieć, że on także widział, jak Retha tańczyła.

- Myślicie, że teraz także chodzi we śnie?

- Nie - odparła siostra stanowczo. - Tamtej nocy była całkowicie przebudzona.

*Liebe Gott*, pomyślał Jacob. Jego przyszła żona od lat włóczy się po nocach. Nigdy się nie dowie, po co, kiedy i dokąd chodziła. I nawet siostry nie potrafią mu powiedzieć, jak często się wykradała. Nie wiadomo, czy będzie to robiła dalej, czy zaprzestanie.

Gdybyż tylko umiał przewidzieć, jaki wpływ na jego dzieci będą miały te jej dziwactwa. A jak wpłyną na niego?



Siostra Krause okazała mu tyle cierpliwości, że nie powinien jej nadużywać. A jednak potrzebował pociechy.

- Z pewnością macie jakiś pogląd na to, co powinienem zrobić.

- Los powiedział „tak”, bracie Jacobie. Nasza religia nakazuje, by okazywać posłuszeństwo woli Zbawiciela, którą objawia nam wyrokami losu - odrzekła z pełną prostoty wiarą.

Czasami owa wiara doprowadzała go do rozpacz.

- Lecz wiedząc to, co wiedziałaś, mogłaś zapobiec mojemu pytaniu.

- Nie, nie mogłam. To by postawiło siostrę Rethę w złym świetle, podczas gdy, z tego co wiem, nie czyni ona nic nagannego.

Jacob zaczął krążyć po ciasnym gabinecie, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi. Siostra powstrzymała go, stanowczo chwytając za rękę.

- Bracie Blum, los jest wyrazem woli Boga. Mamy na to dowody. Możesz się stać opoką jej szczęścia. A ona źródłem twojego.

Jacob przyjrzał się krągłej, uczciwej twarzy. Siostra troszczyła się o dziewczynę bardziej, niż to okazywała. On także zatroszczył się o Rethę. Jakikolwiek szaleństwo popełnił, słuchając swych spragnionych zmysłów, jego racjonalny umysł będzie musiał poradzić sobie z konsekwencjami.

Gorące popołudniowe słońce wpadało przez szybki wysokich okien do sali zebrań w *Gemein Haus*. Zgromadzony w nim tłum prawie omdlewał z upału. Oszołomiona Retha stała obok pana młodego. Wilgotne powietrze nie pozwalało swobodnie oddychać. Poluzowała tasiemkę przepasującą jej nową lnianą suknię, prezent ślubny od starszych sióstr niezamężnych. Bardzo przejęta siostra Rosina zasznurowała gorset zbyt ciasno.

Retha z trudem przełknęła ślinę. Wąziutka wstążka, mocująca czysty, wykrochmalony czepek na świeżo wymytych sypkich włosach, wpijała jej się w szyję. Wstążka wciąż była różowa. Retha nadal była niezamężna.

Jej dłonie drżały, kolana dygotały. Dzień ślubu. Wydawało jej się, że lada chwila eksploduje.

Dzieci Jacoba także sprawiały wrażenie przejętych. Brat i siostra Ernstowie, którzy mieli je u siebie zatrzymać przez kilka dni po uroczystości ślubnej, podprowadzili je w stronę Jacoba. Chudy młodszy syn przestępował z nogi na nogę, starszy chichotał. Retha z trudem dopasowała do nich imiona. Brat Samuel wyciągnął rękę i uciszył rozchichotanego chłopaka. Siostra Eva uspokoiła córkę Jacoba i nachyliła się, by coś jej powiedzieć. Retha poczuła ucisk w gardle.

Za kilka minut będzie matką całej tej gromadki.

Jacob strzelił palcami. Dzieci ucichły. Retha spojrzała na niego ukradkiem i mimo upału poczuła dreszcz. Nie miała pojęcia, co oznaczało małżeństwo.

W pomieszczeniu z pobielonymi ścianami Jacob wydał jej się jeszcze większy. Wyższy. W ciemnym odświętym surducie, zapiętym prawie po same kolana, wyglądał jeszcze bardziej władczo niż wtedy, gdy się jej oświadczył na targowisku.

Pięć dni temu. Tak dawno. A teraz brali ślub. Tak szybko.

Pochwycił jej spojrzenie i przesłał jej krótki, podnoszący na duchu uśmiech. Jak to czynił przez cały dzień, przez cały tydzień od ostatniego spotkania. Przez cały ten czas nie wiedziała, co się z nią dzieje. Wiedziała jedynie, że on czuje się w obowiązku ją poślubić, a ona zobowiązała się zostać jego żoną.

Kiedy już się zgodziła, nie wolno im było ani chwili spędzić razem.

On jednak porozumiewał się z nią, uśmiechając się do niej, gdy się mijali na placu, i spoglądając na nią, gdy wieczorami śpiewał w chórze. Gdyby jej okazywał mniej zainteresowania, nie byłaby tu teraz. Siła Jacoba, jego wola i serdeczność sprawiły, że wytrzymała w swoim postanowieniu. Przez cały tydzień zastanawiała się, czy nie uciec.

Co sobie wyobrażała, mówiąc „tak” jemu i jego dzieciom?

Prawie nie słuchała, jak brat Marshall odprawia mszę po niemiecku. Zresztą i tak nie znała tych wszystkich mądrych słów, które wypowiadał. Tęskniła za swoim dawnym, pełnym

prostoty życiem wśród Czirokezów, gdzie poważano wilki, gdzie rósł dziki indygowiec, a jelenie znaczyły swoje ścieżki, wiodące z porośniętych wysokimi trawami łąk ku chłodnym stawom. I gdzie ona wszystko tak dobrze znała.

Nie tak jak tutaj. Dom, mąż, dzieci. To nie dla niej. Obawiała się, wiedziała, że to nie dla niej.

- Tak - usłyszała słowa Jacoba, wypowiedziane miękko, lecz stanowczym barytonem. - Będę ją kochał, szanował i dbał o nią.

Następnie brat Marshall wypowiedział jej imię i Retha skupiła się na tym, co mówił. Jej przysięga brzmiała inaczej niż ta, którą złożył Jacob. Będę go kochała, szanowała i będę mu uległa, pomyślała.

Jak mogła to obiecać Jacobowi? Poczwała ukłucie niepokoju. Przecież już mu to obiecała.

- Tak - wyrzekła ochryple i pomyślała, że pięknie jej serce. Dotychczas była niemal wolna. Z trudem dostosowała się do życia wśród niezamężnych siostr, a teraz nie miała pojęcia, na czym miała polegać uległość wobec Jacoba lub kogokolwiek innego.

I co z miłością?

Poczwała gorycz w sercu. Jej pan młody nie powiedział na ten temat ani słowa.

Jacob ujął jej dłoń i trzymał, dopóki brat Marshall nie zakończył mszy. Retha nie czuła nic innego poza gorącym pulsowaniem ich dłoni.

A potem Jacob zwrócił się twarzą ku niej, jego fiołkowe oczy pociemniały i ucałował jej palce. Wydawało jej się, że zgromadzeni zaczęli szeptać z aprobatą.

Jacob przysunął się jeszcze bliżej i pochylił ku niej swoją opaloną twarz.

- *Liebling* - wyszeptał tylko dla niej i musnął jej usta wargami, w pieszczocie delikatnej jak dotyk pierwszej wiosennej paproci. Jej serce zabiło mocniej. Rwało się ku niemu. Nikt przedtem nie powiedział jej czegoś takiego ani tak jej nie pocałował. Nikt dotąd.

Dokąd ona zabiera siostrę Rethę? - rozległ się drżący głosik Anny Johann, gdy ceremonia dobiegła końca. Jej małe piąstki zacisnęły się na sznurówkach przy czarnych odświętnych bryczesach Jacoba i szarpały, przywołując go z powrotem ku obowiązkom ojcowskim.

Przed chwilą, jakieś dziesięć uderzeń serca wcześniej, kiedy Jacob wcale nie miał ochoty wypuszczać żony z objęć, siostra Ernst zaciągnęła ją do niewielkiego przedpokoju. Niezadowolony, że tak szybko traci Rethę z oczu, odprowadzał je wzrokiem.

- Tak, kluseczko - powiedział roztargniony. - Niedługo wróci.

- Czy ona teraz jest naszą nową mamusią? - spytała Anna Johanna, skręcając tasiemki.

Jacob zdał sobie sprawę, że jego mała córeczka rzeczywiście pojęła to, co jej wyjaśniał poprzedniego wieczoru. Przyjrzał się jej twarzyczce, szukając dowodów, że nadal myśli o Christinie. Miała całkowicie niewinny wyraz. Wejrzał we własne serce, wspominając obietnicę, jaką złożył Christinie, zanim umarła: jej dzieci nie zostaną pozbawione matki.

Jakiegokolwiek były jego pragnienia i nadzieje, musiał przyznać, że powtórne małżeństwo było zgodne z życzeniem pierwszej żony. Oraz z wolą Zbawiciela.

- Tak, kluseczko, Retha jest teraz twoją nową mamusią. I będzie na ciebie czekała w domu, kiedy wrócisz z wizyty u Ernstów - powiedział, modląc się, by podwójny węzeł, którym umocował bryczesy, oparł się jej zręcznym paluszkom.

- Czy to oznacza, że teraz ty jesteś naszym nowym ojcem? - spytał Nicholas z głupkowatym uśmieszkiem, nie potrafiąc ukryć zachwyty nad własnym dowcipem, uczynionym na tak poważny temat.

- Nie, nie oznacza - odparł Matthias. - Nadal jest naszym bardzo starym ojcem - wyjaśnił z precyzją naukowca i roześmiał się ku zdumieniu Jacoba, który spojrzął na swego pobożnie składającego dłonie młodszego syna i także się uśmiechnął.

- Powiniście okazywać ojcu więcej szacunku, chłopaki - zażartował brat Ernst. - Chcą, abyśmy podeszli do stołu -

powiedział, kierując się ku długiemu, wąskiemu stołowi, przy którym zazwyczaj obradowała starszyzna.

Chłopcy pospieszyli za nim. Jacob szedł, stawiając niewielkie kroki, tak aby Anna Johanna nie musiała puszczać jego kolan.

W połowie drogi zatrzymał go wciąż nieżonaty Traugott Bagge, który właśnie powrócił z Pensylwanii, i złożył mu gratulacje, żartując, że nie musiał daleko szukać sobie żony. I w dodatku trafiła mu się taka ładna. Jacob się uśmiechnął. Wiedział o tym.

Kiedy podeszli do stołu, Philip Schopp zaczął żartobliwie błagać Jacoba, by się nie śpieszył ze zwiększeniem liczby chłopców, których on będzie musiał uczyć. W jego tonie pobrzmiewała jednak zazdrość. A właśnie, że się pośpieszę, pomyślał Jacob, wyobrażając sobie, jak obejmie pannę młodą. Gdyby to zależało tylko od niego, z przyjemnością utrudni pracę nauczycielowi. Miał zamiar przyłożyć się do tego już pierwszej nocy.

Obydwaj dołączyli do grupy przejętych mężczyzn, czekających na poczęstunek. Starając się puszczać mimo uszu strzępki zdań w rodzaju „ani śladu deszczu” i „krążące wokół oddziały”, Jacob niecierpliwie spoglądał w kierunku przedpokojku. Siostra Ernst potrzebowała zadziwiająco wiele czasu na tak prostą czynność jak zmiana wstążek przy czepku Rethy. Nie mógł się doczekać powrotu swojej oblubienicy. Przez pięć długich dni, od czasu gdy Retha, mimo wszelkich wątpliwości, przyjęła jego oświadczenia, zżerała go żądza. Oczekiwanie sprawiło, że on, doświadczony mężczyzna, wdowiec, czuł się jak wygłodniały młodzieniaszek.

Nagle rozmowy ucichły i rozległy się stosowne oklaski, kiedy siostra Ernst wepchnęła do pomieszczenia pannę młodą. Pod brodą Rethy pyszniła się niebieska wstążka. Jego żona. Jego piękna żona. Wymijając z gracją drewniane wiadra i uplecione z wierzby koszyki, w których piętrzyła się lniana bielizna, stąpała dumnie i płochliwie jak łania. Gdy szła ku niemu, każda z niezamężnych sióstr wręczała jej polny kwiat,

aż w jej dłoniach uzbierał się bukiet. Skłaniała główkę, dziękując za dary. Jacob miał wrażenie, że w jej oczach lśnią łzy.

Podeszła do Jacoba, wyższa niż inne kobiety, przewyższająca wzrostem niektórych mężczyzn, jednakże znacznie niższa od niego. O, jak doskonale będzie się mieściła w jego objęciach! I znów poczuł tę samą żądzę, która trawiła go od tygodnia. Retha wypełniała jego myśli, pulsowała w jego żyłach, wzdychała jego oddechem.

Zatonął w jej dzikich, złocistych oczach. Opalenizna i burztynowa barwa nowej sukni czyniły je żywszymi i ciemniejszymi.

- Nalejcież mu brandy! - zakrzyknął brat Bagge i roześmiał się serdecznie, klepiąc Jacoba po plecach. Pozostali mężczyźni także się roześmiali. Publicznie przyłapani na pożądanym spoglądaniu na Rethę Jacob spłonął rumieńcem. Myślami był daleko stąd.

Samuel Ernst wetknął mu w dłoń kryształowy pucharek, wypełniony najlepszą miejscową brzoskwiniową brandy, a Eva podała drągi pannie młodej i posłała butelkę dalej. Jacob opróżnił kieliszek trzema haustami i postawił na stole.

Nicholas, który kręcił się niecierpliwie w pobliżu jedzenia, podszedł i poprosił o kieliszek dla siebie.

Jacob pokręcił głową, aby rozjaśnić myśli i by odmówić synowi. Ale Matthias załatwił sprawę, zastępując ojca.

- Jesteśmy zbyt młodzi, Nicholasie. Dobrze o tym wiesz.

Nicholas zerknął na brata. Tylko nie tutaj, pomyślał Jacob, ostrzegawczym gestem kładąc dłoń na ramieniu starszego syna. Nie powinien był nastawać, żeby chłopcy byli na poczęstunku.

- To ślub naszego ojca - syknął Nicholas.

- Jesteśmy zaledwie małymi chłopcami - odburknął Matthias, zatrważający w swoim nabożnym posłuszeństwie w stosunku do reguł, którymi kierowano się w społeczności.

- Żadnej brandy i żadnych kłótni pomiędzy chłopcami-uciał Jacob stanowczo.

Spojrzeli na niego jednocześnie.

Rozdzielili ich własnym ciałem. Powinien był pomyśleć o ich nieustających zwadach, zanim pozwolił, by tu przyszli. Jego synowie bardzo szybko popadali z jednej skrajności w drugą, od pełnego przekory koleżeństwa do wrogości.

- A ja, czy mogę dostać brandy? - rozległ się słaby głosik u jego kolan. Jacob potarł kark. Mała nawet nie ma pojęcia, co to jest brandy.

- Jesteś jeszcze maluchem - wyśmiał ją Nicholas.

- Wszyscy jesteście za mali, by pić brandy - powiedział Jacob, żałując, że nie może im ustąpić.

Dolna warga Anny Johanny zadrżała. Jacob posłał nowo poślubionej żonie rozpaczliwe spojrzenie. Te dzieciaki popsują jej dzień ślubu.

Ale ona uśmiechnęła się promiennie i przykucnęła obok Anny Johanny.

- Ale nie jesteś za mała na... - Retha spojrzała na piętrzące się na stole jedzenie i dodała z żartobliwym wahaniem: - ...na pierożki! Na strudel! Na tort!

Załawione oczy Anny Johanny rozblęły.

- Na co masz ochotę?

- Na tort - wyszeptęła dziewczynka.

Retha odcięła mały kawałek lepkiego tortu i z ukłonem podała go Annie Johannie.

- Musimy także nakarmić chłopców - szepnęła Jacobowi.

- Zajmę się tym, siostrze Retho - powiedział, usłyszawszy ją, Samuel Ernst, po czym głośno zarządził, że nadszedł czas, by coś przekąsić.

- Najpierw toasty! - zawołał brat Schopp.

Retha z przerażeniem zerknęła na Jacoba. Żadnych toastów, powiedziała bezgłośnie.

Jacob z przyjemnością powitał jednoczące ich porozumienie. Wiedział, co miała na myśli. Nakarm dzieci i zabierz mnie do domu. Na swój sposób była równie nieśmiała jak jego córeczka, ale przy ludziach potrafiła się opanować, aby nie przynieść mu wstydu.

- Jeden toast - powiedział rozkazującym tonem. Ożywiony,

rozweselony tłum ucichł i wszyscy zwrócili wzrok na Jacoba. Lata przywództwa uczyniły swoje.

- Za pannę młodą. Za to, że się nie bała nas poślubić. I za jej urodę. - Pomyślał o czekających Rethę obowiązkach. Zwrócił się ku żonie i powiedział tak cicho, że tylko ona mogła go słyszeć. - Przrzekam, że uczynię cię szczęśliwą w naszym domu.

Zdziwiona, rozwarła szeroko bursztynowe oczy. Z przykrością stwierdził, że są podobne do oczu jej wilczka. I pomyślał, że Retha może się okazać do niego podobna.



# 4

IN a schodach *Gemein Haus* rozległy się okrzyki „wszystkiego najlepszego!” i „żyjcie długo i szczęśliwie!”.

- Jeszcze tego pożałujesz - zażartowała Eva Ernst, kładąc swą pulchną dłoń na krzepkim ramieniu męża. Tym czułym gestem zaprzeczyła własnym słowom.

- *Gratulieren!* - zawołał Philip Schopp, gdy Retha i Jacob, umykając przed rozbawionym tłumem gości, oddalali się do domu Jacoba. Na przedzie statecznie kroczyli brat i siostra Marshallowie, za nimi dreptały dzieci Jacoba pod opieką Ernstów.

Ani późna pora, ani parne powietrze nie były w stanie popsuć im nastroju. Anna Johanna pomykała w swojej starej znoszonej sukience, powiewając gałązką indygowca, którą podniosła z podłogi. Nicholas pałaszował wielki kawał tortu, a wolną rękę wetknął do kieszeni, urągając dobrym manierom. A rozsądny Matthias, ten zazwyczaj rozsądny Matthias, zerkał w kierunku dwóch małych dziewczynek w jego wieku, które uganiały się wokół młodej pary.

Przy ciężkich zielonych wrotach, wiodących do domu Jacoba, Retha przystanąła i wraz z mężem odwróciła się twarzą do rozbawionych weselników. Małe dziewczynki podbiegły z piskiem i obrzuciły nowożeńców płatkami róży oraz odrobiną cennego ryżu. Retha i Jacob ze śmiechem uchylali się przed gradem tych lekkich pocisków. Kiedy bateria się skończyła, Retha spojrzała najpierw na rozchichotane dziewczynki, a potem na hałaśliwą rodzinę, do której tak nagle została przyjęta.

Zawsze lubiła towarzystwo małych dziewczynek i młodszych sióstr niezamężnych, takich radosnych i skorych do zabawy. Teraz, świadomie bawiąc się nową niebieską wstążką, przytrzymującą czepek, poczuła się jak matrona.

Kilku członków orkiestry dętej o zaczerwienionych od upału twarzach zaczęło wygrywać ludową melodię ze starego kraju. Znając ją z poprzednich wesel, w których uczestniczyła, Retha nie mogła się powstrzymać i przytupywała do rytmu.

Jacob z aprobatą otoczył ją opiekuńczo ramieniem. Po raz pierwszy. Przestała przytupywać. Oto dotyka mnie w obecności wszystkich, tak aby widzieli, pomyślała zaniepokojona. Stłumiła chęć ucieczki sprzed oczu zebranych, zapagnęła schronić się na łące i pobiec nad strumień.

Lecz wysoki i silny pan młody przytrzymał ją i razem stanęli w drzwiach domu. Ona jednak wcale nie poczuła się bezpiecznie. Nadal była wystawiona na widok publiczny. Orkiestra zaczęła grać inną melodię, spokojniejszą i bardziej romantyczną.

Jacob pochylił się nad Rethą i wyszeptał do jej ucha:

- Weź się w garść.

Podbiegły ku nim małe dziewczynki w białych czepeczkach i niezamężne siostry.

- To dla ciebie, siostró Retho. Rozpakuj - zaszczebotała z powagą najmłodsza, podając prezent. Anna Johanna nachyliła się, aby zobaczyć co to. Jej oczy lśniły z ciekawości.

- Muszę? - Retha przywarła do silnego rozgrzanego ciała Jacoba. Wiedziała, co się święci.

Mała Catherine Baumgarten wręczyła jej paczkę rozmiaru książki, owiniętą w pofarbowaną tkaninę i przewiazaną sznurkiem. Paczka była bardzo lekka. Retha westchnęła głęboko i rozwiązała kokardkę.

Oswobodzona tkanina spłynęła ku ziemi i Retha ujrzała mgiełkę cieniutkiego białego lnu.

Koszula na noc poślubną. Len tak delikatny, że jej szorstkie od prania dłonie zaczęły o niteczki. Przy dekolcie i rękawach koszula miała falbanki, jakich Retha jeszcze nie widziała. Nie

chciała jej oglądać przy wszystkich, ale nie mogła oderwać od koszuli wzroku.

W tłumie rozległy się oklaski. Aby ukryć rumieniec zakłopotania, spuściła głowę. Dzieci Jacoba przyglądały się macosze z żywym zainteresowaniem. A przynajmniej najstarsze i najmłodsze dziecko. Nicholas wetknął obie pięści do kieszeni i uśmiechał się, jakby znał jakąś wielką tajemnicę. Rozentuzjasmowana Anna Johanna klaskała wraz z siostrą Ernst. Matthias, nic sobie nie robiąc ze ślubu ojca, uśmiechał się głupekowato do małej córeczki Baumgartenów.

Chytry uśmiech Nicholasa stał się jeszcze szerszy.

- Macie, macie! - zawołał, obrzucając ich nową porcją ryżu, który posypał się głównie na ojca. Retha schroniła się za potężną postacią Jacoba.

- Dość tego! - zawołał Jacob radośnie, lecz stanowczo, i przeniósł Rethę przez próg. Zatrzasnął drzwi i zamknął zasuwkę. - A to drań - powiedział, lecz Retha dosłyszała w jego tonie nutkę ojcowskiej dumy.

- Wszyscy dranie zostali na zewnątrz, bracie Blum! - zażartowała.

W ciasnym wejściu górował nad nią i wydawał się jeszcze większy niż zazwyczaj. I był tak blisko, że z łatwością mógłby ją pocałować. Przycisnęła do serca ślubną koszulę.

Jacob łagodnie ją odsunął.

- Nie musisz się już przede mną chować.

- Ja się nie chowam - odparła, ale poczuła gorący rumieniec wstydu.

Pochylił głowę, by się jej przyjrzeć z bliska.

- Ty się rumienisz, *Liebling*.

Oczywiście, że się rumieniła! Spojrzała na Jacoba w słabym świetle przedśionka. Poważny ton nie był w stanie ukryć szerokiego uśmiechu, rozciągającego kąciki jego warg.

Przyłapaną na żartach, przyłapaną na pąsach. Uniosła głowę. Czy życie z tym człowiekiem będzie jednym pasmem zakłopotania?

- Ty także byś się zarumienił, gdyby pokazano wszystkim twoją nocną koszulę - odparła.

- *Nein*, ja poczerwieniałbym tylko z gorąca. - Żartobliwie musnął jej policzek, a potem sięgnął poza nią, by chwycić koszulę. - Pokaż mi ją.

- Nie teraz! - krzyknęła, cofając się i odsuwając od niego koszulę na długość ramienia.

Jacob chwycił Rethę i mocno objął w talii. Tanecznym krokiem wprowadził ją na środek dużego pokoju, zręcznie wymijając krzesła, stół i biurko. Wciąż się śmiał, głośniej i głośniej. Dla niego to była zabawa. Ona od dzieciństwa nie bawiła się z chłopcami, ale wiedziała, na czym polega gra. Wiła się w jego ramionach, aby utrzymać koszulę poza jego zasięgiem.

- Poddaj się - wydyszał, całując ją ukradkiem.

- Nigdy! - Wyrwując się, rzuciła koszulę w powietrze, z dala od Jacoba. Niczym lekka biała chusta, koszula spłynęła poprzez pokój i opadła na nachylony blat stołu kreslarskiego.

Mosiężne przyrządy posypały się na podłogę, a mała szklana kula się roztrzaskała.

Przerażona własną nieostrożnością Retha nagle znieruchomiała.

- Sprytna dziewczyna. To lubię. - Jacob spojrział roziskrzonym wzrokiem na sznurowany stanik sukni Rethy.

Jej pierś falowała. Retha boleśnie zdawała sobie sprawę z tego, że Jacob to dostrzega. Podniósł koszulę, podszedł do Rethy i przyłożył do jej ślubnej sukni, jakby chciał je porównać.

- Chyba mi się spodoba. - Zmierzył żonę wzrokiem. Czując na sobie jego pożądliwe spojrzenie, miała ochotę uschnąć i rozsypać się w pył.

Nie zastanawiając się długo, nakryła piersi dłońmi.

- Nie, nie zasłaniaj ich - powiedział. Jego głos stał się teraz niższy i łagodniejszy. Jednym palcem delikatnie odsunął jej dłonie, pozostawiając piersi przesłonięte jedynie cienką tkaniną

sukni. Poczuła, że się unoszą i nabrzmiewają. Już miała znowu przykryć je dłonią, gdy Jacob zmarszczył brwi. - Proszę, nie.

Opuściła rękę. Posunęła się w tej zabawie zbyt daleko.

- Co ty musisz sobie teraz o mnie myśleć?

Przygryzła wargi. Jacob Blum był dojrzałym mężczyzną, ojcem trójki dzieci, filarem miejscowej społeczności. Dlaczego niezmiennie zachowywała się przy nim jak głupie dziewczątko?

- Rozfiglowałam się jak młody lisek.

- Jak lisiczka. I to bardzo ładna - odparł.

Pokręciła głową.

- Zawsze byłam nazbyt dzika.

Jego przystojna twarz nagle złagodniała. Retha nie pojmowała dlaczego. Złe zachowanie było jej nieustającym grzechem. Nie potrafiła ukryć tego przed Jacobem.

- Nie, Remo. Wcale nie nazbyt dzika. - W milczeniu udrapował nocną koszulę na swym ramieniu. - Niedługo będzie nam potrzebna. Położę ją na łóżku.

Wyszedł do pokoju za salonem. Retha, po raz pierwszy od rana pozostawiona bez towarzystwa, rozglądała się wokół. Nie licząc rozrzuconych przyrządów oraz potłuczonego szkła, w pokoju panował nienaganny porządek. Jego składające się z drobnych szybek okna wychodziły na wschód, ale mniejsze okna w sąsiednim pokoju wpuszczały doń ostatnie promienie zachodzącego słońca. Żółte światło rzucało ciepłe blaski na blat biurka i lśniło na szklanych lampach, które poustawiano na półkach.

Dobrze, że ich nie potłukła, przekomarzając się z Jacobem.

Schyliła się, by pozbierać narzędzia, nie zdając sobie sprawy z tego, jakie noszą nazwy i do czego służą, i poukładała na lekko pochyłym blacie stołu kreślarskiego. Zmarszczyła brwi. Co zrobić z odłamkami szkła? Zebrała spódnice i ostrożnie układała na niej szczątki szklanej kuli, gdy usłyszała za sobą kroki Jacoba.

- Nie przejmuj się tym. - Pomógł jej wstać i przełożył szkło na cynową tacę, następnie zamiótł pozostałe odłamki szmatką. Retha poczuła się zbędna i stała, wpatrując się w szerokie deski wyfroterowanej podłogi. Spod spódnicy jej ślubnej sukni wy-

stawał czubek pantofelka. Cofnęła stopę sprzed oczu pochylonego męża i westchnęła z rezygnacją.

- Byłam nierozsądna.

Jacob milczał przez chwilę. Rozgrzane w ciągu dnia ściany i podłoga promieniowały ciepłem.

- Jak ci się podoba twój nowy dom? — zapytał po chwili długiego i, jak się jej zdawało, gniewnego milczenia. Ale jego głos brzmiał łagodnie, spokojnie.

Odetchnęła z ulgą. Dawał jej jeszcze jedną szansę.

- Jest piękny, taki czysty, bracie... bracie... Jacobie.

Parsknął rozbawiony jej zakłopotaniem.

- To powierzchowne wrażenie, przekonasz się sama. Policzmy. Ernstowie opiekują się moimi dziećmi - spojrzął na połyskującą tarczę zegarka, który wyjął z kieszeni surduta - od dziewięciu godzin i czterdziestu minut. Ich dom jest teraz w ruinie.

Retha spojrzała na Jacoba. Z pewnością żartuje.

- Przez całe popołudnie dzieci uczestniczyły w ślubnej uroczystości.

- Właśnie do tego zmierzam. Nie potrzebują aż tyle czasu.

Rozejrzała się po wysprzątanym pokoju.

- Nie widzę tu gruzów.

- Ach. Niezameżne siostry posprzątały go w prezencie ślubnym. Nie wyglądał tak dobrze od czasu, gdy Christina...

Przerwał niezręcznie. Cofnął się o krok. Retha spostrzegła, że przełknął ślinę. Od czasu, gdy Christina co? Co miał zamiar powiedzieć, „umarła” czy może „odeszła do domu”, jak mieli w zwyczaju mawiać morawscy bracia? Retha była na jej pogrzebie. Pamiętała ów smutny, bardzo smutny dzień oraz pogrążonego w żałobie rośłego mężczyznę i jego osieroczone dzieci. Retha także odczuwała smutek na myśl o tym, że ta miła kobieta odeszła w tak młodym wieku.

Spojrzała na swoje obgryzione paznokcie. Tygodnie prania przynajmniej usunęły ostatnie ślady barwników, pomyślała, czekając, że Jacob powie coś więcej na temat Christiny Blum.

Po chwili pełnego napięcia milczenia Jacob ujął jej łokieć i poprowadził do kuchni.

- Chodź, zostawiły dla nas posiłek.

Skrzywiła się.

- Nie przełknę ani kawałeczka.

Ale jeszcze bardziej, niż myśl o jedzeniu, przerażała ją dotyk Jacoba. Był jakiś łaskotliwy i sprawiał, że czuła się dziwnie napięta. A co gorsza, powodował, że myślała o kobiecie, która mieszkała w tym domu przed nią, o kobiecie, która rozweselała Jacoba. Żałowała, że nie dokończy tego, co miał powiedzieć o swojej żonie. Było ogólnie wiadome, że ją uwielbiał.

Może nadal ją uwielbia. Retha dotknęła swojej nowej niebieskiej wstążki i ciężko westchnęła. A jeśli Jacob uznał ją jedynie za nędzną namiastkę pierwszej żony?

Niewielka kuchnia była równie czysta jak salon. Na drewnianym stole przygotowano marynowane jaja, okrągłą deskę z zimnym plackiem kukurydzianym i kamionkową misę z czarnymi jagodami.

Poczęstował ją jagodami.

- Świeżo zebrane, jak sądzę.

- I wczesne. To koniec czerwca.

- Dojrzały wcześniej przez te upały.

Wsunęła do ust dwie jagody i poczuła na języku ich cierpkość.

- Och, niedojrzałe! - wykrzyknęła, kręcąc głową i zaciskając wargi, gdy Jacob usiłował nakarmić ją nową porcją. Widząc jego gest, wyobraziła sobie, jak karmił swoje dzieci. Jego kanciaste palce wydawały się zbyt wielkie do tak delikatnego zajęcia.

I nagle jedzenie wydało jej się bardzo intymną czynnością.

- Już nie. - Starała się uśmiechnąć. - Powiedziałam, że nie zjem ani kęsa.

Zjadł jagodę, jakby to był najsoczystszy owoc na świecie.

- Dobrze. Ale jeśli nie masz ochoty na jagody, może skusisz się na to. - Wskazał jej zakorkowany dzban i dwie butelki napełnione rubinowym i bursztynowym płynem. - Jabłecznik albo młode wino. Albo brzoskwiniowa brandy.

Na myśl o mącającej w głowie brandy poczuła przerażenie.

- Tylko nie alkohol! Spadnę z krzesła. Jeszcze wciąż kręci mi się w głowie.

- Lubię, gdy kręci ci się w głowie - roześmiał się cicho.

Retha zmarszczyła brwi. Jacob odzyskiwał humor, ale nie rozumiała, co go tak bawi. Pomijając niefortunną wzmiankę o żonie, przez całe popołudnie wydawał się szczęśliwy, tryskał energią. Potoczył wzrokiem po kuchni i dokonał szybkiego wyboru. Zdjął dwa kubki z najwyższej półki w szafce. Uczynił to z łatwością, prezentując imponującą długość swoich ramion. Jego rosła postać wypełniała pomieszczenie.

Retha nie wiedziała, jak się zachować wobec jego niecierpliwości. Ceremonia ślubna dobiegła końca. Mogli odpocząć. Miała przed sobą jeden dzień, aby zapoznać się z domem i przygotować na oficjalne przyjęcie dzieci. Spotka się z nimi, myślała zaniepokojona, na jutrzejszym śniadaniu u Marshallów.

Jacob ustawił kubki na stole, napełnił je zawartością dzbanka i upił łyk.

- W takim razie jabłecznik; jest najstarszy z trzech trunków. Nie chcę, aby moja panna młoda była pijana.

- Pijana! Nigdy w życiu nie byłam pijana! Jestem całkowicie trzeźwą siostrą, bracie Blum... - Zakryła usta dłonią. - Trudno mi przyjdzie zwracać się do ciebie po imieniu.

Podsunał jej kubek z jabłecznikiem.

- Nie nawykłam do picia - powiedziała słabym głosem, ignorując kubek.

- Więc ja cię nauczę.

Odstawił swój kubek i przyciągnął Rethę do siebie. Jego ciało było wilgotne od potu, mocne i rosłe. Nagły z nim kontakt przestraszył Rethę. Jacob okazał się taki opanowany wobec żołnierzy, tamtego dnia na placu. Nie mogła uwierzyć, że teraz zachowuje się tak niepowsściągliwie. A przecież po ślubie chodziło tylko o wydawanie na świat nowych dzieci. Wiedziała o tym nawet ona, taka nieświadomiona. A Jacob już miał ich trójkę i ledwie sobie z nimi radził.

A może nie tylko. Tęsknie i czule jego wargi szukały jej ust. A ona była roztargniona. Dziwiła się, że skóra na jego



wargach była delikatna jak wiosenny listek. Kto by się spodziewał? Muskały ją czule. Poczowała nieznany ucisk w żołądku. Zaniepokojona odsunęła się od Jacoba, a on westchnął.

- Postaraj się - powiedział melodyjnym głosem i przysunął twarz tak blisko, że dostrzegała jedynie ocienione płaszczyzny i złociste zarysy oświetlone promieniami zachodzącego słońca. - Wymów moje imię.

- Jacob - wyszeptała posłusznie.

- Dobrze - pochwalił ją szeptem, zupełnie jak nauczyciel, a potem zamknął jej usta swymi wilgotnymi i spragnionymi wargami. Retha opuściła powieki. Był tak blisko, zbyt blisko. Napierał na nią. Dokuczliwy żar, jak w upalny dzień, wypełniał pomieszczenie i spowijał jej ciało.

Jacob przygryzł jej dolną wargę, a potem oswobodził ją i rozchylił usta Rethy wilgotnym językiem. Jego koniuszek dotknął jej zębów, a potem poruszył się, natrafiając na język Rethy. Wstrzymała oddech. Jacob pachniał jabłecznikiem.

Widowała całujących się ludzi, ale nie wyobrażała sobie, co wtedy czuli. Ani się nie spodziewała, że pocałunki, że mężczyźni... mają smak, że są tacy... smakowici. Niezależnie od tego, co z nią robił, jego bliskość sprawiała, że po plecach Rethy przebiegały dreszcze. Zastanawiała się, nie, obawiała się, co się stanie zaraz.

Ale Jacob się odsunął.

A ona odczuła jego nieobecność w postaci chłodu na wilgotnych wargach.

- Jacob? - wyszeptała jego imię, zakłopotana tęsknotą i dziwnym strachem, które ją ogarnęły.

- Pięknie. - Jacob dotykał palcem warg swej młodej żony do chwili, gdy w jej bursztynowych oczach błysnął strach. Wtedy się cofnął.

Możliwe, że tylko mu się wydawało. Smakowała tak słodko jak dojrzała brzoskwinia, świeżo zerwana z drzewa, rozgrzana słońcem. A jednak unikała go. Dwukrotnie spostrzegł w jej oczach przerażenie. Westchnął i, rozpiąwszy surdut drżącymi palcami, zdjął go. Poczuł powiew rozgrzanego powietrza.

Boże, jakże nienawidził upalnego lata w nowym kraju. W Niemczech nigdy nie bywało tak gorąco.

Odwrócił się, by powiesić surduta na kołku. W samą porę. Czuł dokuczliwy wzwód, spowodowany pożądaniem. Jego młodziutka żona nie była jeszcze gotowa na oglądanie dowodów jego żądz. Z trudem zmusiła się, by wypić trochę jabłecznika. Usłyszał, że krztusi się, sącząc go powoli. Miał nadzieję, że uporanie się z kaszlem zajmie ją na chwilę, a on zdąży przez ten czas się opanować.

Retha przeszła do salonu. Obejrzał się i zobaczył, że rozsuwa zasłony i spogląda za okno. Musiał ją naprawdę wystraszyć.

Miał do siebie żal. Oczekiwał zbyt wiele i nazbyt ją ponaglał. A ona różniła się od jego pierwszej żony. Christina była daleką kuzynką Jacoba i jego najbliższą przyjaciółką z dzieciństwa. Ich rodziny przyplłynęły tu na jednym statku i nigdy się już nie rozdzieliły. Po ślubie przyszła miłość w sposób tak naturalny, jak płynie woda w dobrze uregulowanej rzece.

A Retha pojawiła się w jego domu obca.

Na tym polegał jej problem. Samo dobre przyjęcie nie wystarczało. Kobiety przywykają do nowych domów po trochu, zapoznają się z nimi pokój po pokoju, stół po krześle, krzesło po łóżku. A ona, nie licząc owej przerażającej nocy, kiedy ją schwytał, nigdy nie była w jego domu. Miał nadzieję, że nie pamięta już tamtej nocy. Miała wtedy zaledwie dziesięć lub dwanaście lat i przez długi czas mieszkała w szałasach prawie pod gołym niebem. Jakże obcy musiał jej się wydawać jego dom!

Podszedł do okna w salonie, wiedząc, że nic tam nie dojrzy poza mrokiem.

- Jest prawie zupełnie ciemno - powiedział cicho.
- Wszyscy poszli do domów.

Sprawiała wrażenie zagubionej. Poczuł ucisk w sercu. Wyobrażał sobie, jak bardzo Retha jest nieprzygotowana do tego nowego życia. Z nim, z jego rodziną.

- Chodź - powiedział. Powinien zachować się delikatniej. Była może trochę dzika, ale jednocześnie niewinna, nienawyk-

ła do dotyku mężczyzny. Był pewien, że przed nim nikt tak jej nie całował.

Zapałił złocistą świecę i jej blade światło i miodowa woń napełniły pokój, rozpraszając mrok, który wystraszyłyby jego córeczkę. Ale jego oblubienica była dorosłą kobietą, powtarzały mu podrażnione zmysły.

- Tędy. Tutaj śpią dzieci. - Poprowadził ją do dwóch pokojików na poddaszu i pozwolił, by się rozejrzała.

- Jaki ładny kaflowy piec - powiedziała opanowanym głosem.

- Zimą ogrzewa obydwie pokoje.

Światło świecy rzucało intrygujące wzory na gładkie kafle pieca. Retha zapytała, czy wykonano go na miejscu, czy sprowadzono. Jacob nie wiedział, bo nie on zbudował ten dom. A potem zasypała go pytaniami na temat, które dziecko gdzie śpi, czy chłopcy zajmują się paleniem w piecu i wymiataniem popiołu oraz czy Anna Johanna całą noc przesypia sama w pokoju.

Grała na zwłokę. Zaczął schodzić po stopniach, zanim zdążyła go spytać, co przechowują pod okapem. Kiedy wziął ją za rękę, pozwoliła na to, lecz zachowywała się biernie. Zacisnął zęby. Miał żyć w tym małżeństwie do końca swych dni. Musi....

Kiedy wrócili do salonu, Retha podeszła do stołu kreślarskiego i wzięła do ręki kompas, który wysunął się z szagrynowego pokrowca, gdy spadła tam jej koszula.

Obejrzała rozklekotany przyrząd.

- Mam nadzieję, że go nie uszkodziłam. Co to jest?

- To moje przyrządy kreślarskie. A to jest kompas. - Oświetlił go lepiej. - Posługuję się nim przy pracy.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem. Nie wiedziała nawet, jaką wykonywał pracę. Przy ścianie stał duży kosz z rulonami papieru. Jacob rozwinął gruby arkusz, przedstawiający jego najnowszy projekt.

- To jeden z moich rysunków.

Uprzejmie spojrzała na rozwinięty papier. Nie miała pojęcia,

co na nim naszkicowano. Dziewczęta uczyły się geografii, ale Jacob nie mógł od niej wymagać, by się znała na rysunku technicznym.

- To nowe koło do naszego młyna.
- Kiedy byłam przy młynie ostatnim razem, miał koło - zauważyła rozsądnie.
- Drewniane. Nasze będzie ulepszone, aby sprostać wymaganiom wojska.

Uśmiechnęła się, nie rozumiejąc. Patrząc na nią, Jacob uzmysłowił sobie stratę, która go spotkała. W Christinie znalazł oparcie, gdy zdał sobie sprawę, że chce zostać wynalazcą. Żaden jego projekt nie uszedł jej życzliwym oględzinom.

W przypadku Rethy, pomyślał z przykrością, o takiej wspólnocie próżno by marzyć. Od tygodni, ba, od miesięcy, utwierdzał się w przekonaniu, że druga żona musi być inna od tej, którą wciąż w cichości ducha opłakiwał. Ale zaskoczył go taki brak zrozumienia. Będzie musiał dać jej czas, aby się nauczyła, aby się przystosowała. Do niego. A on do niej.

Zaprowadził Rethę do kuchni i znów napełnił kubek jabłecznikiem. Przechadzała się po niej, oglądając półkę z suszonymi ziołami.

Jacob usiadł na taborecie i słuchał rozbawiony, jak Retha wdała się w wyjaśnienia o każdym z ziół. Paplała podekscytowana. Każdy dojrzały mężczyzna rozpoznałby w tym objaw zdenerwowania. Jacob wyciągnął przed siebie wyprostowane nogi i odprężył się, podczas gdy Retha mówiła bez ustanku.

Tymianek, mówiła, jest najłatwiejszy w uprawie. Jacob nie przytaknął ani nie zaprzeczył. Przyglądał się jej ładnie zarysowanej brodzie.

- To roślina jednoroczna - powiedziała, wskazując majeranek - ale siostrom nie bardzo się udaje.

Majeranek zarastał jego ogród, ale Jacob nie powiedział tego. Zbyt był zajęty przyglądaniem się szczupłej szyi Rethy. Zapraszającej go do pieśczoł.

Retha dotknęła źdźbła szanty.

- Czy aby nie ma własności leczniczych? Twoje dzieci chorują na gardło?

- Ostatnio nie - mruknął. Jej kształtne palce zrećnie przesuwają zioła.

Te dłonie powinny zajmować się nim. Wędrować poprzez rozgrzane warstwy jego odzienia, w głąb, gdzie płonęło jego niecierpliwe ciało. Jednym haustem dopił jabłecznik i dotknął ramienia Rethy.

- Już czas, Retho.

Odwrociła się ku niemu i spojrzała szeroko rozwartymi oczyma. Miał wrażenie, że się nieznacznie zachwiała, lekko w tył i trochę ku niemu, ale nie był pewien.

- To był męczący dzień. - Oświetlone świecą piersi Rethy uniosły się, gdy westchnęła. Zamknął oczy, targany żądzą, a potem pojął, co oznaczało jej westchnienie. Wcale nie pożądanie, lecz zdenerwowanie wylężnionej panny młodej. Tylko tyle. Nawet Christina...

*Nein!* Nigdy więcej! Żadnych porównań. Christina była jego drogą przyjaciółką, ukochaną żoną, matką jego dzieci, ale teraz musi jej pozwolić, by odpoczywała w spokoju. Zaciśnął powieki, starając się oddalić poczucie ziejącej pustki, spowodowanej jej nieobecnością. Poluzował uciskający szyję sztywny kołnierzyk.

Retha nie była jakąś tam kobietą. Była jego oficjalnie poślubioną żoną. I po prostu obawiała się tego, co miało nastąpić. Całkowicie zrozumiałe drżenie u kobiety, a zwłaszcza u tak młodej, wręcz bliższej wiekiem jego dzieciom niż jemu samemu. Otoczył ramieniem jej szczupłą talię i skierował w stronę obszernego pokoju za salonem, gdzie pozostawił nocną koszulę.

Wystraszona dotykiem Retha poczuła niepokojące pulsowanie w całym ciele.

- Chodźmy. Idź pierwsza - powiedział.

Lecz ona nie mogła. Zmęczona odwlekaniem chwili intymnego zbliżenia, rozpaczliwie szukała jakiejś nowej wymówki. Nie wiedziała, dlaczego tak czyni, czuła jedynie, że musi coś wymyślić.

Na jej palce kapnął rozgrzany wosk ze świecy. Pozwoliła, by ją parzył, szukając jakiegoś powodu zwłoki. Lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Będzie musiała spać w jego łóżku. Miodowy zapach wosku drażnił jej nozdrza.

Jacob zdawał sobie sprawę, że Retha stoi u jego boku jak skamieniała. Pewnymi ruchami rozłożył łóżko na zawiasach, podniósł materac i umieścił go na sprężynach. Rozścielił świeżo wypraną pościel. W ciągu kilku ostatnich miesięcy nabrał w tym wielkiej wprawy. Prześcieradło wionęło w powietrzu i z westchnieniem opadło na łożo. Jacob się uśmiechnął. Z pewnością zaimponowałby siostrze.

Stojąca za nim panna młoda dzierżyła świecę, jakby to była maczuga.

Wyjął ją z jej rąk i umieścił w świeczniku. Po palcu Rethy spływał wosk. Oderwał go i unióś jej palec do ust, spoglądając jej w twarz i czule całując lekko oparzone miejsce. Drżała jak schwytane w pułapkę dzikie zwierzę. Ale jej bursztynowe oczy spoglądały jak oczy wilka, zbyt sprytnego, by uciec, zbyt przebiegłego, by zaufać.

Nie pojmował jej. Tak bardzo się starał.

- Pozwól, że rozpuszczę ci włosy... - powiedział. Wstrzymał dech, oczekując kaskady czerwonozłocistego bogactwa. Retha ani nie zgodziła się, ani mu nie zabroniła. Jacob lekko pociągnął nową niebieską wstążkę, przytrzymującą czepek.

Kiedy zdjął z jej głowy nakrochmaloną *Haube*, Retha spuściła wzrok, przyciskając brodę do piersi. Nie zastanawiał się dlaczego. Jego skape doświadczenie podpowiadało mu, że musi ją jakoś ośmielić. Wsunął palce w jej wysoko upięte włosy, szukając spinek. Następnie wyjmował jedną po drugiej, jakby miała, jakby on miał na to całe życie.

A przecież nie mieli czasu. Wyobraził sobie pędzące do domu dzieci, aby dniami i nocami zaprzętać im sobą głowę. Zebrał wszystkie siły, aby uczynić z tego wieczoru chwilę niezapomnianej intymności.

W końcu jedwabista fala opadła na ramiona Rethy. Niedługo przesłoni jego twarz, jego ramiona, jego pierś.

- Czekałem, by cię ujrzeć taką, od tamtej pamiętnej nocy. - Przeszukał palcami gęste pasma, układając je na śnieżnobiałym kołnierzu jej sukni, na jej ramionach, plecach.

Nie mógł się doczekać, kiedy poczuje ich obfitych na własnej skórze.

Rozwiązał tasiemkę, sznurującą stanik sukni, dbając o to, by nie przestraszyć Rethy jakimś nieostrożnym ruchem. Rozsznurowana tkanina odstawała od piersi. Wiedziony wspomnieniami, odszukał szpilki, mocujące do sukni apaszkę. Wymował je z wielką pieczołowitością. Dopiero kiedy chciał zsunąć stanik, zdał sobie sprawę, jak bardzo Retha jest spięta.

- *Hilf mir, Liebling* - powiedział miękko.

Pomogła mu, unosząc jedno ramię, a potem drugie, z wyrazem twarzy osoby nieobecnej myślami. Pozwoliła, by prążkowany stanik opadł na podłogę, odsłaniając górną część białej koszuli. Jacob spojrzął na prawie odkryte piersi Rethy. Wysoko osadzone i jędrne, ledwie się poruszały, bo Retha wstrzymywała oddech.

Jacob z troską przyjrzał się jej twarzy. Była to piękna twarz, o łukowato wygiętych brwiach, wydatnych kościach policzkowych i wąskim nosie. Najpiękniejsza z wszystkich, jakie dotychczas oglądał. Ale boleśnie pozbawiona wszelkiego wyrazu. Nie wystraszona czy zaniepokojona, lecz pozbawiona wyrazu. Jak u lunatyczki.

- Retho. - Czekał na jej reakcję. Miał wrażenie, że Retha jest teraz bardzo, bardzo daleko.

Powoli do niego wracała. Skupiła na nim wzrok, a w jej oczach pojawiło się nagle światło. Uznał je za odpowiedź.

- Pozwól mi - odezwał się łagodnie. - Jesteś moją żoną. A ja jestem twoim mężem. - Zdjął kamizelkę i rozwiązał zwilgotniały sztywny kołnierzyk koszuli.

Oczy Rethy znów stały się szkliste.

Miał w głowie zamęt, a jednocześnie odczuwał wielką chęć, by ją skarcić.

- Oto co robią ludzie, którzy się pobrali - powiedział niecierpliwie, mimo że starał się opanować. - Całują się. I rozbierają. A potem znów się całują.

Retha stała nieruchoma jak głaz.

Jacob zdławił teutońskie przekleństwo, którego już dawno nie używał.

- Twoja ślubna koszula czeka na fotelu - powiedział łagodnie. - Zostawię cię samą, żebyś się mogła przebrać.

Wyszedł z pokoju po omacku. Szczęśliwie przebył drogę do kuchni, gdzie uderzył stopą w twardą nogę stołu. Roześmiał się, tłumiąc ból, i soczyście zaklął.

Co miał teraz poczuć? Instynktownie wyczuwał, że jego żona jest więcej niż niechętna. A mieli dla siebie tylko dwie najbliższe noce.

Może uciec się do alkoholu? Namacał stół, natrafił na dzbanek z jabłecznikiem. Uznał, że pomoże mu coś mocniejszego. Pociągnął łyk palącej brandy, prosto z butelki.

Oparł się o blat stołu, ukrył twarz w dłoniach i głęboko westchnął. Od miesiąca dręczyło go pożądanie, a na myśl o obiecującej żonie zmienił się w prawdziwego wilkołaka. Nagle opadło go straszliwe zmęczenie. Smutek, utrata najbliższej osoby, poczucie samotności, świadomość toczącej się wokół wojny i potrzeby trojga osieroconych dzieci - a przecież jakoś sobie z tym wszystkim radził. Z pewnością poradzi sobie też z oporną panną młodą.

W ciemnej kuchni panował wilgotny mrok, było nazbyt parno na miłość. Od wielu tygodni trwała upalna pogoda, nie spadła ani kropla deszczu. Noc także nie przyniosła ulgi. Ale Jacob będzie się kochał z żoną. Rozpiął koszulę i potarł dłonią pierś.

Retha będzie się musiała nauczyć.

W przyległym pokoju zaszeleściła tkanina. Opadła na podłogę. Spódnica. Jacob wyobraził sobie, jak Retha zdejmuje koszulę, a potem podchodzi do fotela, na którym czekał ślubny prezent. Słyszał, jak stąpa. Wyobraził sobie lśnienie jej skóry w blasku świecy, jej kształtne ciało. Poczuł, że męskość z trudem mieści się w opiętych bryczesach, i wydał jęk pożądania.

Do diabła z jego przeklętym ciałem! Od miesiący nie odczuł ulgi. Bolesnie pragnął Rethy od dnia, gdy ją ujrzał. Będzie musiał cierpieć trochę dłużej. Pociągnął łyk brandy.



Usłyszał skrzypienie łóżka w ciemności. Uczyniła pierwszy krok. Odczuł ulgę i niecierpliwość.

Pragnął jej. Ale musi być ostrożny. Zdobywać ją stopniowo, krok za krokiem. Przełknął ostatni łyk brandy i ruszył ku światłu, odczuwając nadzieję i niepewność. Uśmiechał się. Zastaną ją pod pachnącym prześcieradłem, myślał, z kołdrą naciągniętą pod samą brodę.

I nauczy ją, dlaczego warto się odkryć.

Lecz jego oczom ukazał się zaskakujący widok.

Jego młoda żona kłęczała na łóżku, naga jak ją pan Bóg stworzył, z zaciśniętymi powiekami, i kołysała się z boku na bok.

- Retha? - wyjąkał niepewnie, nie wierząc własnym oczom.

Kołysała się.

Starając się zrozumieć niepojęte, rozejrzał się po pokoju. Biała ślubna koszula wisiała tam, gdzie on ją pozostawił. Stanik i spódnicę bursztynowej sukni spostrzegł w otwartej szafie. Zmiętoszona koszula leżała porzucona na podłodze, w połowie drogi między łóżkiem a szafą. Na najbliższym krześle zwiisała pończocha.

Rozejrzał się w poszukiwaniu reszty stroju Rethy. Po chwili wypatrzył drugą pończochę, zarzuconą na kołowrotek. I jej *Haube* - wepchnęła ją do kosza z lnem.

*Gott im Himmel*, westchnął. Oszalała. Tego się nie spodziewał w najgorszych koszmarach. Zrozpaczony, usiłował sobie przypomnieć, co siostra Krause powiedziała mu o aberracjach Rethy. Podobno wychodziła z domu nocami, lunatykowała. Ale to nie wyglądało na lunatykowanie. To było gorsze. Dziwaczniejsze.

Co ukryła przed nim Rosina Krause?

Jacob przyglądał się żonie. Czas dłużył mu się w nieskończoność. Niezmienny rytm jej kołysania ranił go jak siekiera, tnąca młode drewno, pozbawiał go nadziei, gasił trawiące go pożądanie.

Nie wiedząc, co czynić, pozbierał rozrzucone ubranie i automatycznie ułożył na wolnym krześle. Następnie usiadł na brzegu łóżka. Nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Chciał ją powstrzymać, ale bał się jej dotknąć czy do niej

przemówić. Lunatycy, jak słyszał, mogą się przestraszyć i zrobić sobie krzywdę. Ale co mogłoby się stać żonie?

Nic jej tu nie groziło. Byli w domu sami, pan młody i panna młoda, w bezpiecznym pokoju, w spokojną noc. Co więcej, przysiągł, że będzie ją chronił. Musi się dowiedzieć. Jej powolne, rytmiczne kołysanie wkrótce zawiedzie go do domu wariatów.

Powoli, ostrożnie położył dłoń na szczupłym ramieniu Rethy. Kołysała się nadal.

Unióś drugą rękę i zacisnął ją na drugim ramieniu Rethy.

- Retha. - Zamilkł. - Musisz przestać - dodał.

Kołysała się.

Uchwycił ją mocniej, lecz ona nie zareagowała.

- Retho, to ja, Jacob. Otwórz oczy.

Jej gałki oczne poruszyły się niespokojnie pod delikatnymi powiekami. Długie rzęsy zdrząły, odsłaniając wywrócone białka oczu. I na tym koniec.

Gdybyż tylko pamiętał, co powiedziała mu siostra Krause. Czy wiedziała coś o tym szaleństwie? Czy Retha miewała już takie ataki, takie napady? Czy urządzała takie przedstawienia? Modlił się, by tak nie było, bo nie umiałby sobie z nimi poradzić.

Dotychczas była wystarczająco zdrowa na umyśle, by przystosować się do społeczności, pocieszał się. Nie słyszał, by coś utrudniało jej pracę. Pod troskliwym okiem sióstr zdobyła wykształcenie, posiadała sztukę barwienia tkanin, nauczyła się prac, a nawet zyskała przyjaciół, choć, niestety, nieodpowiednich.

Jacob był niepocieszony. Tak być nie może. Nie pozwoli jej na to. Wiedział jednak tak niewiele. Wcześniej, w kuchni, reagowała na moją czułość, wspominał. Może pobudzi ją pocałunek, skoro nie uczynił tego dotyk.

Pochylił się i musnął jej usta wargami.

Kołysanie ustało.

Zachęcony, pocałował ją jeszcze raz, przyglądając się jej długim rzęsom, czując słodką woń jej oddechu, jedwabistą skórę i... niechętne usta.

Uniosła powieki, ujrzał oczy pełne przerażenia, jakie widział już wcześniej.

- Nie, nie. Nie, nie - powtarzała śpiewnie, wywijając się z jego objęć. - Nie, nie. Nie rób mi krzywdy. Nie, nie.

I znów się zaczęła kołysać.

Taka piękna... delikatna jak sarna, niebezpieczna jak wąż, szalona jak wilk. Nie wiedział, czy ma jakiś atak, odgrywa komedię, czy jest szalona.

Jak powierzyć dzieci takiej kobiecie?

Bał się o nie.

Bał się o siebie.

Jej nagie ciało było świetliste i zdrowe. Skusiłoby każdego mężczyznę. Skusiło Jacoba. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi odczuwał nieposkromioną żądzę. Starał się nad nią zapanaować, lecz rozpierała mu pierś, świerzbiła skórę, paliła w łądźwiach. Czekał na tę chwilę tak długo, a ciało Rethy było tak doskonałe.

I należało do niego. Zacisnął pięści, odpierając prymitywną chęć, by posiąść ją mimo wszystko. Miał do tego prawo, ale nie skorzysta z niego. Nigdy, przenigdy nie weźmie siłą kobiety w takim stanie, rzeczywistym lub wymaginywanym, odgrywanym lub odczuwanym.

Zrozpaczony, zdjął z łóżka narzutę i okrył nią Rethę mimo upału. Później, gdy rozjaśni mu się w głowie na tyle, by pojąć, co uczynił, zrozumie, że działał w poczuciu przyzwoitości, że tylko to mógł dla niej zrobić.

Okrycie jej wspaniałego ciała nie mogło stłumić żądz Jacoba. Opadł ciężko na fotel, na który rzuciła jedną ze swoich pończoch. I czekał na nadejście poranka. I płonął.

## 5

Retha poczuła na twarzy ciepło wczesnego porannego słońca. Przez chwilę wsłuchiwała się o świergot ptaków - pogwizdywanie maleńkich strzyżyków, żałobne pohukiwanie gołębi, krakanie wron. Może ptaki sądzą, że dzisiejszy dzień nie będzie upalny, pomyślała leniwie, przewracając się na bok i przeciągając jak kot, który pilnował ziarna przed szczurami w młynie Steinera. Jak dobrze mi się spało. Jak przyjemnie obudzić się w promieniach słońca.

Dotychczas nie budziła się w słońcu.

Ostrożnie otworzyła oczy i przyjrzała się nieznajomemu pokojowi. Sypialni Jacoba Bluma. Przez odsłonięte okna wpadało do wnętrza poranne światło, jaśniejące na pobielonych ścianach. Wczorajszego wieczoru paliła się tu tylko jedna świeca, cenna świeca z pszczelego wosku, którą Jacob zdobył na ich noc poślubną. Retha przypomniała sobie, że popijała jabłecznik, spacerowała po pokojach, sparzyła się woskiem świecy, rozebrała się szybko, aby pójść do łóżka... ale nie pamiętała, co działo się potem.

Z pewnością nie zasnęła w swoją noc poślubną. Zaniepokojona, że jednak mogła to uczynić, uniosła się na łokciu. Szorstkie prześcieradło drażniło jej skórę. Zastygła, wstrząśnięta, zdawszy sobie sprawę, że spała rozebrana do naga.

Goła w łóżku Jacoba Bluma. Jak mogło do tego dojść?

I gdzie jest Jacob? Tuż obok. Podparta na łokciu, ujrzała

męża siedzącego w fotelu w nogach łóżka, ubranego w koszulę i bryczesy, które nosił poprzedniego dnia. Pograżonego we śnie. Nie jest mu wygodnie, pomyślała, widząc rozpiętą pod szyją koszulę i zwisający sztywny kołnierzyk. Niezwykle zaintrygowana, po raz pierwszy w życiu przyglądała się śpiącemu mężczyźnie. Pod lnem koszuli rysowały się silne szerokie barki. A bryczesy, w których Jacob spędził noc, uwypuklały mięśnie jego mocnych ud.

Nakryła się prześcieradłem, nie mając pewności, czy powinna przyglądać się mężowi. Jego łożo było szersze i dłuższe od jej pryczy w dormitorium. Było obszerne, oczywista, bo Jacob był taki ogromny. Gruby materac wypełniały świeże kukurydziane łuski.

Jacob przygotował go specjalnie dla niej.

I musiał z niej zdjąć ubranie. Bo tak czyniły wszystkie poślubione sobie pary. Wypełnienie obowiązku małżeńskiego z pewnością było prostsze i zajmowało mniej czasu, niż miała odwagę sobie wyobrazić. A może, pod koniec, Jacob zgodził się z nią, że nie pora jeszcze na dzieci. Ale i tak oczekiwała jakiegoś wstrząsu, jakiegoś bólu, jakiegoś zawstydzającego obnażenia. Tymczasem obudziła się w jaskrawym świetle poranka, słuchając szczebiotu ptaków, w obecności prawie nieznanego mężczyzny, siedzącego w fotelu w nogach łóżka. Spojrzała na niego odważnie. Rozpięta koszula odsłaniała kępkę włosów piaskowej barwy. Szeroka pierś Jacoba unosiła się w rytm spokojnego i równego oddechu.

Zadrżała z zachwytu, a potem poczuła gwałtowny strach. Naciągnawszy kołdrę pod szyję, przyglądała się uśpionemu Jacobowi Blumowi, swemu mężowi.

Nagle zapragnęła być ubrana, gdy on się obudzi, i szybko wyskoczyła z łóżka. Na małym krześle obok łóżka piętrzyły się części jej ślubnego stroju. Ułożone znacznie staranniej niż wyprana przez nią bielizna, którą składała, by odnieść do tawerny. A więc nie ona je tam pozostawiła. Wydawało jej się, że pamięta, co robiła minionej nocy, ale co robił Jacob?

Z całą pewnością nic... bolesnego. Nie dopuszczając do siebie wątpliwości, w pośpiechu wciągnęła koszulę i umocowała

pończochy lnianymi podwiązkami. Od razu poczuła się lepiej. I bezpieczniej. Włożyła spódnicę i ciasno zasznurowała stanik sukni. Westchnąwszy wygładziła fałdy. Gotowa na śniadanie u Marshallów, odwróciła się, by zaścielić łóżko. I aż znieruchomiła.

Obeszło się bez krwi.

Na tę myśl zawirowało jej w głowie.

Jakiej krwi? Nie ma krwi.

Zamknęła oczy.

Tej krwi. Krwi na prześcieradłach, krwi rozbryzanej na ścianie. Zatoczyła się i usiadła żałośnie skulona na taborecie przy łóżku.

Spraw, żeby odeszło, mawiała do Śpiewających Kamieni.

Zamknij oczy, odpowiadała Śpiewające Kamienie, a gdy zobaczysz zieleń, ukołysz samą siebie do snu. Nie pozwól, by strach stał się silniejszy od ciebie. To tylko wspomnienie. Nie wyrządzi ci żadnej krzywdy.

Nie stała się żadna krzywda. Retha objęła ramionami kolana. Nie było aż tak źle, by musiała się kołysać, ale z pewnością kołysała się w nocy. Tak bardzo się starała nie wyjawiać swojej tajemnicy. Przynajmniej nie było krwi. Dziki galop serca uspokoił się, gdy wsłuchiwała się w śpiew ptaków. Skupiła się na energicznym pogwizdywaniu strzyżków, a nie na posępnym gruchaniu gołębi.

Po chwili uniosła powieki i ujrzała wpatrzone w nią oczy męża. Zakłopotana, że przyłapał ją obejmującą kolana jak dziecko, szybko wstała i strzepnęła spódnicę.

- *Guten Morgen* - powitała go radośnie. Nie chciała, by wiedział, jak bardzo jest poruszona. - Ubrałam się. Czy to odpowiednia suknia na śniadanie u Marshallów?

Obróciła się w ślubnej sukni.

Jacob patrzył na swoją ubraną od stóp do głów żonę. A więc tak teraz będzie. Czyżby nie pamiętała? I czy teraz urządzała nowe przedstawienie, czy była naprawdę szalona? Przetarł zmęczoną twarz. Podczas minionej nocy każdy mięsień zastygł w wyrazie niedowierzania. Nie potrafił go usunąć. Dorosły

mężczyzna nie powinien poddawać się przeciwnościom, jednak, na widok wymuszonej wesołości żony, poczuł taką rozpacz, że chciało mu się płakać.

Jego dzika, promienna żona była obłąkana. A on popełnił największą życiową pomyłkę.

- Wyglądasz jak posepny niedźwiedź, który przedrzemał całą noc w fotelu, a mam nadzieję, że tak się nie stało - powiedziała pogodnie.

Słyszając tę okrutną uwagę, drgnął gwałtownie, ale patrząc na radosny wyraz twarzy Rethy, doszedł do wniosku, że nie chciała mu zrobić przykrości. Starając się nie dać jej poznać, że ma nad nim jakąkolwiek władzę, zmusił się do śmiechu.

- To się więcej nie zdarzy. Nie uda ci się wypchnąć mnie z mego własnego łóżka.

- Och, nie miałam takiego zamiaru! - Jej brzoskwinowe policzki powlekleł ciemny rumieniec. - Ja... musieliśmy zasnąć. - Na jej twarzy pojawił się wyraz powątpiewania, ale szybko ustąpił tej przekłętej wesołości.

- Żeby osiągnąć maksimum przyjemności - burknął bardziej do siebie samego niż do niej. Mając nadzieję, że jego ton nie zabrzmiał zbyt ostro, odwrócił się i poszedł do kuchni.

- Tak, oczywiście - powiedziała, nie bardzo rozumiejąc.

On także miał kilka spraw do wyjaśnienia. Słyszał, że podała za nim lekkim krokiem jak Indianka. W kuchni stwierdził, że wciąż uśmiecha się tak niewinnie. Czyżby udawała?

Chcąc splukać wysuszone gardło, napełnił czerpak wodą, ale szybko się zmytygował, bo pochwycił spragnione spojrzenie Rethy. Wszak była jego żoną, przyrzekł się o nią troszczyć. Bez słowa podał jej czerpak i przyglądał się, gdy piła łączywie, a potem otarła z ust kroplę wody i odchrząknęła, by przemówić.

- To piękny dom, Jacobie, i jestem dumna, że stałam się jego panią. A co do dzieci... obiecuję, że będę ciężko pracować...

Nie dowierzając własnym uszom, z trzaskiem położył tykwę na stole.

Retha aż podskoczyła.

- Może mi powiesz, co się działo w nocy-- powiedział spokojnie, nie mając wielkiej nadziei, że się dowie.

Broda Rethy zadrżała.

- Przepraszam za potłuczone szkło.

Wydawało mu się, że jej udawana wesołość jest nie do zniesienia, ale łzy okazały się jeszcze gorsze.

- Szkło nie ma znaczenia - powiedziała łagodniejszym tonem.

- Och. - Ku jego zdumieniu wpatrzyła się weń szczerymi bursztynowymi oczyma i dotknęła jego ręki. - Zapomniałam ci podziękować za piękną uroczystość ślubną. - Oblała się rumieńcem. - I za noc poślubną. Mam nadzieję, że nie wypiął za dużo.

Zagryzł wargi, tłumiąc zapomniane przed laty przekleństwo. Zawsze wierzył, że ma umiejętność właściwego oceniania sytuacji. Umiał kształtować przedmioty materialne zgodnie ze swą wolą i wyobraźnią. Potrafił stawiać zapory na rzekach, odwracać bieg strumieni, zaopatrywać w bezcenną bieżącą wodę miasta położone na działach rzek.

Z Rethą poniósł sromotną porażkę. Cóż mógł uczynić? Czekać, patrzeć i usiłować przejrzeć jej intencje, powiedział sobie. Chronić przed nią dzieci. I siebie samego. I trzymać ręce z dala od jej zachwycającego ciała.

- Muszę... hm... się ubrać - powiedział i wszedł do sypialni. Zapinając sztywny kołnierzyk, pomyślał o tym, co go czekało. Nie w dalekiej przyszłości, tylko dzisiaj i jutro. Wkrótce zabierze Rethę na śniadanie do Marshallów. Tam nie dowie się niczego nowego. Następnie jutro, podczas wizyty u Ernstów, przedstawi ją swoim dzieciom jako ich nową matkę, jakby nic się nie stało, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku.

Ernstowie już na nas czekają. - Retha dosłyszała rozpacz w głosie męża, gdy następnego ranka ponaglał ją, by szybciej się ubierała na wizytę u Ernstów, skąd mieli zabrać dzieci do domu.

Nic mu nie odpowiedziała. W ustach miała pełno szpilek.



Gdy usiłowała dopasować swoją najlepszą suknię codzienną, następna szpilka spadła na podłogę.

Dobrze, że przynajmniej zostawił ją samą, by się ubrała. Nie chciała, by widział, jak bardzo się niepokoi na myśl o oficjalnym przedstawieniu jej dzieciom Jacoba.

Może powinna włożyć suknię ślubną, tak jak na wczorajsze śniadanie u Marshallów. Nie, postanowiła odłożyć ją na później, na jesienne niedziele, gdy będzie potrzebowała czegoś ładnego. A zresztą noszenie tak pięknej, nowej sukni w zwykły wtorkowy rano byłoby oznaką próżności i dumy.

A jednak była dumna, dumna z tego, że jest zamężna, chociaż Jacob zdawał się nie podzielać jej odczucia.

- Dzieci nie lubią czekać!

- Au! - krzyknęła, gdy ostra szpilka ukłuła ją w kciuk.

Jacob wpadł do pokoju. Od czasu ich nocy poślubnej był ponury jak gradowa chmura. Usiłował się rozpogodzić u Marshallów, ale Retha widziała, że tylko udaje dobry nastrój. Nie miała zielonego pojęcia dlaczego. Coś się musiało wydarzyć podczas nocy poślubnej.

- Dobrze będzie, jeśli się nauczysz już teraz. Dzieci nie mogą czekać na... - Przyglądał jej się z gniewnym wyrazem twarzy. - Co się z tobą dzieje?

- Spieszyłam się - powiedziała z ustami pełnymi szpilek i uniosła kciuk, mając nadzieję, że nadal krwawi.

Wezbrała na nim duża kropla czerwonej krwi.

- Jakoś to przeżyjesz. - Obejrzał kciuk jak dziecku.

- To tylko ukłucie szpilką - powiedziała, zirytowana jego nagłą protekcyjnością.

- Zawsze mylisz opuszki palców z poduszczkami do szpilek?

Spojrzała na niego badawczo. Kpi z niej czy tylko żartuje? Jego ton brzmiał śmiertelnie poważnie, lecz zdradził go drgający kącik ust.

Zebrała brzegi stanika sukni i zręcznie je spięła.

- Chyba nie jestem gotowa na to, by zostać matką - powiedziała, starając się, by jej ton brzmiał lekko.

Ponura twarz Jacoba nieco się rozpozodziła.

- Czasami i mnie się wydaje, że wciąż nie potrafię pełnić roli ojca. Ale wkrótce poczujesz się gotowa.

Westchnęła i potrząsnęła spódnicą.

- Możemy iść.

- Poczekaj... - Szybkim ruchem wsunął pasmo włosów Rethy pod *Haube*.

Cofnęła się, gdy ją musnął palcami po szyi. Od czasu niedzielnej nocy unikał wszelkiego zbliżenia. Miała nadzieję, że i teraz nie zabierze się do tych małżeńskich czynności, które prowadzą do posiadania dzieci.

Jakaś jej część truchlała, że Jacob uzna chwilę za odpowiednią. Minionej nocy uparł się, by dzielić z nią łóżko, i w świetle świecy rozebrał się do lnianej bielizny. Retha siedziała na brzegu łóżka i nie odważyła się na niego spojrzeć. Ale go słuchała. Powiedział, że tak będzie każdej nocy po powrocie dzieci do domu. Będą się razem kładli do łóżka, rozbierali do bielizny i spali obok siebie. A ona nie musi się obawiać, że jej dotknie lub skrzywdzi.

Ale położył się tak blisko niej, że czuła jego ciepło. Jego potężne ciało osaczało ją. Nie umiała zwolnić swego oddechu tak, by dostosować się do dyszenia, wydobywającego się z głębin jego szerokiej piersi. Raz, przez sen, przeturlał się w jej stronę i nakrywszy ją ciężkim ramieniem, zupełnie unieruchomił. Poczowała falę ogarniającego ją strachu.

Lekki dotyk ręki w biały dzień to nic groźnego, uspokajała siebie.

Jacob spoglądał tęsknym wzrokiem na jej kark.

- Chociaż ładniej było, gdy wysunęły się spod czepka - powiedział łagodnie. Takim tonem nie przemawiał do niej od czasu nocy poślubnej.

- Dziękuję - mruknęła uprzejmie, nie bardzo wiedząc, co powinna była odpowiedzieć.

Dotknęła karku tam, gdzie przed chwilą spoczywały palce Jacoba. Wszystkie włosy znalazły się pod czepkiem. Skąd więc owo łaskotanie?

- W takim razie lepiej już chodźmy - dodała i szybko ruszyła ku drzwiom.

Dzień był słoneczny. Upał się wzmagał. Do domku Ernstów, położonego na skraju miasta, wiodła łagodnie wznosząca się, niewybrukowana ulica. Retha wyciągała nogi, starając się dorównać kroku Jacobowi. Rano, gdy upał był jeszcze znośny, po ulicach kręciło się więcej przechodniów. Kilka osób, które dotychczas jej nie pozdrawiały, uczyniły to teraz. Jeden starszy nieżonaty brat uchylił kapelusza.

- Nasze prześcieradła zatęsknią za twoimi pracowitymi rączkami - uśmiechnął się brat Meyer.

- Ale ja nie będę tęskniła za praniem!

- W domu czeka cię mnóstwo prania, siostró Blum - roześmiał się Meyer i spieszenie ruszył do tawerny. Jacob zatrzymał go jednak i zaczął rozmowę na temat interesów. Retha pochwyciła strzępki słów: „ci najemnicy... niebezpieczni dla nas...”, ale nie wsłuchiwała się, delektując się swoim nowym nazwiskiem.

Siostra Blum. Poczuła ucisk w gardle i łzy w oczach. W ciągu jednej nocy jej status zupełnie się zmienił. W końcu miała nazwisko. Poczuła się tak dobrze, że pozwoliła sobie na zadumę nad własną przeszłością. Doskonale pamiętała Czirokezów. Ale z czasów dawniejszych miała jedynie nikłe wspomnienia: wysokiego, energicznego mężczyznę i kobietę o włosach takiej samej barwy jak włosy Rethy, przesywający krzyk i krew...

Dosyć tego. Jak zawsze przywołała się do porządku. Przeżyła dzięki zapomnieniu. Dawno temu Śpiewające Kamienie nauczyła ją, że zastanawianie się nad tym, skąd się wzięła, nie przyniesie jej nic dobrego, a żywienie nadziei, że się kiedykolwiek tego dowie, uczyni jej tylko szkodę. Retha uwierzyła jej słowom. Jeśli owe przerażające wspomnienia i tak nie powiedzą jej, skąd pochodzi, lepiej ich nie wywoływać.

- ...musiałem nalegać, żeby Brytyjczycy sami chowali swoich poległych - mówił właśnie Jacob.

- Zwłaszcza że żołnierz był najemnikiem - ciężko westchnął brat Meyer. - Z całą pewnością Niemcem.

Jacob wzruszył ramionami.

- I tak będą nas z nim kojarzyć. Niemcy, którzy się troszczą o rannego Niemca, muszą się wydać podejrzani...

- Bracie Blum! - zawołała pulchna Eva Ernst, biegnąc ku nim wzdłuż ulicy. - Znalazłam cię w samą porę. Chodź szybko! Szybko!

Jacob ruszył biegiem.

- Anna Johanna! Co się jej stało? - pytał, spiesząc za nią.

- Nic jej nie jest! Chodzi o chłopców! — krzyknęła Eva i pochyliła się, opierając dłonie na kolanach, by odzyskać oddech. - Biją się... chłopcy okropnie się pobili.

- Gdzie jest brat Ernst?! - krzyknęła Retha.

- W sklepie... biegnę po niego. A ty... pomóż Jacobowi...

Retha bez chwili wahania uniosła spódnicę i popędziła za Jacobem. Nie spodziewała się, że taki postawny mężczyzna może tak szybko biegać. Był już daleko przed nią, wbiegł po schodkach i zniknął za drzwiami małego domku Ernstów.

Retha biegła z wszystkich sił, nie myśląc o tym, że musi stanowić dziwny widok dla mieszkańców miasta. Minęła plac, dom braci, publiczny zbiornik wodny, aptekę doktora Bonna. Zadyszana dopadła drzwi i oparła się o framugę.

Z domu dochodziły odgłosy uderzeń i zduszone pomrukiwania. Zajrzała do środka. Czerwony ze złości Nicholas wyrywał się do wymachującego pięściami brata, leżącego na podłodze.

- Dość tego! - Jacob uniosł swego dużego starszego syna jak niewielką sadzonkę. Podał chudzielcowi rękę, pomagając mu wstać. A następnie udzielił chłopcom reprimendy.

Jak mogła pomóc? Chłopcy narobili bałaganu, rozrzucając lśniące na stole cynowe sztuce i zrzucając na podłogę gliniane naczynia. Co najmniej jeden talerz się stłukł.

Retha czuła się tutaj zupełnie niepotrzebna, zbędna. Nagle usłyszała stłumione łkanie. Rozejrzała się po pomieszczeniu i dostrzegła skuloną pod stołem Annę Johannę, obejmującą *stołową nogę*.

Czyżby chłopcy ją skrzywdzili? Poczwała nagły impuls, by pocieszyć małą. Wcisnęła się pod stół i doczołgawszy się do

Anna Johanna, usiadła obok niej ze skrzyżowanymi nogami. Wyciągnęła ku dziecku rękę, ale szybko ją cofnęła. Jacob wyraźnie ją ostrzegł. Dotyk mógł rozdrażnić dziewczynkę.

- Anno Johanno - wyszeptła i doznała dziwnego uczucia, pocieszając dziecko na odległość. - Nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze.

Anna Johanna wciąż popłakiwała. Nie widać było żadnych śladów pobicia, ale jej plecy dygotały pod cienką tkaniną starej ukochanej sukienki.

- Jestem przy tobie, dziecinko. Coś cię boli?

- Nic mnie nie boli! - wykrzyknęła.

- Chcesz mi powiedzieć, co się stało?

- Nieee! - zawyła dziewczynka.

- To dobrze, w takim razie... - Retha zamilkła, szukając odpowiednich słów. Znalazła się w impasie wobec pierwszego ataku pasierbicy i czuła się całkowicie niepotrzebna. - Po prostu z tobą posiedzę. - Złożyła ręce na podołku i czekała.

Łkania stopniowo ucichły.

- Anna Ślamazarhanna... to wcale nie jest... moje imię - wyjąkała dziewczynka.

- Oczywiście, że nie. Nikt tak nie twierdzi.

- M...Mathias tak powiedział. Bo jestem powolna.

- Nie jesteś powolna. Oni są po prostu więksi i szybciej się ruszają. Ty masz na imię Anna Johanna. Wszyscy to wiedzą.

- M...Mathias nie wie. On mnie przezywa Anna Ślamazarhanna. - Wypowiedziała te obraźliwe słowa śpiwnym nosowym tonem.

Retha rozpoznała naśladownictwo głosu Matthiasa i zrozumiała oburzenie dziewczynki. Spędziwszy siedem lat w domu niezamężnych sióstr, odczuła na własnej skórze, jak raniące bywają dziecinne złośliwości. Jak przykro jest być najmłodszą, najpowolniejszą i zawsze ostatnią. Na wspomnienie niektórych przezwisk jeszcze teraz chciało jej się płakać. Dotychczas nie przyszło jej do głowy, że chłopcy mogą być równie złośliwi i okrutni jak dziewczynki.

Rzuciła okiem na swego męża i obydwu chłopców. Strofowała ich, wcale nie podnosząc głosu.

- Matthias nie powie tego nigdy więcej, Anno Johanno. - Retha celowo wypowiedziała całe imię dziewczynki. Podziałało.

Fiołkowe oczy spojrzały na nią z ufnością szczeniaka.

- Nigdy więcej?

- Myślę, że już nigdy.

Anna Johanna uśmiechnęła się lekko.

- A Nicholas?

- On też tak powiedział? - Retha starała się ukryć oburzenie, ale trudno jej się było opanować. Była wprawdzie zupełnie nowa w ich rodzinie, ale według niej obydwaj chłopcy powinni się opiekować młodszą siostrą i nie doprowadzać jej do łez.

- Nie - odparła Anna Johanna, ale jej bródka zdrząła.

- Co powiedział Nicholas?

Retha pochyliła się ku dziewczynce, aby ją lepiej słyszeć.

- Co powiedział?

Anna Johanna zwiesiła głowę.

- Powiedział mi, że jestem maluch.

- Jesteś najmłodsza z rodzeństwa, kochanie. Ale to nie oznacza, że jesteś maluchem.

Dziewczynka spojrzała na nią wzrokiem pełnym nadziei. Na jej jasnych rzęsach lśniły łzy.

- Powiedziałabym nawet, że jesteś już dużą dziewczynką - ciągnęła Retha. Kiedy dostanie chłopców w swoje ręce, nie skończy się na cichym strofowaniu.

Nagle Anna Johanna z własnej woli rzuciła się w ramiona Rethy. Retha, z wezbraną w sercu czułością, objęła swoją małą pasierbicę i przytuliwszy do serca, kołysała pocieszająco.

**Mimo** że chłopcy byli niesforni, nigdy dotychczas nie przynieśli mu wstydu. W ciągu pięciu minut wydusił z nich wyznania.

Kiedy siostra Ernst wysłała męża do sklepu Traugotta Bag-

ge'a, Mathias zaczął dokuczać Annie Johannie, przezywając ją. Ale tylko raz, sprostował Matthias. Dziewczynka się rozpląkała.

Nicholas twierdził, że stanął w obronie siostry. Powiedział, Matthiasowi, że teraz on będzie niańczył nowe maluchy, tak jak przedtem on, Nicholas, pomagał przy śmierdzącej Annie Ślamazarnannie.

- Tak ją przezwałeś? - obruszył się Jacob.

Nicholas działał na obie strony. Był specjalistą w irytowaniu brata i siostry. Rozgrzewał swego wojowniczego ducha ich kosztem. Nie po raz pierwszy Jacob ze smutkiem rozpoznawał jego taktykę, niezupełnie ją rozumiejąc. Nicholas urodził się na żołnierza, od kolebki zwalczał wszelkie przeciwności. Ostatnio interesował się przemarszem oddziałów obydwu walczących armii, nie dbając o to, po czyjej stronie jest racja, lecz o to, czy mundury dobrze leżą na młodych żołnierzach i czy bagnety dobrze wyglądają na karabinach.

A może jego zainteresowanie militariami wzrosło po śmierci matki? Była to jeszcze jedna zagadka, na której odgadywanie Jacob nie miał czasu. Dopóki jej nie rozwiąże, Nicholas pozostanie bratem morawskim pod dachem swego ojca, który przedsięwzięcie odpowiednie kroki, by okiełznać wojowniczą naturę syna, tak jak z trudem okiełznał swoją.

Za karę chłopcy mieli przez miesiąc sprzątać bez wynagrodzenia stajnię brata Meyera.

- Za darmo?! - zaprotestował Nicholas.

Jacob uciszył go spojrzeniem.

Matthias pociągnął ojca za rękaw.

- A co z nowymi maluchami, tato?

- Maluchami? - zapytał Jacob zdumiony.

- Nicholas mówi, że przybędą nam nowe maluchy.

Nicholas przesłał macosze pełne urazy spojrzenie.

- Nowe żony oznaczają nowe maluchy, głup...

- Jeszcze jedno słowo, synu - ostrzegł go Jacob - a znajdę dla ciebie cięższe i bardziej cuchnące zajęcie.

Nicholas zacisnął usta w niemym proteście. Wzdrygnął się,

bo zabolęła go rozcięta warga. Jacob zdusił uśmiech. Pobożny Matthias, chociaż rozłożony na łopatki, celnie mu przyłożył.

Poprowadził chłopców w kierunku stołu, mając zamiar usadzić ich po przeciwnych stronach, tak jak to czynił w domu. Ich braterskie nieporozumienia stały się częstsze po śmierci matki, tym bardziej że ostatnio Jacob więcej przebywał poza domem. Ale ta kłótnia spowodowana została jego ożenkiem i zmianą, jaką wprowadzał w życie rodziny.

Chociaż córeczka przyjęła tę zmianę raczej dobrze.

A właśnie, gdzie ona się podziała? Jacob rozejrzał się wokoło, nigdzie jej nie widząc. Wreszcie ją wypatrzył. Pod stołem, pod przeciwnym jego końcem. Na podłodze i nie samą. Przez chwilę nie mógł uwierzyć oczom.

Serce załomotało mu w piersi. Przycupnięta na piętach Retha, w przekrzywionym czepku, trzymała jego córeczkę w ramionach.

Kołysząc ją.

Zaniepokojony i rozgniewany Jacob przemierzył pokój wielkimi krokami. Nie pozwoli, by Retha wciągnęła jego córkę w to jej... a jeśli to jest szaleństwo?

- To niedopuszczalne.

Ku jego zaskoczeniu, Retha spojrzała na niego boleśnie. A może niewinnie? Nie znał jej dość dobrze, by to odczytać z jej twarzy. Nie sądził, by znajdowała się w transie, tak jak podczas ich nocy poślubnej. A jednak, jakiegokolwiek dziwactwo popełniała teraz, wciągając w to jego dziecko, najwyraźniej pocieszyła Annę Johannę. Jego córeczka była spokojna.

Może przesadził i zranił Rethę do żywego?

Przyjrzał się jej twarzy, szukając odpowiedzi. W jej burztynowych oczach widział jedynie serdeczną troskę o dziecko.

Jednak jej niepokojące zachowanie podczas nocy poślubnej pozostawiło niezatarty ślad w jego umyśle. Kołysząc się, sprawiała wrażenie jakiejś obcej, dziwnej istoty. A teraz znów się kołysała. Z jego córką. Wyglądało to na jakieś celowe działanie. Nie mógł jej powierzyć swego dziecka. Nie teraz.

- Wypuść ją, Retho - powiedział z irytacją.

Retha wstała, trzymając dziecko w objęciach.



- Weź ją - powiedziała, podając mu dziewczynkę. Dobrze wiedział, że nie może jej dotknąć.
- Postaw ją na podłodze. Retha się zawahała.
- Płakała, bo chłopcy...
- Wiem, co powiedzieli chłopcy. Postaw ją. Posłuchała go, wyszeptawszy coś do ucha Anny Johanny. Dziewczynka poważnie skinęła głową, postawiła stopy na podłodze i chwyciła ojca za bryczesy.
- Na Boga, co jej powiedziałaś? - zapytał ostro. Słyszac jego ton, Retha posłała mu spojrzenie zranionej łani. Tracił panowanie nad dziećmi, nad sobą, nad Rethą. A przecież wcale nie myślał, że była w transie. Wierzył, że tego ranka, w przeciwieństwie do nocy poślubnej, dobrze wiedziała, co robi, kołysząc jego córeczkę.
- Nie pozwoli jej na to.
- Powiedz mi. Uniosła głowę i poprawiła przekrzywiony czepek.
- Powiedziałam jej, że jest już dużą dziewczynką i potrafi poradzić sobie beze mnie. Spokojna godność Rethy podziałała na niego jak strumień zimnej wody.
- Przezesął palcami włosy, modląc się w duchu o rozsądek, który pozwoli mu poradzić sobie z jego nieodgadnioną żoną.
- Podniósł z podłogi kawałek glinianego naczynia i obracał go w palcach. Chłopcy przeszli samych siebie, rujnując mały domek Ernstów. Będzie ich musiał przeprosić i przeprowadzić remont. Miał jedynie nadzieję, że brat Samuel nie był obecny przy tej dziwacznej rodzinnej sprzeczce.
- Siostra Eva właśnie wsunęła głowę do pokoju, Samuel stał tuż za nią. Ich pojawienie się w tej chwili i roztropny uśmiech na pulchnej twarzy Evy mówiły, że czekali przed domem.
- Wracamy ze sklepu z naczyniami, które pozwolą przygotować posiłek dla całej armii. Chciałam powiedzieć, całej gromadki - poprawiła się Eva. - Mieliliśmy tylko tyle, ile potrzeba dla nas samych.

Samuel wyminął żonę i serdecznie ścisnął dłoń Jacoba.

- Gratulujemy ci, bracie Jacobie.

- Chcieliśmy, byście przez chwilę zostali sami - dodała Eva - żeby się przywitać.

Jacob odchrząknął. Jego mili przyjaciele puścili w niepamięć złe zachowanie dzieci. Ale on nie potrafił. Prowadzenie negocjacji w sprawie handlu z obydwoma armiami było dla niego łatwiejsze niż utrzymanie rodziny w rękach. Przeprosił gospodarzy za bijatykę, zapłacił za poniesione szkody i skinał na synów, by podeszli do Ernstów.

- Macie coś do powiedzenia bratu i siostrze Ernstom.

Nicholas wzniosł oczy do nieba, ale Matthias skromnie złożył przed sobą ręce.

- Źle zrobiliśmy, bijąc się w waszym domu - powiedział szybko.

- Przepraszam - wybąkał Nicholas, wtórując bratu, ale okazał o wiele mniejszą skruchę. Nicholas, jak dobry żołnierz, powiedział to, co był powinien, niezależnie od tego, co czuło jego serce.

Jacob przyciągnął synów do siebie.

- Poznaliście już siostrę Rethę, a teraz powitajcie ją jako matkę.

Retha poczuła na sobie oczy wszystkich zebranych i omal nie zemdłała. Od czasu owej nocy, gdy Jacob przyłapał ją na placu, nie czuła się tak bardzo nie na miejscu. Co prawda ukrocił wybryki chłopców bez niej, ale gdy zobaczył, że ona pociesza Annę Johannę, odtrącił jej pomoc. Na szczęście prezentacja przebiegła szybko.

Nicholas, który niemal dorównywał wzrostem ojcu, onieśmielił ją wzywającym ukłonem. Matthias, chudszy i bledszy, niż jej się kiedyś wydawało, szurnął nogami i spłonął rumieńcem. Jej pasierbowie, jej nowa odpowiedzialność. Nowe kłopoty. Jeden nie potrafił okazać, że potrzebuje matki, a drugi nie potrafił tego ukryć. Ale mała Anna Johanna promieniała.

Na początku Retha sądziła, że Jacob usadził ich przy stole

jak popadło. Dopiero potem dopatrzyła się w tym metody. Dziecko, ojciec, dziecko, macocha, dziecko.

Taki układ wcale jej się nie podobał. Rozdzielił chłopców, a córeczkę umieścił w taki sposób, by rozdzielała jego i Rethę, żonę od męża. Eva, wniósłszy talerze z waflami oraz grubymi plasterami bekonu, usiadła natomiast tuż obok swego męża.

Tak samo, jak ja powinnam usiąść obok swego, pomyślała Retha. Tymczasem po jednej ręce miała Annę Johannę, a po drugiej Matthiasa. Z udawaną wesołością, pokrywając rozczarowanie, że została tak odsunięta, zajęła się smarowaniem wafli dla pasierbicy. Kiedy podała miód Matthiasowi, ten nie skorzystał. Retha zdała sobie sprawę, że dwaj mężczyźni i dwoje głodnych dzieci, nie licząc jednego niejadka, sprawiali, że posiłek wyglądał zupełnie inaczej niż śniadanie niezamężnych sióstr w *Gemein Haus*. Pochłaniano stosy jedzenia.

Jej mąż, cokolwiek go zaprzętało, cieszył się doskonałym apetytem.

- Moja rodzina wciąż potrzebuje waszej pomocy, bracie Samuelu - odezwał się. Retha zastanawiała się, czegoż to jeszcze może potrzebować rodzina, z wyjątkiem cudu, który odmieniłby dzieci Jacoba. A przecież cuda nie leżały w gestii nocnego stróża.

Samuel spokojnie napił się parującej słodkiej kawy, jaką mogły pić nawet dzieci.

- Pomocy? W czym?

- Chodzi o dogłądanie dzieci. Kiedy jestem poza domem.

- Przecież Nicholas jest prawie dorosły - powiedział Samuel. - A teraz, gdy macie Rethę...

Jacob nie dał mu skończyć.

- Wkoło kręci się tyle wojska.

Kiedy jest poza domem? Retha spojrzała na Jacoba ponad czepkiem Anny Johannę i szybko podniosła wafel do ust, aby pokryć zakłopotanie. Co on ma na myśli, mówiąc, że będzie przebywał poza domem?

I jakaż to pomoc ma jej być potrzebna?

Ożenił się z nią, aby mu pomagała zajmować się dziećmi.

Przecież nie pozbawi jej nowych obowiązków, nie dawszy jej szansy udowodnienia, że potrafi się z nich wywiązać.

Siedzący naprzeciw niej Nicholas energicznie przekroił plaster bekonu.

- Jestem już wystarczająco duży...

- Ale nie wystarczająco dorosły - przerwał mu ojciec.

Samuel mrugnął do Nicholasa.

- We dwóch poradzimy sobie dwa razy lepiej.

Retha, wciąż pomijana, poczuła pierwsze ukłucie gniewu.

- Musisz nam pomóc - upierał się Jacob.

- Pomogę. Zresztą i tak noce spędzam poza domem.

- Za dnia jest niewiele bezpieczniej.

Retha z trudem panowała nad irytacją. Jacob nie miał zamiaru powierzyć jej swoich dzieci ani za dnia, ani w nocy.

- Zajmę się nimi, Jacobie. Jeżeli w pobliżu pojawią się jakiegokolwiek wojska, moja żona i ja od razu zajrzemy do dzieci - zapewnił go Samuel. - Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego musisz się podejmować tych wszystkich zadań - dodał, chytrze mrużąc oczy.

Jacob uśmiechnął się krzywo.

- Chcesz się uczyć angielskiego?

Samuel uniósł ręce.

- Nie ja. Nocny stróż nie musi mówić po angielsku o wiele więcej niż *halt*.

- I tak bym mu nie pozwoliła- stanowczo wtrąciła się Eva. - To, co robisz, bracie Jacobie, jest zbyt niebezpieczne.

Retha nie uważała pracy Jacoba za niebezpieczną. Ale przypomniawszy sobie, jak się bił z rudowłosym mężczyzną, przyznała Evie rację.

Jacob wzruszył ramionami.

- Obecne zadanie nie jest niebezpieczne, wbrew temu, co sądzą wszyscy.

Więc nie grozi mu niebezpieczeństwo, pomyślała Retha. Jeżeli nic nie zagraża Jacobowi, ona także może czuć się bezpieczna. Denerwowało ją jednak, że mąż zupełnie ją lekceważy. Nie podobało jej się, że jest pomijana w rozmowie.

Co gorsza, Jacob daje gospodarzom do zrozumienia, że nowa żona nie potrafi sprostać nowym obowiązkom. W takim razie po co w ogóle się z nią żenił?

- Praca nocnego stróża jest wystarczająco niebezpieczna dla mego Samuela - ciągnęła Eva, kładąc pulchną rączkę na ramieniu męża.

Retha zauważyła jej gest i tym dotkliwiej odczuła niezrozumiałe postępowanie Jacoba. Samuel uśmiechnął się do żony, a Retha zatęskniła za uśmiechem męża. Zastanawiała się, co złego zaszło pomiędzy nią a Jacobem. Gdyby dotknęła go tak, jak Eva Samuela, Jacob odepchnąłby jej rękę.

Jeśli w ogóle by ją dopuścił wystarczająco blisko, by mogła go dotknąć.

Opadła na oparcie krzesła. Samuel Ernst najwyraźniej wariował na punkcie żony. W swoim niepokonionym optymizmie Retha miała nadzieję, że w jej małżeństwie będzie podobnie. Eva dobrze ulokowała swoje uczucia.

A ja, westchnęła Retha, otrzymałam dziwnego partnera, który z niewiadomych powodów w ciągu jednej nocy zapomniał o swojej słodkiej obietnicy, że uczyni mnie szczęśliwą panią swego domu.

Siedząca obok niej Anna Johanna radośnie rozsmarowała miód po swoim talerzu, po czym wysypała okruchy wafla na obrus i na siebie. Retha uprzątnęła nieporządek, pocieszając się, że lubi ją przynajmniej jeden członek rodziny Jacoba.

Matthias rozgrzebywał jedzenie na talerzu.

- Kiedy znowu wyjeżdżasz, papo? - zapytał przygnębiony.

Właśnie, kiedy!?! Retha ukryła niepokój, wkładając do ust nową porcję wafla. Do tej pory sądziła, że wyjazd Jacoba nastąpi kiedyś, w dalekiej przyszłości. Teraz uzmysłowiła sobie, że już wkrótce dzieci pozostaną pod jej opieką.

A raczej opieką brata i siostry Ernstów, którzy, na prośbę Jacoba, będą się również opiekowali Rethą. Na tę myśl puszysty wafel wydał jej się suchy i twardy.

Jacob z namysłem przekroił kawałek wieprzowiny.

- Nie w tym tygodniu, synu. Być może w przyszłym.

Nicholas spojrział na niego z żywym zainteresowaniem.

- Na czym będzie polegało twoje zadanie, ojczu?

- Wojsko domaga się ziarna, któreśmy im obiecali. Mam pojechać do ich garnizonu i oznajmić im, że otrzymają je, gdy tylko młynówka zostanie zreperowana, a nowe koło zacznie działać.

Nicholas energicznie odstawił swój kubek.

- Chciałbym zobaczyć garnizon.

Eva Ernst westchnęła z przerażeniem.

- Mogliby cię wziąć na rekruta, gdybyś przekroczył bramę.

- Jesteś już wystarczająco duży - zażartował Samuel, mniej przejęty grożącym chłopakowi niebezpieczeństwem.

Jacob odłożył widelec i spojrział na przyjaciela.

- Nie zachęcaj chłopaka, bracie Samuelu. Już i tak nabił sobie do głowy, że zostanie żołnierzem.

- Owszem, chcę pójść do wojska - potwierdził Nicholas.

- W zeszłym miesiącu chciałeś zostać rusznikarzem - ofuknął go Jacob.

- I żołnierzem - upierał się Nicholas.

Eva wstała, by podać cynowy talerz z ciastem jagodowym. Nakładając kawałek Nicholasowi, przypomniała mu z uśmiechem:

- Bracia morawscy nie służą w wojsku, Nicholasie.

- Niektórzy chłopcy z Friedlandu poszli do wojska.

- Zostali zaciągnięci siłą - odparł Jacob. - Niektórzy nielegalnie. Ich rodziny zapłaciły potrójny podatek, ale wojsko wycofało się z danej nam obietnicy, więc musimy czynić specjalne starania, by ich zwolniono.

- Co to znaczy wycofać się z danej obietnicy? - zapytał Matthias.

- To znaczy, że zawierasz umowę, a potem jej nie wypełniasz - cicho powiedziała Retha, myśląc o obietnicy, jaką Jacob złożył przy ołtarzu, by potem tak szybko zrezygnować z jej dotrzymania.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

Milczała, grając na zwłokę i zbierając myśli.

- Wyobraź sobie, że jakiś mężczyzna zapytuje los o to,

gdzie ma wybudować dom - powiedziała, patrząc mężowi prosto w oczy. - Los wskazał mu miejsce, ale on stawia dom gdzie indziej. A więc nie wywiązał się z obietnicy posłuszeństwa wobec Boga, którego wyrazicielem jest los. W ten sam sposób możesz nie wypełnić obietnicy danej jakiejś osobie. Dajesz słowo, że coś zrobisz, a potem tego nie czynisz. Rozumiesz?

Jacob wytrzymał jej wzrok, nie mrugnawszy powieką. Retha pomyślała, że pewnie jest zawstydzony. Spostrzegła, że zacisnął szczęki.

- Chyba tak - odparł Matthias.

- Albo inny przykład, Matthiasie - wesoło powiedziała Eva. - Wyobraź sobie, że jakiś mężczyzna zapytuje los, czy ma poślubić proponowaną kobietę, i los mówi „tak”. Wtedy on musi się jej oświadczyć, bo w przeciwnym razie sprzeciwi się obietnicy, że będzie posłuszny woli Zbawiciela.

Retha patrzyła na srogą minę Jacoba. Może jednak nie jest zawstydzony. Raczej żałuje, że ją poślubił.

Ale co się stało, to się nie odstanie.

- Czy tak właśnie poślubiłeś siostrę Rethę, ojczu? - zapytał Nicholas. - Dlatego, że los ci nakazał?

- Nicholasie! - skarcił go Jacob.

- No, co? Tak przecież było. Prawda?

Nie chcąc, by znów ją pominięto w rozmowie, Retha pochwyciła spojrzenie pasierba.

- To nie jest tak, Nicholasie - powiedziała, podejrzewając, że Jacob źle zrozumiał jego intencje. Podczas ślubu Nicholas także wypytywał o szczegóły, nie obraźliwie, lecz z prostej ciekawości. - Mężczyzna, szukający żony, prosi starszą, aby oni wyciągnęli los. Kandydatkę proponują oni albo przyszły mąż. Jeśli los powie „tak”, pytają kobietę, czy jest zainteresowana. Wtedy ona może odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Nicholas zwrócił się do Ernsta.

- Ty tak zrobisz?

Samuel przełknął kęs jagodowego ciasta.

- Wszyscy tak robimy.

Dziękuję ci, Samuele, pomyślała Retha.

- Dlatego, że tak chciałeś? - dociekał Nicholas.
- Bo obydwójce tego chcieliśmy - powiedziała Eva z radosnym uśmiechem. - Dlatego byliśmy posłuszni wobec wyroku losu.

Dziękuję, Evo, pomyślała Retha i utkwiała wzrok w swoim talerzu, nie chcąc patrzeć na Jacoba. Z jagodowego ciasta wyciekał purpurowy sok. Retha lubiła kolor purpury i umiała wyprodukować purpurowy barwnik, ale używała do tego nie czarnych jagód, lecz innych, sobie tylko znanych owoców.

Jacob powinien zastanowić się nad tym, co tu usłyszał, pomyślała rozgniewana. Bo nie wypełnia obietnicy, jaką jej złożył. Szczęśliwa w jego domu. Dobre sobie!

Jeśli nie jej słowa, to wypowiedzi Ernstów powinny mu przypomnieć o jego obowiązkach.

Ktoś energicznie walił do drzwi.

*Liebe Gott* - wymamrotał Jacob.

Godzinę temu wrócili od brata i siostry Ernstów. Myślał o tym, że Eva przypominała mu kwokę, której pisklęta rozbiegły się na wszystkie strony.

Gdy rozległo się stukanie, Matthias był na górze, w swoim pokoju, hałaśliwie poszukując jakiejś bezcennej książki. Nicholas szukał w salonie kredy. Z kuchni dochodziły skargi Anny Johanny, która pozostawiła u Ernstów swoją „toberkę”.

- Dziewczynki nie noszą torebek - cierpliwie tłumaczyła jej Retha. Jacob, wbrew woli, zachwycał się gardłowym brzmieniem jej głosu.

- Należała do mojej prawdziwej mamusi - odpowiedziała Anna Johanna.

Przejęty niegrzeczną odpowiedzią córeczki, Jacob gwałtownie otworzył drzwi, przygotowany na najgorsze.

Rozczochrany brat Marshall dzierżył w dłoni jakieś postrzępione oficjalne pismo. Nie wdając się w zbędne formalności, wpadł do domu i rzekł ściszym głosem:

- Chodzi o twego kuzyna, Andreasa, bracie Blum.



Matthias wrzasnął, że nie może znaleźć książki, a Nicholas odkrzyknął mu, gdzie ma jej szukać.

- Gdzie możemy porozmawiać w spokoju? - zapytał Marshall.

Jacob jednym uchem słuchał swoich synów, drugim przedstawiciela starszyny. Wprowadził Marshalla do salonu i wskazał mu krzesło. Marshall nie usiadł.

- Pytam o to ze względu na ciebie - powiedział.

Jacob wzruszył ramionami. Wszystkie pomieszczenia, z wyjątkiem sypialni, były zajęte.

- To jedyne, co mogę zaoferować. Co mój kuzyn zrobił tym razem? - zapytał, zrezygnowany, spodziewając się jeszcze jednej rozwlekłej opowieści o wyczynach swego nierozsądnego krewniaka.

Andreas Blum mieszkał we Friedlandzie, jednym z osiedli braci morawskich. Nagminnie interpretował ich przepisy na swój własny sposób, lekceważąc podstawową doktrynę, że większość własności jest wspólna. Społeczna własność stanowiła źródło siły i artykuł wiary braci morawskich. Przewinienia kuzyna były wielokrotnie omawiane przez komitet nadzorczy, któremu przewodniczył Jacob.

Do tej pory z trudem udawało mu się przywoływać Andreasa do porządku.

Marshall usiadł i podał Jacobowi pismo.

- Tym razem on sam nic nie przeszkrobał.

Pełen jak najgorszych przeczuc, Jacob przeczytał pismo.

- Powołany. - Trzepnął się pismem po udzie. - Kto przyniósł pismo?

- Jego sąsiad. Jonas Reed.

- Powiedział, do którego regimentu?

- To nie było regularne wojsko - skrzywił się Marshall. - Milicja, Liberty Men.

- Mam nadzieję, że nie oddział Scaife'a.

- Obawiam się, że jego. Związali go i pociągnęli za sobą. - Marshall pochylił się do przodu. - Musisz jechać. Płacił podatki tak samo jak inni. Mamy zapisy w księgach. Możesz go wykupić. Musisz.

Jacob zmiął pismo w dłoni.

- Scaife'a niełatwo przekonać, niezależnie od tego, czy mamy zapisy, czy nie.

- W takim razie jedź do jego zwierzchnika. Scaife jest zaledwie kapitanem. Myślę, że podlega pułkownikowi Armstrongowi z regularnej armii. Ten już raz stanął po naszej stronie.

Z góry słychać było tupot nóg chłopców. Jacob uniósł wzrok do sufitu.

- Za wcześniej, by zostawić ich samych. Nie są na to gotowi. Ja nie jestem gotowy, pomyślał.

Marshall pochwycił jego spojrzenie.

- Ach, właśnie wróciliście od Ernstów? Jak dzieci odnoszą się do nowej matki?

- Bardzo dobrze. Wszyscy doskonale sobie radzimy. - Jacob wstydliwie skrywał emocje, zastanawiając się nad tym, jak wielkim grzechem jest jego kłamstwo.

- Bracie Blum, gdyby mógł pojechać ktoś inny, z pewnością bym go wysłał.

- Wiem.

- Brat Bagge właśnie wrócił z Pensylwanii, a ja...

- Pojadę. Andreas jest moim kuzynem i wiem, co trzeba zrobić.

- Zbiorę dowody i napiszę list do pułkownika.

Jacob skinął głową i od razu zaczął planować podróż.

- Mogę wyjechać za godzinę. Najpierw muszę odprowadzić chłopców do szkoły, a potem poinstruować...

Poinstruować żonę, pomyślał, o jej obowiązkach. Muszę jej powiedzieć tysiące rzeczy na temat każdego z dzieci.

Brat Marshall spojrział na niego ze zrozumieniem.

- Teraz masz przynajmniej z kim zostawić dzieci. Siostra Mary Margaretha zajmie się nimi. Możesz na niej polegać.

Jacob nie okazał powątpiewania i odprowadził Marshalla do drzwi.

Siostra Mary Margaretha. W czasie wizyty u Ernstów miała czelność czynić mu wymówki. Podczas wspólnego śniadania nie miał czasu przemyśleć wszystkich jej znaczących spojrzeń,

wyjaśnień, dotyczących niedotrzymywania obietnicy, jej podejranej serdeczności wobec Anny Johanny.

Przeszedł do kuchni.

- Muszę teraz porozmawiać z twoją nową mamą, kluseczko - powiedział i już miał ją pociągnąć za jasne włoski, gdy przypomniał sobie, że nie wolno jej dotykać. - Czy możesz pójść na górę i przynieść nam łożowe lampki na wieczór?

Anna Johanna podreptała po schodach, dumna, że ma do wykonania ważne zadanie.

Jacob zwrócił się ku żonie. Jej bursztynowe oczy lśniły w jasnym popołudniowym słońcu. Usiadła wyczekująco przy stole. Jacob poczuł nieoczekiwaną i niechcianą żądzę.

Jak to możliwe, by wyglądała tak niewinnie po dziwnym zachowaniu podczas poślubnej nocy i po podejrzanych zbiegach wobec Anny Johanny? Była obłąkana czy tylko zdenerwowana w pierwszym przypadku i niezręczna w drugim? Skąd miał to wiedzieć?

Retha uśmiechnęła się słodko. Jak mógł, wiedząc o niej to, co wiedział, i widząc to, co zobaczył, jak mógł jej pożądać?

- Właśnie się dowiedziałem, że mam do wypełnienia ważne zadanie - powiedział szybko, zadowolony, że Retha nie może czytać w jego myślach. - Muszę wyjechać jeszcze dzisiaj i zostawić cię z dziećmi. Oczywiście, powiem Ernstom, zajmą się wami. Ale gdyby dzieci były zbyt...

- Jakie zadanie? - spytała z wielkim spokojem.

- Chodzi o mego kuzyna, Andreasa Bluma. Znasz go?

- Och, tylko ze słyszenia. Jest chyba nieżonatym bratem. - Jej oczy zabłyśły przekornie. Nieżonaci bracia i niezamężne siostry mieszkali oddzielnie.

Jacob uśmiechnął się. Oczywiście, nie miała wiele wspólnego z kłopotliwym kuzynem.

- Tak, zgadza się. Właśnie został powołany przez kapitana Scaife'a. Andreas i ja rzadko się widzimy poza wypadkami, kiedy muszę go ratować z jakichś opresji. On będzie się im stawiał, a opierając się, pogorszy tylko swoją sytuację.

- W takim razie musisz jechać. - Retha ścisnęła jego dłoń,

oferując pociechę, lecz jej nieoczekiwany dotyk przejął go ogniem. - Poradzimy sobie.

- Zawiadomię siostrę i brata Ernstów. Nic nie wiesz o dzieciach.

- Znam ich imiona i wiem, które gdzie śpi. Umiem gotować i wiem, gdzie mieszkają Ernstowie, w razie gdybym miała jakieś pytania - powiedziała. - Znam również brata Schoppa i siostrę Baumgarten, i Marshallów, i w razie potrzeby zwrócę się do nich o pomoc - ciągnęła.

W jej głosie brzmiały szczerłość i rozsądek. Chciał jej zaufać. Była zbyt otwarta, zbyt dzika, by coś knuć. A teraz jeszcze brat Marshall zapewnił go, że może jej ufać. Może powinien jej dać szansę. Jej logiczna litania brzmiała uspokajająco.

- A poza tym - dodała, nie mrugnawszy okiem pod jego baczny spojrzeniem - siostra Rosina nauczyła mnie wiele na temat dyscypliny.

Jacob się roześmiał. Była zbyt rozsądna na osobę obłąkaną.

- W takim razie w porządku. Zabiorę chłopców do szkoły.

Zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Spojrzał na nią, zdziwiony.

- Znam drogę do domu brata Schoppa - powiedziała. - Skoro to takie pilne, powinienesz wyruszyć od razu.

W końcu się zgodził. Retha sprawiała wrażenie przygotowanej i chętnej do pełnienia swej nowej roli. Szybko oprowadził ją po domu, powtarzając wszystko, co powinna wiedzieć. Następnie wspiął się po schodach do dziecinnych pokoi i przypomniał im o obowiązkach i o tym, że mają okazywać posłuszeństwo macosze.

Zgodnie z oczekiwaniami Jacoba Nicholas zachowywał się buntowniczo, być może dlatego, że wołałby pojechać z ojcem, niż zostać w domu z obcą kobietą. Zamknięty w sobie Matthias słuchał ojca, siedząc ze złożonymi na kolanach rękami. Anna Johanna, jak ostatnio zazwyczaj, sprawiała wrażenie zagubionej.

Na dole, przy drzwiach wyjściowych, Retha podała Jacobowi kapelusz, sakiewkę z pieniędzmi oraz woreczek z prochem. Był pełen podziwu, że tak szybko weszła w rolę przykładnej, kochającej żony.

- Uważaj na siebie, Jacobie - powiedziała z przejęciem.

Ach, z jaką przyjemnością słuchał, jak z własnej woli zwracała się do niego po imieniu.

Niespodziewanie wspięła się na palce i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- I wracaj do rodziny cały i zdrowy.

Wyszeptała te słowa z ustami tuż przy szyi Jacoba, przywierając do niego gorącym, ponętym ciałem.

Jacob nie zastanawiał się nad motywami jej postępowania. Odszukał jej usta i złożył na nich szybki, palący pocałunek, bo na nic więcej chyba mu nie pozwoliła.

A on więcej by nie zniósł.

# 6

Retha zamiatała podwórze, walcząc z pyłem. Wiedziała, że praca w takim upale nie ma sensu. Ale na niebo wypełzła złudna chmura, a Retha poczuła, że roznosi ją energia i ani chwili dłużej nie wysiedzi w *domu*.

Był to jej pierwszy dzień w roli matki dzieci Jacoba i robiła, co w jej mocy, by nie poniosła jej złość. Przed ósmą rano zapędziła chłopców do brata Schoppa na lekcje, nawarzyła polewkę oraz gar fasoli i wyszła na wolną przestrzeń, żeby dać upust nadmiarowi energii. Ale tylko na chwilę. Anna Johanna także wybiegła na podwórze i, chwyciwszy małą miotełkę, naśladowała każdy ruch Rethy.

Poprzedniego dnia nagły wyjazd Jacoba najpierw zdziwił Rethę. Jak może ją opuszczać zaraz po ślubie? A na dodatek, mówiąc jej o tym w ostatniej chwili? Niedowierzenie zmieniło się w gniew, gdy w przyspieszonym tempie oprowadzał ją po domu, pokazując dzieciinne pokoje, ich szafę i łóżka, a potem kuchnię i przyrządy do gotowania, a wreszcie piwnicę, w której znajdowały się zapasy żywności. I bez przerwy zarzucał ją informacjami: Anna Johanna nie może pić mleka, Nicholas nie jada fasoli. Matthias miewa koszmarne sny.

Wbrew obawom Jacoba dzieci zachowywały się bardzo dobrze. Brat i siostra Ernstowie byli obecni przy każdym posiłku. W miarę jak Retha pojmowała, na czym polega plan jej męża, odczuwała coraz większy gniew. Ernstowie mieli ją kontrolować!

Skończywszy zamiatanie podwórka, Retha oparła się na miotle i westchnęła z oburzeniem. Anna Johanna także oparła się o swoją małą miotełkę i westchnęła równie głęboko i przeciągle. Na widok dziecka, które tak wiernie ją naśladowało, Retha się rozchmurzyła.

- Nawet węże nie znoszą takiego upału - mruknęła, ocierając pot z czoła.

- Jak to? - spytała Anna Johanna, mrużąc fiołkowe oczy.

- Węże lubią się wygrzewać na słońcu, kochanie, ale rozpalone słońcem kamienie są za gorące nawet dla nich. Dotknij ich, a poczujesz. - Retha uklękła i przyłożyła dłoń do rozgrzanych płyt, którymi wyłożone było niewielkie podwórko, służące dzieciom do zabawy, a gospodyni do suszenia wypranej bielizny. Anna Johanna także przyklękła i dotknęła kamieni.

- Ojej! Poparzyłyby sobie brzuszki! - pisnęła, przesadnie potrząsając ręką. Retha patrzyła na nią, rozbawiona.

- Otrzępmy się z pyłu i chodźmy do domu napić się wody.

Anna Johanna otrząsnęła się jak wychodzący z wody spaniel. Retha zabrała obie miotły i poszła za dziewczynką do domu.

Mrugając powiekami w mrocznej kuchni, Retha zanurzyła w wiadrze sporządzony z tykwy czerpak, napełniła go wodą i podała Annie Johannie, aby się napiła. Dziewczynka skwapliwie chwyciła tykwę brudnymi rączkami. Retha pomyślała, że jej stopy w powykręcanych trzewikach także muszą być czarne od brudu. Speszony Jacob wyjaśnił żonie, że siostra Eva daremnie usiłowała wykapać jego córkę przed ślubem. Bała się, że dziewczynka dostanie jednego ze swoich napadów.

Anna Johanna oddała jej tykwę i Retha spostrzegła brud za paznokciami dziewczynki. Piła wodę, zastanawiając się, jak poradzić sobie z tym problemem. Brudne dziecko dawało złe świadectwo swemu ojcu i nie będzie powodem do dumy dla Rethy. Najwyraźniej niechęć dziewczynki do kąpieli nie wynikała ze strachu przed wodą. Jacob nie powiedział jej, co było powodem dziwnego zachowania córki. Być może, sam nie wiedział.

Retha uśmiechnęła się. W jej głowie kiełkował nowy plan.

- Wiesz, co teraz zrobimy? - spytała z tajemniczą miną, którą przybierała, mając do czynienia z młodszymi siostrami.

- Pobawimy się lalkami - zaszczębiotała Anna Johanna.

- Nie. - Retha czekała na dalsze sugestie.

Dziecko posmutniało.

- Pobawimy się w wojsko?

- Och, nie, tylko nie to!

- Więc co będziemy robić?

- Pobawimy się w zrywanie fasolek w ogrodzie, a potem w mycie ich w strumieniu.

Anna Johanna zmarszczyła brwi i zastanawiała się nad propozycją.

- Zawsze myjemy je tutaj...

- Oczywiście. Ale czy mycie w strumieniu nie będzie lepszą zabawą?

Anna Johanna nawinęła na palec kosmyk włosów.

- Zrywanie to żadna zabawa.

- Myślę, że to raczej praca - zgodziła się Retha. - Ale mycie w strumieniu to zabawa.

Retha miała wrażenie, że dziewczynka nie bardzo się kwapi do proponowanego zajęcia. Może to nie jest dobry pomysł? Może jednak mała boi się wody?

- Nie musisz tego robić. Trzeba by wejść do wody i się zamoczyć.

- Bardzo? - głos Anny Johanny zdrzął z niepokoju.

- Nie wiem - odparła Retha od niechcenia, aby jej nie niepokoić. - Woda będzie nam sięgać najwyżej po kostki.

Anna Johanna poważnie pokręciła głową.

- Mama nie pozwoliłaby nam bawić się w potoku.

- Ze mną wolno ci się bawić w potoku.

- Nie. Nie mogę. Ubłociłam się, mama zachorowała, a tata na mnie nakrzyczał.

- Tym razem tata nie będzie na ciebie krzyczał. Nie pozwolę mu na to.

Anna Johanna spojrzała na nią z powątpiewaniem.



- I będziemy mogły spłukać błoto - zapewniła dziewczynkę. - Chodź.

- To znaczy, teraz?

- Jak tylko nazrywamy fasoli.

Zrywanie fasoli okazało się niełatwe. Retha zorientowała się, że Anna Johanna jest jeszcze zbyt mała. Dziewczynka wrywała całe roślinki z liśćmi i ze strączkami. Retha szybko zreorganizowała pracę. Sama zrywała strączki i podawała je pasierbicy, aby układała w koszyku. Zerwała dwie garście dla Nicholasa, jedną dla siebie i, biorąc pod uwagę ich niewielki apetyt, jedną do spółki dla Anny Johanny i Matthiasa. Następnie wstała i się przeciągnęła.

- Wystarczy. Teraz chodźmy nad potok.

Anna Johanna także wstała i, naśladowując macochę, przeciągnęła się. Następnie chwyciła palec Rethy i podreptała z nią nad potok. Retha z wdzięcznością powitała jej gest.

Płynący powoli potok symbolizował dla Rethy granicę pomiędzy jej obecnym a dawnym życiem z plemieniem Czirokezów. Przypominał jej pełną prostoty egzystencję. Pranie w baliach z pewnością rozbawiłoby Indian, którym całkowicie wystarczał potok. Zdumieliby się na widok skomplikowanego systemu podziemnych rur, pomp i zbiorników, pracowicie zaplanowanego i wybudowanego przez jej męża.

Niezależnie od wspomnień, które w niej budził, potok doskonale nadawał się do celu, jaki chciała osiągnąć.

Dziewczynka ukłękła na piaszczystym brzegu. Istna miniaturka ojca. Myła strączki po jednym, jakby to były bezcenne skarby. W tym tempie, obliczyła Retha, będziemy je myły do końca dnia. Ale rączki Anny Johanny zrobią się czyste. Jednak do powrotu chłopców na południowy posiłek zostało niewiele czasu.

- Spróbuj myć po kilka naraz - podsunęła jej Retha, zsuwając buty i wchodząc do płytkiej wody.

- Jak? - spytała Anna Johanna, dokładnie płucząc strączek.

- Popatrz. - Retha wzięła kilka strączków, zanurzyła dłonie w potoku i potrząsnęła nimi, rozchlapując wodę.

Oczy Anny Johanny zabłyśły zainteresowaniem.

- Teraz ja?

- **Ty.**

Dziewczynka zanurzyła pulchną piąstkę w wodzie. Jej skwapliwość zachęciła Rethę. Podała jej trzy strączki.

Anna Johanna potrząsnęła rączkami w wodzie i odłożyła wymyte strączki.

- A jeśli jakiś mi ucieknie? - spytała, biorąc następną garść strączków.

- Będziemy musiały wejść do potoku i *go* złapać.

Anna Johanna się zamyśliła. Spoglądając na Rethę, rozwarła paluszki, jakby uwalniała motyla. Strączki upadły na dno i popłynęły z prądem. Dziewczynka przygryzła wargi i z przejęciem ruszyła za nimi.

Retha ją zatrzymała.

- Zdejmij buty - powiedziała radośnie. - I pończoszki.

Anna Johanna sprawnie zdjęła buciki, zsunęła pończochy i rzuciła je na brzeg. Spoglądając na Rethę, uniosła spódnice i z pluskiem weszła do wody.

Wcale się nie bała, była zachwycona! Retha poszła za nią. Przebiegłszy spory kawałek w dół strumienia, Anna Johanna złapała pierwszy strączek. Wydawszy okrzyk podobny do wojennego, wypuściła obrąbek brudnej spódnicy i z pluskiem ukucnęła w wodzie.

Co ją odstraszało od kąpieli? - zastanawiała się Retha, przyglądając się rozradowanej dziewczynce. Ani śladu strachu przed wodą czy przed gniewem ojca. Jacob uwielbiał dziewczynkę. Retha nie mogła uwierzyć, że krótka kąpiel w strumieniu przyniesie tak doskonałe wyniki.

Anna Johanna pisnęła jeszcze raz, wysoko i przenikliwie. Usiadła na dnie, w głównym nurcie potoku, unosząc zwycięsko piąstki ze strączkami. Spódnica wydymała się w wodzie jak kapelusz wielkiego grzyba.

- Nic ci się nie stało? - spytała Retha, podbiegając do niej.

- Jestem cała mokra - odparła dziewczynka z uszczęśliwionym uśmiechem.

- Nie da się ukryć - śmiejąc się, odparła Retha.
- Anna Johanna wypuściła strączki i przyskała na siebie wodą.
- Co my teraz z tobą zrobimy?
  - Rozwieszisz mnie, żebym wyschła!
  - Niby jak? - spytała Retha.

Anna Johanna nie wiedziała. Retha także nie miała pomysłu. Jacob wyraźnie zapowiedział odjeżdżając: „Żadnych kąpeli przed moim powrotem”. Ale widząc tak szybkie postępy, zaproponowała dziewczynce:

- Po powrocie do domu możesz włożyć suchą sukienkę.

Anna Johanna energicznie pokręciła głową.

- Muszę nosić tę sukienkę.

Musi nosić tę sukienkę? - dziwiła się Retha. Musi?

- Co powiesz na tę ładną fioletową sukienkę? - zaryzykowała. - Pasuje do twoich oczu.

Anna Johanna siedziała w wodzie, pieczołowicie myjąc odzyskany strączek. Retha poczuła się bezsilna wobec milczącego uporu pasierbicy. Musiała przyznać, że niewiele wie o matkowaniu i o potrzebach małej dziewczynki.

Nie mogła pojąć, dlaczego mała tak bardzo ukochała starą, znoszoną, brudną, a w tej chwili moką, sukienkę. Ani dlaczego nie chce jej zamienić na czystą i suchą.

A więc potrzebna jest jej nowa, pomyślała Retha i nagle przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł. Anna Johanna pomoże jej wybrać materiał i uszyć z niego sukienkę.

- Myślę, że przydałaby ci się nowa sukienka, tłuścioszku. Niezwykła sukienka.

Nie zwracając na Rethę uwagi, Anna Johanna przyklepywała wydetą spódnice, tak aby zmoczyć ją całkowicie.

- Niezwykła? - wymamrotała wreszcie.

- Uhum. - Retha zamilkła, udając, że się zastanawia. - Coś naprawdę nadzwyczajnego.

Anna Johanna spojrzała na nią niedowierzająco.

Retha zdawała sobie sprawę, że aby zrezygnować z ulubionej, spłowiałej sukienki, Anna Johanna musi dostać coś naprawdę wyjątkowego.

Co ja najbardziej lubiłam nosić w dzieciństwie? - zastanawiała się Retha.

No tak. Przedziwna miękkość pierwszej sukienki z jeleniej skóry. Lubiła je wszystkie, nawet tę ostatnią, którą dostała tuż przed utratą swojej indiańskiej rodziny. Osierocona, błakająca się po okolicy, żałowała, że sukienka tak szybko się rwie, a potem płakała, gdy zabrały ją siostry.

- Myślę, że mogłaby ci się spodobać sukienka ze skóry jelenia, jaką nosiłam, mieszkając wśród Indian - powiedziała.

Anna Johanna wstała, ociekając wodą.

- Dla mnie?

Po posiłku Retha udała się do sklepu brata Bagge'a, aby wybrać odpowiednie skóry na sukienkę dla Anny Johanny. Przejęta dziewczynka kręciła się wokół. Retha wiedziała, że wybór skóry nie będzie trudny. Niezależnie od tego, gdzie przeszła kula, zawsze da się wyciąć niewielkie kawałki na sukienkę. Lecz nie spieszyła się, pozwalając, by Anna Johanna sama wybrała sobie skórę i by ona sama ochłoneła z gniewu.

Tak jak było zapowiedziane, podczas posiłku nadeszli brat i siostra Ernstowie. Znowu. Retha, pewna, że Jacob kazał ją śledzić, złościła się na jego brak zaufania. Jak będzie mogła stać się prawdziwą matką dla dzieci Jacoba, jeśli on nie da jej szansy?

Już ona mu wygarnie, kiedy wróci.

Wybrawszy skóry, pozwoliła Annie Johannie zwinąć zakup i ponieść do domu. Jednak zawiniątko okazało się zbyt ciężkie dla dziecka i Retha zarzuciła je sobie na ramię.

W drodze do domu wstąpiła do Ernstów, by porozmawiać z przyjaciółką. Z powodu upału drzwi stały otworem. Retha weszła, zawołała i pociągnęła nosem. Wrzący łój. Latem. Niestłuchane. Poszukując źródła zjełczałego zapachu, przeszła przez dom i znalazła się na tylnym podwórzu.

Eva Ernst zerwała się z długiej ławy, na której leżało kilka białych, ociekających tłuszczem brył.

- Jest zbyt gorąco, żeby się babrać w łożu - powiedziała, ocierając łzy z zaczerwienionej twarzy. - Nie da się z niego uformować świec.

Retha poklepała pocieszająco jej dłoń, nie chcąc przypominać roztargnionej przyjaciółce, że łożowe świece robi się wyłącznie w chłodne dni.

- O wiele lepiej radzę sobie z dziećmi - powiedziała Eva, wycierając nos w fartuch.

- Możesz używać łożowych lamp - spokojnie doradziła jej Retha.

- Wiem, wiem. Ale właśnie stłukłam naszą lampę. Chciałam być sprytna i zrobić świece. Są nam potrzebne. Samuel wpada do domu o różnych porach nocy. Siostry nie nauczyły nas wszystkiego.

Retha skinęła głową ze zrozumieniem.

- Też się o tym przekonuję.

- Miałaś nadzieję, że się od nich dowiesz wszystkiego na temat życia małżeńskiego? - spytała Eva, a jej oczy nagle rozbliły.

Retha wzruszyła ramionami z zakłopotaniem. Miała nadzieję na miłość, ale wyglądało na to, że odnalazła ją tylko Eva.

- To dopiero początek... ja... mój mąż... nie umiem tego powiedzieć, Evo.

W samotności porzuciły oficjalny sposób, w jaki zwracali się do siebie bracia morawscy, i rozmawiały jak przyjaciółki z czasów dzieciństwa.

- Możesz mi wszystko powiedzieć - zachęciła ją Eva z uśmiechem.

Retha potrząsnęła głową. Nie mogła oskarżyć męża o to, że kazał ją szpiegować, ani przyjaciółki o to, że ją szpiegowała. Pomacała bryłę łożu.

- Może stwardnieć w piwnicy.

Eva także jej dotknęła.

- Ależ ty jesteś praktyczna - powiedziała z podziwem.

Patrząc, jak przyjaciółka z trudem formuje świece, Retha podjęła decyzję.

- Jacob boi się powierzyć mi swoje dzieci, prawda? - spytała szybko.

- Nie, Retho! Wcale nie.

Ale Recie wydało się, że Eva sprawia wrażenie zakłopotanej.

- Chcę, żebyście przestali nas odwiedzać podczas nieobecności mego męża.

- Ależ my bardzo lubimy te wizyty. Kochamy wasze dzieci. I dobrze je znamy.

- Ale ja ich nie znam. I w ten sposób nigdy ich nie poznam.

- Z czasem poznasz. Nie ma pośpiechu.

- Może i nie ma. Ale chcę być z nimi sama. A wy nie będziecie mieli kłopotu z odwiedzaniem nas.

- To żaden kłopot - upierała się Eva.

- Proszę cię, Evo. Inaczej do nich nie dotrę. Muszę pokazać Jacobowi, że nadaję się na ich matkę.

Eva skupiła się na ugniataniu opornego łożu na tacy.

- Mamy was odwiedzać podczas każdego posiłku - powiedziała spokojnie.

Żal Rethy zmienił się w gniew.

Jacob powinien był ją uprzedzić.

Nie uczynił tego. Wspomniała jego pośepny humor po nocy poślubnej i poczuła się jeszcze gorzej. Był na nią zły nawet wtedy, gdy pocieszała Annę Johannę. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie chciał jej dać szansy. Czyżby się obawiał o bezpieczeństwo dzieci, pozostawionych pod jej opieką?

Jacob był bardzo opiekuńczy. Serce Rethy zmiękło, gdy przypomniała sobie, jak położył jej dłoń na ramieniu, chroniąc ją przed żołnierzami brytyjskimi. Ale nie miał jej wtedy powodu bronić, tak jak teraz nie miał powodu, by się niepokoić o dzieci. Inaczej było owej nocy, gdy przed laty znalazł ją brudną, okradającą sklepy braci morawskich. Lecz kogo wówczas ochraniał? Ją czy swoją społeczność? Bronił się wtedy zaciekle. Po tym zdarzeniu członkowie gminy uważali ją przez jakiś czas za dziką, niebezpieczną Indiankę. Niektórzy do dziś.

Możliwe, że Jacob także.

Jacob i Eva, i jej mąż. A więc o to chodziło. Nikt jej nie ufał, ponieważ przez wiele lat mieszkała wśród Indian. Mogli jej powierzyć farbowanie swoich ubrań i pranie bielizny, ale nie matkowanie ich dzieciom.

Rozgniewana, wstała z drewnianej ławy i spojrzała przyjaciółce prosto w twarz.

- Nie przychodźcie dziś na kolację.

Eva zmarszczyła brwi. Wyraz jej twarzy przypominał Recie wszystkie nieufne spojrzenia, jakimi obdarzali ją bracia morawscy po tym, jak Jacob Blum przyłapał ją na kradzieży.

- Jeśli uznam za stosowne oskalpować dzieci, na pewno poproszę cię o pozwolenie - powiedziała, dając upust całemu nagromadzonemu w niej poczuciu niesprawiedliwości.

Tego samego dnia, nieco później, zadyszani chłopcy wpadli do domu, uciekając przed nagłym deszczem. Na kuchennym stole leżały kawałki pociętej już skóry jelenia. Na ich widok Nicholas i Matthias wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie potrzebujemy kamaszy - powiedział Nicholas, otrzepując zmoczoną kurtkę. - A już na pewno nie latem.

- Ojciec już ma getry do konnej jazdy - poinformował ją Matthias, wieszając swoją kurtkę obok kurtki brata.

Retha miała się na baczności. Jak ma odpowiedzieć na wyzywające zachowanie pasierbów? Zaciekawieni i pełni krytycyzmu, wystawiali ją na próbę. To może być szansa utwierdzenia jej pozycji w domu. Nie mając pewności, czy stanie na wysokości zadania, wyprostowała plecy, naśladując Rosinę Krause, która wychowywała małe dziewczynki.

- Ona szyje dla mnie jelenią sukienkę! - zawołała Anna Johanna, wystawiając głowę spod stołu, gdzie bawiła się na podłodze.

Matthias podszedł do stołu i dotknął skóry z niekłamany zainteresowaniem.

- Indiańską sukienkę?

Nicholas, nie zwracając uwagi na skórę, spojrział na Rethę z niesmakiem.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział autorytatywnym tonem.

- Owszem, mogę - odparła. Ale jego ton zaskoczył Rethę. Matthias cofnął rękę.

- Już i tak jesteśmy pośmiewiskiem - powiedział, zwiesiwszy głowę.

Retha sięgnęła po ściereczkę, uniosła z garnka pokrywkę i zamieszała fasolę. Musi sprawę wyjaśnić. Kogo Matthias uważa za pośmiewisko? Z pewnością nie siebie samego. Ani swego brata. Ten *bona fide* podżegacz skupiał na sobie uwagę, ale nikt się z niego nie naśmiewał. Matthias musi mieć na myśli siostrę, z powodu jej brudnej sukienki.

Odczuła przypływ współczucia dla nieszczęsnego dziecka. Anna Johanna była jeszcze zbyt mała, by to zrozumieć. A Jacob nie pozwoli chłopcom, by się z niej otwarcie nagrywali.

Fasola już zmiękła. Retha ustawiła ciężki garnek na stole i nakazała chłopcom, aby usiedli. Posłuchali jej, a ona stanęła nad nimi, odczuwając gniew i niepokój.

- Wytłumaczcie mi, o co wam chodzi.

Nicholas łypnął na nią okiem, lecz Matthias unikał jej wzroku.

- Matthias? - zwróciła się do chłopca, który wspominał o pośmiewisku.

Rozwalony przy stole Matthias zacisnął wargi.

- Nicholas? Chodzi o waszą siostrę?

- Nie, nie o nią - odparł Nicholas, wciąż na nią łypiąc.

Retha pochwyciła jego spojrzenie i nagle pojęła.

- Chodzi o mnie.

- Nie prosiliśmy, aby naszą matką została squaw - burknął Nicholas.

Retha poczuła, że w jej sercu otwierają się zablźnione rany. Wracają dawne przesady. Mała squaw. Zona squaw. A teraz to samo czeka jej przybrane dzieci. Zastanawiała się, czy Jacob



zdawał sobie sprawę, że urąganie znowu się zacznie. Ona nie. Wiedziała, że dzieci bywają okrutne, ale sądziła, że wszyscy jej gnębiciele już dorośli. Najwyraźniej ich miejsce zajęli nowi. Dla dobra rodziny powściągnęła rozgoryczenie i gniew.

- Nigdy nie byłam squaw, Nicholasie - udało jej się powiedzieć spokojnym tonem, podczas gdy nakładała fasolę do misek i niosła je do salonu. Kiedy wróciła do kuchni, Nicholas znowu na nią spojrział. - Powiedz mi, co się stało.

- Nic się nie stało - warknęła.

Matthias splótł palce pobożnym gestem i oparł ręce na blacie stołu.

- Thomas Baum...

- Nic się nie stało - przerwał mu Nicholas i zamilkł. Retha przypomniała sobie, że tak samo zachowywała się, gdy wypytывała ją siostra Rosina.

- Czasami ludzie nie wiedzą, że sprawiają innym przykrość, Nicholasie - powiedziała.

- Nikt mi nie sprawił przykrości - odburknęła.

Ale wyglądał na zranionego. Podobnie jak jego ojciec. Może łatwiej mi będzie pomóc synowi, pomyślała Retha.

- Nie możemy powstrzymać ludzi od opowiadania różnych rzeczy, ale nie musimy w nie wierzyć.

Nicholas wywrócił oczami.

- Dorastałaś wśród Indian.

- Tak, i bardzo ich kochałam.

- Kochałaś Indian? - zapytał Matthias z niedowierzaniem.

- Moja indiańska rodzina była dla mnie bardzo dobra - powiedziała Retha, podając chłopcom cynowe sztucce, aby nakryli do stołu w salonie.

Nicholas się boczył, ale Matthias, pomimo szczęku sztucców, chciał usłyszeć coś więcej o Indianach. Retha z ulgą opowiedziała mu o swoim życiu wśród Czirokeezów. Były to historie, za którymi przepadały małe dziewczynki w *Gemein Haus*. Matthias także słuchał jak urzeczony. Jednak Nicholas zasiadł do stołu z wyraźną niechęcią i unikał wzroku Rethy.

Matthias ułożył fasolki w szeregu i spojrzał na Rethę.

- Miałaś jakieś indiańskie imię?

- Miałam - powiedziała powoli, zauważając, że Matthias je fasolę po jednym ziarnku. Nic dziwnego, że jest taki chudy, pomyślała. - Nazywali mnie Błądzącą Zgubą.

- Ja także się zgubiłam - wtrąciła Anna Johanna. - Na łące...

- Dlaczego nazwano cię Błądzącą Zgubą?! - Matthias przekrzyczał głosik siostry, bardzo zainteresowany egzotycznymi indiańskimi imionami.

- Opowiadali, że mnie znaleźli samą obok chaty w lesie. Błądzącą i zagubioną. Tak właśnie wybierają imiona dla swoich dzieci, od czegoś, co się zdarzyło, gdy się rodziły - powiedziała Retha, zmieniając temat.

Nachmurzony Nicholas uśmiechnął się złośliwie.

- Ciebie nazwaliby Szczury w Piwnicy - powiedział, zwracając się do siostry.

Anna Johanna skrzywiła się zakłopotana.

- Nicholas! - skarciła go Retha. Brakowało tylko tego, żeby jedno dziecko się daśało, drugie nic nie jadło, a trzecie płakało.

- Bo były szczury - upierał się Nicholas. - Ojciec i ja łapaliśmy je w nocy, kiedy się urodziła.

Retha stłumiła uśmiech na myśl, że jej duży, pełen godności mąż uganiał się po piwnicy za szczurami.

- Myślę, że Indianie nadaliby ci imię Gwiazdzista Noc, Anno Johanno.

Ułagodzona dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało.

- Ładnie.

- Ja otrzymałbym imię Zrodzony na Wozie - z dumą obwieścił Matthias.

Zdumiona Retha zamruwała powiekami. Tak mało wiedziała o swojej nowej rodzinie.

- W wozie! Naprawdę?

- Kiedy przenosiliśmy się tu z Pensylwanii - zachichotał. - Ale tego nie pamiętam.

Nicholas parsknął pogardliwie na głupi żart brata.

- A ty jakie miałbyś imię, Nicholasie? - spytała Retha i w tej samej chwili przyszło jej do głowy, że nazwano by go Dymiący Muszkiet.

Nicholas pogardliwie pokręcił głową. Najwyraźniej nie miał ochoty przyłączyć się do ich zabawy.

Ale Matthias nie dawał za wygraną, odstawiając swój prawie pełny talerz.

- Miałas przybraną indiańską matkę?

- Można tak powiedzieć. Mieszkałam w indiańskiej rodzinie, która traktowała mnie tak jak swoje pozostałe dzieci.

- Jak miała na imię? - wyszeptała Anna Johanna.

- Śpiewające Kamienie.

Anna Johanna westchnęła z zachwytem.

- Ładnie. Czy ja mogłabym mieć na imię Śpiewające Kamienie?

Retha pstryknęła ją w czubek nosa.

- Możesz mieć imię, jakie tylko zechcesz, pączuszk.

Obydwaj chłopcy jęknęli.

Kiedy wszyscy, z wyjątkiem Matthiasa, opróżnili swoje naczynia, Retha postawiła na stół miskę czarnych jagód.

Matthias niecierpliwie machnął ręką, mimo że spoglądał na nie z apetytem.

- Więcej zostanie dla nas, Matthiasie - zażartowała Retha, która poczuła się lepiej pomimo złego humoru Nicholasa.

Jej żart przeszedł bez echa. Matthias złożył dłonie i przyglądał się palcom.

- Jak mamy się do ciebie zwracać? - zapytał nagle.

- Matko? - spytała Anna Johanna drżącym głosem.

- Nie! - zawołali obaj chłopcy unisono i wymienili spojrzenia. Musieli wcześniej przedyskutować sprawę, pomyślała Retha.

- Mówiliśmy „matko” do naszej matki - oświadczył Nicholas.

- Oczywiście - powiedziała Retha, głęboko wzdychając. - Myślę, że powinniście zwracać się do mnie „matko Retho”.

- Nie - zaprotestowali obaj chłopcy.

Nicholas wstał od stołu i pochylił się do przodu, opierając dłonie na blacie. Był niemal tak wysoki jak jego ojciec.

- Nie „matko” - powiedział pogardliwie. - Nie jesteś naszą matką. Nasza matka nie żyje.

- Jestem żoną waszego ojca i będę wam matkowała. Możecie mi mówić „mamo” albo „mamo Retho”. Albo „proszę pani”.

Nicholas skrzywił się z oburzeniem.

- Mnie się podoba „mama” - powiedziała Anna Johanna.

Retha uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością, a potem zwróciła się do starszego pasierba.

- Usiądź, Nicholasie, i skończ posiłek.

Nicholas spojrział na nią spod oka, a Retha rozpoznała wyraz twarzy Jacoba. Możliwe, że Nicholas wyrośnie na mężczyznę równie przystojnego i silnego jak jego ojciec, ale na razie było mu daleko do opanowania, które cechowało Jacoba, czyniąc z niego człowieka, z którym należało się liczyć.

Mimo wszystko gniew chłopca zdenerwował Rethę. Wyglądało na to, że jeśli nawet wygrała wojnę na słowa, nie nadawała się do pełnienia nowej roli. Być może Jacob prosił Ernstów o pomoc nie dlatego, że jej nie ufał, lecz dlatego, że znał swe dzieci, a nie znał jeszcze Rethy.

Teraz znalazła się oko w oko z Nicholasem, który nie ustępował. Modliła się w duchu, aby miał więcej szacunku dla ojca niż dla niej.

- Nicholasie, dając przykład bratu i siostrze, okazujesz poważanie swemu ojcu. - Retha patrzyła, jak na twarzy Nicholasa walczą o lepsze wpajana w dzieciństwie dyscyplina i młodzieńcza zbuntowana natura. W niej samej toczyła się podobna walka, gdy usilnie się starała zostać dobrym dzieckiem w społeczności braci morawskich.

- Tak, proszę pani - powiedział wreszcie i usiadł, zaciskając jedną dłoń w pięść.

Wyczerpana zdarzeniami męczącego dnia, Retha rozebrała się do lnianej bielizny i powlokła do łóżka. Na szczęs-

cie, pomimo wcześniejszej wymiany zdań, brat i siostra Ernst poszli wraz z nimi na *Singstunde*, wieczorną mszę śpiewaną, i dotrzykali im towarzystwa w *Saal*. Pogodny nastrój Ewy udzielił się Recie, a brat Ernst rozbawił Nicholasa żartami na temat jego rozciętej wargi. Wieczorem nadciągnęły chmury, zrobiło się ciemno i zmęczona Retha mogła zapędzić dzieci do łóżek wcześniej, niż kładły się za zwyczaj.

Łóżko Jacoba wciąż było wygodne i zachęcające. Materac z kukurydzianych łusek trzeszczał, gdy się na nim układała w samotności, lecz odczuwając przytłaczającą obecność Jacoba. Przez cały dzień wydawało jej się, że mąż spogląda na nią, ocenia, gotowy ganić ją, krytykować, poprawiać i chronić.

Leżąc w pościeli, słuchała grania koników polnych. Pragnęła być dobrą matką dla osieroconych dzieci Jacoba, bo sama straciła matkę nie raz, lecz dwukrotnie. Chciała dbać o nie wszystkie: o obszarpaną Annę Johannę, pobożnego Matthiasa i wojowniczego Nicholasa. Niezależnie od tego, jak trudne miało być matkowanie prawie dorosłym chłopakom.

Pragnęła sobie radzić bez niczyjej pomocy, bo dotychczas zawsze stawiała na swoim. Jeżeli uda jej się dokonać tego samodzielnie, tym bardziej zżyje się ze swoją nową rodziną. Jednakże sprawienie, by wszyscy troje zaakceptowali ją jako matkę, będzie bardzo, bardzo trudne. Naciągnęła na siebie prześcieradło, a potem je zrzuciła. Łóżko było rozgrzane, a ona była zmartwiona i zaniepokojona, bo Jacob kontrolował ją przez swych pomocników w osobach brata i siostry Ernstów.

Na początku czuła się tym straszliwie upokorzona. Teraz musiała przyznać, że miał rację, zwracając się do nich. Rzeczywiście okazali się pomocni. Ich obecność odroczyła wybuch Nicholasa, a potem osłabiła jego wrogość. Jeśli Jacob długo pozostanie poza domem, bez wątpienia znów będzie potrzebowała ich pomocy.

W głębi serca pragnęła jeszcze czegoś. Musiała sobie udowodnić, że była godna stać się żoną Jacoba. Cokolwiek zrobiła w czasie ich poślubnej nocy, zapłaciła za to utratą jego szacunku.

A teraz chciała go odzyskać. Zwinęła się na łóżku, pośród upalnej, ciemnej, samotnej nocy. Wyobrażała sobie, że obok niej leży Jacob, pogrążony we śnie duży, silny i spokojny. Pragnęła, by już wrócił. Aby, wtulając ciepłe usta w jej szyję, wyszeptał *Liebling*.

# 7

A, Blum. - Dystyngowany pułkownik Armstrong powitał Jacoba w swoim namiocie polowym. - Przynosi pan nowiny na temat ziarna? - zapytał, odkładając tłącą się fajkę.

Jacob skłonił się grzecznie przed amerykańskim oficerem. Dotychczasowe kontakty z pułkownikiem wskazywały, że jest to mężczyzna rozsądny i uczciwy. Ostatnie szaleństwo kuzyna Andreasa pokaże, jak jest w istocie. Jacob przestawił się na rozmowę w języku angielskim.

- Nie, proszę pana, przychodzę w zupełnie innej sprawie.

Pułkownik zmrużył oczy i wstał zza zniszczonego, ale wypolerowanego biurka.

- A więc co pana do mnie sprowadza? Nie sądzę, by chciał się pan zaciągnąć do wojska.

Jacob zeszywniał.

- Nasza społeczność nie bierze udziału w tej wojnie, pułkowniku. Niezależnie od tego, czyją stronę trzymamy. Chodzi o to, że mój kuzyn, Andreas Blum z gminy we Friedlandzie, został bezpodstawnie powołany do wojska.

Pułkownik sięgnął po fajkę.

- Istniały podstawy. Friedlandczycy nie płacą podatków, wymaganych od mężczyzn, którzy nie chcą służyć w wojsku.

- Niektórzy spośród nich je płacą. Mój kuzyn też. Mam na to dowód. - Jacob gwałtownie sięgnął ręką za połę płaszcza po duplikat zaświadczenia, z pośpiechu zapominając o ostroż-

ności. Adiutant Armstronga oraz jeszcze jeden żołnierz błyskawicznie chwycili Jacoba za ramiona i wykręcili je do tyłu. Był jednak zbyt wysoki i silny, by zadali mu ból. Naprężył mięśnie, powściągając chęć odwetu.

- Sprawdźcie jego płaszcz - rozkazał pułkownik spokojnym tonem.

Jacob poddał się brutalnemu oklepywaniu i rewizji.

- Żadnej broni, pułkowniku.

- Puśćcie go.

Żołnierze niechętnie odstepili od Jacoba, jakby żałując, że tracą potencjalnego więźnia. Armstrong wyszedł zza biurka i przystanął naprzeciw Jacoba.

- Powiada pan, dowody?

Jacob wydobył wydane przez biskupa zaświadczenie o zwolnieniu Andreasa od służby w wojsku. Tym razem żołnierze ani drgnęli, gdy wkładał rękę za pazuchę.

Pułkownik przejrzał zaświadczenie i położył je na blacie biurka.

- Doskonale. Sprawdźmy listę. Kapralu!

Adiutant podał mu duży arkusz pergaminu. Pułkownik przebiegł go wzrokiem.

- Nie widzę tu żadnego szeregowca Bluma. Ale zrobię to dla pana i wyślę człowieka, aby poszukał go wśród nowych rekrutów.

Jacob przyjął odpowiedź pułkownika z mieszanymi uczuciami. Andreasa nie ma na liście, ale pułkownik zgadza się pomóc.

Pułkownik wysłał adiutanta, wskazał Jacobowi zdezelowany stołek, a sam zajął się dokumentami na biurku. Skończywszy, odłożył pióro i sięgnął po fajkę.

- Muszę wykorzystać pańską obecność - powiedział.

Jacob zaczekał, aż pułkownik pobudzi do życia przygasającą fajkę.

- Jeśli tylko mogę się na coś przydać... - powiedział ostrożnie.

- Może pan dostarczyć zamówione przez nas ziarno albo przynajmniej wytłumaczyć się z opóźnienia.



- Nasza młynówka została uszkodzona przez wiosenne powodzie. Nie możemy mieć ziarna, dopóki jej nie zreperujemy.

Pułkownik zaciągnął się dymem z fajki.

- W takim razie może mi pan powie, co wam wiadomo o obozie torysów w Atkin.

Jacob opanował wzbierający w nim gniew.

- Nie jestem szpiegiem, proszę pana. - Nie był sprzymierzeńcem Brytyjczyków ani nie sympatyzował z torysami, którzy ich wspomagali. Pułkownik doskonale wiedział, że Jacob nie może mu nic powiedzieć, bo w przeciwnym wypadku skompromitowałby neutralność swojej społeczności.

- Są bliżej Salemu niż Salisbury? - nie dawał za wygraną. Jacob spojrział mu w oczy.

- Krążą pogłoski - powiedział, kładąc nacisk na słowo „pogłoski” - że obozuje tam kilkuset żołnierzy.

- To się zgadza z otrzymanymi przez nas informacjami. Brytyjczycy nadchodzą z południa. Jestem pewien, że coś pan o tym słyszał.

- Tak, proszę pana. W Salemie aż huczy od plotek.

- Nie wątpię - powiedział pułkownik.

Jacob uśmiechnął się, zadowolony, że pułkownik zadowolił się jego odpowiedzią.

- Jeżeli waszym oficerom spodoba się inne miasta, będziemy gorzej poinformowani.

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Wszyscy wiedzą, że w tej cholernej dziczy nie znajdzie się lepszych udogodnień. A jak wygląda przemarsz wojsk?

- Wzmaga się. Niemal codziennie przemaszerowują jakieś oddziały. Niektóre pozostają w mieście, ale nie na długo. I rzadko bywa ich wiele.

- Brytyjskie czy nasze?

Znów mnie bada, pomyślał Jacob. Ale takiej informacji mógł mu udzielić, nie zdradzając swoich przekonań. Było ogólnie wiadomo, jaka armia lub jaka frakcja przemaszerowała przez miasto.

- Niewielu brytyjskich oficerów, zazwyczaj uciekających. Od czasu do czasu kawaleria. Reszta to żołnierze amerykańscy i milicja.

Przez chwilę pułkownik przygryzał cybuch fajki.

- Miastu zagraża niebezpieczeństwo?

- Potroiliśmy nocną straż - odparł Jacob, zdziwiony troską pułkownika.

- Ilu ludzi liczy obecnie?

- Trzech.

Pułkownik pokręcił głową.

- Za mało, by chronić waszych ludzi i nasze ziarno. Blum. Są uzbrojeni?

- Mają konchy, aby trąbić na alarm. A od czasu, gdy pobito na ulicy brata Homera, trzymamy w domach kije, aby bronić naszych rodzin.

- Kije! - parsknął pułkownik. - Kijami nie powstrzymacie najeźdźców. Ale upieracie się, by nie walczyć i by nie nosić broni.

- Pan wybaczy, nasza wiara...

- Wasza wiara doprowadzi do zniszczenia najlepiej prosperującej społeczności w tej części kraju, panie Blum.

- Albo nas zbawi. Nie nosimy broni, pułkowniku. Właśnie dlatego musiałem tu przybyć po kuzyna, tracąc czas, potrzebny na remont młyna.

Armstrong spojrział na niego spod oka. Jacob czekał, starając się opanować zniecierpliwienie.

- Dobrze - warknął. - Proszę zaczekać na zewnątrz.

Zadowolony, że wskórał choć tyle, Jacob przesiedział południe przed namiotem Armstronga. Jednakże po czterech dniach bezowocnych poszukiwań trudno mu było trwać bezczynnie, rozsadzała go chęć działania i tęsknota za Rethą i dziećmi.

Bóg tylko wie, jakie szkody poniesie jego pozostawiona bez opieki rodzina. Podczas ostatniej nieobecności Jacoba Nicholas doprowadził siostrę do łez, Anna Johanna usiłowała uciec z domu, a nocne koszmary Matthiasa przeraziły Ernstów.

Teraz Jacob niepokoił się również o żonę. Jak sobie poradzi z płaczem, ucieczkami i koszmarami? Nadzieję budziło to, że

udało się jej pocieszyć zapłakaną Annę Johannę oraz postawić na swoim w sprzeczce z chłopcami.

Nagle przypomniał sobie ich pożegnalny pocałunek. Nie mógł zrozumieć, co spowodowało, że przestała się obawiać jego bliskości. Po odtrąceniu w noc poślubną żegnała go z taką żarliwością. Jej pocałunek był pełen słodyczy i, miał nadzieję, żądzę. A ponadto Jacob wyczuł w nim jakąś dziką obietnicę. Wspomnienie owej obietnicy ciągnęło go do domu.

Jednakże jej dotyk, całkowita zmiana nastawienia kryły jakieś tajemnice.

Jacob otarł pot z czoła. Takie rozważania do niczego nie prowadziły. Po powrocie do domu zajmie się rozwikłaniem tajemnic Rethy.

Może przestanie się go obawiać. Niemożliwe, pomyślał. W miarę jak poszukiwania Andreasa się przedłużały, mógł się zastanowić nad wspomnieniami z nocy poślubnej. Wydawało mu się, że strach Rethy pochodzi z przeszłości i że jest wywołany jakimiś dawnymi przeżyciami. Co powinien uczynić, żeby nie dopuścić do podobnej sceny? I czy w ogóle może coś zrobić?

Poruszył się na niewygodnym stołku. Jego żona na razie będzie dzieliła z nim łóżko, ale nie ciało. A on przeprowadzi śledztwo. Wypyta siostry Krause i Ernst, a może również starą siostrę Holder.

Nie, nie będzie miał na to odwagi. Tajemnica Rethy stała się teraz jego tajemnicą. Nie będzie jej zawstydział, sugerując, że nie jest dla niego odpowiednią żoną. Nie zrobiła nic złego.

W końcu powrócił adiutant. Bez Andreasa i bez dobrych nowin. Wśród nowych rekrutów nie było kuzyna.

Jacob stracił cierpliwość i zażądał jeszcze jednego widzenia z pułkownikiem. Armstrong siedział pochylony nad dokumentami, gdy Jacob podszedł do jego biurka i oparł dłonie na blacie.

- Pułkowniku, proszę mi pozwolić na rozpytanie rekrutów o mego kuzyna.

Armstrong uniósł głowę i spojrzał na Jacoba ostrym wzrokiem.

- Spodziewa się pan, że pozwolę na takie trwonienie czasu?

- Mamy do tego prawo.

Pułkownik odłożył fajkę.

- Bardzo dobrze. To w końcu pański czas. Im prędzej zaspokoi pan swoją ciekawość, tym szybciej powróci pan do remontu młyna, prawda? - A potem zwrócił się do adiutanta. - Zaprowadź go do nowych rekrutów.

Adiutant wetknął listę pod pachę i pomaszzerował, prowadząc Jacoba w stronę rzeki. Szli po udeptanej glinie, wzbijając chmury czerwonego pyłu. Po drodze minęli namioty, lśniące w promieniach jaskrawego słońca, wynędzniałych piechurów wylegających się na ziemi oraz kilka wierzchowców. Wokół unosiła się woń prażonej fasoli, przypominając Jacobowi o tym, że jest głodny i znajduje się daleko od domu. W oddali, na brzegu rzeki spostrzegł lśniącą plamę rozpuszczonych kobiecych włosów barwy bursztynu, bardzo podobnych do włosów żony.

To nie może być ona. Mrugając, patrzył poprzez powietrze rozedrgane od upału i dymu ognisk. Nie, włosy kobiety okazały się krótsze i prostsze niż nieposkromiona grzywa jego żony. Nagle poczuł tęsknotę za Rethą i nie miał wątpliwości, że pragnie jej ciała, teraz, tutaj.

Postępując za adiutantem, podszedł bliżej i przekonał się, że to szczerbata markietanka piorąca w rzece bieliznę żołnierzy.

Zbliżyli się do trzech mężczyzn, którzy w upale i smrodzie kopali rowy na skraju obozu. Jacob stłumił chęć pouczenia ich, jak należy zmienić rowy, aby poprawić warunki sanitarne. Do wysokości kolan było gęsto od much, a niektóre z nich siadały nawet na twarzach. Jacob opędał się od nich ze wstrętem.

- Jest tylko trzech - powiedział adiutant, a następnie wydał rozkaz pracującym mężczyznom. Odwrócili się zaskoczeni i stanęli na baczność, mrużąc oczy przed słońcem.

Jeden z nich przesłonił oczy dłonią i błysnął zębami w uśmiechu. W piersi Jacoba wezbrały ulga i rozpacz. Czy ten człowiek nigdy nie może być poważny?

- To jest mój kuzyn - powiedział, zwracając się do adiutanta. - Ten w środku.

Adiutant przyjrzał się rekrutowi, a następnie zajrzał do spisu.

- To może być Pope, Richards albo Andrews - odczytał.

- Nie Andrews - warknął Jacob, pojmując, skąd się wzięło nieporozumienie - Andreas. Andreas Blum.

Lecz adiutant z uporem powtarzał nazwisko z listy.

- Szeregowiec Andrews, spocznij.

Zdziwiony Andreas spoglądał to na adiutanta, to na towarzyszy od kopania rowów.

- On cię zwalnia, Andreas - powiedział po niemiecku. - Wyjdź z rowu.

Na dźwięk mowy ojczystej Andreas zamrugał.

- *Kusin* Jacob! - Przebrnął z trudem przez gnój i uściskał Jacoba. - Nie spodziewałem się ciebie tak szybko. Myślałem, że znajdziesz mnie za kilka dni, a nawet tygodni!

- Działania wojenne toczą się coraz bliżej. Nie mogłem pozwolić, byś zabijał lub został zabity - mruknął Jacob.

- Ach, lecz ty musiałeś zostawić w domu piękną młodą żonkę... - roześmiał się Andreas.

- Odszukanie ciebie zajęło mi cztery dni. A teraz będziemy czekać kilka godzin, zanim uda się wyjaśnić tę pomyłkę.

Przewidywania Jacoba okazały się słuszne. Na niebie czerwieniło się zachodzące słońce, gdy dwaj piechurzy i adiutant wprowadzili z namiotu Andreama ubranego w ubranie farmera.

Pułkownik Armstrong zasalutował i rzekł:

- Obecny tu Andreas Blum zostaje pozbawiony stopnia, przywilejów i obowiązków żołnierza armii amerykańskiej i oddelegowany pod nadzór Jacoba Bluma.

- Dziękuję - powiedział Jacob oficjalnym tonem, starając się ukryć głęboko zakorzenioną niechęć do wojskowych procedur. - A w imieniu naszej społeczności dziękuje brat Marshall.

Armstrong skinął głową.

- Wasza wdzięczność nie robi na mnie najmniejszego wrażenia, panie Blum. Ziarno to jedyna rzecz, jakiej chcę od Salemu.

- Będzie je pan miał - odparł Jacob, opanowując gniew. - Obiecuję.

- I nie liczcie na jakiegokolwiek przysługi - ostrzegł pułkownik.

- Nie będziemy prosić o nic prócz zagwarantowanych legalnie praw.

Retha siedziała na skale, obejmując ramionami kolana. Jacob odjechał cztery długie dni temu i zaczynała się niepokoić.

Przychodziła tutaj od lat, szukając wytchnienia od zorganizowanego życia niezamężnych sióstr. Po upalnym dniu skała wciąż była rozpalona. Rogalik księżycy chylił się ku zachodowi, woda w potoku chlupotała leniwie. Dzieci zasnęły i Retha miała dla siebie chwilę bezcennego czasu.

Na pobliskim pniu pozostawiła kawałek tłustego mięsa, ale jej wilczek jeszcze się nie pojawił. Czekwała na niego niecierpliwie, tęskniąc za widokiem wolnego stworzenia. Dziekiego i nie tak wymagającego jak jej dzieci. Bez przerwy się czegoś domagały. Anna Johanna zapragnęła, by wyszczotkować jej włosy i skończyć „jelenią sukienkę”. Matthias nie chciał jeść i ciągle prosił o indiańskie opowieści.

A Nicholas pragnął, by Retha zostawiła go w spokoju. Po wyjeździe ojca stał się chmurny i nadąsany. Aby go utrzymać w ryzach, Retha odwoływała się do szóstego przykazania. „Szanuj swego ojca, Nicholasie. Zwłaszcza gdy nie ma go w domu”. Wskórała tyle, że po posiłku, z ponurą miną, sprzątała naczynia ze stołu. Naburmuszony przyłączał się do porządkowania ogrodu i wrywania chwastów.

Usłyszała plusk i uniosła głowę. Poprzez strumień przybiegł jej wilczek, przełknął pozostawione mięso i przystanął. Jego sierść lśniła srebrzyście w księżycowej poświacie, lecz było zbyt ciemno, by Retha mogła dostrzec jego złociste oczy. Czuła jednak na sobie ich spojrzenie. Musiał jej tu wyglądać od wielu dni!

Po chwili wilczek odszedł, powiewając ogonem. Retha odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął w ciemności. Już prawie nie kulał.

Dziwy nad dziwami! Stał się silny i zdrowy, i samodzielny, a jednak o niej pamiętał. Retha oddychała wonnym, spokojnym

powietrzem nocy. Wspomniała drewnianą pryczę, na której sypiała u Indian. Pomyślała, że nie dorówna jej żadne łóżko z materacem z kukurydzianych łusek. Zeszła ze skały, uniosła wilgotny obrąbek koszuli i szybko wróciła do dzieci.

Dom w porządku. Jacob przystanął u stóp schodów. Opieka nad bezmyślnym i nieodpowiedzialnym kuzynem oraz uchylanie się przed pociskami wigów, torysów i żołnierzy amerykańskich wykończyły go nerwowo. Na domiar złego piekły go stopy, bo przeszedł pieszo ponad pięćdziesiąt kilometrów, oddawszy konia Andreasowi.

Wymęczony, zaczął się wspinać po stopniach, prowadzących do dzieciennych sypialni. Zanim opadnie na łóżko, musi poczuć ich słodkie oddechy i ciepłą niewinność.

W połowie drogi potknął się i wsparł na poręczy. Jej gładka powierzchnia przypomniła mu o domowych wygodach. Trzymając się poręczy, wszedł na następny schodek. Całą uwagę skupiał na poskramianiu bólu i mozolnej wspinaczce.

Nagle usłyszał świszczący oddech i opadła na niego jakaś wirująca biel.

- Nie waż się! Nie w tym domu!

Poczuł na twarzy ostre paznokcie. Czyjeś zęby przebiły rękaw płaszcza i rozdarły skórę na ręce. Chwycił napastnika za ramiona i stwierdził, że są drobne, kobiece.

- Retha, to...

- Po moim trupie, ty nędzny, przeklęty łajd... - szeptała, mieszając angielskie i indiańskie słowa. Nie mógł zrozumieć jej bełkotu.

- Retha... - przerwał, starając się okiełznać jej furję. - Retho, to ja, Jacob - powiedział łagodniej. - Nic ci nie grozi. Wróciłem do domu. Jesteś bezpieczna.

Wyrwała mu się, okładając go pięściami. Stojąca wyżej od Jacoba, napędzana rozpaczliwą wściekłością Retha wydawała się ogromna i nieposkromiona.

Lecz on był większy i silniejszy. Świadomy swojej przewagi,

przycisnął ją do piersi, unieruchamiając jej ręce, by nie poraniła mu twarzy. Mniejszy mężczyzna nie dałby jej rady.

- Retha! Żono! - wykrzykiwał, przerażony, że dostała jakiegoś nowego napadu. Znacznie gorszego niż jej dziwne zachowanie w czasie nocy poślubnej. - To ja, Jacob. Wróciłem do domu.

Retha wzięła się w jego ramionach, wrywając mu się w milczeniu.

Oto jakie powitanie zgotowała mu żona.

Potrząsał nią energicznie, nie przestając do niej przemawiać.

Lecz uspokojenie Rethy było niemożliwe, podobnie jak porozumienie się z Anną Johanną, kiedy dostawała napadu furii. Jacob miał jednak nadzieję, że jego córka z wiekiem uwolni się od tej przypadłości. Przypomniawszy sobie, jak przed laty znalazł nocą na placu małą oszalałą Rethę. Co nią wtedy kierowało? Co powodowało ją teraz? Czy jej obecne zachowanie miało jakiś związek z kołysaniem się na łożku?

Wtedy, przed laty, poskromił ją siłą. Teraz jednak nie była już obcym dzieckiem.

Przemawiał do niej tak jak do Anny Johannы. Łagodnie i rozsądnie. Retha go nie poznawała. Jej szaleństwo stopniowo ustępowało, opór słabł, a Jacob wciąż od nowa powtarzał, że jest jej mężem i że wrócił do swego domu. W końcu wydała cichy gardłowy okrzyk i rozpłakała się, poddając.

W słabym świetle, sączącym się przez niedomknięte drzwi, dostrzegł, że na twarzy Rethy pojawia się wyraz zrozumienia, zdziwienia, a wreszcie gniewu.

- Jacob, dobry Boże! Usłyszałam, że ktoś wchodzi do domu. Byłam śmiertelnie przerażona!

Teraz mówiła po angielsku, jękając się z przejęcia. Mówiła szczerze. W swoim przerażeniu nie poznała Jacoba.

Pomimo wielkiego zmęczenia, starał się zrozumieć to, co przed chwilą zaszło. Rethą kierowały dzika wściekłość, piekielna siła i całkowite poświęcenie się dla jego dzieci.

I znów to niezrozumiałe szaleństwo.

Znużony, usiadł na najwyższym stopniu i przyciągnął Rethę



do piersi. Była spocona, napięta po walce z prześladowającymi ją demonami. Napięta, lecz nie stawiająca oporu.

- Myślałam... że to... oni - wyszeptła, wtulając usta w szyję Jacoba.

Przycisnął twarz do jej głowy, całując jej włosy. Poczłł kwaskowatą woń strachu. Strachu przed nim. Zaciśnął zęby, tłumiac żal, że tak ją przeraził.

- Przepraszam. To tylko ja.

- Teraz wiem. - Ale w jej głosie brzmiało powątpiewanie.

- Nic ci nie grozi. Nie ma nikogo obcego. W promieniu kilku kilometrów.

To prawda, pomyślał, kiedy przemierzał ostatnie dziesięć kilometrów, nikt do niego nie strzelał. Ale nie wspomniał o tym ani słowem. Taka prawda znów by ją wystraszyła.

- Byli tu dzisiaj - powiedziała. - Widziałam, jak odchodzili. Ale pomyślałam, że wrócili.

- Spotkałem się z Samuelem, powiedział, że nikogo nie ma.

- Skąd miałam wiedzieć, kiedy wrócisz - powiedziała, tuląc się do jego piersi.

- Nie mogłem znaleźć mego kuzyna. Wciąż trafiałem w nieodpowiednie miejsca. Armstrong zabrał go za Salisbury.

Czuł na sobie jej ciężar. Była twarda i silna, z wyjątkiem miejsc po kobiecemu miękkich. Dobrze, że otaczała ich ciemność. Jacob nie mógł powstrzymać uśmiechu ulgi. Wszystko będzie dobrze. On jej pomoże. Retha potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. Jacob chętnie się nią zaopiekuje.

Pogładził ją po plecach.

- Nie spodziewałem się, że to mi zajmie aż cztery dni.

- Jesteś już w domu - powiedziała, ujarzmiona, i splótła ręce na kolanach.

- Od dobrego kwadransa. Nie spodziewałem się takiego przyjęcia. - Uścisnął jej dłonie, mając nadzieję, że Retha uchwyci w jego tonie żartobliwą nutę.

Westchnęła i dygocząc, odprężyła się na piersi męża.

- Tak długo cię nie było.

- Zbyt długo - powiedział, czując pulsującą falę pożądania. -

Zbyt długo. - A może nie, pomyślał, skoro moja nieobecność doprowadziła do takiego zbliżenia.

- Usłyszałam jakichś żołnierzy, gmerających przy zamku.

- To byłem ja - powiedział. Nie chciał wspominać o tym, że ze zmęczenia stał się tak niezręczny, jakby się upił. Połamał zamek ze zniecierpliwienia.

- A potem słyszę, że ktoś idzie przez kuchnię, a za chwilę rozlegają się kroki na schodach. Ktoś idzie powoli.

- To byłem ja, Retho - przypomniał jej Jacob.

Co pocznę, pomyślał z przerażeniem, jeśli wciąż będzie mnie brała za „nich”? Co się stanie, jeśli ta chwila porozumienia to tylko cisza przed następną burzą?

Poklepał ją po ramieniu. Gdyby ją umiał zachęcić do wyznań!

- A więc usłyszałaś hałas i weszłaś na górę, żeby bronić dzieci.

Pokręciła głową.

- Nie, już tam byłam. Weszłam na górę poszukać kija.

- Kija?

- Zapomniałaś mi pokazać, gdzie go trzymasz.

Zmieszany, pomasował się po karku. Nie zapomniał. Powierzył ją opiece Samuela Ernsta. Nie wyobrażał sobie, że Retha jest dość silna, by utrzymać kij w rękach. Teraz wiedział, że skoro rzuciła się na intruza z gołymi rękami, nie zawahałaby się przed użyciem takiej niewygodnej broni.

- Kij jest na dole, pod schodami.

- Nie mogłam uwierzyć, że brat Ernst mógł kogoś przepuścić.

Zwłaszcza po tym, jak się nam naprzykrzał po twoim wyjeździe.

- Obiecał mi, że będzie miał na was oko.

- Mało powiedziane - odparła sarkastycznie.

- Działał na moją prośbę, Retho. Nie mogłem was zostawić bez opieki. - Objął ją ramieniem, pomógł wstać i razem ruszyli w dół. - Chodźmy do łóżka.

- Nie, najpierw zajrzę do dzieci. - Wysunęła się z objęć Jacoba i na czubkach palców poszła do pokoju, w którym spała Anna Johanna.

Jacob ruszył za nią. Dziewczynka leżała tak jak zazwyczaj,

skulona jak płód w łonie matki. Była ukochaną córeczką Christiny. Serce Jacoba ścisnęło się na wspomnienie żony, pochylającej się nad maleństwem. Pomyślał o jej przedwczesnej śmierci, o tragedii dziecka, o swojej własnej tęsknocie...

Retha macierzyńskim gestem odgarnęła włosy z czoła dziecka. Jacob poczuł falę tkliwości. Pomimo jej niedawnego szaleństwa pełen prostoty odruch Rethy dawał mu nadzieję na przyszłość.

Jacob przeszedł do sypialni synów. Pochylił się i dotknął chłodnej twarzy starszego syna. Nicholas popłakiwał przez sen, jakby był znacznie młodszy. Ten dzielny Nicholas, który pragnął zostać żołnierzem, który chciał jak najszybciej dorosnąć.

Matthias leżał w przeciwległym końcu niewielkiego wspólnego łóżka. Lekka kołdra była zmięzwiona, pozycja skróconego ciała mówiła o wiecznej wewnętrznej walce, jaką toczył chłopiec. Retha pochyliła się i zręcznie oswobodziła Matthiasa.

- Zawija się tak co noc - wyszeptwała, kładąc dłoń na ramieniu Jacoba.

- Odkąd pamiętam - dodał Jacob. Poczucił nagły przypływ wdzięczności dla Rethy. Zdażyła zauważyć nawyki Matthiasa. Dbała o dzieci. Troszczyła się o niego, o nich wszystkich. Poklepał ją po ręce i spojrzał na swoją odrodzoną rodzinę.

Pograżone we śnie dzieci wyglądały jak aniołki.

Po powrocie na dół Retha wśliznęła się na łóżko, niczym wystraszony królik do nory, pozbawiając męża wszelkiej nadziei.

Jacob postawił oliwną lampkę na parapecie i zabrał się do zdejmowania wysokich, obcisłych butów. Usiadł na krześle i założył nogę na nogę. Z wielkim wysiłkiem udało mu się przesunąć stopę tak, by pięta przeszła przez wąską cholewę. Szarpnął but i uwolnił nogę, po czym ze stukiem upuścił but na podłogę.

Ściągnął zakrwawioną skarpetę, zrywając zaschniętą krew do żywego mięsa. Następnie uniósł drugą nogę i oparłszy ją na kolanie, ujął but za piętę i poruszył nim. Przeszył go ostry

ból. Drugi but był jeszcze bardziej obcisły, a tkwiąca w nim noga w gorszym stanie.

Zacisnął zęby, wstrzymał oddech i zaczął od nowa. Najmniejszy ruch buta rozrywał rany.

But przywarł do nogi, przylepiony zaschniętą krwią. Jacob spozjrzał na Rethę w ostatnich promieniach zachodzącego księżyca. Leżała skulona. Nie wiedział, czy już zasnęła. Nie mógł liczyć na jej pomoc.

Zaklął i, wyczerpany, przymknął oczy. Przemęczy się tu, na krześle, jak podczas nocy poślubnej. Skrzyżował ręce na brzuchu, wyciągnął przed siebie nogi i zwiesił głowę.

Nie może robić wszystkiego, czego po nim oczekiwano.

I nie poradzi sobie w pojedynkę.

Zwrócona twarzą do ściany i okryta po uszy, Retha słyszała, jak Jacob pojękuje z bólu. Coś spadło na podłogę. But, z pewnością but. Usłyszała jakieś niezrozumiałe gniewne mamrotanie. A potem nastąpiła cisza. Czekwała, nasłuchując. Teraz Jacob położył się do łóżka, pomyślała.

Straciła poczucie czasu. Kumkały żaby, cykanie świerszczy odmierzało sekundy i minuty. Jacob się nie poruszył. W stygnącym upale pohukiwała sowa.

Na co on czeka? Retha rozprostowała skurczone członki, uniosła się na łokciu i spozjrzała na oświetlone lampą masywne ciało męża. Siedział w tym samym fotelu, w którym ujrzała go rankiem, po ich poślubnej nocy. Śpi? A może jest ranny?

Zsunęła się z łóżka, potknęła o porzucony but, ale odzyskała równowagę. Jeden but zdjęty, drugi na nodze, pomyślała zakłopotana. Z niepokojem przyklekła na podłodze.

Woń krwi, ciężki metaliczny odór krwi. Pokonując obrzydzenie, wstała i oparła drżącą dłoń na fotelu. Skupiła myśli. Jacob potrzebuje pomocy, a ja lepszego światła. Przsunęła sobie świecznik i ustawiła na nim łojową lampkę. Zebrała całą odwagę i klękawszy obok męża, zmusiła się, by obejrzeć jego obnażoną stopę.

Pięta, palce, nawet kostka były otarte do krwi.

Znowu krew, pomyślała, wspominając dzień, w którym Czirokezi znaleźli ją zbłąkaną w lesie. Ale teraz odczuwała co innego, bo to była krew Jacoba. Był ranny i potrzebował jej pomocy.

- Jacob - powiedziała cicho, chcąc usłyszeć brzmienie własnego głosu. Musi wiedzieć, na ile przeraził ją widok krwi. Poklepała lekko ramię Jacoba. - Musimy zdjąć drugi but.

- Hmmm? - mruknął, nieprzytomny.

- But. Musimy go zdjąć.

- Nie mogę - wymamrotał. - Próbowałem.

- Musimy. - Szarpnęła go za rękaw. - Teraz. Musisz się położyć do łóżka.

Spojrzała na męża. Na skutek zmęczenia i bólu na jego przystojnej twarzy pojawiły się nowe zmarszczki. Muszę działać, pomyślała. Z bijącym sercem uknęła, ułożyła sobie jego rękę na ramieniu i zachęciła do wstania.

- No - powiedziała. - Wesprzyj się na mnie.

Otoczyła go ramieniem w pasie i poprowadziła do łóżka. Był taki wielki, taki gorący. Tak blisko niej. Czuła się krucha, a jednocześnie dziwnie mocarna, dźwigając takiego mężczyznę.

Poczuwszy obejmujące go w talii ramię Rethy, Jacob oprzytomniał. Żona dotyka go z własnej nieprzymuszonej woli. Jej dłonie, mimo że drżące, były zdecydowane i troskliwe. Pragnął, aby ta chwila trwała jak najdłużej, lecz nie mógł ustać na obolałej nodze. Usiadł na łóżku i wysunął do przodu obutą stopę.

- Mówiłeś, że nie możesz go zdjąć.

- Nie dałem rady. Ty spróbuj.

Retha chwyciła za zapiętek i pociągnęła. Lecz but ani drgnął, a noga bolała jak diabli. Syknął z bólu.

- Nie potrafię - powiedziała zmartwiona.

- Potrafisz.

- Możemy rozciąć but i uwolnić nogę - powiedziała żywym tonem.

- Nie. - Był wystarczająco przytomny, by zdawać sobie sprawę, że podczas wojny, kiedy obuwie jest na wagę złota,

nie należy niszczyć jedynych dobrych butów do konnej jazdy. Ujęła go jednak troska Rethy. - Noga i tak jest już poraniona. Spróbuj inaczej.

- Niby jak? - spytała słabym głosem.

No tak, pomyślał. Nigdy nie zdejmowała butów mężczyźnie.

- O, tak. Odwróć się. - Przemawiał do niej łagodnie, jak do niedawno ujeżdżanej klaczy. Oparł dłonie na jej biodrach, stwierdzając, że są okrągłe i jędrne, i obrócił ją wokoło. Szttywna, lecz nie stawiająca oporu pozwoliła, by ją ustawił twarzą do pokoju.

Jacob oparł się na łokciu i wyciągnął oswobodzoną nogę.

- Oprę o ciebie nogę, żebyś nie straciła równowagi, a ty chwyć za piętę buta i pociągnij.

Retha spokojnie pozwoliła, by Jacob wparł stopę w jej pośladki. Jędrne i kształtne pośladki. Widząc je i czując tak blisko, doznał ulgi w bólu.

Do chwili gdy Retha zaczęła ciągnąć but. Wtedy poczuł przeszywający ból w pięcie.

- Im dłużej będziesz ciągnąć, tym bardziej mnie będzie bolało - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Retha posłusznie szarpnęła but. Jacob przytłumił zmysły, skupiając się na szczupłości jej talii. Niemal podziałało. Ale gdy but wreszcie zsunął się z jego obtartej nogi, zaklął szpetnie.

- Jacobie Blum! - skarciła go Retha, obracając się twarzą do męża. - Siostra Krause nie pozwoliłaby mi poślubić mężczyzny, który mówi takie słowa!

- Diabelnie zabolało - wyjaśnił potulnie i nawet udało mu się uśmiechnąć. Nie miał zamiaru udawać bohatera, wołał zaaszyżyć na współczucie.

Lecz Retha szybko podniosła z podłogi drugi but i ustawiła parę przy nogach łóżka, unikając kontaktu z ciałem Jacoba, który postanowił zadowolić się tym, co już wskórał.

Dotknęła go i pozwoliła, by on jej dotknął.

Opadł na łóżko i zaczął się śmiać. Zapragnął, by Retha poznała wszystkie znane mu przyjemności i by puściła w nie-

pamięć cnotliwe nauki siostry Krause, pozostawiając je niezamężnym siostrzom z *Gemein Haus*...

Retha obeszła łóżko i pochyliła się nad Jacobem.

- Nie waż się śmiać - powiedziała z udawaną srogością.
- Ani mi się śni - odparł, powściągając wesołość.
- Jeszcze z tobą nie skończyłam. - Zabrała lampę i ruszyła do kuchni.

Jacob był bardzo zmęczony, a jednocześnie zadowolony, że Retha okazywała mu troskę, więc szybko zapadł w sen. Spał uśmiechnięty, gdy coś wyrwało go ze snu.

Coś zimnego i mokrego dotknęło jego stóp.

- Co to? - Usiłował usiąść. Przez okno wpadało blade światło.

Retha wróciła. Natychmiast oprzytomniał.

Ujrzał jej profil, odcinający się na tle różowiejącego okna niczym kamea. Zaprzagnął ucałować jej wysokie czoło, sklepienie wąskiego, zdecydowanie zarysowanego nosa i kształtne usta.

- Zrobiłam ci okłady - wyszeptła, żeby go nie wybijać ze snu, pochylając się nad jego stopami.

Nie spuszczał z niej wzroku. Kaskada bursztynowych włosów, rozłożonych światłem poranka, spływała na szczupłe ciało Rethy. Poczul nagły przypływ pożądania i poruszył się niespokojnie.

- Nie wierć się - rozkazała, przysuwając nogę Jacoba do swego krągłego biodra, by ją unieruchomić.

Jak mam się nie wiercić? - miał ochotę krzyknąć - pożądam cię od owego popołudnia, gdy cię spostrzegłem na placu.

Lecz obecne odczucie było najmiłsze, a jednocześnie najtrudniejsze do zniesienia. Retha stała tuż obok i dotykała go z własnej woli. Niczym nie przypominała wystraszonej kobiety dziecka, jaką zapamiętał z nocy poślubnej. Ani wilczycy, która kilka godzin temu broniła jego dzieci.

Retha chwyciła go za kostkę i Jacob wzdrygnął się z bólu. Uniosła nogę ostrożnie i troskliwie, by położyć piętę na kom-

presie. Lecz to nie kompres sprawił mu ulgę, a dotyk szczupłej dłoni Rethy.

Jacob jęknął. Zmęczenie minęło, zamieniając się w nieposkromioną energię. Pragnął dotykać, całować, głaskać całe ciało swojej żony. Pragnął, by jej skóra zaróżowiła się od pieszczot, by jej twarz poczerwieniała z wysiłku, by poczuła się podobnie jak on.

Tymczasem Retha metodycznie i, jak mu się zdawało, fachowo owinęła jego drugą nogę w jakieś wilgotne, chłodne liście, po czym okutała ją szmatką.

- No - powiedziała. - Gotowe.  
- Dziękuję - odparł, pragnąc, by się nim wciąż zajmowała.  
- Świeży żywokost powinien zrobić swoje - zakomunikowała z dumą.

Świeży żywokost? Nie miał w domu nawet suszonego żywokostu, tej rośliny nieocenionej na zadrapania i sińce. Retha musiała wyjść na łąkę i nazrywać liści. Naruszyła zwyczaje, zakazujące pozbawionym opieki siostrom morawskim przebywania nocą poza domem. Zwłaszcza gdy wkoło buszowali szukający się do boju żołnierze.

- Skąd masz ten żywokost? - zapytał łagodnie, aby jej nie wystraszyć.

- Znad potoku.  
- *Liebe Gott*, Retho! - zawołał i usiadł. - Nie wolno ci tam chodzić!

- Był ci potrzebny.  
- Może i tak, ale to nie oznacza, że masz ryzykować. Ktoś mógł cię zobaczyć i schwytać. Albo jeszcze gorzej.

Zlekceważyła jego niepokój i uśmiechnęła się naiwnie.

- Nie widziałam żywej duszy.  
- Retho...  
- Z wyjątkiem mojego wilczka!  
- To zwierzę mogło...  
- I nikt mnie nie widział. Chyba zapomniałeś, Jacobie, jak doskonale sobie radzę. Jesteś jedynym mężczyzną, jaki mnie kiedykolwiek złapał.

Jedynym, który ją schwytał! Musi myśleć o tamtej nocy,



sprzed wielu lat, kiedy schwytał ją na placu. Czy to oznacza, że udało jej się umknąć innym mężczyznom? Ale kiedy, gdzie i jak? I czy miało to coś wspólnego z jej udręczoną duszą? - myślał zaintrygowany.

Wciąż nad tym się zastanawiał, podczas gdy Retha umyła mu twarz, rozpięła kołnierzyk i starannie starta gąbką pył z szyi. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie. Wzbraniał się jednak przed wypytywaniem jej. Jego zadaniem jest chronienie Rethy przed innymi oraz przed nią samą.

- Retho - wymamrotał. - Tutaj nikt nie jest bezpieczny...

- Nie ruszaj się. - Nakryła mu usta mokrą szmatką. - Jeszcze nie skończyłam.

Jacob przymknął oczy i poddał się troskliwym zabiegom żony, rozdarty pomiędzy obowiązkiem a przyjemnością.

W końcu postanowił, że sprawą jej nocnego wypadu zajmie się nazajutrz.

Mój mąż jest piękny, myślała Retha, leżąc o świecie u jego boku. Przykryty prześcieradłem przypomina wielkiego niedźwiedzia. I z tego, co wiem, z pewnością jest równie niebezpieczny, choć teraz nie sprawia takiego wrażenia. Wrócił do domu, do mnie, i pozwolił, bym się nim zajęła, a potem zasnął spokojnie, jakby życie z kobietą nie było dla niego niczym nowym. Bo i nie było. Żył z Christiną przez wiele... Odegnęła od siebie tę myśl. Nie będę, nie mogę rozmyślać o jego pierwszej żonie.

Dla Rethy intymność z mężczyzną była czymś zupełnie nowym, niepokojącym i... interesującym. A jednak bez zmruczenia oka usiadła na jego twardych jak kamień udach. Przytknęła biodro do jego nagiej łydki, czuła jej ciepło poprzez cienką tkaninę nocnej koszuli i udało jej się nie wzdrygnąć. Obmyła krwawiące rany na jego stopach i nie zrobiło jej się niedobrze.

Nie umiała tylko opanować zachwytu nad jego ciałem. Bo dostrzegła, że pod bryczesami rysuje się jakieś wzniesienie. Jeszcze teraz, na samo wspomnienie, w jej brzuchu, tam gdzie co miesiąc odczuwa ból, rozlewa się jakieś ciepło. To nowe

odczucie zaniepokoiło ją, choć było miłe i niepodobne do comiesięcznych skurczów. Na dodatek sprawiło, że jej oddech stał się szybszy i łaskotliwy.

Rozejrzała się za kołdrą, aby przykryć to... nie znajdowała odpowiedniego słowa. Aby przykryć to... opuchnięcie. Zawstydzona takim sformułowaniem, odwróciła wzrok, choć nie umiała znaleźć lepszej nazwy.

Nie chciała być ignorantką. Spojrzała znów, jeszcze bardziej zaciekawiona. Czyżby... opadło? Możliwe. Teraz nie było już takie duże. Pragnęła zapoznać się z tą częścią ciała Jacoba. Może nawet jej dotknąć. Ciekawość rosła, sprawiając, że Retha upodobniała się do głupiutkiej, rozchichotanej młodszej siostry.

Wiedziała co nieco o parzeniu się zwierząt domowych i dzikich. Widywała w lesie spółkujące pantery, widywała kozły z łaniami, klacze z ogierami. Zatykała sobie uszy, by nie słuchać marcujących kotów. Raz przeraziła się na widok szczepionych psów.

Wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

A jednak ciekawa była, jak mogą wyglądać intymne części ciała jej męża. Pod koszulą, pod prześcieradłem.

Jeszcze bardziej ciekawiło ją to, co właściwie robi mężczyzna z kobietą. I co zrobił jej Jacob w ich noc poślubną. Chyba nie zrobił dokładnie tego, lecz, w takim razie, co jej zrobił? Musiał jej zrobić coś innego, ale jak?

Żałowała, że nie wie. Możliwe, że gdyby nie była taką kłopotliwą podopieczną, siostra Rosina nauczyłaby ją, zamiast oddawać nieświadomioną pod opiekę doświadczonemu męża. Możliwe, że gdyby zaprzyjaźniła się ze starszymi niezamężnymi kobietami w *Gemein Haus*, wytłumaczyłyby jej, o co chodzi w małżeństwie.

Lecz co mogły wiedzieć niezamężne siostry? Teraz może coś wiedzieć Eva, ale minęły czasy, gdy Retha szeptała z nią nocami w dormitorium. Jej przyjaciółka wyszła za mąż i zamieszkała we własnym domu.

Do rzeczywistości przywrócił ją tupot dziecinnych nóżek. Nasłuchiwała, żałując, że nie ma więcej czasu na rozmyślanie.

Zerwała się z łóżka i pośpieszyła do kuchni, mając nadzieję, że sprawy praktyczne pozwolą jej zapomnieć o kłopotach. Napaliła pod kuchnią i postawiła na niej garnek z mamiągą dla dzieci i kawą dla Jacoba. Do dzieci zajrzy później. Najpierw zobaczy, co z mężem.

Wróciła do sypialni. Kompresy pospadały, więc starannie je poprawiła. Chciała również rzucić okiem na masywne męskie ciało pod lnianym prześcieradłem i dotknąć gorącej owłosionej skóry.

Wyciągnęła rękę i ostrożnie przytknęła dłoń do ramienia Jacoba. I znów odczuła owo ciepło, ale teraz niżej niż poprzednio. Zaniepokojona, szybko odeszła.

Co się ze mną dzieje? Znów pomyślała o tym, by się zwierzyć siostrze Evie. Choć i tak przyjaciółka niewiele jej pomoże. Jest tak zauroczona mężem, że pewnie tylko wybuchnie śmiechem lub zacznie się z Rethą drażnić.

W takim razie z kim mogłaby porozmawiać? Wspomniała słowa siostry Rosiny: „Pozostawiamy cię w rękach twego zdolnego męża”. Zdolnego? O jakie zdolności chodziło? Co zaszło w czasie ich nocy poślubnej? Coś było nie tak. Coś dolegało Recie. Coś mrocznego jak choroba, ostrego jak gorączka. Coś mocarnego jak grzech.

Wiedziała, że musi poznać prawdę, i to jak najwcześniej.

Rozległy się kroki dzieci. Wybiegła na spotkanie chłopców, zadowolona, że domowe zajęcia odciągną ją od bolesnych rozmyślań. Zaspany Nicholas z rozczochranymi włosami. Zaniepokojony Matthias.

Przyłożyła palec do ust.

- Wasz ojciec jest w domu, ale jeszcze śpi - wyszeptła i zastąpiła im drogę do sypialni.

Nicholas rzucił jej ponure spojrzenie, a zaspana twarz Matthiasa przybrała nadąsany wyraz.

Retha nie ustąpiła. Być może nie rozumiem mego męża, pomyślała, jak przystało żonie, ale muszę go bronić.

# 8

Przez okno dochodziły stłumione dźwięki muzyki. Jacob powoli się budził. Otworzył jedno oko. W promieniach popołudniowego słońca tańczyły pyłki kurzu. Docierające do niego śpiew i dźwięki mosiężnych rogów oznaczały, że w położonym nieopodal domu braci trwają popołudniowe nieszpory. Zaspany i mokry od potu, oparł się na łokciu. Spędził w łóżku całutki dzień, sam.

Lecz po pełnych troski staraniach żony miał nadzieję, że Retha już wkrótce będzie z własnej woli dzieliła z nim łożo.

Podniósł nakrywające go prześcieradło i spuścił nogi z łóżka, zrzucając bandaże i zioła.

Zioła? Zgiął w kolanie mniej poszkodowaną nogę, zdjął z niej zmiętoszony listek i obwąchał go. Woń zmiążdżonego żywokostu. Zabronionego żywokostu, który Retha zebrała nocą. Starął się w sobie wzniecić oburzenie, jakie odczuwał wcześniej, lecz wspomnienie fachowych zabiegów przeważało.

Była taka czuła, zdecydowana, drażniąco bliska.

Uśmiechając się, pokuśtykał w stronę umywalki. Przyjemnie było wrócić do domu, do troskliwej, rozsądnej, sumiennej żony. Przyjemnie to zresztą mało powiedziane. Zmoczył szmatkę i zmył pot z twarzy, szyi i torsu. Doszła go woń gotujących się szynki i kapusty. Senność ustąpiła i Jacob poczuł wilczy głód.

Kończąca wczesną mszę muzyka ucichła. Rozległy się dziecięce okrzyki, zagłuszające rozmowy dorosłych, przechodzących pod oknami domu Jacoba. Bez wątpienia wrzaski jego

synów. Pozostały mu dwie minuty na ubranie się, zanim wpadną do domu. Szybko wciągnął bryczesy i zapiął kołnierzyk. Nie chciał, by dzieci oglądały jego obrażenia, jakkolwiek nie były ciężkie ani groźne.

Trzasnęły drzwi wejściowe, rozszczebiotane dzieci były w domu. W domu: Po śmierci Christiny, ilekroć wyjeżdżał, musiały spędzać czas u innych ludzi. Teraz, kiedy ożenił się z Rethą, zostawały u siebie.

- Ciii, ciii. - Przez uchylone drzwi, dobiegł szept Rethy. - Jeszcze śpi.

- Czekałem cały dzień - poskarżył się Matthias.

- Wszyscy czekali cały dzień - spokojnie odparła Retha.

- Powiedziałaś, że wstanie w południe.

- Pora na kolację! - dodała Anna Johanna, nie bardzo na temat.

- Pozwolę wam spojrzeć na ojca, Nicholasie - spokojnie powiedziała Retha. - Ale on jeszcze się nie obudził.

Jacob narzucił kamizelkę i spojrzał na pokaleczone stopy. Nie miał bandaży, żeby zabezpieczyć otarcia. Bardzo ostrożnie wciągnął jedną skarpetę, krzywiąc się z bólu. Na szczęście codzienne obuwie było już znoszone i układało się do stóp lepiej niż buty do konnej jazdy.

- Pewnie jest ranny. - W tonie młodszego syna brzmiał niepokój. Jacob poczuł wyrzuty sumienia. Właściwie nie był ranny, zwłaszcza w porównaniu z tym, jak ranił syna, wypełniając obowiązki, które odciągały go od domu i od rodziny.

- Nie, Matthiasie. Nie jest ranny, tylko bardzo zmęczony - zapewniła go Retha. - Mówił, że prawie nie sypiał.

- No! - odezwał się Nicholas. - Założę się, że brał udział w straszliwej bitwie.

Jacob zacisnął zęby, wsuwając stopy do butów. Co zrobić, by Nicholas stracił zamiłowanie do wojaczki? Już niemal od kolebki był wojowniczy, lecz po śmierci matki jego waleczność jeszcze się wzmogła. Dlaczego? Jacob nie pojmował jego pasji, podobnie jak nie rozumiał nieustającej boleściowości Matthiasa.

Niezależnie od tego, co mówił Jacob, entuzjazm Nicholasa nie słabł. Widok chłopaków niewiele od niego starszych, paradujących po mieście w czerwonych mundurach brytyjskich lub niebieskich amerykańskich, tylko wzmagił jego pragnienie.

- Nie było żadnej bitwy - roześmiała się Retha, pozbawiając Nicholasa wszelkiej nadziei na bohaterstwo ojca. - Obtarł sobie stopy i dostał pęcherzy, maszerując przez całą noc.

- Pęcherzy? - spytał zawiedziony Nicholas. Niepokój Jacoba wzrósł jeszcze bardziej.

- Tak, pęcherzy - odparła jego rozsądna żona, bezlitośnie pozbawiając Nicholasa wszelkich fantazji o heroizmie ojca. - A teraz umyćcie się do kolacji.

- A co ze Ślamazarhan... - zaczął Nicholas.

- Anna Johanna jest czysta - stanowczo przerwała mu Retha.

Czysta? Anna Johanna nigdy nie bywała czysta. Na te słowa Jacob wyszedł z sypialni, by stawić czoło rodzime. Matthias spojrzął na niego przenikliwym wzrokiem, a Nicholas łypnął gniewnie na Rethę. Twarzyczka Anny Johanny poróżnowiała na widok ojca.

- Papa! - pisnęła i podbiegła do ojca. - Zbudziłeś się!

Jacob stłumił chęć przytulenia jej do piersi i ukucnął przed córeczką.

- Pewnie, że tak, kluseczko. Specjalnie dla ciebie.

Mrugnął do synów, aby im przypomnieć, że wrócił do domu także do nich. Nicholas prychnął, a Matthias niegrzecznie wzruszył ramionami.

Już miał im zwrócić uwagę, gdy Retha chrząknęła. Obydwaj chłopcy zwiesili głowy, jakby ich ofuknęła. Jacob patrzył na to z niedowierzaniem.

- Tak długo cię nie było, papo.

Jacob zwrócił się ku córeczce, która patrzyła na niego z powagą, unosząc krągłą buzię.

Czystą okrągłą buzię. Jacob nie posiadał się ze zdumienia. Jak to się stało, że Retha odniosła sukcesy tam, gdzie on poniósł klęskę?

- Wiem, pulpeciku - powiedział, starając się, by jego głos nie zdradzał zdziwienia.

- Nie było cię tyle dni.

- Tylko cztery.

Anna Johanna przybrała groźną minę.

- Nawet Nicholas uważa, że nie było cię za długo. I chciał, żebyś miał przygody.

Serce Jacoba wezbrało ojcowską dumą. Jego córka nigdy dotąd nie wygłosiła takiej skomplikowanej przemowy. I wcale się nie przejął, że go zbeształa.

- Nie miałem żadnych przygód - powiedział żarliwie. - I bardzo się cieszę, że jestem z wami w domu.

- Ja też - powiedziała i chwyciła go za palec.

Jacob poczuł ściskanie w gardle i spojrzał na pulchną białą rączkę, zaciśniętą na jego wielkim, zbrązowiałym od słońca palcu. Czysta rączka, zdumiał się Jacob.

- Chodź - pociągnęła go do stołu w salonie.

Jacob podniósł się ostrożnie, starając się, by jego dłoń nie wysunęła się z rączki dziecka, i rzucił żonie pytające spojrzenie. Stała w drzwiach do kuchni, uśmiechając się ciepło.

Co się stało? - zapytał bezgłośnie samymi wargami.

Retha zbyła jego pytanie wzruszeniem ramion.

- Kolacja gotowa! - zawołała śpiewnie i zaniósła do stołu tacę ze stertą pokrojonego w plastry bekonu oraz mnóstwo innego jadła.

Nie zdążył się przyjrzeć, co przygotowała, bo chłopcy zasypali go pytaniami. Obiecał im, że opowie wszystko po modlitwie. Anna Johanna nie wypuszczała jego palca, czekając, aż chłopcy usadowią się przy stole i wszyscy odmówią modlitwę. Dopiero wtedy oswobodziła palec ojca i pozwoliła mu się zająć obfitością jedzenia.

Retha nałożyła mu na talerz, mówiąc:

- Sądziłam, że będziesz głodny.

Jacob spojrzał z uśmiechem na spiętrzone na talerzu szynkę, pierogi, fasolkę i tradycyjną wieczorną papkę.

- Wygłodniały - odparł, mając na myśli inny ośrodek swoich pragnień, i wymownie spojrzał w bursztynowe oczy.

Retha pojęła znaczenie jego słów i oblała się rumieńcem. Widok jej zaróżowionych policzków sprawił Jacobowi niewymowną przyjemność. Lecz nie trwała ona długo.

- Jak wygląda obozowisko, ojczec? - niecierpliwie dopytywał się Nicholas. - Czy jest duże?

Jacob na chwilę zamknął oczy. Ujrzał szeregi namiotów, białe flagi, przeczące okropnościom wojny. Ujrzał młodzieńcze twarze urągających mu żołnierzy. Pełne brawury, groźne i przeżarte.

Potem uniosł powieki i z niepokojem przyjrzał się swemu starszemu synowi. Oczy Nicholasa płonęły żądzą walki i wypełniania bohaterских czynów, która podsyciała jego wyobraźnię.

- Obozowisko to przygnębiające miejsce, niezależnie od pogody - powiedział, starannie dobierając słowa, aby ostudzić zapały syna.

- Och, ojczec. Że też ty zawsze musisz powiedzieć coś w tym rodzaju. Jak tam jest?

- Wszędzie pełno pyłu. Smród. Odstępów pomiędzy namiotami są tak pobrużdżone, że z trudem można przejść.

- Namioty? Ile namiotów? - Niezrażony usiłowaniami ojca, Nicholas dopytywał się, pożerając swoją porcję fasoli.

- Nie miałem czasu, by je policzyć, synu.

- A żołnierze? Mają tam kawalerię? Czy tylko piechotę? Ilu ich jest?

- Przeważnie piechota. Zmęczeni upałem, wygłodniali i wystraszeni piechurzy. Wyczekujący na Brytyjczyków, którzy mają nadejść od Camden.

Nicholas uderzył pięścią w stół.

- Tym razem zetrzemy ich w pył. Nie tak jak w Camden.

Matthias wyrócił oczami. *Danke Gott*, pomyślał Jacob, zadowolony, że młodszy syn nie podziela zainteresowań brata.

- Nie ma żadnych „nas”, synu - powiedział rozsądnie. - To są żołnierze. A my jesteśmy braćmi morawskimi. Owszem, przynależymy do tego kraju i podlegamy rządowi amerykańskiemu, ale przede wszystkim do naszej społeczności. Pułkow-



nik Armstrong rozumie to. I szanuje naszą decyzję, że nie bierzemy udziału w walkach.

Nawet jeśli Sim Scaife tego nie respektuje, pomyślał. Powstrzymał się przed dalszymi argumentami. Przypomniawszy sobie własną reakcję na logiczne wywody ojca. W wieku Nicholas był równie zbuntowany jak on.

- Widziałeś kawalerzystów?

Jacob zaklął bezgłośnie. Rozsądek nie działał na Nicholas.

- Kiedy wracałem do domu, minąłem jeden oddział - powiedział takim tonem, jakby to nie miało najmniejszego znaczenia.

- Brytyjczycy?

- To pewnie ci Amerykanie, którzy wczoraj przejechali przez miasto - wtrąciła się Retha. - Nie ma się czym podniecać. Ani czego obawiać.

- Kto się obawia? - zapytał Nicholas z młodzieńczą brawurą. Retha uniosła brew i Nicholas ucichł.

Jacob przyglądał się żonie ze zdziwieniem, zastanawiając się, co go ominęło. Czy rozmawiała z Nicholasem na temat jego stosunku do wojny? On sam nie odniósł sukcesów, starając się ostudzić zainteresowania syna. Wyjaśniał mu, na czym polega neutralność ich społeczności. Często opowiadał o nędzy i niesprawiedliwości, jakie niesie wojna. Bezskutecznie. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że Nicholas reagował na usiłowania Rethy.

Na razie zadowolili się milczeniem syna i zajęli pełnym jedzenia talerzem. Dobrego jedzenia. Okazało się, że Retha umie gotować.

- Ale, tato, myśleliśmy, że jesteś ranny.

- Nie jestem ranny, synu. - Jacob przełknął kęs tłustego pieroga. Był naprawdę głodny.

- To dlaczego cały dzień spałeś? - zapytał Matthias żalonym głosem.

- Bo byłem straszliwie zmęczony.

- Ale nie ranny?

- Ranny? Nie! - Jacob wbił zęby w kolejny przysmak Rethy, słuchając syna jednym uchem.

- Ale przecież - wyjąkał Matthias z błyskiem w oku. - Zawsze nam powtarzasz, że nie należy kłamać.

Jacob odłożył sztućce na talerz. W ustach młodszego, łagodniejszego syna takie stwierdzenie było równoznaczne z buntem.

- To prawda, synu.

- A ja widziałem twoje zakrwawione skarpety - powiedział Matthias oskarżycielskim tonem.

- Moje skarpety... - powtórzył Jacob.

- Kiedy ona... - wypowiedział to słowo niezręcznie, niepewny, jak ma mówić o macosze. - Kiedy nas wpuściła, żebyśmy mogli cię zobaczyć.

- Pęcherze - powiedział Jacob, starając się zachować powagę. - Widziałeś krew, bo zrobiły mi się pęcherze.

- Ale krwawiłeś.

- To nie to sama co rany odniesione w walce. Nikt mnie nie zaatakował, synu.

- Ale odniosłeś obrażenia.

- A teraz jestem bezpieczny w domu. I ty także jesteś bezpieczny - zapewnił swego poważnego syna, obejmując go ramieniem.

Z przykrością zdał sobie sprawę, że jego niedawno zdrowy i pełen życia syn jest teraz straszliwie wychudzony. Skóra i kości.

Jacob postanowił zasięgnąć porady doktora Bonna.

Zerknął na Rethę. Na jej twarzy malowało się zatroskanie. Widziała, że Matthias nie je, i martwiła się tym. Uścisnął ramię syna i posłał żonie spojrzenie pełne wdzięczności.

- A co robiliście - zapytał, sprowadzając rozmowę na lżejsze tematy - podczas mojej nieobecności?

- Zrywaliśmy fasolę - powiedziała Retha. - I skopaliśmy ogród. Chłopcy codziennie chodzili do szkoły. I raz poszliśmy na nieszpory, a co wieczór chodziliśmy do *Singstunde*.

I co jeszcze? - miał ochotę zapytać, ale chłopcy zaczęli opowiadać o zabawach i o czarnych jagodach, i o szkole. Retha przyniosła owocowe ciasto i pokroiła je na duże kawałki. Wszyscy, z wyjątkiem Matthiasa, rzucili się na nie z apetytem.

Potem, czekając na *Singstunde*, Jacob patrzył, jak chłopcy

grają w drewnianka, a Anna Johanna ubiera i rozbiera swoją lalkę o porcelanowej twarzy. Rozmyślał o tym, jak zaoszczędzić im bólu dorastania. Westchnął z zadowoleniem, rozkoszując się chwilą spokoju.

Ach, jak dobrze było wrócić do domu. Retha uczyniła go swoim domem. Sprawiała wrażenie zadomowionej, spokojnej, jakże odmiennej od owej dzikiej istoty, która w nocy zaatakowała go na schodach.

Dzieci także były odmienione. Ku zdumieniu Jacoba Anna Johanna go dotknęła. Matthias głośno wypowiedział swoje obawy. Nawet Nicholas powiedział: „Tak, proszę pani”.

Mała rączka pociągnęła go za rękaw.

- *Hilf mir*, papo. - Ale jego córeczka nie potrzebowała pomocy. Zanim się zorientował, o co jej chodzi, Anna Johanna wdrapała mu się na kolana i przytuliła do jego piersi.

Bał się odetchnąć.

Po raz pierwszy od śmierci matki Anna Johanna zapragnęła, by ją przytulił.

Więc, ze ściśniętym gardłem, otoczył ją ramionami. Trzymał jej drobne ciało delikatnie, jakby się obawiał, że je połamie. Dziewczynka wierciła się, chichotała, a wreszcie usadowiła się z westchnieniem pełnym zadowolenia. Jacob ostrożnie schylił głowę i złożył ojcowski pocałunek na jej *Haube*, pod którą kryły się jasne loki. Poczł woń krochmalu i wody różanej.

Miała umyte włosy!

Delikatnie ujął ją za ramiona i odsunął od siebie, by się lepiej przyjrzeć jej twarzy. Wyszorowana do czysta! Przed kolacją był zbyt przejęty tym, że go dotknęła, i nie obejrzał jej dokładnie.

Szukając wyjaśnienia, spojrzał na Rethę. Lecz ona była całkowicie zaabsorbowana swoim zajęciem.

Następnie przyjrzał się postrzępionej sukience Anny Johanny. Wydała mu się jaśniejsza niż zwykle. I nie śmierdziała.

Anna Johanna nie śmierdziała.

- Pączuszkę - powiedział. - Coś mi się zdaje, że się kąpałaś. Dziewczynka energicznie skinęła głową. Serce Jacoba wez-

brało czułością. Jego emocjonalnie delikatna córeczka była odporna jak koń pociągowy.

- Kiedy i gdzie stał się ten cud? - zapytał żartobliwie.
- W potoku - odpowiedziała, nagle onieśmielona.
- Wpadłaś do wody? - roześmiał się zaskoczony.
- O, nie. - Pokręciła głową. - Brodziłam.

Jacob uniósł brew. Potok znalazł się poza jej zasięgiem na długo przed śmiercią matki. Czy możliwe, że unikała wody, bo obiecała to matce?

- Otrzymałam polecenie - szybko wyjaśniła Anna Johanna.
- Pozwolenie - poprawił ją roztargniony, przytulając twarz do jej nakrochmalonego czepka.

- Tak. Polecenie. Od mamy Rethy. Żeby wymyć fasolę.

Mama Retha? Mycie fasoli? W potoku? Równie wzruszony nie czuł się od czasu Bożego Narodzenia, kiedy płakał z tęsknoty za zmarłą żoną. Teraz także był bliski płaczu. Ale teraz byłyby to łyzy radości, łyzy ulgi. Musi się dowiedzieć, co zaszło.

W potoku! A jeśli... Przypomniał sobie. Niedługo przed wybuchem epidemii, która zabrała Christinę, matka nakrzyzczała na Annę Johannę za samotne brodzenie w potoku. Podczas choroby Christiny Jacob znów znalazł dziewczynkę brodzącą w wodzie i ją skarcił. A jeśli Anna Johanna miała poczucie winy, że jej zachowanie w jakiś sposób doprowadziło do śmierci matki?

- Pachniesz różami - wyszeptał, uszczęśliwiony, że skończył się jej wstręt do wody.

- Wodą różaną - oświadczyła z dumą, przeciągając słowa. - Mama Retha powiedziała, że to ci się spodoba.

- Podoba mi się, pulpeciku. - Musnął ją po policzku; dziewczynka zsunęła się z kolan Jacoba jak gibki kociak i podbiegła do Rethy, by myszkować w jej koszyku z szyciem.

Jacob znów spojrzął na żonę, szukając u niej wyjaśnienia. Szyła coś pracowicie. Miał jednak wrażenie, że na jej twarzy igra uśmiech. Zadowolonia? Rozbawienia? Dumy?

Anna Johanna wróciła do niego z kawałkiem jakiejś nieokreślonej tkaniny. Znów wdrapała się na kolana ojca.

- Popatrz, papo. Mama Retha szyje dla mnie jelenią sukienkę.  
- Sukienkę z jeleniej skóry, ty głup... - ofuknął ją Nicholas.  
- Dosyć tego, Nicholasie - przerwała mu Retha stanowczym tonem.

- Tak, proszę pani - wymamrotał Nicholas.

Jacobowi zawirowało w głowie. Nicholas posłuszny i czysta Anna Johanna! Gdyby Retha została z nimi dłużej, Matthias zacząłby przybierać na wadze.

Może powinienem powrócić na pole bitwy, pomyślał.

**M**usisz mi wyjaśnić, jak to się stało, Retho - powiedział Jacob po upływie kwadransa, gdy Retha nieśmiało wzięła go za rękę.

Szli na wieczorną mszę śpiewaną. Jacob lekko utykał, lecz dostrzegąca to tylko Retha. Chłopcy pobiegli przodem. Anna Johanna garnęła się do Rethy i Jacoba, więc wzięli ją pomiędzy siebie.

- Później - obiecała Retha, dumna z dobrego zachowania dzieci. Bała się rozmawiać. Obawiała się, że czar pryśnie. Było to ich pierwsze rodzinne wyjście z domu i Retha rozkoszowała się nim.

Wszyscy napotkani ludzie, od siostry Marshall po brata Bage'a, pozdrawiali ich jako brata i siostrę Blumów. Nawet Rosina Krause, która zawsze zwracała się do niej per siostrę Retho, usankcjonowała jej nowy status, nazywając ją siostrą Blum. Retha uśmiechała się, zadowolona, że wreszcie, po wielu latach posiadania wyłącznie imienia, zyskała nazwisko.

Podeszła do nich trzpiotowata Eva Ernst, paplając coś, dopóki nie nachyliła się nad Anną Johanną i nie spostrzegła, że trzyma rodziców za rękę.

- Retho! Anna Johanna trzy...

- Anna Johanna cieszy się z powrotu ojca - szybko przerwała jej Retha, nie chcąc, by Eva palnęła jakieś głupstwo.

Eva nie poczuła się urażona i powiedziała najlepszą rzecz, jaką można było powiedzieć w tej sytuacji.

- Zdaje mi się, Anno Johanno, że urosłaś.  
Dziewczynka zatańczyła w miejscu.  
- Mama Retha szyje mi jelenią sukienkę - oświadczyła dumnie.

- O, jak to miło - mruknęła Eva, ale minę miała zakłopotaną.  
Retha zlekła się, że Eva może powiedzieć coś głupiego na temat sukienki, ale Anna Johanna promieniała radością. Jacob także się uśmiechał. Retha wyprostowała się, z zadowoleniem witając swój nowy status mężatki. Musi się przyzwyczaić do publicznego występowania w roli żony i matki.

Zwłaszcza w roli żony. Niestety, znacznie lepiej czuła się z dziećmi Jacoba niż z nim. Na Jacoba spoglądała z podziwem. Wydawał jej się taki piękny i doskonały w pełnieniu ojcowskich obowiązków. Zastanawiała się, czy będzie równie dumny z ich przysłych dzieci, zakładając, że zrobili już to, co ludzie robią po ślubie.

Poczuła rumieniec na twarzy. Cóż to za myśli? Skarciła siebie, gdy wchodzili do *Saal* na *Singstunde*. Takie myśli, w chwili gdy powinna skupić się na roli przybranej matki.

- Zatrzymam dzieci przy sobie, kiedy będziesz śpiewał - powiedziała, mając nadzieję, że w jej tonie zabrzmiała nuta macierzyńskiej pewności siebie.

- Ach, a ja nie miałem dziś zamiaru śpiewać - odparł Jacob, spoglądając na rączkę Anny Johanny, która ścisnęła go za palec.

Retha spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Z powodu Anny Johanny. Nie sądzę, by mnie teraz puściła.  
Jacob przywołał chłopców, którzy zajęli miejsca na ławce. Nicholas, Matthias, Jacob, Anna Johanna i ona, Retha. Synowie po lewicy ojca, Anna Johanna po prawicy, oddzielając Rethę od Jacoba. A przecież jej miejsce było przy nim. Stłumiła rozczarowanie. A może było to niezadowolenie lub uraza? Przez cztery długie dni nie robiła nic innego poza zaspokajaniem potrzeb dzieci, a tych potrzeb miały one mnóstwo.

Nagle zdała sobie sprawę, jakie uczucie ją dręczy. Dziecięca zazdrość. Opuściła głowę, śmiejąc się z siebie w duchu. Dzieci

zawsze będą dla niego najważniejsze. Wyszła za niego, wiedząc o tym. Musi się z tym pogodzić.

Bez mocnego głosu Jacoba chór brzmiał słabo, ale Retha starała się wkładać w śpiew całe serce. Zebrani usiedli, potem wstali i Anna Johanna wypuściła dłoń Rethy. Kiedy wszyscy znów usiedli i zaczął się nowy chorał, Anna Johanna zapragnęła usiąść na kolanach ojca.

Jacob posłał żonie spojrzenie niewymownej wdzięczności. Dzięki, wyszeptał. A następnie wskazał wolne miejsce obok siebie.

Serce Rethy zabiło żywiej. Władczy, piękny i mój.

Zadowolona z tego, że otrzymała, co jej się należało, przysunęła się do męża. I znów, tak jak o świcie, poczuła jego ciepło. Umiała odróżnić ciepło, jakim promieniował, od upału. Było to ciepło męskiej siły, władzy, jaką miał nad nią, a której ona nie pojmowała.

Gdy chór zamilkł przed następnym chorałem, Jacob wyszeptał jej do ucha:

- I z twojego powodu.

Poczuła na karku oddech Jacoba i z przejęcia nie zrozumiała znaczenia jego słów.

- Słucham?

- Chciałem, żebyś usiadła przy mnie - wyszeptał.

Retha oblała się rumieńcem, a w jej brzuchu odezwało się to przerażające, rozkoszne odczucie, poznane w nocy i rankiem, gdy pochyliła się nad na wpół obnażonym ciałem Jacoba. Nie tutaj! Skarciła siebie. Przygryzła wargi, ale odczucie nie ustępowało, rozlewając się w kierunku ud.

Ośmieliła się zerknąć na Jacoba. Jego zdecydowany profil pozostał nienaruszony, z wyjątkiem leciutko opuszczonego kącika warg. Doznała wrażenia, że Jacob stara się opanować. Czyżby zauważył jej rumieniec i domyślał się, co czuła?

A jeśli on odczuwa jej ciepło?

Boże, dopomóż!

Jacob przesunął siedzącą na jego kolanach córeczkę. Wystarczy, że przeraził swoją niewinną żonę. Musi uszanować powagę mszy. Nie wiedział, kiedy ogarnęła go ta grzeszna swawolność.

Nie, mimo wszystko wiedział. Miał wtedy pewnie ze siedem-

naście lat i Christina, już wtedy jego najbliższa przyjaciółka, była jego chętną partnerką w psotach. Nieszczęsna Retha, w przeciwieństwie do Christiny, była inaczej wychowywana. Po stracie swych białych rodziców przez wiele lat żyła wśród dzikich Indian, a potem znalazła się w społeczności braci morawskich. Będąc niezamężną siostrą, dostosowała się do zasad, których nie aprobowali jej rodzice i nie pojmowali Indianie. Z całą pewnością na jej stosunku do Jacoba zaciążyło coś więcej niż wychowanie. Lecz jakiegokolwiek było źródło jej obaw, doskonale radziła sobie z dziećmi.

Usadawił się wygodniej na ławce i zdał sobie sprawę, że Retha na niego spogląda.

W najbliższych dniach, a jeśli będzie trzeba, w najbliższych tygodniach, z przyjemnością będzie ją uczył tego wszystkiego, co wie o rozkoszach możliwych między kobietą a mężczyzną. Jeśli dobiegnie wreszcie końca ta niekończąca się msza. Nic dziwnego, że od lat spędzał każdy wieczór na śpiewaniu w chórze. Bez tej uświęconej dyscypliny jego uwaga się rozpraszała.

Kiedy zapadła noc i dzieci poszły do łóżek, Jacob czekał w salonie, by porozmawiać z żoną. Retha krzątała się po kuchni, odkładając pozmywane naczynia do szafek, a potem zajęła się przygotowaniem śniadania na następny dzień. Coś zadźwięczało, wsypywane do żeliwnego garnka. Mamałyga, domyślił się Jacob, na rano. Retha dołała do garnka wody. Tak, namacza mamałygę.

Zastanawiając się, jakie wymówki Retha wymyśli sobie na wieczór, przymknął oczy i zaczął nucić fragment ulubionego hymnu. W ten sposób skracał sobie oczekiwanie.

Nie mogąc jej przecież ponaglać, powtarzał w myśli. Ma wiele czasu, by zrozumieć jej dziwne zachowanie podczas nocy poślubnej. Minionej nocy, z wyjątkiem chwil, kiedy opatrywała mu rany, znów stała się nerwowa.

On, człowiek rozsądny, nie był w stanie pojąć, skąd bierze się dziwaczne zachowanie żony. Widząc, jak dobrze radzi sobie



z jego dziećmi, musiał zrezygnować z teorii, że Retha jest po prostu kapryśna.

Usłyszał szelest spódnicy. Spojrzał na nią, gotowy prawić jej komplementy, gotów na przymilanie się do niej, by pozwoliła się objąć.

Stanęła przed nim błada i z zaciśniętymi ustami.

- Idę do łóżka - oświadczyła.

## 9

Jacob patrzył na pogrążoną we śnie żonę. Widoczna w świetle poranka, Retha leżała w poprzek łóżka, na boku, zwrócona twarzą do męża. Z podkurczoną nogą wygląda zupełnie jak biegnąca Indianka, pomyślał.

Dokuczała mu niezaspokojona żądza. Minionej nocy, widząc rozpacz Rethy, pozwolił jej się położyć, nie prawiając żadnych komplementów, nie zadając żadnych pytań. Był zbyt zmęczony. A ona zbyt niechętna. Zawiedziony, zastanawiał się, czy nie zdobyć szturmem łóżka, tej cytadeli oporu Rethy, tej fortecy odrzucenia. Ale bladeść żony przemawiała silniej niż pragnienie Jacoba. Zmusił się, by zasnąć. Rankiem szybko uciekł na fotel i pilnował Rethy, jakby był jej strażnikiem.

Ach, gdybyż potrafił uwolnić ją od tego, co ją prześladowało, uwolnić ich obydwoje od okropnego wspomnienia, który towarzyszyło mu od czasu nocy poślubnej. Podszedł do łóżka. Przez okno wpadały lekkie powiewy wiatru. Pierwsze promienie słońca igrały na zmysłowym ciele Rethy, podkreślając szczupłość jej talii, krągłość bioder, kształtność nóg. Lecz nocna koszula i poza Rethy ukrywały jej pełne kobiecości powaby.

Żona wydała wysoki, niepokojący dźwięk i przeturlała się na wznak. Wysoko sterczące piersi oblepił batyst nocnej koszuli. Jacob westchnął z zachwytem. Brodawki miała napięte, kuszące. Pieścił ją wzrokiem. Pod cienką tkaniną, tam gdzie

łączyły się uda, rysował się słodki cień rozkoszy. Miała lekko rozsunięte nogi, jakby niedawno pozostawił ją kochanek.

To on powinien być jej kochankiem.

Opanowując żądze, odszedł od łóżka, stukając bosymi stopami o deski podłogi. Starał się zająć myśli innymi sprawami. Musiał ukończyć remont młyna. Armstrong się niecierpliwił. Jacob zapalił łojową lampę, używając do tego żaru z kuchennego pieca. Ustawił ją na półce ponad stołem kreślarskim i sięgnął po szkice.

Przez ponad tydzień nie zajmował się tą ważną pracą. Gruby papier rozwijał się z trzaskiem. Jacob pomasaował zeszywniały po nocy kark i przyjrzał się rysunkowi zapory. Poszukując Andreasa, obmyślił sobie, jakie wprowadzi zmiany.

Jego nowy projekt wytrzyma powódź nawet tak wielką jak potop, który zmusił Noego do wybudowania arki. A co więcej, młyn szybciej zmieli ziarno na mąkę dla wygłodniałych oddziałów pułkownika Armstronga. Jacob spiesznie naniósł poprawki, zwinął rulon i niecierpliwie postukał nim o blat biurka.

Znów zaczął rozmyślać o niechętej mu żonie. Odrzucenie raniło jego dumę. Jej opór zmuszał do tłumienia wzrastającego pożądanego. Jacob chciał, by żona mu ufała, by go kochała i pragnęła.

Chciał, żeby do niego przyszła.

Zgasił lampę i wyszedł z domu. Mieszkający przy tej samej ulicy ranny ptaszek, doktor Bonn, mógł mieć jakieś nowe lekarstwo dla Matthiasa.

Dwoje młodszych dzieci obudziło Rethę, gramoląc się na jej łóżko jak szczeniata.

- Gdzie jest papa? - spytała Anna Johanna, niespokojnie zaglądając pod prześcieradło.

W pracy, pomyślała Retha, przytomniejąc. Nie miała pewności, dokąd poszedł, więc milczała.

Światło wczesnego ranka opromieniało głowę Matthiasa, tulącego do siebie poduszkę ojca.

- Chyba nie musiał znowu wyjechać?

- Lepiej, żeby nie musiał - powiedział Nicholas, przysiadając w nogach łóżka.

- Nie wyjechał - odezwał się głos Jacoba i dzieci odwróciły się ku niemu, by go powitać.

Retha spojrzała w stronę drzwi. Przyłapał ją. Zasnęła. Zastydzona, najchętniej skryłaby się pod prześcieradłem, tak jak jej pasierbica.

- Za minutę podam wam śniadanie - wyjąkała.

Jacob z rozbawieniem przyglądał się zakłopotanej żonie. Następnie poklepał synów po plecach.

- Czas się ubrać do szkoły - powiedział wyrozumiale, wypychając ich z sypialni.

- Zaczekajcie na mnie! - zawołała Anna Johanna, gramoląc się spod prześcieradeł i chwytając ojca za bryczesy.

- Ty także musisz się ubrać, pulpeciku. Nie możesz odmawiać porannej modlitwy w koszuli.

Schylił się, by ją podnieść, lecz nie dowierzając wczorajszej przemianie, zacisnął pięści.

- Zaraz wracamy - powiedział, oglądając się na Rethę.

Retha poczuła się opuszczona, ale nie miała czasu, by to roztrząsać. Zadziwiona energią swojej nowej rodziny i jej wymaganiami, ledwie zapięła stanik i włożyła spódnice, a już usłyszała tupot dziecinnych stóp.

Minionej nocy długo leżała w łóżku, niespokojnie czekając na Jacoba, zarazem bojąc się, że do niej przyjdzie, i obawiając się, że nie przyjdzie. Odczuwała jakieś gorące pulsowanie, a nie rozumiała, co je powoduje. Chciała, aby się skończyło, chciała, by ktoś jej powiedział, co z nią było nie w porządku. Gdyby tylko miała się do kogo zwrócić.

Zaprzątnięta myślami, weszła do kuchni i nakryła do stołu, ustawiając na nim blaszane talerze, kubki i cynowe sztuce.

Alice! Pójdzie do Alice. Do zamężnej indiańskiej przyjaciółki, która będzie wiedziała, co się z Rethą dzieje, i powie jej prawdę bez zgorzienia i bez chichotów. Do południa będzie miała dość czasu, by dojść do domku Voglerów, porozmawiać z Alice i wrócić przed powrotem chłopców. Na drogach

mogłaby się natknąć na żołnierzy, lecz indiańskie ścieżki i jelenie szlaki powinny być bezpieczne. Nie ma jednak przepustki, której żołnierze amerykańscy wymagają od podróżnych, no i pójdzie bez wiedzy męża. W sumie narazi się na niebezpieczeństwo.

Ale, mówiła sobie, pójdę tam dla jego dobra, dla dobra naszego małżeństwa.

Postawiła na stole mleko, masło i ciasto z zielonymi jabłkami. Warto będzie zaryzykować. Przez te kilka godzin Eva będzie się mogła zająć Anną Johanną. A ja potrzebuję roślin na barwniki i nazbieram ich trochę dla niepoznaki. Wrócę do domu przed chłopcami, którzy przyjdą ze szkoły, by zjeść mamałygę.

Czwórka ubranych i głodnych - z wyjątkiem Matthiasa - Blumów hałaśliwie zeszała po schodach. Napełniają dom miłym gwarem, pomyślała Retha, odprężając się na chwilę.

Jacob pochwyił jej spojrzenie i z rozbawieniem spojrzał na stół. Czyżby o czymś zapomniała, czyżby podała nie dość jedzenia, przecież jest ich tylko pięcioro...

A ona nakryła na czworo! Przesadnym gestem chwyciła się za głowę.

- Ktoś jest tutaj niemiłe widziany? - zapytał Jacob ze śmiechem.

- Ktoś się jeszcze nie obudził - powiedziała Retha, oblewając się rumieńcem, i szybko przyniosła piątą nakrycie. - Wszyscy są miłe widziani.

Po modlitwie i po śniadaniu wyprawili chłopców do szkoły. Jacob wziął ze stołu w salonie duży rulon pergaminu i ruszył ku drzwiom wyjściowym, lecz zawrócił i powiedział żonie, tak by nie mogła go słyszeć Anna Johanna:

- Aha. Rozmawiałem z doktorem Bonnem. Podejrzewa suchoty.

- Przecież Matthias nie kaszle.

- To samo mu powiedziałem. Obiecał przebadać chłopca, ale jest pewien, że to suchoty. Nie mam zamiaru straszyć mego syna, mówiąc mu, że jest śmiertelnie chory.

- Bo nie jest. Nie kaszle. Jest chudy, ale nie chory.

- Po prostu nie je.  
- Może pomogłyby mu jakieś poprawiające apetyt napary.  
- Prosiłem o coś doktora, a on, nadymając się, odparł, że Matthias jest za młody, by nie mieć apetytu. „Musimy znaleźć przyczynę” - powiedział Jacob, naśladowując sposób mówienia doktora, lecz Retha usłyszała w jego głosie nutę urazy. - Co oznacza, że sami musimy znaleźć lekarstwo dla Matthiasa.

Użyta przez Jacoba liczba mnoga wzruszyła Rethę.

- Znajdziemy. Znajdziemy, na pewno.  
- Wiem. Ale wszystko, czego dotąd próbowałem, było na nic... - zamilkł zmartwiony.

Retha niepewna, jak ma postępować żona wobec odrzuconego męża, podeszła do niego, by go pocieszyć.

Na pewno nie tak.

Zasłonił się rulonem jak bronią.

- Muszę już iść - powiedział nerwowo.

Alice siedziała pod ogromnym dębem, który rósł obok ich domku. Kruczoczarne włosy zasłaniały jej twarz i robótkę, którą trzymała na kolanach.

Retha szła tu po wilgotnej od rosy trawie, więc podwiązała spódnicę, aby jej nie zmoczyć. W ręce trzymała buty, *Haube* i chustkę na szyję. Na razie nie miała zamiaru ich wkładać. Jej indiańska przyjaciółka zrozumie, dlaczego Retha uwolniła się od krepujących akcesoriów stroju białej kobiety.

- Alice! - zawołała niegłośno.

Indianka nie zareagowała. Retha podeszła bliżej. Alice skupiła całą uwagę na wyszywaniu koralikami ogromnego mokasyna, który zupełnie nie pasował do jej prostej kraciastej koszuli.

Retha zawołała jeszcze raz.

Alice się wzdrygnęła, rozsypując koraliki na ziemię.

- Oto przyszłam - Retha Wypowiedziała po niemiecku tradycyjne powitanie Czirokezów.

- To dobrze - odparła Alice, a jej ładną twarz rozjaśnił

uśmiech. Jednocześnie nerwowo szukała w trawie rozsypanych koralików.

Retha uklęknęła obok, by jej pomóc.

- Nie chciałam cię przestraszyć.

Alice spojrzała w stronę polany. Retha nie dostrzegła tam nic poza zbożem, zasianym na miejscu drzew wypalonych przed laty przez Indian. W oddali Gottlieb rytmicznie pracował wielką kosą, samotnie ścinając pszenicę na wysuszonym polu.

- Mamy tu wielu... nieproszonych gości - wyjaśniła Alice, starannie dobierając niemieckie słowa, których nauczyła się z takim trudem.

- Idąc tu, nie napotkałam żywej duszy.

Alice wrzuciła ostatni koralik do małego woreczka i przyjrzała się ubranej swobodniej niż w domu przyjaciółce.

- Milicja - wyjaśniła. - Nie powinnaś tu była przychodzić. Brytyjczycy maszerują z południa, mówi Gottlieb. I wielu innych.

- Jeszcze tutaj nie doszli.

Alice z uśmiechem wskazała jej miejsce na kocu obok siebie.

- Po co przyszaś?

- Żeby się z tobą zobaczyć. - Retha usiadła, układając na kolanach chustkę na szyję i *Haube*.

- Masz przepustkę?

Retha pokręciła głową, a opadające luźno włosy lepiły się do jej nagich, spoconych ramion.

- Nie mam przepustki. Nie szłam drogami.

- W lesie nie jest bezpiecznie.

- Unikałam polan.

- Siostry nie byłyby zadowolone - powiedziała Alice z rzadką u niej dezaprobatą. - Bardzo się o ciebie troszczą.

- Starają się.

Retha spostrzegła, że Alice otwiera ze zdziwienia oczy na widok niebieskiej wstążki przy *Haube*. Zarumieniła się z dumy.

- Twoja wstążka. Niebieska. - Alice dotknęła wstążki z uśmiechem. - Mężatka?

Retha skinęła głową.

Słaba niemczyzna zawiodła Alice, więc przeszła na język ojczysty.

- Ale kiedy? I z kim? Gdy widziałam cię na targowisku, nie wspomniałaś o tym ani słowa!

Retha wydukała swoją historię, posługując się dawno nieużywanym językiem Czirokezów.

- Wtedy nic o tym nie wiedziałam. Myślę, że brat Blum spiskował ze starszyzną i w tajemnicy przede mną wyciągnęli los na mój temat. Wyobraź sobie, że mężczyzna taki jak brat Blum pyta los o mnie.

- To ten... czy to nie jest przyjaciel Gottlieba, ten, co ma tyle dzieci?

- Tylko trójkę - zachichotała Retha, a potem przygryzła wargi. Musi być poważna. Chce się dowiedzieć, jak to jest między mężczyzną a kobietą i czegoś na temat swoich dziwnych nieznanym odczuć. - Prawdę powiedziawszy, prawie nie myślałam o dzieciach.

- Opowiedz mi o nich - powiedziała Alice. Ona i Gottlieb wciąż nie mieli dzieci. - Trudno jest być matką?

- I tak, i nie. - Retha opowiedziała przyjaciółce o tym, co czuła w ciągu pierwszego tygodnia. O zakłopotaniu, sukcesach i dumie. Alice kręciła głową, słysząc o brudnej sukience Anny Johanny, współczuła przyjaciółce z powodu nieprzejednania Nicholasa, zastanawiała się na głos, dlaczego Matthias jest taki chudy.

- Powinnaś go karmić porządnym, indiańskim jedzeniem - stwierdziła.

- Chyba będę.

- Ale nic nie mówisz o małżeństwie.

- Dziwię się, że nikt przed tobą mnie o to nie spytał - wyznała. - Jestem dla nich sierotą i kimś obcym. Myślę, że może moja przeszłość odstręcza ich ode mnie.

- Niemożliwe. Gdyby tak było, nie zatrzymaliby cię wśród siebie. A poza tym jesteś Indianką z urodzenia. - Alice poklepała Rethę po ręce i wróciła do swego zajęcia. - No, no. Mężatka od tygodnia. Czy twój mąż jest delikatny?

Delikatny. Retha przysiadła na piętach. Jakie dziwne sfor-



mułowanie. Jacob był dużym mężczyzną. Silnym. Zpracowanym. I dobrym ojcem. O co Alice ją pyta?

- Myślę, że jest dobrym człowiekiem. Kocha swoje dzieci. Ciężko pracuje dla całej gminy.

Alice uśmiechnęła się krzywo.

- Nie o to mi chodzi. - Zniżyła głos do szeptu. - Zadowolona cię? Jest delikatny?

Retha cofnęła dłoń.

- Och, chodzi ci o jego temperament. Myślę, że ma temperament. Ale panuje nad sobą.

Z twarzy Alice zniknął uśmiech.

- Krzywdzi cię.

- Och, nie - odparła Retha, zaintrygowana. - Nie wierzę, że Jacob mógłby coś takiego zrobić.

- Oczywiście, za pierwszym razem boli, i krew...

- Nie bolało i nie było żadnej krwi - zapewniła ją Retha i szybko przystąpiła do omawiania tematu, który tak ją niepokoił.

- Żadnego bólu? - Alice odłożyła robótkę i przyjrzała się przyjaciółce płonącymi oczami. - Powinnaś poczuć ból.

- Nie. Nie czułam.

- Na prześcieradłach powinna być krew.

Krew na prześcieradłach? Retha zadrzała. Pokręciła głową. Nie było żadnej krwi.

- Coś tu jest nie w porządku, moja droga - powiedziała Alice łagodniejszym tonem. - Sypiasz z mężem?

- Oczywiście. Chyba że wyjeżdża z domu. Jego kuzyn został wzięty do wojska i Jacob pojechał po niego. Przez cztery noce spałam sama, do czego jestem przyzwyczajona. Ale nie do tego, by mieć dla siebie cały pokój...

Chaotycznie przeskakiwała z tematu na temat.

- Chodzi mi o to, czy się z nim pokładasz - przerwała jej Alice. - Jak żona z mężem. No, wiesz. Jak kobieta z mężczyzną.

- Nie wiem.

- Nikt ci tego nie wyjaśnił przed ślubem?

Nie, krzyczała w myśli, właśnie dlatego przyszłam do ciebie.  
Milczała jednak kręcąc głową.

Alice serdecznym gestem przytuliła ją.

- Powiedz mi, Błądząca Zgubo, czy twój mąż cię kocha?

Do oczu Rethy napłynęły łzy. Okropność.

- Nie sądzę, by mnie kochał - wychrypiała z trudem.

- Pytam poważnie - powiedziała Alice z zakłopotaniem. -  
Współżył z tobą?

- Już ci mówiłam. W noc poślubną.

- Aha. Opowiedz mi, co się zdarzyło.

Retha westchnęła głęboko, by się uspokoić. Po to tutaj przyszła.

- Całował mnie i obejmował i zaprowadził do sypialni  
i zostawił samą, żebym się rozebrała,

- A potem...

Recie zrobiło się gorąco. Zaczęła się kołysać.

- Nie pamiętam.

Jej przyjaciółka zmarszczyła czoło.

- To znaczy, zaraz było po wszystkim...

Alice cmoknęła z dezaprobatą.

- Musiało być szybko po wszystkim - powtórzyła Retha.

- Tak nie bywa, moja przyjaciółko. To musi potrwać.

- Och...

- Myślę, że twój mąż jeszcze się z tobą nie kochał.

Byłam pewna, że coś między nami zaszło, pomyślała Retha  
z zakłopotaniem.

W takim razie dlaczego Jacob był taki zły?

Alice wstała i podała dłoń przyjaciółce.

- Mam herbatę z kory drzewa sassafrasowego. Chodźmy  
do domu. Tam porozmawiamy w spokoju. - Zawinęła robótkę  
w kawałek skóry i poprowadziła Rethę do domku.

Wewnątrz panował miły chłód, bo grube drewniane bale nie  
przepuszczały gorąca. Retha z przyjemnością chłodziła stopy  
o gliniane klepisko.

- Przydałoby ci się coś innego, ale mam tylko herbatę -  
powiedziała Alice, sadzając Rethę z dala od wielkiego paleniska,  
gdzie w przykrytym garnku dusiła się jakaś potrawa. Następnie

wyjęła z zawiniątka mokasyn, który obszywała koralikami, i usiadła obok przyjaciółki. - Gdybyś dorosła do odpowiedniego wieku pośród nas, twoja matka...

- Śpiewające Kamienie z klanu Wilków...

- Powiedziałyby ci. Ale ja zrobię to za nią.

Alice przedstawiła prosty, lecz dosadny opis aktu płciowego, dzięki czemu Retha pozbyła się wszelkich wątpliwości: Jej mąż jeszcze się z nią nie połączył. Nie wszedł w nią, dlatego nie poczuła bólu, nie krwawiła. I nie stało się nic, co by sprawiło, że krew krąży wartko jak rzeka, pokonująca wodospady. Z wyjątkiem...

Krew zakipiała w jej żyłach. Znała już to uczucie, do Jacoba, nie z nim. Była żoną i jakby nią nie była.

Alice pojęła, że Retha nie wypełniła swego obowiązku wobec męża. Wcale jednak nie miała zamiaru wykorzystać swej wiedzy, aby ją w jakikolwiek sposób zranić.

Retha nie śmiała podnieść na nią wzroku. Starła się ukryć zakłopotanie, popijając herbatę.

Dlaczego Jacob jest na mnie zły? - myślała, wzburzona. Dlatego, że mnie nie kocha i nie pragnie? A może coś go ode mnie odstręcza? I jeśli tak jest w istocie, co to jest? Jej przeszłość czy może coś innego? I czy wobec tego uda jej się naprawić to, co jest nie w porządku? Zmarnowała swoją szansę na szczęśliwe małżeństwo, nie wiedząc nawet, że uczyniła coś złego.

Odstawiła filiżankę. Ale co takiego zrobiła? Nic. Położyła się i zasnęła.

I Jacob dzielił z nią łóżko.'

Może sytuacja nie była beznadziejna.

Patrząc, jak Alice wyszywa mokasyn, Retha usiłowała sobie przypomnieć, czy zachowanie Jacoba może świadczyć o tym, że nadal jej pragnie. Zaraz po ślubie, uszczęśliwiony, ucałował ją na oczach wszystkich zebranych. A potem pocałował ją, odjeżdżając na poszukiwanie kuzyna. A po powrocie z wdzięcznością przyjął jej opiekę...

Wspomniła jego wielkie, mocne ciało, spoczywające na łóżku. Pragnął jej.

Ale Alice nie powiedziała nic na temat rozmiarów mężczyzny.

- To się nie zmieści! - wykrzyknęła, zakrywając twarz rękami, przerażona swoim wybuchem i zaniepokojona tym, czego się właśnie dowiedziała. Jacob będzie musiał umieścić tę część siebie we wnętrzu Rethy. W jakimś miejscu, którego istnienia nawet nie podejrzewała. Alice musi się mylić. Nic dziwnego, że koty wrzeszczą, a psy się zaklinowują.

- Mężczyzna jest tak stworzony, by pasować do kobiety - zapewniła Alice.

- Jesteś pewna? - spytała Retha zamierającym głosem.

- Nie okłamywałabym cię - powiedziała Alice, uśmiechając się z rozbawieniem. - Mężczyźni i kobiety wciąż to robią.

- A te wszystkie jęki i pomruki, które słyszałam...

- To odgłosy rozkoszy.

Rozkoszy. Retha sięgnęła po filiżankę i napiła się herbaty, by ukryć przerażającą myśl. Ona odczuwała rozkosz. Te niepokojące odczucia sprawiały jej przyjemność. Wystarczało o nich pomyśleć, a powracały.

Lecz trudno było wypytać ją o resztę.

- Zastanawiam się... - Retha bawiła się filiżanką. - Ta rozkosz... czy...

Alice cierpliwie wyszywała mokasyn.

- Czy ty... odczuwasz tę rozkosz... z Gottliebem?

Alice gwałtownie wstała.

Retha patrzyła, jak przyjaciółka odkłada robótkę. Jej miedziana cera poczerwieniała.

- Zarumieniłaś się.

Alice zakryła twarz rozstawionymi palcami.

- Ja się nigdy nie rumienię.

A jednak się zarumieniła. I jej rumieniec był częściowo potwierdzeniem. Retha nabrała odwagi, by zapytać o swój najgłębiej skrywany sekret.

- Czujesz to, kiedy o nim myślisz?

Alice skinęła głową.

- Kiedy z nim jestem i kiedy go nie ma - wyznała Alice.

Retha przez chwilę milczała. Poczwała zazdrość. W głosie Alice brzmiało zadowolenie i pewność siebie.

Alice otoczyła ją ramieniem.

- Błądząca Zgubo, znalazłaś swego mężczyznę. Masz szczęście. Myślę, że on też będzie bardzo delikatny.

Retha wdychała silną woń niedźwiedziego sadła, które chroniło skórę Alicji. Ostatnie pytanie będzie najtrudniejsze.

- Ale jak mam zacząć? Co mam robić?

- Zaufaj mu. Dotykaj go. Daj mu poznać, że się nie boisz...

Alice przerwała i podeszła do okna, nasłuchując.

- Co to?

- Goście.

Retha nic nie słyszała, ale na widok napiętej twarzy przyjaciółki powróciło dawne przerażenie.

- Brytyjczycy - wyszeptwała.

- Nie. Gorzej. - Alice wspięła się na czubki palców, by wyrzeć przez niewielkie okienko. - Milicja. Prześladowują nas. Uważają, że jestem szpiegiem.

Na frontowym ganku rozległy się ciężkie kroki. W drzwiach ukazał się Gottlieb z wiechem skoszonej pszenicy- Oddychając głęboko, podszedł do żony, opiekuńczo otoczył ją ramionami i odciągnął od okna. Dopiero wtedy spostrzegł Rethę, która pospiesznie włożyła *Haube*.

- Siostra Retha! *Gott im Himmel!* Jak się tu dostałaś?

- Ja... przyszłam... - Retha spojrzała na przyjaciółkę, nerwowo wykręcając palce.

- Tu nie jest bezpiecznie - skarcił ją Gottlieb po niemiecku. - Siostry nie powinny cię były puścić.

- Nie puściły, Gottlieb. Ona jest mężatką. Żoną twego przyjaciela, Jacoba.

- Nie powinien cię był puścić - powiedział Gottlieb ponuro. - Ale co za nowina! Jesteś mężatką! Dobrze ci z tym, Retho? Z trudnością przełknęła ślinę.

- Tak, dobrze - odparła.

Na ganku znów zadudniły kroki. Serce Rethy zatrzepotało jak skrzydła uwięzionego ptaka.

Szybkie kroki mężczyzny, trzech, czterech. Mnóstwa mężczyzn, bandy, oddziału. Nie mogła ich zliczyć.

Gottlieb wyciągnął do niej dłoń wielką jak bochen chleba.

- *Stehen Sie hier, Retha, bitte. Mit uns.*

Retha podeszła, by stanąć koło nich.

- I pozwól, że ja będę z nimi rozmawiał - mówił Gottlieb. - Siostry morawskie nie znają angielskiego. Jeszcze by pomyśleli, że jesteś szpiegiem.

Retha opanowała dygotanie. Jacob mówił to samo. Nie chciała w to uwierzyć. Ale nie mogła ryzykować.

Do środka wszedł wysoki, chudy mężczyzna. Miał na sobie pokryty pyłem mundur milicjanta. Obrzucił wzrokiem trójkę stojących razem ludzi. Skrzywił usta, odsłaniając żółte zęby.

Zatrzymał wzrok na Recie. Spojrzała poza niego, odnotowując, że ma brudne, marchewkowoczerwone włosy.

# 10

Mężczyzna zwany Sim Scaife przemierzył klepisko. Za nim czaili się czterej Liberty Men. Retha pomacała niebieską wstążkę przy *Haube*, lecz nie dodało jej to otuchy. Gottlieb otoczył ją ramieniem. Jego spokojna bliskość nieco ją uspokoiła.

Zadrżała na wspomnienie innego upalnego dnia, innego ciasnego pomieszczenia. Już kiedyś znalazła się w równie trudnym położeniu. Mężczyzna za nią, kobieta obok niej. Brudni mężczyźni. Pył. Odór niebezpieczeństwa.

- Przyłapaliśmy wreszcie twoją żonę, amatorze squaw - powiedział Scaife, przeciągając słowa.

Wspomnienie Rethy umknęło, pozostał tylko rudowłosy mężczyzna.

- Indianka Alice, spiskująca z białą kobietą. Dwie spódniczki. - Splunął. - Nie ma nic gorszego od szpiegujących kobiet.

Gottlieb zacisnął dłoń na ramieniu Rethy, ale milczał. Jego milczenie denerwowało Rethę. Ile rozumiał z wsiowej angielszczyzny Scaife'a? Powinien był pozwolić, by to ona rozmawiała z milicjantem. Znajomość angielskiego wcale nie oznaczała, że musi być szpiegiem. A poza tym ona szybko by wszystko wyjaśniła. Po prostu poszła do lasu, by poszukać roślin na barwniki. Wszyscy doskonale wiedzieli, że stale to robiła.

Scaife szturchnął czarny warkocz Alice lufą muszkietu.

- Nic od nich piękniejszego. I nic bardziej podstępnego.

- *Nicht* szpieg, kapitanie Scaife - wreszcie odezwał się Gottlieb - *Sie ist nicht* szpieg. Ani wtedy, kiedy był pan tu w zesłonym miesiącu. Ani teraz.

- Aha, ale ta tutaj... - Scaife zwrócił się w stronę Rethy i wyciągnął rękę, by rozwiązać wstążkę *Haube* i ściągnąć czepek z jej głowy.

Oswobodzone włosy Rethy opadły na ramiona. Drobny, żylasty milicjant zachichotał nerwowo. Retha spaşowiała.

- Niebieska wstążka... - Scaife obejrzał czepek i wstążkę, zanim rzucił go swoim ludziom jak zagrabiony łup. - Jeden z tych braci morawskich wziął sobie wędrującą *Frau*.

- Może to Vogler lubi zmieniać kolory cipek - zażartował zarosnięty milicjant, odbierając czepek od Scaife'a.

- Wszystkie są różowe od środka, Calloway. Możesz ty jeszcze żadnej nie miał? - powiedział żylasty.

Młody milicjant poczerwieniał i podszedł do kolegi. Lecz Scaife zastąpił mu drogę.

- To moja zdobycz, Calloway.

Mężczyzna się cofnął. Retha spuściła wzrok, by ukryć zakłopotanie. Nie rozumiała słów, lecz domyśliła się ich znaczenia. Gottlieb chyba nic nie pojmował.

- *Das ist* Mary Margaretha Blum - powiedział. - *Ist Frau of Bruder* Jacob Blum.

- Żona broodera Bluma? - Scaife kpiąco uniósł brew, dworując sobie z wymowy Gottlieba. - Znamy broodera Bluma. Ty i Blum robicie to teraz na zamianę?

Gottlieb nie chwycił sensu tej przemowy, lecz przyciągnął do siebie Alice i Rethę. W pomieszczeniu zapanowała atmosfera pełna napięcia.

Scaife zwrócił się do Rethy, dotykając jej rozpuszczonych włosów kościstymi palcami.

- Szpiegujesz czy uciekłaś z domu, mała *Frau*? Jeszcze się tego dowiem. - Nagle cofnął dłoń. - Żółte oczy! Skąd wzięłaś żółte oczy?

Retha zadarła dumnie głowę i milczała.

- Co on mówi, Retho? - zapytał Gottlieb po niemiecku.



- Nie jestem pewna. - Wiedziała, że ma dziwne oczy. Eva zartowała, że są bladobrazowe, jakby wyblakły.

- Nie powiedział czegoś o żółtych...

- Nie, amatorze squaw - przerwał mu Scaife, po czym podszedł do swoich ludzi i powiedział coś cicho jednemu z nich.

Retha nadstawiła uszu. Pochwyciła słowa „garnizon” i „za-tłoczony”. Czyżby ten człowiek chciał ich aresztować i zawlec do więzienia? Myśl o pozostaniu w zamknięciu przeraziła ją. Potem dotarło do niej zdanie, że zabiorą ją do Salem.

- Co mówią, Retho?

- Chce mnie chyba zabrać z powrotem do Salem.

- Nie pozwolę, by cię zabrał...

- Dość tego gadania, Vogler - warknął Scaife. - Powiedz swojej indiańskiej żonie, żeby nam nałożyła trochę jedzenia.

Gottlieb uniósł dłonie, nie rozumiejąc.

- Żarcie, ty wielkołapy Germańcu. - Scaife wskazał parujący garnek. - Nakarm moich ludzi.

Pomijając obraźliwe słowa, Gottlieb powiedział Alice, o co chodzi. Zaczęła rozstawiać miski.

- Ty też, *Frau* Blum. Nakrywaj do stołu. - Scaife wskazał ręką w stronę stołu.

Retha przyniosła garnek, aby Alice mogła nakładać potrawkę. Wynędzniali i wygłodzeni ludzie Scaife'a tłoczyli się wokół, odłamując kawałki kukurydzianego chleba, mocząc je w wywarze i wyławiając z potrawki kawałki mięsa.

Scaife splunął po pierwszym kęsie.

- Co to za paskudztwo, Vogler?

Gottlieb wzruszył ramionami.

- O co chodzi? - zapytał Rethę po niemiecku.

- Nie smakuje mu - przetłumaczyła szybko, niemal rozbawiona oburzeniem Scaife'a. - Może nigdy nie jadł potrawki z żółwia.

- Nie mów. - Alice ostrzegła Rethę, dla niepoznaki spoglądając na męża. - Działasz na własną szkodę. Pokazujesz, że znasz angielski i oni pomyślą, że jesteś szpiegiem. - Podeszła do paleniska, podniosła skorupę żółwia i podała Scaife'owi.

- Zupa żółwiowa? Pomyje dla świń! - warknął i odrzucił skorupę. - Skończcie z tym i przyjdźcie do mnie przed dom - zwrócił się do kompanów.

Chwycił Rethę za łokieć i szarpnął ją ku drzwiom. Zatoczyła się i omal nie upadła.

Gottlieb pochwycił ją i przytrzymał wielkimi, lecz delikatnymi rękami. Wyrwał ją Scaife'owi.

- Zostanie tutaj. Jest naszą przyjaciółką.

- Zabierzemy ją do męża - wycodził Scaife. Zsunął dłonie Gottlieba z talii Rethy.

- Ja sam odprowadzę ją do Jacoba Bluma - oświadczył wzburzony Gottlieb.

Scaife wyjął pistolet zza pasa. Jeden z siedzących przy stole mężczyzn odstawił miskę, wziął oparty o ścianę muszkiet i nastawił bagnet.

- Dalszy ciąg zależy od ciebie, Vogler - powiedział Scaife ostrzegawczym tonem.

Gottlieb zacisnął pięści.

Scaife spojrzął na kobiety, unosząc brew.

- Jeszcze jedna groźba, a zabiorę i ją - warknął, wskazując Alice gestem głowy. - Do garnizonu, gdzie jest jej miejsce.

Retha patrzyła na gniew i rozpacz, walczące o lepsze na twarzy Gottlieba.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go z pewnością siebie, choć wewnątrz dygotała. Czuła się winna, że sprowadziła na przyjaciół niebezpieczeństwo, i była gotowa na wszystko, by to naprawić. - Puść mnie. Odprowadzą mnie do Jacoba.

Gottlieb powoli opuścił zaciśnięte pięści.

- Nie ociagać się - warknął Scaife w stronę swoich ludzi i wypchnął Rethę przez drzwi. Przed domem wrzucił ją na swoją kościstą szkapę. Podnosząc Rethę, z całej siły przygniótł jej piersi. Przełknęła w milczeniu tę bolesną zniewagę.

Kiedy sadowiła się na siodle, wiatr zadął jej spódnicę.

- Niezłe giry - zaśmiał się Scaife, spoglądając na odsłonięte nogi Rethy.

Jeśli nawet nie rozumiała słów, to pojęła ton. Rumieniąc się

z gniewu, strzepnęła spódnicę na sznurowane trzewiki i wyprostowała się w siodle. Odsłonięte nogi, goła głowa, nie przykryte ramiona. Jej *Haube* spadła na ziemię, chustka na ramiona została w domu Alice. Nie miała zamiaru prosić się o nie. Żadna odważna Indianka nie zniżyłaby się do błagań, a serce Rethy od nich uczyło się odwagi. Pogardliwym gestem zadarła głowę, nie przejmując się, że prezentuje odsłoniętą szyję i ledwo zakrytą pierś.

- To mi się podoba, *Frau Bloom*... - Scaife spoglądał łakomym wzrokiem na wszystkie kobiece części ciała, o których mówiła Alice. - Posuń się. Pojedziemy razem.

Rzuciła mu palące spojrzenie.

- Tak myślałem, kłamczucho - roześmiał się szczekliwie. - Doskonale rozumiesz każdziutkie słowo.

Jacob pracował za miastem, przy młynie Steinera. Wywijając młotem kowalskim, wbijał pale wokół zapory. Zazwyczaj chętnie uczestniczył w pracach społeczności, a renowacja młyna prowadzona była bądź co bądź wedle jego projektu. Lecz dzisiaj spędził przy pracy dwie popołudniowe godziny, starając się nie zwracać uwagi na wędrujące po niebie słońce.

Żona Jacoba nie wróciła do domu na południowy posiłek. Zadyszana siostra Ernst przebiegła ponad dwieście metrów, by mu to zakomunikować. Retha poszła do lasu zbierać rośliny na barwniki, zapewniwszy przyjaciółkę, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Jacob bez przekonania wysłuchał argumentów siostry, podziękował jej i odesłał z powrotem do domu, gdzie pilnowała Anny Johann. Chłopcy mieli spędzić popołudnie w szkole. Jacob nie musiał się więc martwić o dzieci. Zaczął się jednak niepokoić o swoją szalenie niezależną żonę.

A jeśli coś się stało? Od kilku tygodni, gdy działania wojenne przesunęły się z Karoliny Południowej ku Salem, w lasach i na drogach roіło się od wojska. Ostatnio panował spokój, ale mimo to czuł, że powinien wyruszyć na poszukiwanie żony. Jeżeli stanie jej się coś złego, będzie o to winił wyłącznie siebie.

Jednak Retha podjęła decyzję i on nie chciał jej podważać. Zajmując się farbowaniem, wielokrotnie przeszukiwała okolicę, zbierając rośliny. I dobrze znała pobliskie lasy.

Robiło się coraz później i z dala dochodziły odgłosy nadchodzącej burzy. Jacob czuł, że lada chwila podda się wznoszącemu niepokojowi, odrzuci młot i popędzi na poszukiwanie Rethy.

Uderzył młotem jeszcze raz i następny raz.

I wtedy usłyszał tętent końskich kopyt. Plusk wody o opalowanie nie był w stanie zagłuszyć rytmicznego stukotu koni, zmierzających od głównej drogi ku młynowi.

Jacob spojrzął na zbliżających się żołnierzy. Nie miał ochoty oglądać żadnej armii, uciekającej czy atakującej, poszukującej ziarna czy też zmiany...

Ubrania. Z daleka dostrzegł osobę w sukni. Kobietę, jadącą na czele grupy mężczyzn.

Dokoła niej powiewały bursztynowe włosy, wzdymała się spódnica. Otaczająca ją niewielka grupa milicjantów galopowała w ścisłym szyku. Ponad głową kobiety podskakiwał trójgraniasty kapelusz. Jacob z niedowierzaniem zmrużył oczy. Za kobietą siedział na koniu mężczyzna, obejmując ją ramionami.

Retha była więźniem. Znaleźli ją, schwytali i zrobili jej... Bóg jeden wie, co jej zrobili.

Jacob zacisnął dłonie na trzonku młota, czując niepohamowaną chęć zmiażdżenia mężczyzny, który do niej przywarł.

Zbliżali się galopem. Pięciu obdartych, zarośniętych Liberty Men i żona Jacoba z suknią wydętą przez wiatr. Zdyszane konie zatrzymały się w miejscu naprzeciw osuszonego zbiornika, tuż obok Jacoba i jego ludzi.

Jacob zdał sobie sprawę, że wynajęci dezenterzy schowali się za niego, a bracia Hine i Rausch cofnęli o kilka kroków. Brat Steiner brnął przez błoto, aby zająć się czymś innym.

Żołnierze nie interesowali brata Steinera.

W przypływie gniewu Jacob rzucił się naprzód, by odzyskać zonę. Żyłasty żołnierz przestawił swego wierzchowca, zagradzając Jacobowi dostęp do Rethy, lecz tym manewrem nie

zasłonił jej widoku. Zaniepokojony Jacob, obejrzał twarz i obnażoną szyję żony, poszukując śladów obrażeń. I odetchnął z ulgą. Żadnych widocznych urazów.

Tkwiała w siodle z miną dzikiego zwierzęcia, zbyt sprytnego, by czmychnąć, zanim droga odwrotu stanie się całkowicie pewna.

Spoza burzowych chmur wyjrzało słońce, oświetlając bursztynowe włosy Rethy. Może je oglądać tylko mąż, nikt poza nim. Jacob poczuł wściekłość prawowitego posiadacza, jakiej nigdy dotąd nie odczuwał. Obszedł konia, by dopomnieć się o żonę, która siedziała w siodle, dumnie unosząc głowę na obnażonej szyi.

Gdzie się podziała jej chusta?

Kto ją zdjął? Jacob zaklął szpetnie przez zaciśnięte zęby.

Mężczyzna trzymający władczo Rethę zeskoczył z konia i oczom Jacoba po raz pierwszy ukazała się jego twarz. Sim Scaife obrócił się w jego stronę i zdjął z głowy zmiętoszony trójgraniasty kapelusz, odsłaniając zmierzwione włosy barwy marchewki.

- Przywiozłem ci do domu żonę, brooder Blum.

Jacob omal nie udławił się gniewem. Że też to właśnie on musiał się naigrawać z jego niemieckiego nazwiska i prosić się o następną bijatykę.

Scaife zerknął na ogromny młot Jacoba.

- Ta broń nie dorównuje muszkietom.

Ale moje pięści są silniejsze od twoich, pomyślał Jacob. Zdał sobie sprawę, że przyjął postawę bojową z rozstawionymi nogi i rękami na trzonku młota. Wroga reakcja na urągania Scaife'a nie pomoże żonie. Opuścił młot na ziemię.

Podeszli do niego bracia Hine i Rausch. By mu pomóc? Nie. Poczul na ramieniu powstrzymującą dłoń.

- Nie wolno nam walczyć, bracie Jacobie - powiedział jeden z nich.

Nie wolno walczyć? Do diabła z tymi zakazami! On był gotów do walki. Był spocony i rozgrzany, prawie nagi, tylko w bieliźnie i bryczesach, i bosy.

A ten łotr, Liberty Man, ośmielił się tknąć jego żonę. Nie miał

do tego prawa. Nie miał najmniejszego prawa ciągać po okolicy niewinnej kobiety, należącej do społeczności braci morawskich.

Jacob zacisnął pięści.

- Nie znam żadnych wojskowych rozkazów, nakazujących opiekę nad kobietami, kapitanie Scaife.

- Wygląda na to, że twoja żonka jest najlepszą przyjaciółką Indianki Alice, brooder Blum - odparł Scaife jedwabistym głosem.

Jacob opanował gniew i stanął w obronie żony.

- Tak, znamy Alice Vogler. Gottlieb Vogler należał do naszej społeczności.

- Tak właśnie myślałem - odparł Scaife z uśmiechem. Nakryłem siatkę szpiegowską. Twoja żona i squaw.

- Wśród nas nie ma żadnych szpiegów, kapitanie. Nie znajdziesz ich, choćbyś nie wiem jak szukał. - Jacob powtórzył to po raz kolejny.

Pułkownik Armstrong mógł powierzać Scaife'owi ściganie opornych rekrutów, mógł sobie nawet wyobrazić, że kapitan nienagannie wywiązuje się ze swoich obowiązków, lecz Jacob zawsze dostrzegał podłość wszelkich jego poczynań.

- Pan Vogler twierdzi - ciągnął Scaife - że pani Blum „nie zna ni w ząb angielskiego”. Myślę, że on kłamie, ale przywiozłem ją do domu, żebyśmy sobie zrobili małe tłumaczonko.

Tłumaczenie? Jacob zacisnął zęby. Mało prawdopodobne, by przyjechał tu tylko po to. Dobrze wiedział, po co Scaife przywiózł tu Rethę. Aby go upokorzyć. Od czasu ich bijatyki na placu Scaife stał się jego nieprzejednanym, skrytym wrogiem. A teraz głosił to otwarcie.

Cóż, Scaife może próbować go upokorzyć, ale nie wolno mu kompromitować jego żony.

- Mogę tłumaczyć - powiedział.

- W takim razie zdejmijmy ją... - Scaife wyciągnął w stronę Rethy swoje długie ręce.

Jacob z furią rzucił się naprzód.

Scaife ze śmiechem zrobił unik i Jacob runął na ziemię, powstrzymywany od tyłu przez swoich współbraci. Turlał się,

starając się zerwać na kolana, wrywał braciom Hinemu i Rauschowi, którzy mruczeli banały na temat przekuwania mieczy na lemiesz oraz o słabych, którzy odziedziczą ziemię.

- Walka nie należy do naszych sposobów, bracie Jacobie.
- Jesteś członkiem starszyny, bracie Blum.

Jacob nie odróżniał ich głosów. Ktoś go chwycił za lewą rękę, ktoś inny wykręcił mu prawy nadgarstek, przykładając go aż do łopatki. Jacob splunął ziemią.

- Pozwólcie mi wstać! - ryknął.
- Dobrze. - Zadyszany brat Steiner wypuścił ramię Jacoba. -

Ale nie wolno ci się bić z milicją.

Jacob doskonale o tym wiedział. On tylko chciał dopaść Scaife'a. Otaczały go jednak przeważające siły: Liberty Men oraz sprawiedliwi *Brethren*.

- Poddaję się - wymamrotał, z policzkiem wciśniętym w ziemię. - Pozwólcie mi wstać.

Ktoś klepnął go ze zrozumieniem po plecach, ktoś inny chciał mu pomóc we wstawaniu. Jacob odtrącił pomocne i współczujące ręce i sam się podniósł.

Scaife przybliżył twarz do twarzy Jacoba.

- Sam pomogę zsiąść twojej żonie, Blum. Bierzmy się do naszego tłumaczenia.

Jacob zlekceważył szyderstwo kapitana. Spojrzał pytająco w złociste oczy żony. Nic ci nie jest?

Napotkała jego wzrok.

- Potrafię zsiąść bez pomocy, Jacobie - powiedziała w nie-nagannej niemczyźnie.

- Jeżeli jej na to pozwolisz, chce zsiąść bez pomocy - przetłumaczył Jacob.

Scaife skinął głową. Retha wdzięcznie i lekko zsunęła się z konia, przytrzymując spódnicę tak, aby żaden z mężczyzn nie dostrzegł nawet kostki.

Znalazszy się na ziemi, podbiegła do Jacoba. Schwycił ją i przycisnął do siebie, czując jej miękkie piersi i chmurę rozwianych włosów. Wydała mu się tak zwiewna, że zląkł się, by nie uleciała w powietrze. Zanurzył twarz w jej niepo-

skromionej grzywie włosów. - Nic ci nie jest, *Liebling*? - wyszeptał po niemiecku, ale tak cicho, by nie dosłyszeli go nawet stojący w pobliżu bracia. - Nie zrobili ci krzywdy?

- Nein - wymamrotała. - Ucierpiała jedynie moja duma. - Dygotała, tuląc się do męża. - Przepraszam, bardzo przepraszam.

- Nie ma za co - wydyszał prosto w jej ucho, tuląc ją mocniej, nie bacząc na otaczających ich mężczyzn. Odczuł niewypowiedzianą ulgę: była w domu, bezpieczna w jego ramionach. Uczyni wszystko, by ją uwolnić.

- A teraz pomówimy o jej przyjaciółce, Indiance Alice... - zaczął Scaife.

- Mogę tłumaczyć - powiedział Jacob spokojnie. Współziomkowie obstąpili ich wkoło. Jacob nie potrzebował ich pomocy. Scaife odchrząknął teatralnie.

- Co ona robiła u tej szpiegującej Indianki? To wszystko.

Jacob zastanawiał się, co mu należy odpowiedzieć. Dobrze wiedział, że Scaife'a nic nie obchodziło, czy Retha i jej przyjaciółka są szpiegami. Nie, jego właściwym celem było skompromitowanie Jacoba przed społecznością.

- To znaczy, że podejrzewasz Alice o szpiegostwo?

- Wiem, że jest szpiegiem, Blum.

- Masz na to dowody?

- Moim dowodem może być twoja żona. Zapytaj ją, co tam robiła. Mnie nie zechce powiedzieć.

Nie musiał jej o to pytać. Dzięki Bogu za wścibstwo siostry Ernst.

- Szukała roślin na barwniki.

Scaife wymamrotał jakieś bluźniercze przekleństwo, niezrozumiałe dla Jacoba. W porządku, ucieszył się Jacob. Natychmiastowe wyjaśnienie celu wyprawy Rethy przeczyło jej rzekomemu szpiegostwu.

- Dlaczego nie uprawia ich w ogrodzie? Jak każda inna kobieta?

- Robi barwniki i farbuje ubrania dla całego miasta. Jest farbiarką.



- W takim razie, gdzie są te rośliny? Nie widziałem, żeby coś przy sobie miała. A dobrze ją obszukałem.

Jacob się najeżył. Scaife chce go wyprowadzić z równowagi, sugerując, że obmacał jego żonę. Opanował się i powiedział po niemiecku.

- Powiedziałem im, że farbujesz ubrania...

Uniosła głowę. Była blada. Scaife musiał ją obmacywać przez wiele godzin. W piersi Jacoba wezbrał gniew.

- Zrozumiałam wszystko, co mówiliście - rzekła.

Jej drżący głos boleśnie przeszył serce Jacoba.

- Wiem, że poszłaś zbierać rośliny na barwniki. Eva mi powiedziała - odezwał się łagodniejszym tonem, by nie ranić jej jeszcze bardziej. - Gdzie one są?

- Nie zdążyłam ich zebrać.

Jej wyjaśnienie zabrzmiało nieprzekonująco, nawet w uszach samej Rethy. Wyszędłszy rano z domu, ani chwili nie myślała o zbieraniu roślin ani o grożącym jej niebezpieczeństwie. Zadrżała, zdawszy sobie sprawę, w jakie wpakowała się w tarapaty. Nie mówiąc o kłopotach, jakie sprawiła Jacobowi. Z ulgą opadła w jego silne ramiona, oswobodzona z łap Scaife'a.

- Nie zdążyła ich zebrać - powiedział Jacob.

- Zapytaj ją dlaczego - zażądał Scaife, mrużąc oczy.

Jacob zapytał.

- Nie doszłam do miejsca, w którym rosną. Szłam do wodospadu po indygowiec. - Nie chciała kłamać, ale jakże mogła im podać zawstydzający cel swojej wizyty u Voglerów? Nie zwierzyłyby się z tego nawet mężowi. A co dopiero w obecności tych wszystkich mężczyzn.

Na szczęście Jacob jej uwierzył. Przetłumaczył jej słowa Scaife'owi.

Ten mruknął z niedowierzaniem.

- Wiem tylko tyle, że siedziała u Indianki.

- Ale nie znalazłeś przy nich niczego kompromitującego.

- Twoja żona wie, gdzie chować dowody. W domu. I przy sobie.

Retha poczuła, że Jacob zeszywniał, słysząc brutalną insynuację Scaife'a. Ku jej zdziwieniu, przemówił równie spokojnie, jak dotychczas.

- Moja żona i Alice Vogler nie są szpiegami, kapitanie Scaife. Domek Voglerów jest po drodze do wodospadu.

- W takim razie może mi wytłumaczysz, jak to się stało, że ta starannie wychowana przez waszą społeczność dziewczyna wie, gdzie mieszka para wygnańców.

- Vogler nie jest wygnańcem. Był jednym z nas i nadal przybywa na targ. Handlujemy z nim. Żołnierze także z nim handlują. Dobrze o tym wiesz, kapitanie Scaife.

- W takim razie jego squaw jest wyrzutkiem. To Indianka z Czirokeżów - parsknął Liberty Man. - A oni nienawidzą białych.

Retha zagryzła wargi. Scaife wszystko przeinaczył. Czirokezi mieli powody, by nienawidzić potworów w rodzaju Scaife'a, którzy napadali na nich i łupili, co popadło.

- Poślubiła białego człowieka - przypomniał mu Jacob.

- Jeszcze ją dopadnę - zagroził Scaife.

- Sam przyznałeś, że nic na nią nie masz. I nigdy mieć nie będziesz. I nigdy nie widziałeś jej z Brytyjczykami. Zostaw ją w spokoju, kapitanie Scaife. Będziesz miał dosyć kłopotów z maszerującymi od południa Brytyjczykami.

Scaife prychnął, ale nie miał nic na odparcie zarzutów.

- A co się tyczy mojej żony, to pozostaw ją mojej opiece.

Pokonany na słowa, ale nie zniechęcony, Scaife uśmiechnął się błado i spojrzął na Rethę.

- Masz rację. Ona potrzebuje opieki.

Tego już było za wiele. Jacob z rykiem rzucił się na Scaife'a i schwycił go za kołnierz. Bracia Steiner, Rausch i Hine natychmiast go odciągnęli.

Trzej bracia wypuścili Jacoba, a Scaife roztarł szyję.

- On także, dobrzy brooders. On także potrzebuje opieki. A nią już się zajmę sam.

Wcale nie, pomyślała Retha. Ale bracia spojrzeli na nią oskarżycielskim wzrokiem. Scaife przeszukał jej ciało i suknię.

Było to wulgarne naśladownictwo uświęconej intymności małżeńskiej, o którym opowiedziała jej Alice. Retha zniosła je tym gorzej, że już została wtajemniczona.

Na samo wspomnienie dygotała z oburzenia. Zapragnęła natychmiast umyć ręce, ramiona, piersi i brzuch, wszędzie tam, gdzie jej dotknął. Zapragnęła wykapać się w wartkiej wodzie strumienia. Jej należące do Jacoba ciało splugawił wąż.

Ale jego brudne łapska obmacały jej piersi i brzuch. A najgorsze było to, co mówił. Ordynarnie, obraźliwie, upokarzająco. Jego ludzie śmiali się, proponując, że zrobią z nią to, co knury robią z maciorami.

Lecz Jacob ją uratował. Podniósł się z błota jak wielki niedźwiedź, dźwigający się z legowiska i, opanowawszy wściekłość, rozmawiał ze Scaife'em, aż w końcu zapędził go w ślepy zaułek. Obejmował ją. Schroniła się w jego ramionach, wtuliła w mocarny tors, czerpiąc pociechę z jego silnego ciała, jakże różnego od kościstego, kanciastego, nachalnego Scaife'a. Czerpiąc pociechę i szukając wybawienia.

Jacob wydzielał woń ciężkiej pracy. Poprzez rękaw sukni czuła wilgoć jego przepoconej lnianej bielizny. Jego masywne ramię, wilgotne ciepło spowijało ją jak zbierające się na pociemniałym niebie, zwiastujące burzę chmury.

Scaife wsiadł na konia i podjechał do Rethy. Spojrzała na jego brudne, pożółkłe zęby i matowe włosy barwy marchewki.

- Pamiętaj, że wiem o tobie - powiedział ze złowróżbnym uśmiechem.

Zacisnęła dłonie na zakurzonej spódnicy. Wie o mnie? Ale co? Co można o mnie wiedzieć? Nie może wiedzieć, że jestem szpiegiem, bo nim nie jestem. Nie może wiedzieć, że znam angielski, bo nie wypowiedziałam przy nim ani jednego słowa. Jego pożegnalne zdanie zaintrygowało Rethę. Przestraszyło ją. Scaife jeszcze z nią nie skończył.

Scaife i jego niewielki oddział odjechali, wzniesając pył. Przydałby się deszcz, pomyślała Retha, czepiając się czegoś zwyczajnego, oczywistego i pewnego. Przez całe popołudnie

zmagająca się z panicznym strachem, z upiornym wspomnieniem, które wciągało jej umysł w jakąś ponurą, szarą odretwiąłość.

Pamiętaj, powiedział. O czym mam pamiętać? O jego oskarżeniach? Czy o jego dotyku?

Pamiętaj. Odkrył, że zna angielski. Zorientował się podczas jazdy na koniu. Nie była w stanie tego przed nim ukryć. Nie była w stanie ukryć...

Jacob poczuł, że szczupłe ramię Rethy zsuwa się po jego żebrach i chwycił ją za barki, zanim upadła na ziemię.

- Zabieram żonę do domu! - krzyknął.

- Potrzebujesz pomocy - stwierdził Steiner, ale bez sympatii. Przez cały czas Steiner, Rausch i Hine stali nieopodal, zupełnie bezużyteczni. A może potrzebni. Jacob nie był pewien, czy ich obecność nie sprawiła, że nie zrobił czegoś gorszego.

- Skończcie palowanie - warknął Jacob.

Steiner podniósł głowę zaskoczony.

Jacob nigdy nie był szorstki, ale tym razem nie dbał o innych. Nie chciał, by prywatne sprawy Rethy były roztrząsane publicznie.

- Zanim zacznie się burza - dodał. Chmury były coraz ciemniejsze, a powietrze dziwnie nieruchome.

Otoczył plecy żony ramieniem, a drugą ręką chwycił ją pod kolana. Wielkimi krokami ruszył drogą w kierunku garbarni.

Co Retha sobie wyobrażała, wyruszając samotnie z domu? I co zrobił jej ten człowiek?

Brzemie, które dźwigał, nie wydawało mu się ciężkie. Rozgniewany mężczyzna ma wielką siłę. Przeszedł przez drewniany most nad Tanner's Run i minął szopy garbarni.

- Mogę iść sama, Jacobie.

- Przed chwilą omal nie zemdlałaś. - Nie chciał jej wypuścić.

- Zachwiałam się. Przez cały czas nic nie jadłam. Puść mnie - upierała się, wyrwijając mu się.

Lecz on był o wiele silniejszy.

- Nic mi nie jest. Postaw mnie na ziemi.

Wiła się, domagając, by ją uwolnił. Ugiął kolana, opuścił jej nogi i postawił na ziemi.

- Nic ci nie jest? - powiedział, opanowując wściekłość, wynikającą z niepewności. - Mogłaś zabłądzić. Mogłaś zostać postrzelona albo zabita.

- Nic mi nie zrobili - zapewniła Jacoba.

Dookoła nie było żywej duszy. Przyciągnął Rethę do siebie. Była taka szczupła. Taka uparta.

- Nigdy, ale to przenigdy nie chodź tam, gdzie nie mogę cię bronić - powiedział z głębi serca, wprost w burzę jej włosów.

Odsunęła się, by przyjrzeć jego twarzy.

- Gniewasz się na mnie. - W jej złocistych oczach zabłyśły łzy.

- Bałem się o ciebie. Nie wiedziałbym nawet, gdzie szukać twojego ciała.

Zwiesiła głowę. Uniósł jej twarz ku sobie i musnął jej drżące usta wargami.

- Ach, *Liebling*, co oni ci zrobili? - Byłaś taka odważna. Jeszcze niedawno wyglądałaś jak jasnowłosa indiański wojownik, pomyślał, ale uznał, że jej tego nie powie.

Odchrząknęła i wyprostowała plecy.

- Mówili. Mówili okropne rzeczy. Po angielsku. - Roześmiała się cicho. - Większości z tego nie rozumiałam.

- I co jeszcze? Co ci zrobił Scaife?

Znowu zwiesiła głowę.

Uniósł jej twarz, zajrzał w oczy i dostrzegł w nich rozpacz.

- Możesz mi powiedzieć. Nie będę się za to na ciebie gniewał. Ale jego chętnie bym udusił.

- Nie, Jacobie! Nie! - Zaniepokojona, chwyciła go za ramiona. Błogosławiony niepokój. Jacob poczuł przypływ wdzięczności. Troszczyła się o niego. - Już i tak masz kłopoty z mojego powodu.

- Nic mu nie zrobię - obiecał wbrew sobie. - Tym razem. Ale któregoś dnia ktoś z nas musi powstrzymać Scaife'a przed nękaniami niewinnych ludzi. Modłę się do Boga, bym to był ja.

- Jacobie - poprosiła żarliwie. - Nie czyń tego ze względu na mnie.

- W takim razie powiedz mi, co ci zrobił.

Opuściła ręce i pokręciła głową. Jacob pomyślał, że nic mu nie powie.

- Możesz mi powiedzieć. - Kilka wielkich kropel spadło na wysuszoną ziemię.

- Dotykał mnie - wyszeptała w końcu.

- Boże, Retho - powiedział także szeptem. - Dotykał cię? Poza tym że jechał za tobą na koniu?

Kiwnęła głową.

- Gdzie? Gdzie cię dotykał?

- W usta. - Jej głos zabrzmiał słabo i dziecinnie. - Przykładał palce do moich warg.

- *Liebling*. - Jacob starał się ją pocieszyć, zataczając palcami na jej kręgosłupie małe kółeczka. Poczul gniew. - Zrobiłbym wszystko, żeby...

- Ugryzłam go - wyznała.

Roześmiał się.

- Dzielna żona - powiedział, a potem spoważniał. Scaife mógł na tym nie poprzestać. A Jacob instynktownie wyczuwał, że Retha nie powinna mieć już więcej tajemnic. - Co jeszcze?

- Dotykał moich piersi. Rękami. Wszędzie. - Wtuliła twarz w pierś Jacoba, a on gładził ją po plecach, planując zemstę, planując okaleczenie, choć wiedział, że nigdy nie wprowadzi tych zamiarów w czyn.

- Jeszcze coś, Retho? Nie powinnaś tego dusić w sobie. - Położył dłoń na jej głowie, czując, że jego własna głowa eksploduje, jeżeli usłyszy coś jeszcze.

- Brzuch. On... Zatrzymaliśmy się, żeby napić konie. Jego ludzie poszli do potoku.

Jacob nie potrafił powstrzymać jęku. Retha uniosła głowę i spojrzała na niego lśniąco oczami.

- Nie dotykał mnie tam... gdzie... oprócz ciebie nie ma prawa żaden mężczyzna.

Nikt nie ma prawa jej dotykać. Dobrze, że nie została zgwałcona.

- *Danke Gott* - mruknął. Pomimo ciężkich doświadczeń

była bezpieczna, była przy nim. Podejrzana o szpiegostwo. -  
Dobry Boże, źle się stało, że cię zastał u Voglerów.

- Alice jest moją przyjaciółką.
- Twoją indiańską przyjaciółką, podejrzaną o szpiegowanie -  
przypomniał jej łagodnie.
- Nie wiedziała, że się pobraliśmy,
- Co to ma wspólnego z...
- Chciałam, żeby się dowiedziała, że mnie poślubiłeś.
- *Gott im Himmel*, Retho! To nie był powód, żeby ryzykować  
życie.

Dotknęła twarzy Jacoba, muskając ją zwinnymi palcami.

- Alice bardzo się cieszy z mego szczęścia.

Jacob rozkoszował się jej dotykiem, lecz nie podobał mu się powód, dla którego Retha wyruszyła z domu.

- Wojna to nie czas na towarzyskie wizyty - powiedział ojcowskim tonem, jakim przemawiał do swoich dzieci.
- Alice mówi, że jesteś dobrym człowiekiem. - Retha pogładziła policzki Jacoba, jego brodę i wargi.

Każde włókienko jego ciała rozjarzyło się jak tnąca niebo błyskawica. Jacob odsunął palce Rethy i przywarł do niej w miażdżącym usta pocałunku.

# 11

Pocałunek Jacoba był stanowczy, gorący i namiętny, ale wydarzenia dnia zmały umysł Rethy. Nauki Alice zderzyły się z ohydny zachowaniem Scaife'a. Jacob jednak obronił ją przed milicjantami. Stał w jej obronie. Na myśl o tym radowała się jej dusza.

Mimo oszołomienia Retha poczuła, że pod wilgotną suknią jej skóra ogrzewa się na skutek pieszczot Jacoba. Lecz dłonie kapitana także błędziły po jej plecach, karku, piersiach i wszystkich miejscach, do których teraz sięgał Jacob. Starła się wyrzucić z pamięci te okropne wspomnienia. Objęcia męża, powtarzała sobie, są zupełnie inne niż obraźliwe obłapianie kapitana.

Jacob przedłużył pocałunek, nie mogąc się nasycić. Alice nie ostrzegła jej, że pocałunek może trwać tak długo. Retha starała się odpowiedzieć na jego intensywność. Pragnęła poddać się żądaniom męża. Pragnęła... powietrza. Dusila się.

Zorientowawszy się, o co chodzi, Jacob wydał głęboki jęk i pozwolił żonie zaczerpnąć powietrza, po czym znów ją całował, ale już delikatniej. Gdyby ją tak pocałował, zanim pobrała nauki u Alice, byłaby zdumiona i przerażona. Teraz poddała się nowym odczuciom, łaskotaniu tak dotkliwemu, jakby Jacob dotykał otwartej rany. A jednak nie czuła bólu. Z jej gardła dobyło się kwilenie, dziwny zwierzęcy odgłos, jakiego nigdy dotąd nie wydała.



Zasmucona, rozchyliła wargi, by przeprosić Jacoba. Jego zęby zderzyły się z jej zębami. Skuliła się, zawstydzona własną niezręcznością, ale Jacob dodał jej otuchy, obejmując ją silniej.

Czego on chciał? Alice jej nie powiedziała. Po prostu mu zaufaj, oto jej słowa. Zaufać i co? - zastanawiała się Retha.

Oddech Jacoba pieścił jej twarz. Poczwała dreszcze. Jego wilgotna, szeroka pierś wznosiła się i opadała, napierając na okryte sztywnym stanikiem piersi Rethy. Poczwała, że dziwnie nabrzmiewają. Jacob badawczo dotknął jej zębów językiem.

Odsunął wargi.

- Rozchyl je dla mnie - wydyszał. - *Liebling*, otwórz usta.

Wstrząśnięta jego prośbą, rozwarła ściśnięte szczęki. Jacob rozsunął jej zęby czubkiem języka. Rzeczywiście musiało mu bardzo zależeć na tym, by otworzyła usta. Retha starała się usilnie, pomimo niewygodnej pozycji. Wreszcie język Jacoba zetknął się z jej językiem.

Miał smak ciemnego chleba, dojrzałego sera, mocnego piwa korzennego, ale nie cuchnął skwaśniałym tytoniem, którym zionął Sim Scaife. Na samo wspomnienie Retha wzdrgnęła się ze wstrętem. Nie pozwoli, by ten człowiek wkroczył pomiędzy nich, w chwili gdy mąż dodawał jej otuchy. Podtrzymując przy życiu jak chleb powszedni, jak powietrze.

Jacob poruszył językiem, zapraszając, by zapomniwała o strachu i przykrych myślach. Retha otworzyła oczy, by zwalczyć podstępny obraz Scaife'a, przyglądając się twarzy męża. Takiej czystej. Znajomej. Opuszczone powieki Jacoba były pokryte delikatnymi żyłkami, jego rzęsy długie i złociste. Na skórze widoczne były drobne piegi. Nic, co mówiła Alice, nie mogło się równać ze wspaniałością tego pocałunku.

Gorący język Jacoba, obracający się w jej ustach, wypalił wszelkie przykre wspomnienia pojmania Rethy i długotrwałej jazdy na koniu w nienawistnych objęciach Scaife'a. Mocny uścisk ramion Jacoba sprawił, że Retha zapomniwała o brutalnych palcach obmacującego ją kapitana. Wciąż jednak nie wiedziała, czego oczekuje od niej mąż. Ostrożnie poruszyła językiem. Jacob jęknął i przycisnął ją silniej. Poddała się mu,

odprężając w mocarnych ramionach i znajdując w nich ukojenie.

Niebo rozcięła błyskawica. Po chwili rozległ się grzmot.

Jacob oderwał wargi od ust Rethy i spojrział na zbliżające się ciemne chmury.

- Wybacz mi, Retho - powiedział z westchnieniem. - Straszny ze mnie samolub.

Jaki tam samolub? - pomyślała Retha. Jego uścisk był dla niej hojnym darem. Ofiarowywał jej swój świat, obronę i bezpieczeństwo. Pokręciła głową.

- Musisz być zmęczona i głodna - ciągnął. - A ja jestem oblepiony błotem.

Jej zmęczenie nie miało znaczenia ani to, że Jacob był ubłocony. Liczyło się tylko jedno: nieoczekiwane schronienie w jego ramionach.

- Naprawdę nic ci się nie stało?

Podniosła wzrok i spojrzała w fiołkowe oczy Jacoba.

- Naprawdę. Nic a nic.

Na obnażoną skórę Rethy spadły wielkie krople deszczu. Lodowate krople. Zadrzała.

Jacob z czułością otarł jej wilgotny policzek.

- Przemokniemy do suchej nitki.

- Potrzebujesz kąpieli - odparła z uśmiechem.

Jacob zaśmiał się z ulgą. Pocałunek nie sprawił jej krzywdy, a jemu zrobił bardzo dobrze. Żona pozwoliła mu się obejmować i czerpała z tego pociechę. Możliwe nawet, że czekała na coś więcej. Pochylił się nad nią i wyszeptał:

- Nie sądziłem, że zbliżę się do ciebie w takim stanie. Cały brudny i spocony.

- Deszcz wszystko spłucze. - Wydało mu się, że w jej tonie zabrzmiała przekora.

- Chyba że przed nim uciekniemy - odparł, wątpiac, by udało im się umknąć przed ulewą. W ich stronę przesuwała się gęsta zasłona deszczu. Minęła łąki, zmoczyła brzoskwiniowy sad i oblała wodą tłustą, *milch* krowę siostry Baumgarten.

Retha odrzuciła swe lśniące, długie włosy na plecy.

- Nie przebiegnę ani kroku.  
- A ja przebiegnę - odparł, uznawszy to za wyzwanie, i poderwał ją do góry. Zapomniał o niedawnym gniewie, bo tulił w ramionach żonę.

Kiedy znaleźli się w połowie drogi, nastąpiło oberwanie chmury. Chłodne krople przemoczyły roboczą koszulę Jacoba i spływały po odkrytej szyi i piersi Rethy.

- Lepiej pobiegnę, Jacobie! - Retha śmiała się i wrywała z jego ramion.

Nie przerywając biegu, postawił ją na ziemi i pociągnął w stronę domu. Retha potknęła się, lecz szybko ją podniósł. Raz omal nie stracił przez nią równowagi.

- Zatrzymajmy się tutaj! - zawołała, wskazując na osłonięty dachem ganek tawerny brata Meyera.

- Nie ma potrzeby. Jesteśmy prawie w domu.

Ruszył dalej, rozweselony biegiem, deszczem i dobrym nastrojem żony. Kiedy dotarli do domu, śmiała się z nim i z niego, bo niezdarnie mozolił się przy zasuwce. Kulili się pod małym daszkiem, osłaniającym frontowy stopień.

Retha oparła dłonie na kolanach i z trudem chwytała oddech. Jacob podtrzymał ją, kładąc swe wielkie dłonie na jej szczupłej talii. Patrzył z zachwytem, jak jej gęste włosy, pociemniałe od deszczu, opadają i moczą podłogę spływającą deszczówką.

- To tylko niewielki deszczyk, żono - zażartował. - I wkrótce będzie po wszystkim. - Roześmiał się, gdy otrząsnęła się, spryskując go wodą.

Wyprostowała się, zsunęła z talii jego dłonie i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- To była burza.

Otarła twarz fartuchem, a potem osuszyła nim odkrytą pierś. Jacob nie mógł od niej oderwać wzroku.

- Nic dziwnego, że wymyślono chustki na szyję - powiedziała i powiodł palcem wzdłuż dekoltu sukni, tuż ponad przedziałkiem pomiędzy piersiami. - Opaliłaś się.

A potem oprzytomniał.

- Nie mamy czasu. Zaraz wrócą chłopcy - powiedział,

prowadząc ją do sypialni i zamykając drzwi na zasuwkę. Ściągnął przemoczoną koszulę. Wokół jego bosych stóp powstała błotnista kałuża. - Nicholas nie może mnie zobaczyć w takim stanie. Gotów by pomyśleć, że się biłem,

- A co z Anną Johanną?

- Siostra Ernst zaopiekuje się nią do czasu, kiedy po nią pójdziemy.

Retha stała nieruchomo. Patrzyła jak urzeczona na swego rozebranego męża. Co ona ma robić? Zaufaj mu, powiedziała Alice. Łatwiej było mu ufać na dworze, kiedy był odziany.

- Czy mam w szafie jakąś czystą koszulę? - zapytał.

Retha była tak zaabsorbowana jego częściową nagością, że zaledwie skinęła głową. Widok Jacoba oczarował ją.

Pozbawiony koszuli, umięśniony tors, do którego tuliła się w poszukiwaniu pociechy, wyglądał wspaniale. Wypukłą klatkę piersiową porastały kręcone, płowe włosy, przez które przeświecały ciemne brodawki. Nigdy dotąd nie widziała brodawek u białego mężczyzny. Ich ostre czubki sterczały, jakby mu było zimno.

Albo jak z podniecenia. Alice powiedziała, że tak stanie się z jej piersiami.

Jacob rzucił koszulę na podłogę.

- Muszę ją wyprać na jutro. Nie skończyłem pracy przy młynie. Dziś, na *Singstunde*, włożę niedzielne ubranie.

Szybko nalał wody do miednicy, zwilżył myjkę i zaczął obmywać tors, rozprawiając o błahostkach. Retha nie słuchała. Nareszcie odwrócił się do niej plecami, więc mogła mu się bezkarnie przyglądać. Pragnęła, by mył się powoli i jak najdłużej. Gdy uniósł ręce, aby umyć twarz i szyję, napiął mięśnie wokół łopatek. Falują jak woda na skałach, pomyślała Retha.

Niezręczna niczym uczennica, cofnęła się o kilka kroków, potknęła o koszyk z szyciem i zatoczyła na drzwi.

Jacob odłożył myjkę i podszedł do żony z uśmiechem.

- Wszystko w porządku? - zapytał, spoglądając na nią domyślnie.

Poczuła falę gorąca na szyi, a potem na twarzy. Przyłapał ją na bezwstydnym wpatrywaniu się w niego.

- Jestem twoim mężem, Retho. Możesz mi się przyglądać - powiedział cicho i łagodnie. - Chcę, żebyś na mnie patrzyła.

Lecz ona nie mogła. Rada Alice okazała się nazbyt prosta. Niełatwo było zaufać Jacobowi. Patrzeć na niego, wiedząc, że on o tym wie, było... było... Retha spuściła wzrok.

Prosto na bryczesy Jacoba.

Na rysujące się pod nimi obrzmienie.

- Na to także możesz patrzeć, żono - powiedział ochrypłym głosem. - Chcę, żebyś patrzyła na mnie całego.

Z trudem przełknęła ślinę i zacisnęła dłonie w pięści.

- Nie, *Liebling*, nie. Nie bój się. Nie chcę, byś się mnie bała. - Silnymi palcami rozwarł jej zaciśnięte dłonie i położył płasko na swojej nagiej piersi. - Dotknij mnie.

Dotknij go, powiedziała jej Alice. A teraz Jacob prosił o to samo. Zachęcona, lecz wciąż jeszcze zakłopotana, usłuchała go. Rozstawiła drżące palce i przycisnęła je do ciała Jacoba.

Usłyszała, że gwałtownie westchnął.

Nieśmiało przesunęła dłonie po płowych włosach, porastających pierś Jacoba. Poczowała twardość i siłę mięśni. Ale czego od niej chciał? Jej dłonie znieruchomiały.

- Jeszcze - powiedział. - Nie przestawaj.

Był od niej o wiele większy i silniejszy. I rozebrany. Ostrożnie przycisnęła palce do jego mocnej klatki, badając jej kształt. Promieniował ciepłem, ogrzewał jej chłodne dłonie.

Dotykane Jacoba nie jest aż takie trudne, pomyślała. Zdumiała ją jedwabistość skóry na brodawkach, ich twardość.

- Niżej - wychrypiął cicho.

Zawahała się.

- Proszę.

Zsunęła rękę.

Niżej był równie twardy i gorący.

Jacob westchnął i odsunął dłoń Rethy.

Wiedział, że nie jest jeszcze gotowa, by się z nim kochać.

Retha zmarszczyła brwi, nie wiedząc, dlaczego ją odsunął.

- Dziękuję. Było bardzo przyjemnie, Retho - powiedział,

całując ją w czoło. - Tak przyjemnie, że zapragnąłem czegoś więcej. Lepiej przestańmy, póki jeszcze mogę się powstrzymać.

Musi się jeszcze umyć i przebrać w czyste ubranie. Z ponurą determinacją nalał wody do miednicy i zaczął się szorować.

Nigdy dotąd nie uprawiał miłości za dnia. I nigdy nie pragnął tego tak bardzo jak teraz. Deszcz ustał. Łada chwila skończy się lekcje i chłopcy wrócą do domu. Całą rodziną pójda na mszę. Nagle, bez ostrzeżenia rozpiął bryczesy i rozwiązał podtrzymujące je tasiemki.

Zanim Retha zdążyła odwrócić wzrok, jej mąż zdjął resztę ubrania. Patrzyła na niego zafascynowana. Patrzyła na odsłonięte ciało, delikatne, a jednak niewyciężone. Z kępki płowobrazowych włosów wystawała, dumnie stercząca, męskość.

Retha spuściła oczy. Poczwała w brzuchu falę gorąca. Wiedziała już, co oznaczają pożądanie Jacoba i jej własna reakcja, lecz nadal nie wiedziała, co robić.

Jacob obmył intymne części ciała oraz nogi, schylając się, by zdrapać przylgnięte błoto z muskularnych łydek i stóp. Kiedy tak się poruszał, nie ukrywał wzrodu przed wzrokiem Rethy. Czy rzeczywiście chce, żebym na niego patrzyła? A może powinnam uszanować jego prywatność. Nagle jej opuszczone wzdłuż boków ręce wydały jej się wielkie i bezużyteczne.

Przecież Alice powiedziała jej, żeby nie ukrywać przed Jacobem swoich pragnień. Retha zebrała się na odwagę i podeszła do nagiego męża.

- Chcesz mi się przyjrzeć?

Roześmiał się jakoś dziwnie i odwrócił ku niej, prezentując swoje imponujące ciało.

- *Gott*, tak. To znaczy nie. Nie teraz. - Chwyił ją za ramiona.

- Ja chcę patrzeć na ciebie.

- Na mnie? - spytała niepewnym głosem.

- Na ciebie, żono - odparł niskim, głębokim głosem. - Na

ciebie całą. Chcę się z tobą kochać w środku dnia. Póki dzieci nie wrócą ze szkoły. Zanim dzwon obwieści nieszpory.

- Nie możemy - wychrypiała. Posunęli się zbyt daleko, a przecież dzieci Jacoba za chwilę wrócą. Z pobliskiego placu już dobiegały wrzaski chłopców. Jestem złą macochą, skarciła siebie w myślach. Nagość Jacoba odebrała mi rozsądek i zapomniałam o dzieciach.

- Wiem, że nie teraz - zgodził się z nią. Ale się nie ruszył.  
- Pomóc ci? - sięgnęła po jego ubranie, lecz jej nie pozwolił.  
- Nie - odparł z uśmiechem. - Tylko pogorszyłabyś sprawę.  
- Och. - Zarumieniła się. - Nie miałam takiego zamiaru.  
- Na tym polega rola kobiety. Pogarszać sprawę. To ich obowiązek.

Jego czerwona męskość wciąż była wzwidziona. Jedno spojrzenie wystarczyło Recie, by stwierdzić, że ta rzecz jest za duża.

- To musi boleć.

Oczy Jacoba pociemniały z żądz.

- Za ten rodzaj bólu mężczyźni chętnie oddają życie. Bo po nim przychodzi rozkosz. Rozkosz, jakiej nie możesz sobie wyobrazić, dopóki... tak, właśnie dopóki...

Mówi to samo, co Alice, pomyślała Retha, zirytowana, że tej części przeżyć żadne z nich nie opisało słowami. Nie lubiła nie wiedzieć. Jacob odsunął się i włożył czyste bryczesy oraz długą białą koszulę. Biały len maskował jego imponujące ciało.

Jacob szybko się ubrał, zapiął kołnierzyk z żabotem i rzekł z uśmiechem:

- Zrobione. Teraz ja ci pomogę. - Rozejrzał się po pokoju. - Gdzie są twoje ubrania?

Przyniosła z szafy suknię i nerwowo wygładziła jej fałdy. Jacob oswobodził Rethę z ubłoconej sukni, która z szelestem opadła na podłogę. Potem ukląkł i położył jej dłoń na swoim ramieniu, aby Retha nie straciła równowagi.

Ona jednak czuła się wytracona z równowagi. Nawet bardzo. Kręciło jej się w głowie, była zaniepokojona, było jej głupio, że jest teraz wyższa od klęczącego u jej stóp Jacoba. Jego głowa znalazła

się na wysokości jej brzucha, lecz Jacob wcale się nie przejmował swoją dziwną pozą. Zręcznie zsunął z Rethy halkę.

- Zrób krok - powiedział, podnosząc głowę.

Usłyszała go, lecz przechodząc nad halką i spódnicą, zachwiała się i mocniej uchwyciła ramię Jacoba. Kiedy wreszcie wyplątała się z fałdów tkaniny, Jacob wstał i pochylił głowę nad jej biustem. Retha nie wiedziała, czy przygląda się jej piersiom, czy okrywającemu je stanikowi.

- Teraz to. - Wsunął dłonie pod stanik i ze znajomością przedmiotu odszukał mocujące go spinki.

Rethą targały sprzeczne odczucia. Nie wiedziała, czy ma mu pomagać, czy może go powstrzymywać. Chciała poznać tę niewysłowioną rozkosz, o której wspomniała Alice.

Jej uwolnione piersi nabrzmiały. Jacob nakrył je dłońmi, potem je wypuścił i musnął brodawki opuszkami palców. Westchnęła.

Uśmiechnął się do niej z zadowoleniem.

- Słyszałem. Powiedz mi, żono. Powiedz mi, że ty także to czujesz.

Skinęła głową, niezdolna wypowiedzieć słów: „Ja także cię pragnę”.

Trwożliwe milczące skinienie Rethy zadowoliło Jacoba. Na razie. Był architektem, budowniczym, chciał świadomie stopniować jej pożądanie.

Rozebrał ją do koszuli, a następnie ubrał w świeżą halkę, suchą spódnicę i czysty stanik.

Retha usiłowała samodzielnie zapiąć suknię, zanim uczyni to Jacob.

Uwielbiał jej dziewiczą niezręczność. Nie spodziewał się, że to ona zdoła go oczarować w sytuacji, w której on czynił wszystko, by zachwycić ją.

- Ja to zrobię - powiedział. - Pozwól mi. Chcę cię ubrać od stóp do głów.

Uniosła brew.

- Potem będę cię rozbierał. Później. Dziś wieczorem... - zaczął, pragnąc uwieść ją słowami. Lecz właśnie wtedy trzasnęły drzwi wejściowe.



- Wrócili - powiedziała Retha.

Wrócili. Jacob westchnął, myśląc z niechęcią o spełnianiu dziecięcych wymagań. Tym razem był już tak blisko. Byli tak blisko celu.

Tupot nóg zbliżał się. Rozbrzmiewał w kuchni. Rozległ się stukot rzuconych na stół tabliczek i rysików.

- Brat Ernst mówił, że papa będzie w domu - odezwał się Matthias.

- Bo jest w domu, głuptasie - odparł Nicholas.

- Gdzie? Nie widzę go.

- Tam. W sypialni - syknął Nicholas wystarczająco głośno, by go usłyszeli.

Jacob patrzył, jak jego żona wygładza stanik sukni.

- Drzwi są zamknięte na zasuwkę - uspokoił ją i zaczął zapinać je suknię. Zaciśnął zęby. Oto powód, dla którego mężczyzna nie powinien umizgać się do żony w środku dnia.

- Z nią - powiedział Nicholas.

- Po co? Chyba nie jest znowu ranny? Brat Ernst powiedział, że nie jest.

- Jak myślisz, po co?

- Jest za wcześnie, żeby kłaść się do łóżka - głośno myślał Matthias.

- Nie dla małżonków, tumanie - ofuknął go Nicholas.

- Tylko maluchy śpią po południu - odszczeknął się Matthias, niewinny, lecz uszczypliwy.

- Co ty tam wiesz! - Nicholas sięgnął po ostateczny argument. - Sam jeszcze jesteś dzieckiem.

Za zamkniętymi drzwiami rozległo się uderzenie, stęknęcie, okrzyk bólu. Jacob westchnął głęboko.

- Muszę ich powstrzymać - powiedział z ociąganiem, odkładając resztę spinek na parapet i spiesznie całując dłoń żony. - Nie skończyliśmy jeszcze.

Zadyszana, zakłopotana i rozdrażniona Retha odwróciła się plecami do drzwi. Jacob wysunął się z sypialni. Po chwili rozległ się jego poważny baryton i soprany chłopców. Retha Pozapinała suknię i śmiało wkroczyła do niewielkiej kuchni.

Jacob siedział z chłopcami przy roboczym stole, zwrócony do Rethy plecami. Spojrzały na nią jego dwie pomniejszone wersje.

Uśmiechnęła się. To znaczy, usiłowała się uśmiechnąć.

- Gdzie jest jej *Haube*? - zapytał Matthias oburzony.

- Matthias... - groźnie skarcił go ojciec.

Retha podniosła dłoń do szyi. Nie ma wstążki. Nie ma czepka. Zapomniała. Nie była nawet pewna, czy ma tutaj drugi czeppek.

- Ona nie ma *Haube*, papo - powiedział Matthias tonem osoby dorosłej.

Retha usiadła obok Jacoba, naprzeciw swego oskarżyciela. Od czasu gdy młodsze siostry dokuczały jej, że chodzi boso i zaplata sobie warkocze, nienawidziła, gdy ją krytykowano.

- Złapał nas deszcz, Matthiasie.

Jacob skinął głową, potwierdzając jej proste wyjaśnienie wydarzeń dnia.

- Czy kobiety nie powinny nosić swoich *Haubes*? - zapytał ojca, nie dając za wygraną.

- Tak samo jak mężczyźni powinni nosić kapelusze - odparł Jacob. - Ale nie przez cały czas. A szczególnie nie wtedy, gdy mają mokre od deszczu włosy.

- To nie deszcz nie pozwolił jej wrócić na lunch - wtrącił się Nicholas.

- Istotnie. Wasza macocha musiała wyjść z domu. Siostra Ernst przyniosła wam lunch - powiedział Jacob spokojnie.

Retha poczuła wdzięczność za to, że stanął w jej obronie.

Podziwiła Jacoba, że tak dobrze radził sobie z chłopcami. Nie karał ich, lecz rozmawiał z nimi, odpowiadając na ich pytania tylko tyle, ile powinni byli wiedzieć. Sam nie krytykował Rethy i nie pozwolił na to, by oni ją krytykowali. Poczuli ogromną ulgę, kamień spadł jej z serca. Na oczach braci obronił ją przed milicjantami, a teraz wspierał ją w obecności synów.

Ale straciła przewagę nad nimi, którą zyskała podczas nieobecności Jacoba. Nie mogła na to nic poradzić. Wstała z krzesła.

- Może powinnam odebrać Annę Johannę.  
- Ach. - Jacob podrapał się po głowie, przypominając w ten sposób żonie, że zgubiła swój czepek. - Wyślemy po nią chłopców.

Rzucili się ku drzwiom, popychając jeden drugiego, dając upust nadmiarowi młodzieńczej energii. Lecz zaraz byli z powrotem.

- Już tu jest - oświadczył zawiedziony Nicholas.

Za chłopcami weszła siostra Ernst. Anna Johanna dreptała, trzymając się jej obfitej spódnicy.

- Nie pozwala mi się dotknąć.

Powróciła dawna Anna Johanna.

Skonsternowana Retha zamknęła oczy, obwiniając się za to, że zniknęła z domu, pozostawiając dziecko tak, jak osierociła je matka.

Jacob podszedł do córeczki i przemówił do niej łagodnym tonem. Spojrzała na niego naburmuszona, mnąc w rączkach obrąbek swojej znoszonej sukienki. Chcąc ją udobruchać, Retha przyniosła z salonu lalkę i podała dziewczynce. Anna Johanna odrzuciła ją gniewnie i wdrapała się na krzesło.

A jednak niezupełnie taka jak dawniej, pomyślała Retha.

Ta nowa Anna Johanna była gniewna.

Na kolację Retha podała skromny posiłek, składający się z czerstwego chleba oraz resztek mamałygi ze śniadania. Jacob jadł z apetytem, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że jest to marne jedzenie. Nicholas i Anna Johanna rozgrzebywali na talerzach podgrzaną papkę, tak samo jak niejadek Matthias.

Kiedy bujne włosy Rethy przeschły, zaczęła przeglądać ubrania, szukając zapasowej *Haube*, aby ją włożyć, idąc na wieczorną mszę. Znalazła tylko jedną, zniszczoną, ale czystą. Wepchnęła wilgotne włosy pod czepek i związała wstążki w skromną kokardę, po czym wróciła do salonu.

- Różowe wstążki! Zameżne siostry noszą niebieskie wstążki! - wytknął Matthias, jak zawsze przejęty Wszelkimi przepisami i nakazami.

Retha była niepoczyszona. Nie chciała wkładać starej *Haube*, nie miała także niebieskich wstążek ani czasu, by je przyszyć do czepka w miejsce różowych. I nie chciała, by Jacob znów musiał stawać w jej obronie.

- Zdarza się, że zameżne siostry nie mają czasu zmienić wstążek przy swoich starych *Haubes*. Wtedy noszą czepki z różowymi wstążkami do chwili, gdy je zastąpią niebieskimi - powiedziała stanowczo.

Matthias najeżył się, ale w milczeniu sięgnął po drewnianą układankę i zajął się dobieraniem małych klocków.

Retha umknęła do kuchni i zabrała się do zmywania naczyń. Jacob zaszedł ją od tyłu i ucałował w kark.

- Marzyłem o tym, by sobie popogłować z niezameżną siostrą - wyszeptał.

Retha zachichotała. Przebiegł ją lekki dreszczyk.

- Cóż za grzeszna myśl, bracie Blum - skarciła go, sięgając po kubek.

- Mam jeszcze inne... - powiedział, znów ją całując, na co zareagowała cichym śmiechem.

Ale wszystkie grzeszne myśli jej męża muszą poczekać do wieczora. Rozległ się dzwon, obwieszczający *Singstunde*. Retha drgnęła i upuściła kubek na podłogę.

Jacob podniósł go i ostrożnie oddał żonie.

- Może wolisz zostać w domu? Miałaś ciężki dzień. Nie jesteś przygotowana na wyjście.

- Nieprzygotowana na mszę? Jestem gotowa.

- Nie musisz iść. Wszyscy wiedzą, co się stało.

Retha utkwiała wzrok w miedzianym kubku, Może Jacob woli, żeby została w domu i nie pokazywała się publicznie.

- Muszę pójść na mszę, Jacobie.

- Ludzie będą gadać - ostrzegł ją łagodnie.

- Nie będą gadać o twojej żonie, jeśli będzie wśród nich - odparła rozżłoszczona, wspominając wszystkie plotki i kłamstwa, które o niej opowiadano. Dawniej musiała je znosić. Ale teraz nie będzie.

- Nie powstrzymasz ludzi od gadania. - Jacob nachylił się

do ucha Rethy, naśladowując plotkarki. - Słyszałaś już o siostrze Blum - wyszeptał. - Uciekła dzisiaj z domu.

- Najwyraźniej nie uciekłam - powiedziała, śmiejąc się z udanego naśladownictwa. - Skoro jestem na mszy.

- Niech sobie gadają - powiedział. - Tu nie chodzi o ciebie. Postąpiłaś nieostrożnie, wychodząc sama do lasu. Ale sprawę rozdmuchał Sim Scaife. Ma ze mną na pieńku. Chciał mi zaszkodzić, wykorzystując ciebie. Nie pozwolę na to.

- Nie powinnam była opuszczać domu. Ale to był tylko spacer i wydawał mi się taki niewinny. Wygląda tak, jakby Scaife specjalnie mnie szukał.

- Wiem, *Liebling*. Możliwe, że rzeczywiście cię szukał. Ale teraz nic na to nie poradzimy.

Retha znów zajęła się zmywaniem.

- I czuję się winna z powodu Anny Johanny. Jest taka rozgniewana. Prawie jak dawniej.

- Nie, już nie taka sama. Tym razem jest po prostu zła. A to nie to samo co jej dawne napady.

- Ale już było tak dobrze. Świetnie się porozumiewałyśmy.

- Nic złego nie zrobiłaś. Nie mogłaś wiedzieć, jak zareaguje na twoje wyjście. Wróciłaś, gdy tylko to było możliwe.

- Chyba powinnam zostać z nią teraz w domu.

Jacob rozmasował sobie kark.

- Nie - powiedział z namysłem. - Powinna pójść na mszę. Pozwoliła mi się dotknąć, mimo że jest zła na ciebie. - Ujął dłoń Rethy. - I ty także powinnaś pójść. Choć nie jestem w stanie powstrzymać ludzkich języków, jakkolwiek bardzo tego pragnę.

- Zawsze o mnie gadano. Od owej nocy, gdy mnie złapałeś.

Jacob uśmiechnął się na to wspomnienie. A potem jego oczy pociemniały.

- Nie pozwolę, by zadawali ból mojej żonie.

Retha poczuła, że dawne rany się zablźniają i z wdzięcznością uściśnęła dłoń męża.

- To nie będzie bolało, Jacobie. Chcę stać u twego boku.

- Dobrze. Ja także chcę, byś przy mnie stała. - Wziął Rethę pod rękę i poprowadził rodzinę do drzwi.

Na zewnątrz było chłodniej. Burza oczyściła powietrze. Gdy znaleźli się na placu, Nicholas odmaszerował, by jeszcze przed mszą zrobić przegląd swoich oddziałów. Matthias powlókł się za nim. Anna Johanna powróciła na swoje dawne stanowisko przy kolanach ojca, lekceważąc macochę. Retha była tak przejęta gniewem dziewczynki, że nie zauważyła spojrzeń rzucanych w swoim kierunku ani nie wzięła do siebie ściszonych szeptów. Zorientowała się, że poruszenie dotyczy jej osoby, dopiero gdy wszyscy usiedli w ławkach.

- Różowe wstążki - dobiegł ją szept.

- Ten Scaife - powiedział ktoś inny.

- Cały dzień? - mówiła kobieta, idąca wzdłuż nawy. - Niemożliwe!

Było gorzej, niż Retha spodziewała się w bezpiecznych ścianach domu. Przez całe lata budziła zainteresowanie, bo była sierotą wychowaną przez Indian. Ale teraz ludzie szeptali o żonie Jacoba Bluma. Poczwała, że pała ją policzki. Szmer głosów niezaprzeczalnie dowodził, że skompromitowała męża. Że zaszkodziła jego dzieciom.

Wreszcie msza dobiegła końca. Członkowie zespołu muzycznego odstawili instrumenty. Wśród nich znajdowali się trzej bracia, którzy byli świadkami jej upokorzenia przy młynie.

Wstała, by wyjść im naprzeciw, co było lepsze, niż gdyby ją wyminęli.

Mężczyźni przywołali głowę starszyny, Fredericka Marshalla, i wszyscy czterej zaczęli o czymś rozprawiać. Brat Steiner wskazał głową w kierunku Rethy. Brat Marshall zmarszczył brwi. Najwyraźniej była tematem ich rozmowy. Wyprostowana wyszła z *Saal* wraz z Jacobem i dziećmi. Na razie nie chciała spoglądać na męża. I nie chciała, by on patrzył na nią.

Gdy znaleźli się na zewnątrz *Gemein Haus*, chłopcy pobiegli naprzód, ale Anna Johanna przyłgnęła do ojca. Zbliżył się do nich Samuel Ernst i zatrzymał na chwilę Jacoba. Retha zmagająca się z chęcią ucieczki do domu. Patrzyła wzywająco na ludzi,

nawet gdy starali się odwracać od niej wzrok. To niesprawiedliwe, myślała, nie zrobiłam nic złego. Gdyby tak było, Sim Scaife nie puściłby mnie wolno. Stała samotnie, podczas gdy mężczyźni szeptali z mężczyznami, a kobiety plotkowały w swoim gronie, ale nie podeszła, by porozmawiać z przyjaciółkami, które miała wśród niezamężnych sióstr. To one spostrzegły Rethę. Rosina Krause i Sarah Holder wzięły ją na stronę.

- Nic ci nie jest, moje dziecko? - spytała siostra Sarah zatroskanym tonem, ujmując dłoń Rethy w swoje sękatę, drżące ręce. - Ci milicjanci potrafią napędzić strachu.

Retha aż się wzdrygnęła. Sądziła, że teraz, kiedy jest mężatką, przestaną ją prześladować niemiłe zdarzenia.

- Nie byli tacy źli - powiedziała, starając się uspokoić siostrę. - Odwieźli mnie do domu.

Siostra Rosina Krause z oburzeniem odrzuciła wersję Rethy.

- Mówi się, siostrzo Retho, że byli źli - powiedziała stanowczo. - Mogli cię zgwałcić. Zawsze się tego obawiałam.

Retha zagryzła wargi i opanowała się, jak przystało pokornej żonie Jacoba.

- Wiem, zawsze mnie przed tym ostrzegałaś.

- Moja droga, co się stało z twoimi nowymi niebieskimi wstążkami? - spytała starsza z sióstr.

Różowe wstążki nagle zaczęły ją dusić. W domu strata *Haube* była dla niej zwyczajną niedogodnością. Tutaj, na oczach sióstr i braci, zdała sobie sprawę, jak bardzo skompromitowała status żony Jacoba Bluma. Jak bardzo skompromitowała Jacoba. Różowe wstążki obwieszczały wszem i wobec jej brak rozwagi.

- Zgubiłam czepek, siostrzo Sarah.

- Zgubiłaś? - łagodnie dopytywała się Sarah.

- Zgubiła! - zakrzyknęła Rosina z oburzeniem.

Retha zebrała się na odwagę.

- To był mój jedyny czepek. Jeszcze nie zdążyłam przyszyć niebieskich.

- W czasie wojny tak trudno zdobyć wstążki - westchnęła siostra Sarah z wyrazem współczucia na pomarszczonej twarzy.

- Nie mam wątpliwości, że to wszystko wina żołnierzy - powiedziała Rosina niecierpliwie. - Chodźmy już, siostrzo Sarah, czas wracać do domu. A co się tyczy ciebie, siostrzo Blum, niechaj to będzie mała przestroga przed twymi szaleństwami - i dotknęła różowej wstążki. - Lepsze to niżli obrażenia cielesne, które mogły cię nie ominąć.

Zraniona złościwością Rosiny Krause, Retha czekała na męża w samotności. Patrzyła, jak Jacob, ze spletanymi przez swoją kapryśną córkę nogami, zachodzi od tyłu synów. Pragnęła przejść na przeciwną stronę placu i dołączyć do rodziny, pomóc Jacobowi, lecz obawiała się, że na jej widok Anna Johanna dostanie napadu. Zaczęła się obwiniać za to, że wyszła rano z domu, i za to, że pogorszenie stanu Anny Johanny spowodowała jej nieobecność.

Zbliżali się do niej. Matthias prowadził pochód, Anna Johanna wlokła się z tyłu, a Nicholas szedł, objęty ramieniem ojca. Gdy się znaleźli przy niej, Retha zorientowała się, że wszyscy mają nietęgę miny. Jacob, zaciskając wargi, prowadził zbuntowanego Nicholasa, który pewnie wdał się w bójkę, bo miał podbite oko. Retha dołączyła do rodziny, zdając sobie sprawę, że tłum rozstępuje się, by ich przepuścić.

- Bracie Blum - odezwał się ubrany na czarno Frederick Marshall, zastępując im drogę. - Jutro rano odbędzie się zebranie starszyny, na którym będziemy rozmawiać o tym, co cię spotkało. Istnieją przeciwko tobie poważne zarzuty. - I odszedł.

Nicholas zagwizdał ze zdziwieniem, lecz zaraz ucichł, bo Jacob boleśnie przyciągnął go ku sobie.

- Jakie zarzuty, papo? - zapytał Matthias.

Jacob nie odpowiedział swemu rozsądnemu, prawemu młodszemu synowi. Retha poczuła suchość w ustach.

- Zarzuty? - spytała, zwracając się ku Jacobowi, zaskoczona kamienną twarzą męża oraz surowością przywódcy starszyny. - Przeciwko tobie?



## 12

Kiedy wrócili do domu, Jacob wprowadził swego wojowniczego syna do kuchni i posmarował sadłem jego spurpurowiałą szyję.

- Nie wierć się - napomniął zniecierpliwionym tonem rosnącego i wciąż bardzo rozgniewanego chłopaka, sadzając go na stołku. Dobrze, że wreszcie znaleźli się w zaciszu domowym. Spotkało go zbyt wiele naraz: nakaz Marshalla, pytanie zaniepokojonej żony, bójka starszego syna.

- Ale to nie była moja wina! - zaprotestował Nicholas. - To Thomas Baumgarten zaczął. Nazwał ją szpiegiem!

Jacob zerknął ponad głowę pobitego syna na żonę, by stwierdzić, jak to przyjęła. Źle. W świetle łojowej lampki, którą trzymała w dłoni, dojrzał jej zacięty wyraz twarzy. Obok Rethy stała Anna Johanna, przypatrując się bratu. Retha wyprowadziła ją do sypialni. Dziewczynka chwyciła *lalkę* i ruszyła po schodach na górę.

- Przyłożyłbym mu jeszcze raz - odgrażał się Nicholas.  
- Spróbuj go jeszcze raz uderzyć, a znajdziesz się w jeszcze większych kłopotach, synu.

- To ona ściągnęła kłopoty na naszą rodzinę.

- To ty ściągasz na nas kłopoty, synu. Nie do ciebie należy osądzanie starszych, a zwłaszcza twojej macochy, a co więcej, na pewno nie w jej obecności.

- Walczyłem o nasze dobre imię.

Jacob zacisnął zęby. Przez chwilę żałował, że nie jest

zwolennikiem kar cielesnych. Lecz gdy kiedyś stracił cierpliwość i zbił syna, nie wyszło to na dobre żadnemu z nich. Chłosta była najgorszym sposobem postępowania z urodzonym zabijaką.

- Pobiłeś się z jednym z naszych *Brethren*. To najgorsza rzecz, jaką mogłeś zrobić.

- Szpiegowanie jest jeszcze gorsze - burknął Nicholas.

Jacob roześmiał się i odwrócił twarz syna ku światłu, by jeszcze raz przyjrzeć się poniesionym przez niego obrażeniom.

- Najgorsi z najgorszych są krnąbrni synowie. - Posmarował sadłem mniejszy siniec nad lewą brwią chłopaka.

- Au! - Cofnął się Nicholas. - Co to znaczy krnąbrni?

- Uparci i nieposłuszni.

Jacob odstawił garnek z sadłem do szafki.

- Wróćmy do twojej bójki, synu.

Jego starszy syn buntowniczo uniósł podbródek.

- Ty także się biłeś.

- Nie biłem się, odkąd dorosłem do twego wieku.

- Owszem, biłeś się. Dzisiaj.

Jeśli uznać za bijatykę to, że bracia wepchnęli jego twarz w błoto, Jacob musi się przyznać, że istotnie walczył. A co gorsza, miał ochotę przyłożyć w brzuch temu Liberty Man.

- Kto ci to powiedział?

- William Steiner, syn młynarza. Powiedział, że się biłeś z milicjantami. Powiedział, że oni schwytali ją...

- Przywieźli ją do domu, synu.

- ...i kiedy ją przywieźli do domu, musiałeś o nią walczyć.

Chcę wiedzieć tylko jedno, czy zwyciężyłeś.

Jacob opadł na krzesło i powiedział chłopcom, żeby przysunęli się ze stołkami.

- Nikt nie jest zwycięzcą, Nicholasie, kiedy dochodzi do nieporozumień. Pracowałem przy zaporze, kiedy kapitan Scaife przywiózł waszą matkę. Nic jej nie groziło, a ja nikogo nie uderzyłem. - Technicznie rzecz ujmując, Jacob powiedział prawdę, o ile przyjąć, że brak bijatyki oznacza brak ciosów, a brak zagrożenia oznacza pełne napięcia milczenie, w które popadła Retha po powrocie do domu.

- Dlaczego William skłamał? - zapytał Matthias.

Jacob spojrział na swoje pobożne średnie dziecko z rozbawieniem i rozpaczą. Matthias teolog chciałby wiedzieć, ile aniołów pomieści się na łebku szpilki.

- Istnieje wiele sposobów przedstawienia danej historii, synu, zwłaszcza gdy zdarzenie oglądało wiele osób. Kapitan Scaife bardzo mnie rozgniewał. Chciałem się z nim bić, przyznaję. Ale nie miałem racji.

- To mogę zrozumieć - powiedział Nicholas. - Kapitan jest wrogiem. Trzyma naszą stronę.

- My nie trzymamy niczyjej strony, synu, nawet jeśli teraz jest ci to trudno pojąć. Bracia morawscy zawsze wspierali rząd, jakkolwiek by był. I kapitan Scaife także wspiera rząd. Ale my, w przeciwieństwie do niego, nie nosimy w tym celu broni.

- Nie rozumiem, dlaczego musieli ją przywieźć do domu - powiedział Matthias.

Jacob ciężko westchnął. Okazało się, że krótka nieobecność Rethy zaprzętała synów bardziej niż Annę Johannę.

- Przywieźli ją do domu, bo nas opuściła - powiedział Nicholas.

- Nasza prawdziwa matka nie opuściłaby nas - dodał Matthias.

- To nieprawda, Matthiasie. Przywieźli ją do domu, bo tutaj jest jej miejsce.

- Nasza prawdziwa matka zawsze była w domu, żeby dać nam jeść - powiedział Matthias z wyrzutem.

Jacob zauważył Rethę, zanim ją usłyszał. Wróciła do kuchni i ze stanowczym wyrazem twarzy stanęła za chłopcami.

- Teraz już zawsze będę w domu, Matthiasie - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Matthias drgnął, zaskoczony, a potem odwrócił głowę, by spojrzeć na Rethę. Zaciśnął wargi w milczeniu i Jacob poznał po jego wyrazie twarzy, że chłopak wątpi w jej zapewnienie.

- Przykro mi, że nie byłem w domu, kiedy wróciliście ze szkoły - powiedziała cicho.

- Musieliśmy iść na obiad do brata i siostry Ernstów.

- Wiem - powiedziała z poczuciem winy. - Siostra Eva dobrze gotuje. Co wam dziś dała na obiad?

Zakłopotany Matthias wzruszył ramionami.

- Po prostu stawę.

- Coście u niej jedli? - spytała Retha z uśmiechem.

- Coś tam zjadłem - wymamrotał. A potem poweselał, zadowolony, że może zmienić temat rozmowy. - Chciałbym się dowiedzieć, czy widziałaś jakichś Indian?

Retha spojrzała na Jacoba.

Skinął głową. Jeżeli opowieść o Indianach ma udobruchać przynajmniej jednego syna, a może nawet obydwu, Jacob nie widzi przeszkód dla ich opowiadania.

- Widziałam moją przyjaciółkę, panią Vogler.

- Pani Vogler to nie jest indiańskie imię - parsknął Matthias.

- To ta Alice z Czirokezów. Szpieg - powiedział Nicholas.

- Nie powinieneś dawać wiary głupim plotkom zasłyszonym w szkole - powiedział Jacob. - Alice Vogler nie jest szpiegiem, tak samo jak nie jest nim wasza macocha. A teraz pora do łóżek. Przeżyliśmy męczący dzień.

- Chcę usłyszeć coś więcej o Liberty Men - upierał się Nicholas, a jego natłuszczony sadłem policzek lśnił w świetle świecy.

- Idź spać, synu. Zanim skończy się wojna, jeszcze nieraz nasłuchamy się opowieści o żołnierzach.

Nicholas ruszył po schodach do sypialni. Matthias pocłapał za bratem. Jacob także wstał i poszedł, by ich otulić do snu. Kiedy wrócił na dół, jego żona przeniosła się już do salonu i zajęła szyciem. Nie była to chwila odpowiednia na rozmowę. Jacob musiał się najpierw uspokoić. Huśtawka skrajnych uczuć: niepokoju, gniewu, pożądania i czułości, wyczerpała jego siły. I siły Rethy.

Zajął się porządkowaniem planów w koszu przy stole kreślarskim, układając je według ważności. Musiał podjąć decyzję, które prace można odłożyć na później. Okazało się, że niewiele. Pergamin szeleścił, igła Rethy z piskiem przekłuwała skórki przeznaczone na sukienkę dla Anny Johanny.

- Nie chciałam wywołać tych wszystkich kłopotów. Nie miałam pojęcia, że to się tak może skończyć. - Retha włożyła skórzany rękaw do koszyka na szycie, wstała i podniosła koszyk. - Ja... my... także powinniśmy pójść do łóżka.

Przyjrzał się twarzy Rethy. Jej zmiana z „ja” na „my” była zaskakująca, lecz miła.

- Tak - zgodził się, gasząc wszystkie światła z wyjątkiem lampki łojowej. Po czym ruszył za Rethą. Miała sztywno wyprostowane plecy i ściągnięte łopatki. Pomimo krótkich chwil przyjemności, miniony dzień był ciężki, zwłaszcza dla niej. Ciekawe, o czym myślała właśnie teraz.

Postawiła koszyk obok kołowrotka, który zajmował centralną część pomieszczenia. A potem stanęła przy nie pościelonym jeszcze łóżku.

- Nie byłam ci żoną, Jacobie Blum - powiedziała głosem jeszcze bardziej gardłowym niż zazwyczaj.

Ogarnęła go dzika żądza, tłumiona od popołudnia. Retha troszczyła się o niego, a nie o własne trudne położenie. Uśmiechnął się do niej zachęcająco, czując, że obnaża zęby jak pies myśliwski spuszczonej smyczy, by tropić stadko przepiórek. A potem dopadły go niezliczone wątpliwości. Dlaczego właśnie teraz? Skąd ta nagła przemiana? I na ile jest ona prawdziwa? Jaki cud ją sprawił? I jak daleko Retha ma się zamiar posunąć?

Nie będzie spekulował. Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby.

- Dzisiejszego popołudnia uczyniłaś niezły początek.

- Naprawdę? - spytała, a jej policzki pokraśniały. - Ale nie dokończyliśmy. Wiem. A chciałabym dokończyć. - Zaczęła rozwiązywać tasiemki u spódnicy, u czystej spódnicy, tej, którą obiecał z niej zdjąć. Tasiemka zasupłała się w węzeł. Retha rozplątywała ją, najpierw spokojnie, a potem coraz niecierpliwiej, zaciskając supeł jeszcze bardziej. Zaniechała go wreszcie i roześmiała się nerwowo. Jacob uznał to za oznakę podniecenia. Panując nad sobą, postanowił, że będzie działał powoli.

- Poplątała się. Nie mogę...

- Możesz - mruknął, podnosząc dłonie Rethy do ust i całując

jej chłodne knykie. - Masz zimne ręce. Ogrzej je tutaj. -  
Wsunął je pod swoją koszulę i położył na żebrach.

Nie wzbraniała się.

- A poza tym obiecałem, że to ja cię rozbiore.

Przyrzekł sobie, że rozwiązawszy oporny węzeł, będzie ją obnażał leniwie i uwodzicielsko, zadając rozkoszne katusze. Lecz uwolniony kawałek tkaniny opadł niczym jesienny liść. Retha lgnęła do niego tak samo jak po południu. Jacob uznał, że jest gotowa. Odsunął ją na długość ramion, aby podziwiać swoje dzieło, obnażoną Rethę.

- *Schone Frau* - zachwycił się. - Piękna.

Uwolnione spod czepka włosy okalały jej twarz i opadały na dumnie wyprostowane plecy. W migotliwym świetle łożowej lampki, którą postawił na parapecie okna, lśniły kragłte piersi. Ramiona i nogi Rethy były długie i umięśnione, wystarczająco długie, by objąć wielkie ciało Jacoba, i wystarczająco mocne. Spojrzał na trójkąt poskręcanych loczków na jej podbrzuszu, a potem podniósł wzrok i napotkał jej złociste oczy. Spoglądały dziko, lekko trwożnie. On sprawi, że będą patrzyły ufnie.

- Obiecałem, że cię uszczęśliwię. Nie zapomniałem o tym.

Zaczęła zdejmować ubranie z Jacoba. Teraz, za drugim razem, szło jej to znacznie lepiej. Nie, to był już trzeci raz. Przecież pomagała mu wtedy, gdy wrócił z obtartymi stopami.

- Nie składaj ich - mruknał.

Zawahała się chwilę, zanim przewiesiła bryczesy przez poręcz krzesła. A potem, uprzedzając jego zamiary, ucałowała go z dziewczęcą żarliwością. Przycisnęła usta do warg Jacoba zbyt mocno i nieruchomo. Czekał, wiedząc, że Retha się uczy. Ujęła jego twarz w dłoń i przechyliła ją najpierw trochę w lewo, potem jeszcze bardziej. Widać było, że ma jakiś plan, i Jacob pozwalał jej sobą kierować. Przesunęła usta, lekko i powoli, jakby szukając najlepszej pozycji.

A potem poczuł, że Retha rozchyła wargi. Stłumił impuls, by ją całować po swojemu, bo chciał, żeby to ona była stroną aktywną. Bez względu na to, jak długo miało to trwać. Nie

mogła wiedzieć, że nabrzmiałe brodawki jej piersi muskają go i palą jak rozżarzone węgielki. Nie mogła czuć fali gorąca, pulsującej w jego kroczu.

- Rozchylił je dla mnie? - wyszeptła tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

Posłusznie rozchylił wargi i Retha wsunęła język pomiędzy jego usta. Sprawiała wrażenie zaciekawionej, a jednocześnie powściągliwej. Badawczo dotykała zębów Jacoba, koniuszka jego języka, a potem powędrowała głębiej. Ale nie dość głęboko. Poczuli, że nie wytrzyma dłużej, że zaraz wytryśnie nasieniem w przestrzeń, która dzieliła ich ciała, że umrze na zawsze uszczęśliwiony.

Odsunęła się, a na jej różanych wargach pojawił się tajemniczy uśmiezek.

- Dobrze było?

- Chodźmy tutaj - powiedział z trudem. Objął ją w talii i poprowadził do małżeńskiego łóża. Czekwała, gdy je rozścielał i zdejmował narzutę. Nagle zeszywniała, usiadła obok męża.

Ach, pomyślał z czułością, nie chce mi pokazać, jak bardzo jest przestraszona. Pocałunki to najłatwiejsza część.

- Jeśli się boisz, że cię będzie bolało, nie musimy kończyć za tym razem, *Liebling* - zapewnił ją, przecząc swemu przyspieszonemu pulsowi. - Nie Wszystko naraz,

- Chcę być twoją żoną, Jacobie. Całkownie. - Spojrzał na jej blade kuszące ciało, lśniące w świetle lampki. Lecz wargi miała zaciśnięte. Nie wiedział czy to zdecydowanie, opór, strach czy może wstrząs.

Wstał i przeszedł się po pokoju, rozcierając dłonią kark.

- To nie będzie bolało aż tak bardzo i nie będzie trwało długo, Retho. I sprawi ci ból tylko za pierwszym razem. - Następnie Jacob spokojnym, beznamiętnym tonem, który przeczył burzy namiętności, jaka w nim szalała, objaśnił jej wszystko, jak mógł najlepiej. Nie chciał i nie mógł pozwolić na to, by jeszcze raz zdarzyło się coś takiego, jak podczas ich niefortunnej nocy poślubnej. - Naprawdę możemy z tym poczekać - zapewnił ją, choć słowa te przyszły mu z największym trudem. - Potrzymam cię tylko w ramionach.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

Umknęła na środek łóżka i przysiadła na piętach.

- *Main Gott*, Remo! Nie zaczynaj tego od nowa.

Zamrugwała oczami. Niewinnie, przekornie, ze strachem? Jacob nie wiedział.

- Czego mam nie zaczynać?

- Tego. Tego, co... - Wzniósł oczy do belkowanego sufitu, modląc się o cierpliwość.

Gdy znów na nią spozryzał, kołysała się w powolnym, hipnotyzującym rytmie. Tak samo jak przedtem. Chwycił ją za ramiona, mocno wpijając w nie palce.

- Nie kołysz się.

Jej złociste oczy spozryzały ze zdziwieniem. Przekrzywiła głowę.

- Czego mam nie robić?

- Nie kołysz się. Nie kołysz się tak, jak w czasie naszej nocy poślubnej.

Na twarzy Rethy pojawił się wyraz niebotycznego zdumienia.

- W czasie naszej nocy poślubnej - wyszeptwała. - Och, Jacobie, stało się coś okropnego. Wiem o tym. Co złego zrobiłam?

Zachowywałaś się jak obłąkana, chciałaś powiedzieć. Nie miał pojęcia, jak ma postąpić, teraz tak samo jak wtedy. Ale nie pozwoli jej, by zaczęła od nowa. Pragnął ją utulić, pomóc jej jakoś. Przysunął się bliżej i wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń.

- Czy mogę...

Skinęła głową i podała mu rękę, otwartą dłonią do góry. W milczeniu pocierał jej chłodną, spoconą dłoń drobnymi kolistymi ruchami. Retha oddychała płytko i szybko - ze strachu, jak sądził.

Przełknęła ślinę.

- Muszę się dowiedzieć.

- Tak. - Ale nie przestał jej gładzić. Miał przecucie, że gdyby przestał, znowu zaczęłyby się kołysać.

Po chwili opowiedział jej. O tym, że, szanując jej panieński wstyd, zostawił ją samą, aby się rozebrała. A kiedy wrócił do sypialni, Retha już się kołysała. Przyznał się, że był bardzo rozgniewany, gdy udawała, że go nie słyszy.



- Nic nie słyszałam. - Zacisnęła palce na palcach Jacoba. -  
I nic nie pamiętam.

- Teraz ci wierzę. Ale następnego dnia byłaś taka jak  
zwykle, nawet weselsza, a ja nic z tego nie rozumiałem. Jak  
to możliwe, byś się tak bardzo mogła zmienić?

- Nie wiem. Sama tego nie pojmuję. - Uderzyła w materac  
zwinęta w pięść wolną ręką. - To łóżko. To tylko łóżko. Ten  
pokój. Nie jestem tutaj inna niż wtedy, gdy mnie całowałeś  
koło garbarni. A jednak jestem inna. A ty... - Po jej twarzy  
spłynęły łzy. - Ty jesteś moim mężem. Moim silnym, przy-  
stojnym mężem. Uważam, że spotkało mnie wielkie szczęście.  
Chcę być z tobą. I wierzę, że nasz związek został zawarty  
z woli Boga. Ale niszczę to wszystko.

- Jeszcze nic nie zniszczyliśmy - zapewnił ją.

Westchnęła boleśnie i uniosła głowę.

- Ja się nie boję, Jacobie. Pragnę być twoją żoną. *Bitte*,  
Jacob, proszę.

Zważywszy na jej wrażliwość, Jacob uważał, że kochanie  
się z Rethą nie ma teraz sensu. Lecz wyczuł, że jej prośba jest  
szczerą. Pełen wątpliwości, ale i nadziei, pocałował usta żony,  
po czym zniżył głowę ku napiętym brodawkom jej pełnych  
piersi. Pocałował obydwie.

Nie przeszkadzało mu, że jej piersi pachną łągowym mydłem.  
Gdy pogłaskała gładką jak u dziecka skórę na jej pośladkach,  
Rethą wstrząsnął dreszcz.

Retha drżała na całym ciele.

Drżała tam, gdzie jej dotykał, i tam, gdzie jej jeszcze nie dotknął.  
Zaprzestał wszelkich, nawet najdelikatniejszych pieszczot,  
i opuścił ręce.

- Nie przerywaj - wyszeptała błagalnie.

Ale jej prośba nie była prośbą kobiety powodowanej żądzą.  
Jej oczy zaszyły łzami. Ze strachu?

- Gdybyśmy to zrobili teraz, to może... - wychrypiała i Jacob  
poznał, że jest wystraszona.

- *Maine schöne Liebling*, jesteś przerażona. Nie posiadę cię,  
gdy jesteś w takim stanie. Nie mógłbym.

- Chcę się z tobą kochać, Jacobie.
- Ale nie w ten sposób - powiedział łagodnie, układając ją na prześcieradle i tuląc jej sztywne ciało. Delikatna skóra Rethy była wilgotna od potu. Skoro nie potrafi rozproszyć jej lęków, wchłonie je w siebie. Pomimo że przeżywał katusze niespełnienia, starał się czerpać pociechę z tego, że tym razem Retha nie zaczęła się kołysać. Akceptowała jego bliskość. Obejmujące ją ramiona Jacoba, jego brzuch przy jej plecach, jego gorejący wzwód przy jej pośladkach.
- Spij, *Liebling*. Znajdziemy na to sposób. Kiedy obydwójce będziemy tego pragnęli.
- Lecz nie potrafił sobie wyobrazić, jak ma do tego dojść.

W *Gemein Haus* od rana panował sierpniowy upał. Philip Schopp rozkładał swoje dokumenty, przygotowując się do specjalnie zwołanego spotkania starszyny.

- Powiedz nam, bracie Blum, czy twoja żona rzeczywiście jest szpiegiem? - zapytał Jacoba z uszczypliwym uśmiechem.

Jacob ścisnął palcami grzbiet nosa.

- Nie jest. - Nie da się wyprowadzić z równowagi i nie wybuchnie z powodu fałszywych zarzutów oraz insynuacji wysuniętych w tyradzie brata Steinera. I nie pozwoli, by brat Schopp wywęszył skandal.

- Najwyraźniej kapitan Scaife ma ją za szpiega, bo inaczej nie aresztowałby jej.

- Nie została formalnie aresztowana - powiedział Jacob. - Scaife przywiózł ją do domu.

Scaife zrobił to specjalnie, by skompromitować Rethę i by pokazać Jacobowi, jaką ma władzę. I udało mu się. Teraz całe miasto wiedziało o tym, co się wydarzyło. Po wielu miesiącach ponurych sprawozdań na temat rozszerzającej się wojny takie świeże miejscowe ploteczki zabawia pocziwych braci morawskich, którzy rzekomo nie znosili obmowy.

- Przywiózł do domu... - powtórzył Schopp aksamitnym głosem.

Opanowując zniecierpliwienie, Jacob jeszcze raz zrelacjonował przebieg wydarzeń. Jego wersja różniła się od tej, którą przed chwilą podał starszyźnie brat Steiner. Żona Jacoba wcale nie uciekła z domu, by spiskować z indiańską donosicielką. Nie nadjechała obejmowana przez żołnierza, siedząc nieprzyzwoicie okrakiem na koniu, lubieżnie pozbawiona chustki na szyję oraz *Haube*. Nie napluła nikomu w oko ani nie splunęła na ziemię. A Jacob bynajmniej nie usiłował pobić kapitana.

- Jak w takim razie - spytała Elisabeth Marshall, marszcząc czoło - wyjaśnisz temblak, podtrzymujący ramię nieszczęsnego brata Steinera?

- Oraz podbite oko brata Hinego - dodał jej mąż, Frederick Marshall, tonem zarzutu.

- Kapitan Scaife miał zamiar dotknąć mojej żony.

- Dżentelmen jest zawsze gotowy pomóc damie zsiąść z konia - powiedział Schopp, obnażając zęby w uśmiechu.

- Kapitan Scaife nie zamierzał jej pomóc. Miał zamiar ją obrazić.

- A ty się na niego rzuciłeś - powiedział Schopp. - Zaatakowałeś go.

- Podbiegłem do niego. Przyznaję. - Jacob spojrzął na Fredericka Marshalla, szukając zrozumienia. - Ty, bracie, także broniłbyś siostry Marshall. Mamy obowiązek bronić naszych żon. Ty także trzymasz w tym celu kij w swoim domu. W przypadku bezpośredniej napaści wszyscy mamy prawo bronić naszych żon, naszych dzieci oraz nas samych.

Marshall uniósł brew.

- Nikt z nas nie potwierdził, że trzeba jej było bronić. Czy kapitan Scaife nie odwiózł jej do ciebie?

- Chodziło o jej honor! - ryknął Jacob.

Marshall przyjrzał mu się z dezaprobatą.

- Naraziłeś na niebezpieczeństwo naszych braci, bracie Blum. Mocowałeś się z naszymi współziomkami.

Jacob wytrzymał jego wzrok. Nie zamierzał przeproszać.

- Nie mamy wyboru - powiedział Marshall - i musimy dać ci upomnienie za twój nieprzemyślany i brutalny postępek.

- Jakkolwiek jesteśmy radzi, że siostrze Blum nic się nie stało - dodała Rosina Krause. Siostra Marshall skinęła głową na znak poparcia.

Wtedy odezwał się skrupulatny Schopp.

- Czy nie powinniśmy zagłosować?

- Nie ma potrzeby - odparł rozzłoszczony Jacob. Nie rozumieli go, ale mieli przewagę liczebną. - Akceptuję osąd zebranych.

Wiedział również, że gdyby podobna sytuacja się powtórzyła, postąpiłby tak samo, by bronić żony. Niezależnie od tego, czy groziłaby jej tylko obraza, czy też poważniejsze niebezpieczeństwo.

- Bracie Blum - ciągnął Marshall z powagą - zdajesz sobie sprawę, że w razie podobnego zdarzenia będziemy musieli wziąć pod uwagę wykluczenie cię ze społeczności. Zwłaszcza że należysz do starszyny. Ty, któremu powierzamy negocjacje z obydwiema armiami. Nie tylko dałeś jak najgorszy przykład naszym zapalczywym młodzieńcom, ale podważyłeś naszą wiarygodność w najważniejszych dla naszej społeczności sprawach kontrybucji.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Jak nas przekonasz, że twój starszy syn również to rozumie? - zapytał Schopp ze źle skrywaną radością.

- Trzymajmy się tematu, bracie Schopp - skarcił go Marshall, po czym zwrócił się do Jacoba. - Obawiam się, że sprawa będzie miała dalsze reperkusje, bracie Blum. Tak czy siak, nasz komitet ma inne niecierpiące zwłoki sprawy. - Marshall wygładził niewielki, ręcznie zapisany kawałek papieru, opatrzonego oficjalną wojskową pieczęcią. - Otrzymałem to pismo dziś rano. Pułkownik Armstrong jest w mieście i prosi o widzenie, zanim wróci do obozu.

- Odpowiedniejszym słowem byłoby „żąda widzenia” - odezwał się Schopp.

Rosina Krause uciszyła go, jakby był niezdolnym uczniakiem. Ten zaś zaczerwienił się gwałtownie. Jacob opanował chęć, by mu źle życzyć. Jakiś czas temu uznał, że to Bóg umieścił

Philipa Schoppa na jego drodze, aby miał na kim ćwiczyć cierpliwość wobec bliźnich.

Marshall podsunął pismo Jacobowi. Teraz odczytał je, przekładając z języka angielskiego na niemiecki.

- Pułkownik zapyta, czy młyn jest gotowy do mielenia ziarna. Oprócz tego ma dla nas następne polecenie. Leży ono w gestii mego komitetu nadzorczego i nie wymaga obecności całej starszyny.

Marshall odebrał mu pismo.

- Skoro jesteśmy tu wszyscy, nie widzę powodu, by zbierać tylko twoją grupę. Pułkownik czeka w tawernie. Być może ma dla nas jeszcze jakieś polecenia.

Niedaleko. Jacob zgłosił się na ochotnika. Atmosfera zgromadzenia ciążyła mu, a poza tym chciał na osobności porozmawiać z człowiekiem, któremu winien był podziękowania. Przeszedł przez plac, minął sklep Bagge'a i wszedł po schodkach do tawerny. Elegancki Martin Armstrong w pełnym umundurowaniu, pokrytym pyłem po odbytej podróży, stał na ganku w postawie na baczność. Tutaj sprawiał wrażenie mniej imponujące niż w swoim namiocie polowym.

Jacob oficjalnie skłonił głowę. Pułkownik także się skłonił i uśmiechnął.

- Starszyna oczekuje pana, pułkowniku.

- Cieszę się, że pana widzę - odparł, gdy ruszyli ulicą. Następnie, idąc równym krokiem, przecięli plac.

- Jestem panu winien podziękowania za zwolnienie mego kuzyna. Sprawił nam już wiele kłopotów, ale tym razem było najciężej.

- Mam nadzieję, że szybko dotarliście do domu.

Jacob uśmiechnął się krzywo.

- Tak. Tylko że mając jednego konia na dwóch, jeden z nas okulał po trzydziestu kilometrach marszu...

- Pan szedł pieszko - domyślił się pułkownik z ironicznym uśmiechem.

Jacob roześmiał się głośno. Teraz ta nieszczęsna wyprawa wydawała mu się zabawna.

- Utykałem. Wlokłem się. Nabawiłem się pęcherzy na długo przed powrotem do Salem. A potem wlałem po schodach, ucałowałem dzieci i zwałem się na łóżko.

- Ma pan... ile dzieci?

- Troje.

- I żonę, jak rozumiem.

- Tak. Jedną - powiedział Jacob z całą powagą, na jaką mógł się zdobyć.

Dystyngowany pułkownik szczerze się roześmiał.

- Dziękuję panu, panie Blum - powiedział, z trudem się opanowując. - Podczas wojny niewiele rzeczy nas bawi. Nie bardzo rozumiem, jak to się stało, że pański kuzyn został zmuszony do służby. Kapitan Scaife jest... - Pułkownik zamilkł, szukając odpowiedniego słowa.

- Gorliwy - podpowiedział mu Jacob.

- Uhm. Nadgorliwy.

- Ale nie zawsze skrupulatny.

Pułkownik przygłodził węża, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- Może nie zawsze. Jednakże żaden z oficerów milicji nie ma lepszych wyników w tropieniu opornych rekrutów. Prawowitych, muszę dodać. Ma także doskonałe oko na toryskich szpiegów.

Jacob stał się czujny. Lecz właśnie znaleźli się na stopniach, wiodących do *Gemein Haus*, i weszli do środka.

Wewnątrz okazało się, że pułkownik znacznie przewyższa wzrostem siwowłosych członków starszyny. Jacob odnotował ten fakt ze zdziwieniem. Dotychczas miał ich za siebie równych, lecz nie byli tacy pod względem wzrostu. Jacob i pułkownik górowali nad resztą zebranych, choć przy smukłym Armstrongu Jacob sprawiał wrażenie ciężkiego niedźwiedzia. Starając się zapomnieć o wzmiance na temat szpiegów, Jacob zrelacjonował, jak mają się sprawy, dotyczące młyna.

- Jeżeli nie będzie padało i nie dojdzie do inwazji, pułkowniku, może pan przywieźć ziarno na początku przyszłego tygodnia.

Armstrong skinął głową, najwyraźniej zadowolony.

- Bardzo dobrze. Zarekwirowaliśmy połowę wozów, których

potrzebujemy. Przykro mi to mówić, ale resztę będziemy musieli zarekwirować w ciągu najbliższego tygodnia.

Marshall i Schopp nie znali angielskiego tak dobrze jak Jacob, lecz zrozumieli, co powiedział pułkownik. Jacob szybko przetłumaczył jego wypowiedź kobietom, które, jak wszystkie tutejsze kobiety, z wyjątkiem Rethy, nie nauczyły się jeszcze języka swojej nowej ojczyzny.

- Wasze wymagania sprowadzą nędzę na nieszczęsnych farmerów - powiedział Marshall, nie owijając w bawełnę.

- Brytyjczycy byliby jeszcze gorsi - zauważył pułkownik.

Schopp poczerwieniał, lecz milczał. Tchórzliwe ciepłe kłuchy, pomyślał Jacob z niechęcią. Wszyscy wiedzieli, że w głębi serca Schopp sprzyja torysom.

Zapadła cisza.

- Chyba się nie buntujecie? - spytał pułkownik.

Philip Schopp odzyskał mowę.

- Zajęliśmy się buntownikami, drogi pułkowniku - powiedział z uśmiechem.

- Co to ma znaczyć, proszę pana? - spytał pułkownik.

- Obawialiśmy się, że są wśród nas szpiedzy torysów.

Usłyszawszy to, Jacob poczuł gniew. Schopp był nie torysem, tylko zwykłym głupcem.

Marshall najwyraźniej myślał tak samo.

- Nie ma o czym mówić, pułkowniku. To były tylko pogłoski.

- Kapitan Scaife był innego zdania - upierał się Schopp.

Gadatliwy łajdak! Jacob zacisnął pięści, aż zbiełały mu knykie. Zerwał się z krzesła, lecz natychmiast wepchnął pięści do kieszeni. Musi panować nad emocjami.

Jacob czuł na sobie badawcze spojrzenie pułkownika. Czy podobnie szacował także Schoppa? Po chwili Armstrong wstał, sięgnął po ozdobiony piórami trójgromny kapelusz i skłonił się wszystkim zebranym i Jacobowi.

- Czekamy na to ziarno od tygodni. Może pan Blum zechce mi pokazać młyn, kiedy będę wyjeżdżał z miasta?

Jacob odczekał na rozkaz wyrażony w formie pytania.

Ale czego w istocie chciał od niego ten człowiek?

# 13

Papa nie nigdy przyjdzie do domu - zapiszczała zmartwiona Anna Johanna.

- Nigdy nie przyjdzie do domu - poprawił ją Matthias.

Dziewczynka wybuchnęła płaczem. Retha także z trudem powstrzymywała łzy. Jacob spóźnił się na lunch i miała pełne ręce roboty z nadąsaną córeczką i swarliwymi synami. Zdarzało się już, że Jacob nie wracał na posiłek w środku dnia, lecz zawsze miał ku temu jakiś ważny powód. Ale tym razem wiedziała, że Marshallowie opuścili *Gemein Haus* już jakieś pół godziny temu. Spotkanie starszyny dobiegło końca. Gdzie więc się podziewa jej mąż?

Nicholas podkradł kawał sera z nie nakrytego jeszcze stołu.

- Nie przejmuj się, Anno Jo. Matty wcale tak nie myśli. Papa przyjdzie do domu, gdy tylko skończy rozmowę z tym oficerem.

- Z jakim oficerem? - spytała Retha, skrywając niepokój.

- Z oficerem, którego widziałem, wracając do domu. Generał, jak mi się wydaje - powiedział Nicholas, dumny z tego, że może jakoś powiązać ojca z wojskowością.

Anna płakała coraz głośniej.

- Rozmowy na temat żołnierzy przerażają Annę, Nichola-sie - syknęła Retha. - Lepiej zmień temat.

- Wczoraj ty byłaś z żołnierzami - powiedział niezrażony. - Bałaś się ich?

- Nie - odparła, ucinając tę wymianę zdań. Nie chciała, aby ciągnął tę rozmowę kosztem siostry.



Kiedy Retha skończyła nakrywać do stołu, lament Anny Johanny zmienił się w czkawkę. Pogrążona w myślach Retha patrzyła na swoich małych stołowników: na posilającego się Nicholasa. Na Annę Johannę, małpującą swego brata niejadka i wznoszącą na talerzu dwa symetryczne kopczyki z fasoli i z kapusty. Była tym tak zajęta, że zapomniała o płaczu, więc Retha nie protestowała.

Nie знаła lekarstwa na zmartwienia dziewczynki. Kiedy chłopcy skończą posiłek i wyjdą z domu, pasierbica znów zacznie popłakiwać. Niefortunna wyprawa Rethy wywołała nawrót i pozbawiła ją najlepszej broni przeciw zmartwieniom dziewczynki: uścisków i pocałunków. Anna Johanna znów nie pozwalała się dotknąć.

Retha zdecydowała, że odprowadzi chłopców do szkoły, zabierając z sobą Annę Johannę, by zobaczyła, że ojciec jest żywy i cały.

- Znajdziemy papę - powiedziała dziewczynce. - A wy, chłopcy, sprzątnijcie ze stołu.

- Ojejku! - jęknęli unisono.

Retha zręcznie rzuciła Nicholasowi wilgotną ścierkę, zaskakując go celnością.

- Papa pewnie poszedł do młyna - mówił Matthias, wyrzucając nie zjedzone jarzyny do wiadra na odpadki i przykrywając je pokrywką.

- Nie - powiedziała Anna Johanna z pełną rozpaczą pewnością. - Poszedł tam, dokąd odeszła mama.

Retha ze ściśniętym sercem przykucnęła obok dziewczynki, zmartwiona swoimi macierzyńskimi niepowodzeniami.

- Nie odszedł z waszą matką, kluseczko. Zapewniam cię, że z nią nie odszedł. Prawdopodobnie czeka na nas, żebyśmy mu przyniosły obiad.

W ciemnych oczach Anny Johanny pojawił się wyraz zaskakująco dojrzałego sceptycyzmu. Teraz nie pocieszą jej żadne uściski, pomyślała Retha.

- Przygotujmy papie coś do jedzenia i pójdźmy go poszukać koło młyna.

Anna Johanna rzuciła świeży chleb i plasterki sera na kwadratową serwetkę, którą rozłożyła przed nią macocha. Retha związała rogi, wzięła zawiniątko, zawołała chłopców, po czym wszyscy wyszli z domu.

Mając w pamięci wypadki dnia wczorajszego, szła przez miasto z wysoko podniesioną głową, czując na sobie wścibskie spojrzenia przechodniów. W połowie placu napotkała siostrę Baumgarten, ciągnącą do domu swoją oporną krowę. Na widok Rethy i jej pasierbów kobieta odwróciła wzrok.

Retha powitała ją i przystanęła z uśmiechem, aż doczekała się odpowiedzi.

W drzwiach domu brata Schoppa zagadnęła serdecznie nauczyciela, który w pośpiechu zagonił chłopców do środka, jakby obawiając się złego wpływu Rethy.

Przechodząc przez drewniany most na rzece Tanner's Run, natknęła się na Samuela Ernsta. Anna Johanna ukryła się za Rethą. Nawet on zachowywał się z rezerwą, lecz grzecznie zaproponował swoje towarzystwo i usiłował rozweselić dziewczynkę. Ta rozpłakała się i uczepiła spódnicy Rethy. Retha zaczęła z godnością, do której nawykła jako wychowana przez Indian znajda, aż brat przypomniał sobie o jakiejś pilnej sprawie, którą miał załatwić.

Przy młynie nie było Jacoba. Brat Steiner, z ręką na temblaku, przebrnął ku nim przez cuchnące błoto opróżnionego zbiornika. Podejrzliwie obejrzał zawinięty w serwetkę posiłek.

- Brat Blum nie potrzebuje tego, siostró. Pułkownik Armstrong zaprosił go na obiad w tawernie.

- Pułkownik? - spytała cicho, nie chcąc niepokoić Anny Johanny. A jeśli Nicholas ma rację? Jeśli jej postępowanie zemściło się na Jacobie? Powinna się była zastanowić, zanim wyruszyła do niego w towarzystwie pasierbicy. - Czy mój mąż ma jakieś kłopoty?

- Nie wiem. Kiedy byli przy młynie, nie mówili o niczym innym tylko o terminie zakończenia prac. - Zakreślił ręką łuk, wskazując panujący nieład. Drewniana tama wciąż stanowiła zaledwie szkielet, czekający na wypełnienie palami. -

Zrobilibyśmy więcej, gdybyśmy się nie musieli zajmować innymi sprawami.

Retha zacisnęła węzeł zawiniątka. Brat Steiner niewątpliwie ma jej za złe rolę, jaką odegrała w wydarzeniach, które doprowadziły do jego krzywdy, lecz nie miała zamiaru go przeproszać za siebie ani za męża.

- Są w tawernie? W takim razie i my tam pójdziemy - powiedziała stanowczo i już miała chwycić dłoń Anny Johann, gdy przypomniała sobie, w jakim stanie ducha znajduje się dziewczynka, i szybko cofnęła rękę. - Chodźmy, kluseczko - powiedziała, uciekając się do słów. - Twój papa czeka na nas.

Anna Johanna popłakiwała, ale chwyciła spódnicę Rethy i podreptała obok niej. Nie mogąc jej pocieszyć ani przytulić, Retha czuła się tak, jakby jej serce miało pęknąć na widok bólu dziewczynki. Doskonale ją rozumiała. Nawet jeśli jej obawy o ojca były nieuzasadnione, Retha musiała jej współczuć, wspominając własne nieszczęścia. Przypomniała sobie dzień, gdy szła obok Indianki Śpiewające Kamienie, wtedy jeszcze obcej, mając nadzieję, że za następnym zakrętem ścieżki, za gałęziami rozłożystego dębu znajdzie rodziców, uśmiechniętych i rozwierających ramiona na jej powitanie, wbrew temu, że wcześniej widziała ich w domu, nieruchomych, unurzanych we krwi, tak jak pozostawili ich milicjanci.

Przejęta straszliwym wspomnieniem Retha potknęła się i omal nie upadła.

Zaniepokojona Anna Johanna krzyknęła ze strachu. Co sobie pomyśli to biedne dziecko, gdy poddam się dawnym strachom i zacznę kołysać? - pomyślała Retha. Muszę chronić Annę Johannę przed swoimi ukrytymi lękami. Odzyskała równowagę, przykłękając z wdziękiem.

- Wiesz, co zrobimy, kluseczko? - powiedziała z udawaną wesołością. - Kiedy znajdziemy papę, ty dasz mu jego obiad. - I podała dziewczynce zawiniątko.

Anna Johanna nie przyjęła go i stała, wykręcając sobie paluszki.

Retha nie dawała za wygraną.

- Będzie bardzo zadowolony. Będzie z ciebie dumny. Mała rączka ujęła węzeł zawiniątka.
- Naprawdę?
- Oczywiście, z całą pewnością - powiedziała Rema z zachęcającym uśmiechem, starając się opanować drżenie. Wspomnienia. Wciąż ucieka przed wspomnieniami. - Jesteś gotowa? - spytała, wstając z klęczek.

Anna Johanna poważnie skinęła głową i weszły po schodach do tawerny.

Jacob nabrał na łyżkę nową porcję potrawy, wdychając woń świeżo uduszonej sarniny. Niezłe, pomyślał, lecz nie tak smaczne, jak proste posiłki, które Retha szykuje w domu. Zateśknił do domowego spokoju, lecz zdawał sobie, sprawę, że powinien być tutaj, zwłaszcza po wczorajszych zajściach. Pułkownik Armstrong obejrzał młyn, jakby miał w nim udział, a potem uparł się, by Jacob towarzyszył mu przy obiedzie, podanym w obszernej jadalni dla dżentelmenów.

Ciemnoniebieski mundur pułkownika odcinał się od nieposzlakowanego białych lnianych obrusów na okrągłych stolikach, nakrytych najlepszymi sztucami i kamionkowymi talerzami. Przez wysokie okna wpadało południowe światło i lśniło na wypolerowanych mosiężnych guzikach munduru Armstronga. W całej prowincjonalnej Karolinie nie było bardziej eleganckiego miejsca. Jacob z chęcią przyjął łaskawe zaproszenie oficera.

Zastanawiał się, dlaczego Armstrong nastawał na to, by mu dotrzymywał towarzystwa w czasie obiadu.

Pułkownik wybrał najbliższy stolik i usiadł zwrócony twarzą do drzwi.

- Musi mi pan wybaczyć. Nie potrafię siedzieć plecami do drzwi. To taki przesąd wojskowego.

Jacob wybaczył. Pomimo pewnych wojowniczych inklinacji cała sfera życia wojskowego stanowiła dla niego tajemnicę.

- Nie mam tego panu za złe, lecz chcemy wierzyć, że wśród nas jest pan bezpieczny.

Starali się rozmawiać, nie przerywając jedzenia. Oprócz ziarna oraz nowego i niespodziewanego zamówienia na tysiąc par butów nie mieli wielu wspólnych tematów. Wojna interesowała Jacoba tylko na tyle, na ile miała wpływ na życie w Salem. Owszem, był jeden temat, który zajmował go bardziej od innych, ale nie chciał go poruszać. Ku jego zdziwieniu, zaczął sam pułkownik.

- W mieście sporo się słyszy na temat tego, jak bronił pan swojej żony szpiega - powiedział, zdradzając, jaki jest rzeczywisty powód ich wspólnego obiadu.

Jacob uśmiechnął się ostrożnie.

- Najnowszy temat plotek.

- Niech mnie pan oświeci. Wolę usłyszeć historię z ust człowieka, któremu ufam.

Jacob opowiedział mu wszystko, pomijając gniew, obrazę i osobiste nastawienie. Podał pułkownikowi wyjaśnienie Rethy: Scaife od dawna prześladował Voglerów i uznał ją za szpiega, po prostu dlatego, że ją u nich zastał.

- Z pewnością pan wie, że kapitan jest naszym najskuteczniejszym tropicielem szpiegów.

- Przypuszczam, że człowiek, który wypatruje szpiega za każdym krzaczkiem, od czasu do czasu rzeczywiście spłoszy jakiegoś zdrajcę - powiedział Jacob uszczypliwie.

- O, tak. Jego entuzjazm jest ogólnie znany. Mam nadzieję, że nie zrobił krzywdy pańskiej żonie.

- Nie doznała żadnych obrażeń.

Pułkownik uniósł brew, doceniając ostrożnie dobrane określenie, jakiego użył Jacob.

- Jakoś panu nie wierzę. Nikomu nie udaje się wysledzić tyłu zbiegłych rekrutów. To on wykrył siatkę szpiegowską w hrabstwie Wilkes. A jednak... - Pułkownik podkręcił węża i ściszył głos. - Jest niebezpieczny i sprawia kłopoty.

- Naprawdę? - zdziwił się Jacob, zaskoczony konfidencyjnym tonem Armstronga, jego szczerością i obietnicą czegoś jeszcze.

- Służy przy mnie, odkąd byłem kapitanem podczas poprzedniej wojny, a nawet wcześniej. Ponad piętnaście lat

w czasie bezprawia, które do niej doprowadziło. Wydaje mi się, że mam nad nim kontrolę, a on raptem wykręca taki numer. Pewnego dnia... zamordowano parę młodych ludzi... - Armstrong pokiwał głową ze smutkiem. - Mogłem go wtedy oddać pod sąd wojskowy. Jego samowola była bezgraniczna. Miałem wrażenie, że udało mi się go odmienić...

Pułkownik zamilkł i otworzył szeroko ze zdumienia oczy. Na kolanach Jacoba wylądowała chmura jasnych loków oraz postrzępiona sukienka. Płaczliwy okrzyk: „Papa!” zakończył ponure wspomnienia oficera.

- Anna Johanna! - Jacob przytulił córkę, by ją powitać ojcowskim pocałunkiem, zbyt oszołomiony, by pamiętać o jej strachu przed dotknięciem. - Kluseczko! Co tu robisz, na miłość boską? Czemu nie jesteś w domu? I gdzie jest mama Retha?

W drzwiach ukazała się Retha.

- Tutaj, Jacobie - powiedziała po niemiecku. - Zaniepokoiłyśmy się, kiedy nie wróciłeś do domu. - Ruchem głowy wskazała zapłakaną twarzyczkę pasierbicy. Nie musiała wspominać o własnym niepokoju. Był wypisany na jej twarzy. Jacob poczuł ciepło w sercu: żona martwiła się o niego.

- Przyniosłyśmy ci twój obiad - powiedziała. - Anno Johanno, pokaż papie.

Dziewczynka odwinęła serwetkę, marszcząc nos z powodu ostrego zapachu rozgrzanego sera.

- *Der Kase, Papa, und das Brot.*

Armstrong wpatrywał się w córeczkę Jacoba z rozbawionym, dobrodusznym uśmiechem.

- Chleb? - zgodził. - I ser? Grzeczna dziewczynka. Jedna z pańskiej trójki? - zapytał, zwracając się do Jacoba.

- Najmłodsza. Jedyna córka - odparł Jacob z dumą.

Następnie spostrzegł, że pułkownik przenosi swój przenikliwy wzrok na Rethę.

- Dobrze się pani ma po wczorajszych ciężkich przeżyciach? - zapytał gładko.

Jacob natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo.

- Dziękuję, zupełnie dobrze, proszę pana - odparła bezbłędna, choć nie pozbawioną akcentu angielszczyzną.

Po czym zbladła.

Armstrong przeniósł wzrok z Rethy na Jacoba. A potem znowu na Rethę.

- Mhm. Czy mogę pani pogratulować błyskawicznego i cudownego opanowania naszego języka, madame?

Jacob podziwiał sprytny wybieg pułkownika równie silnie, jak miał mu go za złe. To nie wieczorne plotki zasłyszane w tawernie ani strzępki rozmów podsłuchane w mieście sprawiły, że pułkownik zajął się sprawą szpiegostwa Rethy. Musiał się widzieć ze Scaife'em. Możliwe, że minęli się wczoraj po drodze. I pułkownik przybył prosto do Salem, aby wyświetlić zarzuty Scaife'a.

- Muszę przesłuchać pańską żonę, panie Blum.

- Publicznie, sir? W obecności dziecka?- zapytał Jacob ponad głową córeczki. Nie wiedział, na ile poważne są podejrzenia Armstronga. Lecz nie podobał mu się rozwój wypadków. - Czy to oficjalne przesłuchanie?

- Nie. Nieformalne. Dziecko mi nie przeszkadza. Mam tylko kilka pytań.

Retha wyprostowała ramiona, czując się tak, jak wtedy gdy, będąc niezamężną siostrą, musiała opowiadać o swoich nocnych wypadach do ukochanego lasu.

- Doskonale pani włada językiem angielskim - powiedziała.

- Nigdy temu nie przeczyłam, sir.

- Wprowadziła pani w błąd kapitana Scaife'a.

- Po prostu milczałam.

- Może mi pani wyjaśnić dlaczego? - zapytał z chłodną, nienaganną uprzejmością.

Retha spojrzała na męża. Wczoraj uszanował jej fortel. Co ma odpowiedzieć dzisiaj?

- Powiedz, żono, tak samo, jak powiedziałaś mnie - powiedział Jacob po angielsku, spokojnie i uspokajająco, z pełnym uczucia spojrzeniem fiołkowych oczu.

Jego zaufanie i nieoczekiwane okazane uczucie dodały jej odwagi. Nabrała powietrza w płuca.

- Kapitan Scaife uważa, że Voglerowie są szpiegami, ale nie może ich przyłapać. Nie ma żadnych dowodów. Jest przekonany, że pani Vogler, która jest Indianką z plemienia Czirokezów, ma powody, by szpiegować przeciwko armii amerykańskiej, ponieważ Amerykanie wymordowali jej rodzinę. Ale jak ona może być szpiegiem? Nie mówi po angielsku i pan Vogler także.

- Podczas gdy pani mówi - zauważył Armstrong beznamiętnie.

- Owszem, mówię. Właśnie dlatego pan Vogler poprosił mnie, abym ukryła moją znajomość angielskiego przed kapitanem Scaife'em. Gdyby kapitan mnie usłyszał, podejrzewałby najgorsze i pomyślałby, że jestem brakującym ogniwem w jego zagadce, że jestem łączniczką pani Vogler.

Armstrong opadł na oparcie krzesła i przez chwilę milczał złowieszczo.

- A jest pani jej łączniczką, madame?

- Nie jestem szpiegiem, sir - powiedziała stanowczo.

Jacob pochwycił jej wzrok i zachęcająco skinął głową, tuląc do siebie niespokojną Annę Johannę.

Armstrong wyciągnął z kieszeni fajkę, metodycznie nabił ją tytoniem, wyjął krzemionkową zapalniczkę i powoli wykrzesał ogień. Zaciągnąwszy się dymem, przeszył Rethę ostrym wzrokiem. Jeżeli chciał ją zdenerwować, osiągnął zamierzony cel.

- Jak może pani to udowodnić?

- Nie mam na to dowodów. Poza tym że nie mam motywu ani znajomości spraw wojskowych, ani też... - tu spojrzała na Annę Johannę - ...czasu.

- Kapitan Scaife uważa, że ma pani taką znajomość.

- Jak to możliwe, sir? Nie mam pojęcia o sprawach dotyczących wojska.

- Owszem, ma pani. Każdy mieszkaniec Salem, nawet pani, może donieść o ruchach brytyjskich oddziałów, które przemarszerowują przez wasze miasto. Może otrzymywać od nich wiadomości. Zawsze o tym wiedzieliśmy.

- Z pewnością nie kobieta, sir - powiedziała w swojej obronie. Armstrong wyjął z ust fajkę i wypuścił kłęb dymu.



- Do niedawna była pani praczką, pracującą dla tawerny. Retha poczuła, że się rumieni. Pułkownik prowadzi przesłuchanie. Podejrzewa ją.

- Dziś rano rozmawiałem z pani następczynią. Dowiedziałem się, że była pani praczką. Przychodziła tam pani po bieliznę, prała ubrania...

- Krótko.

- A przedtem miejską farbiarką. W mieście powiadają, że zna pani las i wszystkie ścieżki wokół Salem lepiej niż którakolwiek z tutejszych kobiet

Jacob pochylił się do przodu i powiedział spokojnie, choć jego słowa były ostre:

- Posuwa się pan za daleko, pułkowniku. Jeżeli ma pan oficjalne zarzuty, niech je pan przedstawi.

- Na razie nieoficjalne, panie Blum, zapewniam pana - powiedział Armstrong beznamiętnym tonem.

Anna Johanna zaniósła się kaszlem i Jacob poklepał ją po plecach, gniewnie spoglądając na pułkownika.

Retha nie wiedziała, co oznacza uprzejmy ton Armstronga. Była przerażona jak królik w potrzasku.

- Innymi słowy - powiedział, znowu zwracając się do niej - ma pani wiedzę i możliwości.

- Znam się na roślinach, korzeniach, korze i nasionach, ale nic nie wiem o wojnie. Poza tym że mi utrudnia pracę.

Armstrong tylko wzruszył ramionami.

- Kapitan uważa, że ma pani także motyw...

- Chcę, żeby wojna jak najszybciej się skończyła, ale nie mam ani mocy, ani wiedzy, za pomocą których mogłabym wpłynąć na jej przebieg - powiedziała, zaniepokojona spokojem, z jakim snuł wokół niej sieć podejrzeń.

- Ten sam motyw, pani Blum, co Alice Vogler. Wychowali panią Indianie, prawda? A to my, Amerykanie, prowadziliśmy kampanię przeciwko nim, nie zaś Brytyjczycy.

- Moja żona trafiła do nas, będąc małą dziewczynką. Białą dziewczynką, wychowaną przez Czirokezów, ale nie mniej

kolonistką niż pan czy ja - powiedział Jacob, starając się opanować gniew.

- Pozwól mi, Jacobie - powiedziała szybko, wzruszona jego nagłą obroną. - Odpowiem. - Zwróciła się twarzą do pułkownika. - Owszem, mieszkałam wśród Indian, pułkowniku. I kochałam ich. Oddaliby potrzebującemu ostatnią koszulę, ale byli szybcy w zemście za morderstwo. Tutejsze oddziały, nie Brytyjczycy, bestialsko wymordowały moją indiańską rodzinę. Na moich oczach. Mężczyźni, którzy teraz walczą razem z panem. Gdybym nie należała do społeczności braci morawskich, miałabym motyw, by szpiegować pańskie wojsko.

Do jej oczu napłynęły łzy, lecz uniosła dłoń i nie pozwoliła mężowi, by się wtrącił.

- Ale ci dobrzy ludzie znaleźli mnie i przygarnęli, wychowali na jedną z nich i przyjęli do swojej społeczności. Miałam wtedy... - zamilkła, uświadamiając sobie, że nie wie, w jakim jest wieku. - Byłam wtedy małą dziewczynką. Teraz należę do nich. A bracia morawscy nie są mściwi.

- A więc przyrzekła pani neutralność?

- Tak.

- W pani przypadku przysięga może być nieważna. - Armstrong uśmiechnął się i zwrócił do jej męża. - A jakie dowody niewinności żony może pan podać, panie Blum?

- Potwierdzam jej słowa.

Armstrong mruknął powątpiewająco i zajął się fajką.

- Jakie poda pan dowody, że żona nie jest szpiegiem?

Jacob wstał powoli, aby nie przestraszyć córki, którą trzymał w ramionach. Lecz Retha wyczuła jego gniew.

- Moja żona nie jest szpiegiem. Sim Scaife posługuje się nią, by mnie nękać. Ale z całym szacunkiem, żona nie wyjedzie z miasta beze mnie.

- Bardzo dobrze - powiedział Armstrong z uśmiechem. - Wydaje się, że jest pan przeświadczony o jej niewinności.

- A pan, sir, nie przekonał mnie o jej winie.

Retha szła u boku Jacoba. Wracali z tawerny, mijając domy, sklepy, dom nieżonatych braci oraz kilka wozów, które już przybyły na jutrzejszy targ. Jacob niósł Annę Johannę na barana. Tylko ona zdawała się zadowolona z tego krótkiego spaceru. Retha czuła się straszliwie upokorzona. Najpierw Scaife, potem Jacob, walczący o jej dobre imię, a teraz oskarżenia pułkownika. Cała ta gmatwanina była jej dziełem. Czemu wyszłam z domu? - myślała.

- Jacobie...

- Poczekaj, aż zostaniemy sami. - Retha nie wiedziała, czy Jacob złości się na nią czy na pułkownika.

Po powrocie do domu położyli Annę, aby się przespała. Potem Jacob sprowadził Rethę po schodach i zaskoczył, obejmując mocno i żarliwie.

- Nie dostaną cię, to nie twoja wina - mruknął. - Scaife' owi chodzi o mnie.

- Nie powinnam była wychodzić z domu - wymamrotała. - Kiedy nie wróciłeś na południowy posiłek, Anna wyobraziła sobie, że już nigdy nie przyjdiesz do domu, tak samo jak matka, która odeszła na zawsze.

- Nie mogłem odmówić pułkownikowi, a ty nie mogłaś zapobiec jej rozpacz - wyszeptał jej do ucha.

Czuła ciepło podtrzymującego ją ciała Jacoba.

- Brat i siostra Marshallowie już dawno przeszli przed naszym domem, więc wiedziałam, że spotkanie się skończyło... A ty... wczoraj zdarzyło się tak wiele... Poszliśmy do młyna i brat Steiner powiedział mi, że jesteś z pułkownikiem. Nie wiedziałam dlaczego. Niepokoiłam się, tak bardzo się niepokoiłam.

Jacob odsunął się i na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

- Niepokoiłaś się o mnie. Odnalazłaś mnie. To mi się podoba - powiedział zachwycony i pocałował żonę.

Zakłopotana jego żarliwością, po jej wszystkich niezręcznych posunięciach, po prostu przyjęła pocałunek, pozwalając, by w ten sposób Jacob uwolnił ją od zmartwień.

W końcu przestał ją całować i przygarnął głowę Rethy do piersi.

- Muszę iść. Potrzebują mnie przy młynie.

Lecz Retha nie mogła się z nim rozstać, nie omówiwszy sprawy do końca.

- Pułkownik myśli, że jestem winna, prawda?

- Nie jestem pewny. Wysłuchawszy oszczerstw Scaife'a, musiał cię wypytać. Pewnie cię podejrzewa. Ale nie stracił do mnie zaufania... Jednakże... - Pociągnął ją do kuchni i posadził na krześle, a sam usiadł po przeciwnej stronie stołu. - Inni stracili do mnie zaufanie.

- Kto? - spytała, czując skurcz żołądka.

Jacob wyciągnął do niej swoje silne ręce i Retha podała mu swoje. Przyglądał się im z uwagą, najpierw dłoniom, potem knykciom. Po dłuższej chwili odezwał się z namysłem.

- Razem stawimy im czoło. Nie wyobrażaj sobie, że to twoja wina.

- Co nie jest moją winą?

- Członkowie starszyny udzielili mi napomnienia za moje postępowanie koło młyna.

Retha wiedziała, że napomnienie jest pierwszym krokiem do wykluczenia ze społeczności. To samo spotkało Gottlieba Voglera. A Jacob zachował się tak z jej powodu.

- Nie, Jacobie. To moja wina.

Pokręcił głową.

- Przyjmuję ich osąd, żono. To ja straciłem panowanie nad sobą, wyrządziłem krzywdę naszym *Brethren* i pogorszyłem i tak niełatwe stosunki z milicją.

- Przeze mnie.

- Przez Scaife'a - poprawił ją. - I w razie potrzeby postąpiłbym tak samo. Będę cię zawsze ochraniał, cokolwiek powiedzą na to członkowie starszyny. Odpowiadam za twój honor i twoje życie. Jeżeli zmuszą nas do opuszczenia społeczności, nie będziemy pierwszymi, którzy z niej odeszli.

Był nieugięty. Retha spojrzała na jego piękne dłonie, silne, szerokie, a jednak kształtne. Podniosła je do ust i ucałowała z wdzięczności i z podziwu dla odwagi Jacoba.

- Nie będę się bała.

- Pójdziemy dziś wieczorem na mszę. Będziemy chodzili co

wieczór. Powiemy dzieciom... a przynajmniej chłopcom. Nie powinni słuchać plotek na temat moich karygodnych postępów.

- Tak jak Nicholas słuchał pogłosek o mnie - zgodziła się Retha. - Ale co możemy zrobić, aby starszyzna zmieniła swoje zdanie?

- Bardzo niewiele.

Retha czuła siłę i pewność dłoni Jacoba.

- Nadal należysz do starszyzny?

- Chyba nie - odparł z krzywym uśmiechem.

- Czy nadal pełnisz inne...? - Nie wiedziała, jak nazwać funkcje pełnione przez Jacoba.

- Komitet nadzorczy będzie się ze mną konsultował. Potrzebuje moich rad i planów.

- A co z twoimi podróżami?

- Jako poseł jestem im niezbędny. Nikt nie zna angielskiego lepiej ode mnie. Na pewno nadal będę negocjował z wojskiem.

Recie doskwierało poczucie winy. To z jej powodu Jacob stracił status, który zyskał przez lata, kształtując i chroniąc społeczność. A jednak przyjął tę degradację ze spokojem.

Zwiesiła głowę.

- To wszystko z mojej winy. Nie możesz temu zaprzeczyć.

- Owszem, mogę i zaprzeczę. To nie twoja wina. Nie martw się. - Musnęła dłonią podbródek Rethy. - Nie zwieszaj głowy.

- Och, Jacobie, kiedy pomyślę, że mogłam zapobiec temu całemu zamieszaniu... tej utracie...

- Nie myśl o tym. Nie w taki sposób. Poszłaś szukać roślin, a znalazłaś demona.

Zawstydziła się, słysząc, że uwierzył w jej małe kłamstwo. Lecz było za późno, by wyjawić prawdziwy powód, dla którego opuściła miasto.

- Któregoś dnia, już wkrótce - ciągnął - pójdę wraz z tobą na poszukiwanie roślin, korzeni i kory.

Retha zaplatała włosy w warkocz. Jacob poszedł do młyna. Anna Johanna spała na górze. Zdjęła *Haube* ze starymi różo-

wymi wstążkami. Przypominały jej o kłopotach. Zaniosiła ją do sypialni i umieściła w szafie wraz z innymi ubraniami, wiedząc, że włoży ją, idąc na dzisiejszą *Singstunde*, oraz że będzie jej potrzebowała na inne wyjścia.

Ale nie musiała nosić czepka w domu. Usiadła przy otwartym oknie sypialni, rozdzieliła swoje gęste włosy pośrodku i metodycznie zaplotła najpierw jeden warkocz, potem drugi, jak Indianka. Jej palce poruszały się szybko i rytmicznie. Żałowała, że nie ma mokasynów i sukienki ze skóry jelenia.

Wyrozumiałość, z jaką Jacob odniósł się do jej licznych przewinień, zaskoczyła ją i zawstydziła. Jego uczucia do niej przetrwały próbę. Najpierw odrzucała go i bała się go, potem sprawiła mu wiele kłopotów. Zatęskniła za życiem z dala od ściśle wytyczonych ścieżek społeczności. Nie, pomyślała, nawet ją szanują ich zwyczaje. Czasem zdarza się ktoś trudniejszy we współżyciu, ale większość tutejszych ludzi jest godna zaufania, pracowita i uczciwa. Przyjęto ją i wychowywano, gdy pojawiła się dzika i opuszczona. Nauczono ją chrześcijańskich cnót, pisać i czytać, wypełniać kobiece zajęcia. Dano jej nowe życie.

Więc dlaczego tak bardzo tęskniła za wolnością?

Zadudniły koła wozu, jeszcze jeden wczesny przybysz na targ. Wychyliła się przez okno, by sprawdzić, czy to nie Voglerowie. Nie oni. Poprzez otwarte okno paliły ją promienie popołudniowego słońca. Skóra na dekolcie była zaróżowiona. Zatęskniła do bujnej roślinności lasu, przez którą wpadają Nieliczne promienie słońca i gdzie panuje miły chłód. Zapragnęła wdychać woń próchnicy, oprzeć się plecami o omszały pień sędziwego dębu.

Związała warkocz rzemykami z niewygarbowanej skóry.

Chciała wyrzucić z pamięci prześladowające ją wspomnienia.

Nie możesz wyjść tak z domu! - powiedział Matthias, wróciwszy ze szkoły brata Schoppa.

- Jak? - zdziwiła się Retha.

- Z takimi... włosami - odparł.

- Jak Indianka - burknął Nicholas, biorąc jabłko z misy na kuchennym stole i umykając po schodach na górę.

Retha dotknęła warkocza. Zapomniała o nich. Ze splecionymi włosami czuła się tak swobodnie. Było jej z nimi tak chłodno i wygodnie, że nie zwracała na nie uwagi.

- Nie mam zamiaru „tak” wychodzić. Idąc na mszę, ukryję włosy pod *Haube*. Ale lubię nosić warkocze. Zwłaszcza w taki upalny dzień jak dzisiejszy. Jest mi prawie tak chłodno jak wam, z krótkimi włosami. - Wzburzyła włosy Matthiasa.

Zdziwiło ją, że pozwoliła sobie na taki nieprzemysłany gest. Nie spodziewała się, że zaplecenie warkoczy tak bardzo poprawi jej humor. Ani że Matthias zgodzi się na taką matczyną poufałość. Całą uwagę skupił na jej fascynującym uczesaniu.

- Cesałaś się tak przedtem, kiedy żyłaś wśród... nich? - zapytał ze skrywaną ciekawością.

- Tak. Musiałam. Prawdopodobnie od pierwszego dnia, gdy mnie przygarnęli. Ale wtedy nie byłam wiele starsza niż Anna Johanna. Nie wszystko pamiętam.

- Myślałam, że byłaś taka duża jak Nicholas, kiedy z nimi żyłaś.

- Kiedy trafiłam tutaj, rzeczywiście byłam mniej więcej w jego wieku. Ale kiedy umarli moi rodzice, byłam bardzo mała.

- Co pamiętasz?

- Na temat moich rodziców?

- Nie - wzruszył ramionami, aby pokazać, że nie jest specjalnie zainteresowany. - O tych... innych.

Retha przymknęła oczy. Jak miała mu przekazać te ulotne wspomnienia, które żyły w jej zmysłach? Stukot piłki podczas gry. Miedziany zapach zarzynanego jelenia. Miękkosć ubrań z jeleniej skóry. Ach, z jaką nostalgią nadal to wspominała! Ale co opowiedzieć Matthiasowi? Nie była gawędziarką. Ale może się nią stanie. Śpiewające Kamienie usypiała ją co wieczór, opowiadając niekończące się legendy o ich plemieniu.

- Czy znasz opowieść o tym - zaczęła - jak opos stracił swój piękny ogon i został mu ten smętny, mały kikut?

- Czy to indiańska opowieść?

- Tak.
- Nigdy o tym nie słyszałem - zapewnił Matthias.

Retha przygotowywała kolację, opowiadając mu tę historię. A potem następną. Matthias słuchał z uwagą i nawet pomógł Recie, chociaż wcale go o to nie prosiła. Gdy Jacob wrócił do domu i wszyscy zasiedli do stołu, Matthias zapomniał o modlitwie. Kiedy jedli, Retha opowiedziała o tym, jak niepozorny żółw wodny prześcignął królika.

Słuchała cała rodzina, włącznie z Jacobem. Jednak Nicholas dokładał wszelkich starań, by wyglądało, że nie jest zainteresowany. Retha szukała w pamięci następnej opowieści, kiedy spostrzegła, że talerz Matthiasa jest pusty. Chłopiec spałaszował wszystko do czysta! Anna Johanna, która go naśladowała, także wszystko zjadła. Retha pochwyciła wzrok Jacoba i spojrzeniem wskazała mu cudownie opróżniony talerz.

Jej indiańskie bajanie sprawiło, że Matthias zjadł wszystko, co miał na talerzu. Szukała w głowie innych historii, które będzie mu mogła opowiedzieć. Bajek o zwierzętach. Historii o stworzeniu świata. Przypuszczała, że Jacob zaaprobuje tę ostatnią, chociaż różniła się od Księgi Rodzaju.

Po mszy dzieci poszły spać, zanim zdążyła im o tym przypomnieć. Jacob czekał w pobliżu, gdy Retha krzątała się, szykując mamałygę na jutrzejsze śniadanie. Przesypała ją przez sito, a potem zalała wodą, by namokła przez noc.

Jacob powiedział z namysłem.

- Nie sądzę, by ta historia mogła dzieciom zaszkodzić. Tobie nie zaszkodziła.

To rzekłszy, ucałował jej ramię, tam gdzie dotykał go warkocz. Retha zadrżała.

- Nigdy nie myślałem, że będę miał szczęście całować indiańską dziewczynę - wyszeptał. Retha wyczuła w jego tonie namietność. Wyczuła i zareagowała na nią.

Recie śniły się pająki. Jeden z nich podpełzł po jej brodzie i zmierzał do ucha. Łaskotał. Retha nie bała się pajaków od owej



nocy, gdy Jacob znalazł ją w swojej szopie. Zagubione dziecko, ukrywające się pośród lepkich pajęczyn i kosmatych odnóży.

- Nie boję się ciebie - wymamrotała sennie, stracając pajaka. Ale pajak zmienił się w dłoń. Otworzyła oczy.

- Wcale nie chciałem cię przestraszyć - w powietrzu poranka rozległ się melodyjny głos Jacoba. Leżał obok Rethy, na boku, podpierając głowę ręką. - Dzień dobry. - Brzmienie jego głosu przeszło ją na wskroś.

- Pewnie też mam powiedzieć „dzień dobry”? - wychrypiała.

- Na początek wystarczy - odparł z uśmiechem.

- Dzień dobry.

Jacob powiódł opuszką ciepłego palca po jej wargach, powodując łaskotanie, jakiego nie wywołałyby odnóża żadnego pajaka.

- Nie boisz się. Ciesz się mną. Pocałuję cię na dzień dobry.

Nie bała się pajaków. Ale bała się dotyku w małżeńskim łóżku.

Zamknęła oczy, postanawiając przyjąć jego pocałunek. Ciepłe, suche wargi lekko musnęły jej usta. Otworzyła oczy, by sprawdzić, dokąd się oddaliły.

Wcale się nie oddaliły. Twarz Jacoba była tak blisko niej, że Retha dostrzegła świeży zarost, połyskujący w świetle pierwszego promyka słońca. Uśmiechnęła się, zaskoczona.

- Będę cię zawsze całował na dzień dobry, Retho.

- Och. - Na myśl o tym, że będzie całowana, tutaj, w łóżku, każdego ranka, poczuła zaniepokojenie. Co to znaczy? Jak ona to zniesie? Jak się do tego przygotować?

- Od dziś. - Pochylił głowę i całował leciutko jej policzek, okolice ucha oraz szyję. Retha czuła łaskotanie, tak jak poprzedniej nocy. Upojne.

Westchnęła i Jacob zaprzestał pocałunków. Wstał, ubrał się i wyszedł z pokoju, pozostawiając ją samą w łóżku.

Alice nic o tym nie mówiła! Pocałunki! Rano! Kiedy oboje są jeszcze rozgrzani snem. Poczucia ucisk w żołądku, a potem coś, czego nie umiała nazwać. Pożądanie. Nieomal bolesne. Co by się stało, gdyby nie wyszedł?

# 14

Papo, wozy tu jadą! - Matthias z hałasem otworzył drzwi i obydwaj chłopcy, którzy dopiero co wyszli do szkoły, wpadli z powrotem do domu.

- Trzy wozy - dodał zadyszany Nicholas. Po szybkim biegu lub z wielkiego przejęcia, pomyślała Retha. Podniosła wzrok znad robótki. Nicholas wyprzedził brata i zatrzymał się przy stole kreślarskim Jacoba. - Chodź! - zawołał, chwytając ojca za rękę. - Są już prawie przy potoku i jadą do młyna. Powożą nimi żołnierze i w ogóle!

Jacob wstał od stołu.

- Hola, synu! Dokąd niby mielibyśmy pójść?

W oczach Nicholasa płonął ogień.

- Do młyna. To Amerykanie. Przyjechali po ziarno. Oddziały muszą być tuż za nimi.

Jacob uśmiechnął się z przesadną pobłażliwością. Tak oceniła to Retha. Przecież wiedział, że Nicholas uwielbia wszystko, co związane z wojskiem. A ona wiedziała, że Jacob tego nie pochwała.

Pierwszy wóz wjechał z turkotem na drewniany most nad Tanner's Run.

- Oddziały z pewnością są wiele mil stąd, czekając na żywność - powiedział Jacob. - Ale bez względu na to, gdzie się teraz znajdują, nie mogę pozwolić, abyście opuścili lekcje u Brata Schoppa.

Na twarzy Nicholasa pojawił się buntowniczy wyraz.

- Co tam szkoła, kiedy do miasta zbliża się wojna?

- Wojna nie zbliża się do miasta, synu - powiedział Jacob beznamyślnie, i zaniepokojenie Rethy wzrosło. Była wychowywana przez siostrę Rosinę, która natychmiast karała buntowników. - Przyjedzie tylko kilka wozów - ciągnął Jacob spokojnie. - Spodziewamy się ich dzisiaj lub jutro. Chodźmy, odprowadzę was do szkoły. A potem zajrzę do młyna, by sprawdzić, czy się im nie przydam.

- Ale, papo...

Jacob uniósł brew.

- Żadnego „ale”, synu - rzekł Jacob i położył dłoń na ramieniu Nicholasa.

- Wszyscy mężczyźni tam będą.

- A wszyscy chłopcy będą w szkole. Tam właśnie uczą się, *jak zmienić się z chłopca w mężczyznę. Ty już wkrótce staniesz się mężczyzną i wtedy będziesz spędzał dni na przenoszeniu ciężkich worów z młyna na wozy, aż poczujesz, że odpadają ci ręce.*

- Oj, papo - jęknął Nicholas, ale dał za wygraną.

Jacob szybko ucałował Rethę i obiecał, że wróci do domu w południe z chłopcami.

- Jaką masz pierwszą lekcję, Matthiasie? - zapytał swego bardziej posłusznego syna, który zmierzał za nimi ku drzwiom.

- Łacinę - usłyszała Retha, zanim zamknęli za sobą drzwi.

Patrzyła przez okno salonu, jak szli ulicą. Rosły mężczyzna, prowadzący za rękę dużego syna, i mniejszy syn, uległe drepczący obok nich.

Od czasu gdy starszyzna udzieliła Jacobowi napomnienia, minął tydzień. Jacob nie wspominał na ten temat ani słowem. Zwolniony z większości obowiązków, spędzał więcej czasu w domu. Czas dla rodziny. Czas na lizanie ran, Matthias zjadał wszystko do czysta, zamęczając Rethę pytaniami na temat Indian. Wyczerpała już zapas bajek na temat zwierząt oraz opowieści o stworzeniu świata. Wkrótce będzie musiała zacząć opowiadać o roślinach i ziołach. Anna Johanna wciąż się

boczyła na Rethę, ale przynajmniej wyraziła zainteresowanie dla postępów w powstawaniu jej jeleniej sukienki. Nicholas się dąsał, zastanawiając się, jak sądziła Retha, jakby się wyrwać spod władzy ojca.

Ale najbardziej niepokojące były zaloty Jacoba. Stawały się coraz bardziej bez troskie, a jednocześnie natarczywe. Kiedy dzieci na nich nie patrzyły, Jacob muskał pocałunkami każde odsłonięte miejsce na jej ciele: dłonie, szyję, kark, ucho. O każdej porze dnia i nocy.

Chciał, żeby te zaloty sprawiały jej przyjemność, bo gdy tylko się uchylała, od razu ich zaprzestawał. Nie wiedziała, co myślał i co czuł, ale podtrzymywał ją w stanie miłego oczekiwania.

I to było cudowne.

Inwazja była piekłem. Pierwszego ranka, kiedy Retha wyrzała na ulicę z okna salonu, ujrzała dwóch przygarbionych żołnierzy w podartych mundurach, kierujących ogromny wóz w stronę domu. Jeden z żołnierzy spojrzał na Rethę ponad zadami pociągowych koni, pochwycił jej wzrok, uchylił kapelusza i uśmiechnął się zachęcająco. Z bijącym sercem zaciągnęła cienką, batystową firankę, żałując, że nie jest to gruba zasłona z lnu pofarbowanego na kolor indygo albo z ciężkiej juty czy jakakolwiek inna zasłona, za którą mogłaby się ukryć.

Mężczyzna także miał rude włosy. Nie był to Scaife, lecz w bolesny sposób przypomniawszy o nim Recie. Zaloty Jacoba, jakkolwiek miłe jej sercu, spowodowały, że stała się ostrożniejsza wobec mężczyzn. I zdawała sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwa grożą jej ze strony żołnierzy.

Cofnęła się w głąb pokoju, zaplotła warkocze i nie ruszała się z domu. Krótka obecność rodziny, która powróciła na południowy posiłek, przyniosła jej niewiele pociechy, podobnie jak umiarkowane zainteresowanie Anny Johanny dla niemal ukończonej sukienki. Prześladowało ją skrzypienie kół wozów. Przez cały dzień słyszała trzaskanie batów, nawoływanie męż-

czyn, porykiwanie wołów, rzenie źle dobranych par zarekwirowanych koni oraz postękiwanie upartych mułów.

Pod koniec dnia w domu unosił się odór wszystkich zwierząt, które przeszły obok. Główna ulica Salem stała się niedostępna dla przechodniów. *Singstunde*, którą odwoływano rzadko, jedynie z powodu niesprzyjającej pogody, została przełożona na dzień następny albo i na pojutrze. Trudno byłoby dotrzeć do *Gemein Haus*, nie wspominając już o niebezpieczeństwie.

Ulice były pełne zataczających się mężczyzn, których pijackie wrzaski wpadały przez otwarte, lecz zasłonięte firankami okna domu Rethy.

Jedyną pociechę stanowił fakt, że żołnierze nie wdarli się do środka. Pochyliła głowę nad szyciem. A co będzie, gdy się wedrą? Na samą myśl o tym dostała mdłości.

Ale następnego dnia było jeszcze gorzej. Jej bezpieczny świat, stworzony przez Jacoba, skurczył się, zacieśnił wokół niej i rozpadł w kawałki. Nie mogła dłużej słuchać wrzasków żołnierzy.

Przez owe trzy dni wypełnione skrzypieniem wozów i przez trzy noce żołnierskich hulank Jacob przyglądał się żonie. Kilka spokojnych dni, które w ubiegłym tygodniu spędził z nią w domu, przywróciły jej równowagę ducha. A jego nadszkakiwanie, myślał z samczą dumą, obudziło w niej panięńską ciekawość.

A teraz ten spokój został zakłócony. Jej zainteresowanie opadło. Zdarzyło się, że kończąc sukienkę dla Anny Johanny, szarpnęła nić tak gwałtownie, że rozdarła skórę. Kiedy indziej, gdy Matthias poprosił ją o jeszcze jedną indiańską opowieść, opędziła się niecierpliwie. To znów, gdy nocą rozległo się stukanie do drzwi, Retha przycisnęła do ust dłoń ze zbiełałymi knykciami.

Jacob otworzył drzwi Samuelowi Ernstowi. Kogo się spodziewała? Czego się obawiała?

Była przestraszona. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Brat Samuel przyniósł wiadomość, że owej trzeciej nocy okupacji miasta będzie pilnowało sześciu strażników. I wyszedł.

Ale stan Rethy nie uległ poprawie. W łóżku zwinęła się w ciasny kłębek i ukołysała do snu.

Ranikiem z miasta wyjechał ostatni wóz i najazd skończył się równie nagle, jak się rozpoczął. Salem cieszyło się dniem spokoju pomimo nieładu na ulicach i wiszącego w powietrzu odoru. Do zmroku ulice zostały wyczyszczone i zamiecione. Tego wieczoru Jacob i jego rodzina, wraz z pozostałymi członkami społeczności, wzięli udział w *Singstunde* i śpiewali pieśni dziękczynne za to, że bezpiecznie przetrwali burzę.

Jacob położył się podenerwowany. Retha, jak zauważył, nie śpiewała pieśni dziękczynnych. Nie przetrwała bezpiecznie burzy.

Odpłynął w kojącą pustkę snu. Nagle poczuł, że materac obok niego się kołysze. Oprzytomniał, lecz się nie poruszył. Retha usiadła i ukradkiem przeczołgała się na przeciwny kraniec łóżka. Jacob udawał, że śpi. Retha cicho wyszła z pokoju i powędrowała do kuchni. Usłyszał, jak w ciemności przesunęła krzesło po drewnianej podłodze. Szczęknęła zasuwka, skrzypnęły zawiasy.

Znowu uciekła.

Jacob zsunął się z łóżka, wciągnął bryczesy, wepchnął w nie nocną koszulę, chwycił latarnię i wybiegł z domu. Przypomniał sobie oskarżenia Armstronga. I własną obietnicę, złożoną Armstrongowi, że będzie pilnował żony.

Na zewnątrz świecił księżyc w nowiu. Jacob nie mógł uwierzyć, że Retha jest szpiegiem. Modlił się o to, by okazała się lunatyczką, co i tak stanowiłoby niemały kłopot, i o to, by nie była obłąkana. Teraz nadarzyła się szansa, by udowodnić jej niewinność i przekonać się, czy jego żona jest zdrowa na umyśle.

Przystanąwszy na środku podwórza, uniósł latarnię. Nie miał pojęcia, w którą stronę udała się Retha. Pewnie na łąkę. Nie rozumiał wprawdzie dlaczego, lecz zdawała się czerpać z tego miejsca pociechę. On nie czułby się tam dobrze. Biegł, zata-

czając się i potykając, w dół zбочza, złorzecząc ciemności, w której Retha poruszała się ze zwinnością kota.

Usłyszał przerywane łkania i dojrzał Rethę, siedzącą na ogromnym kamieniu, obejmującą rękami nogi. Brodę wsparła na kolanach. Płakała jak skrzywdzone dziecko.

Wyszeptał jej imię. Cicho. A potem głośniej, zanim jej dotknął.

- Retho... Retho...

Nie spłoszyła się. Pogodziła się z jego obecnością, z obejmującym ją ramieniem Jacoba. Nie przestała jednak płakać.

- Odeszła - powiedziała, łkając.

- Kto? - Retha nie mogła mieć na myśli Anny Johanny. A może miała na myśli samą siebie?

- Przekłęci żołnierze. Wystraszyli moją wilczycę.

Jej wilczycę? Nagle Retha wydała mu się niemądra. Nie była na dworze dość długo, by przywabić zwierzę, ale wilczek mógł o niej zapomnieć dawno temu. Jej łzy uspokoiły go w jednym względzie. Żaden szpieg nie będzie płakał jak dziecko, ponieważ jakieś głupie zwierzę nie pokazało swego pyska.

Ostrożnie przysiadł na kamieniu obok Rethy, gotów ją pochwyć, gdyby zechciała uciekać.

- Przykro mi. Może powinnaś poczekać trochę dłużej.

- Nie przyjdzie, kiedy ty tutaj jesteś.

- Musiałem pójść za tobą. Na dworze nie jest bezpiecznie. Zwróciła twarz ku niemu, lecz dostrzegła tylko jej zarys.

Przywarła do niego ciałem.

- Spraw, abym się poczuła bezpieczna, Jacobie.

Nigdy w życiu nie czuł się taki bezsilny. Przed czym ma ją bronić? Przed smutkiem? Bólem po stracie? On także je odczuwał. A może przed żołnierzami? Może po upokorzeniu, jakiego doznała od Scaife'a, bała się, że znów zostanie schwytana? Ale jeśli tak, to dlaczego uciekła sama tak daleko od domu?

A może bała się jego? Jednak nie, pomyślał, bo inaczej nie zgodziłaby się na jego obecność.

- Czego się boisz, *schöne Frau*? - zapytał pozornie pogodnym tonem.

Roześmiała się cicho i otarła oczy wierzchem dłoni.

- Teraz nie jestem piękną żoną, Jacobie Blum.
- Chodźmy do domu. Tam będziemy bezpieczniejsi.
- Ja czuję się bezpieczna w lesie - zaprotestowała, ale się nie opierała. Jacob wstał i podniósł Rethę z kamienia.
- Tęsknisz za lasami?
- Bez przerwy. Brakuje mi spacerów. Brakuje mi mojej pracy.

Zrozumiał, jak bardzo jest przykuta do domu, odkąd przyjął ją do swojej rodziny. Jak bardzo czuje się uwięziona w mieście od owej nocy, kiedy widział ją tańczącą.

- Pójdę z tobą do lasu. Kiedy chłopcy będą w szkole. Zostawimy Annę Johannę u siostry Ernst. Kiedy powróci jej spokój...

Zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała z entuzjazmem.

- Och, weź mnie, Jacobie. Dobrze?

Weź mnie, pomyślał, czując, że jego męskość nabrzmiewa pożądliwie. Szkoda, że Retha nie może przyjąć tego, co mógłby jej ofiarować. Ucałował ją powściągliwie.

- Jutro - obiecał. I razem wrócili do domu.

Retha poprowadziła Jacoba do lasu. Nie widział jej tak pewnej siebie od czasu ich ślubu. Las zupełnie ją odmienił, myślał. Stała się dziką istotą, dzieckiem natury. Szła pewnie jak indiański przewodnik, wybierając ścieżki, których on nie dostrzegał. Ścieżki, jakich nigdy nie miał czasu ani ochoty poznać. Szła szybko, pochylając się to w jedną stronę, to w drugą, aby uniknąć kolczastych liści ostrokrzewu, nurkując pod pojawiającymi się znienacka pnączami o niedojrzałych owocach, uchylając się przed pajęczynami albo rozrywając je uniesioną pięścią.

Jacob brnął poprzez zarośla jak wielki niedźwiedź. Retha szła przodem, milcząca. Bez trudu dotrzymywał jej kroku, lecz trudno było mu się skupić na celu ich wyprawy. Na wodospadzie, którym go kusiła. Powiedziała, że rośnie tam knieć błotna i dziki indygowiec. Ale przez cały czas po odjeździe



wozów, w ciągu dnia i nocy cierpliwego uwodzenia, zmysły Jacoba były tak zajęte Rethą, że mało obchodziły go jej rośliny. Widział przed sobą jedynie wcielenie swych żądź: wdzięk, żywotność i kruchość Rethy.

Przystanąła na pagórku. Jacob nie widział, co jest poniżej po przeciwnej stronie wzniesienia. Przed nimi rozciągała się gęsta i wilgotna roślinność.

- Posłuchaj.

Jacob przechylił głowę. Z dala, zagłuszane pobzykiwaniem leśnych owadów, dawało się słyszeć przenikliwe kwilenie. Jastrząb, pomyślał Jacob. Bliżej rozlegał się śpiew... trele... gruchanie... Jacob nie potrafił odgadnąć, jaki ptak wywodzi takie tony.

- Para jastrzębi gnieździ się tutaj od wielu lat - powiedziała Retha.

- Doprawdy? - Skoro znała obyczaje jastrzębi, na pewno wie, jakie ptaki tak świergocą. Ale nie spytał jej o to.

- Ale posłuchaj. Wodospad jest już blisko. Słyszysz go?

Nateżył słuch, starając się pochwycić jakiś dźwięk poza brzęczeniem i ćwierkaniem. I udało mu się. Do jego uszu dotarło coś jak westchnienie albo poszum wiatru.

- Ten szelest?

Retha skinęła głową.

- To grzmot. Ale zabrzmiał tak dopiero, gdy minimy następne pasmo wzniesień. Za chwilę znów przestaniesz go słyszeć.

Ścieżka zniknęła. Retha wzięła Jacoba za rękę. Miejscami zbocze było gęsto porośnięte niskimi krzewami.

- Borówka amerykańska. - Retha szła ostrożnie pomiędzy krzewinkami, omijając poskręcane gałęzie, prowadząc Jacoba. On także stapał ostrożnie.

Schodzili stromo w dół. Retha szła zakosami. Łatwiej by jej było iść samej, pomyślał Jacob. Nie chciała jednak wypuścić jego dłoni. Słyszał dudnienie swego serca. To od szybkiego marszu, wmawiał sobie, nie chcąc się przyznać do tego, że podnieca go niespodziewane zachowanie Rethy. Jej zaufanie, pewność siebie, dotyk.

Znaleźli się w zagłębieniu. Rosły tu sięgające do kostki rośliny o kwiatach w kształcie parasola. Ogromne goździki, pomyślał.

- Nie depcz ich. Narwę trochę w drodze powrotnej.

- Jaki kolor się z nich otrzymuje? - spytał Jacob, nawiązując do celu ich wyprawy.

- Nie służą do wyrobu barwników. Nazbieram ich dla siostry Sarah. Są dobre na artretyzm. Uważaj. Jest mokro. To źródło. Dlatego rośnie tu tak wiele paproci.

Wiedział o tym. Paprocie lubiły wilgoć, w przeciwieństwie do budowniczych, którzy unikali źródełek. Jacob nie mógł oderwać wzroku od zarysu biodra Rethy. Opanowując żądzę, spjrzał na wysokie, sięgające pasa paprocie.

- Anna Johanna byłaby zachwycona - powiedziała Retha. - Znajduje wróżki pod muchomorami, robi im posłania z mchu i zrywa liście paproci, żeby je nimi wachlować.

Jacob nie myślał o córce. Patrzył na połyskującą wśród traw wilgoć, którą Retha nazwała źródłem. Źródła były dla niego utrapieniem i dobrodziejstwem. Budował ponad nimi mosty, wytyczał drogi, tak aby je omijały, zmieniał plany zabudowy, gdy natrafiał na wyschłe źródło. Ujmował je w studnie, gdy potrzebował wody.

Usiłował skupić myśli na celu ich wyprawy. Ale umysł nie był w stanie przekonać ciała, że przedsięwzięło tę wyprawę tylko po to, by zbierać rośliny na barwniki. Jacob zapragnął posiąść żonę tutaj, na łonie natury, gdzie Retha zdawała się bardziej u siebie niż w jego domu. Pośród roślin, które stanowiły narzędzie jej pracy, pośród drzew, zastępujących ściany, pod baldachimem gałęzi, służących za sufit.

- Jacobie! W takim tempie nigdy nie dotrzemy na miejsce - powiedziała, spoglądając na niego promiennym wzrokiem. Jej oczy lśniły, dzięki i złociste w zielonym cienistym lesie.

Pragnął jej właśnie takiej, pozbawionej hamulców, nieskrępowanej żadnymi obawami.

Omijając rośliny, podszedł ku niej po mokrym podłożu. Mokre błoto lgnęło mu do podeszew, wilgotna ziemia chłodziła

stopy. Lecz Retha pociągnęła go na następne wzgórze i zady-  
szana zatrzymała się na szczycie.

- Patrz! - zatchyła dłonią łuk. - Czyż to nie wspaniałe?

Wodospad był majestatyczny. Wysokością i szerokością dorównywał domowi. Woda z hukiem opadała z masywu łupków do głębokiego, wzburzonego zbiornika. Retha poprowadziła Jacoba, aby przyjrzał się z bliska. Szła po skałach, wyciągając rękę ku mężowi, aby udał się za nią na przeciwny brzeg. Wślizgnęła się pod niski nawis.

- Moja jaskinia - wyjaśniła uradowana, gdy do niej dołączył.

Wiedział o istnieniu wodospadu, ale nie miał pojęcia o jaskini. Musiał się przygarbić, by wejść do środka.

- Twoja? - zapytał, unosząc brwi.

- W pewnym sensie. Wydaje mi się, że byłam w niej, zanim ją znalazłam.

Zmarszczył czoło.

- Kiedy ją znalazłam, przypomniałam sobie. Ukrywałam się w niej, zanim trafiłam do Salem.

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. Przeszli przez wąską szczelinę i skały rozstały się nieco, tworząc raczej wnękę niż jaskinię, której zarysy były ledwie widoczne w nikłym świetle, jakie tu docierało. Ukrywała się tutaj, będąc dzieckiem w wieku Nicholasa, lecz o wiele mniejszym i słabszym. Serce Jacoba ścisnęło się, zapragnął chronić to odważne i przestraszone dziecko, jakim wtedy była, choć wiedział, że od tamtej pory minęły całe lata.

Uderzył głową w sklepienie, usiane koralikami wody. Kropla opadła mu na czoło. Zrobił krok naprzód i musiał się pochylić. Wyciągnął rękę i natrafił na ścianę, porośniętą wilgotnym mchem.

Stopniowo ulegał czarowi miejsca. Choć było zaledwie niewielkim zagłębieniem pod występem skalnym, stanowiło dobrą kryjówkę w rodzaju tych, o jakich marzą chłopcy.

- Musimy tu przyprowadzić dzieci, Retho.

Skinęła głową.

- Wiedziałam, że ci się spodoba.

- Mnie? Chodzi mi o chłopców. - Zdawał sobie sprawę, że

siebie samego też ma na myśli. Przed oczami stanęło mu chłopiące marzenie o pirackiej kryjówce. Zakłopotany, zmienił temat. - Myślisz, że ktoś tutaj mieszkał?

- Ja mieszkałam. Przez kilka dni, tamtego lata. Dopóki się mi nie naddojadło spanie na spróchniałych żołądźkach i żywienie się żabami i jaszczurkami. Wtedy wyruszyłam na poszukiwanie Salem. Tam mogłam podkraść wasze ziemniaki. - Spojrzała na niego spod oka.

- Nic nie wiedziałś o istnieniu Salem! Po prostu napatoczyłaś się na nas! - Jacob wyśmiał jej całkowicie zmyśloną opowieść. Jej brawurę.

- Jasne, że się na was napatoczyłam. Nie pamiętam, jak trafiłam do Salem. Ani nawet jak znalazłam tę jaskinię. Dopiero po wielu latach znów ją odnalazłam. - Zamilkła, dotykając w zamyśleniu wilgotnych skał. - Och, Jacobie, miałam szczęście, że to właśnie ty schwytałeś mnie na placu. Nikomu nie powiedziałeś o ziemniakach.

- Christina wiedziała - powiedział łagodnie. - Uznaliśmy wspólnie, że reszta mieszkańców miasta może tego nie zrozumieć, a nie musieliśmy ich o tym informować.

- A więc osłaniałeś mnie. I ona także. - Retha milczała przez chwilę, badając, a może przypominając sobie miejsce, które kiedyś stanowiło jej schronienie. Odłupywała małe okruchy skały ze ścian pieczary, rozcierała je w palcach. A potem zwróciła się do Jacoba. - Nigdy o niej nie mówisz. Wszyscy wiedzą, że ją kochałeś.

Ach, pomyślał, a więc o to chodzi. Wszystkiemu winna jest moja pierwsza żona. O której druga żona nigdy nie wspomniała. Zaprzeczenie, że kochał Christinę, byłoby kłamstwem.

- Tak, kochałem ją - powiedział z prostotą.

- Czasami jest mi tak dziwnie, że ona odeszła, a ja zajęłam jej miejsce. Z pewnością brakuje ci jej.

- Dla mnie żyje w naszych dzieciach.

Na twarzy Rethy pojawił się wyraz powątpiewania. Jacob dostrzegł to nawet w słabym świetle jaskini.

- Ale wciąż za nią tęsknisz... opłakujesz ją.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Retha zasługiwała na to, by poznać prawdę. Wierzył, że ma dość mądrości, by ją przyjąć.

- Pamiętam o niej. Tak samo jak dzieci. Lepiej niż one. Ale to nie oznacza, że nie mogę kochać ciebie.

Retha odwróciła się plecami do niego i przytknęła dłonie do kępy mchu na ścianie, a potem przycisnęła do niej czoło. Jacob poczuł się grubianinem. Nie znalazł odpowiednich słów.

- Wiesz, co to jest żałoba, Retho. Straciłaś wielu bliskich. To nie jest kwestia tygodnia, miesiąca czy roku.

Zamilkł i czekał. Żadnej odpowiedzi. Retha przemawiała do skały. Ujął jej twarz w dłonie i spojrzął na nią bacznie.

- Wiesz dobrze, że o nich nie zapomnisz.

- Pamiętam moją indiańską rodzinę - powiedziała, a z jej oczu popłynęły łzy.

Zaprzagnął je scałować.

- Oczywiście, że pamiętasz.

- Ale nie pamiętam mojej prawdziwej rodziny.

- Nic a nic?

- Tak mi się wydaje. Może odrobinę. Jakieś przebłyski, cienie. Czasem sen. Był tam wysoki mężczyzna. A ona była... - potrząsnęła głową i zamilkła. - Kobieta. Włosy jak moje. Sny nigdy nie trwają długo.

- Ale byłaś bardzo mała, gdy znaleźli cię Indianie.

- Byłam bardzo głodna. I zagubiona. Śpiewające Kamienie oceniła, że mam jakieś cztery wiosny, może pięć. Pięć lat - wyjaśniła. - Może wtedy wiedziałam ile. Ale ona nie znała angielskiego i nikt w jej plemienu. Nauczyłam się języka Czirokezów na tyle, by móc się z nimi porozumieć. Ale nikomu nie przyszło do głowy, by mnie o to spytać. Zakładając, że jeszcze pamiętałam.

Po jej policzkach spływały łzy. Na pewno wiedziała, co znaczy stracić bliskich. Jacob nie wiedział, co mógłby dodać. Albo zrobić. Mimo że w jaskini panował chłód, nie było to wesołe miejsce. Po wszystkich trudnościach, jakie przeżyli w ciągu pierwszych dni małżeństwa, Jacob pragnął, by dzisiaj Retha była szczęśliwa. Otoczył ją ramieniem i odwrócił w stronę światła.

- Wracajmy. Musimy coś zjeść.

Przeszedłszy po kamieniach w oświetlonym słońcem strumieniu, Retha odzyskała dobry humor. Uradowany Jacob zszedł z nią po stromej ścianie, sąsiadującej z wodospadem. Usiedli na krawędzi głębokiego zbiornika, wydrążonego przez opadającą wodę.

Retha wyjęła z kieszeni chleb i ser i podzieliła jedzenie pomiędzy nich. Przed nimi słońce tańczyło na powierzchni wody.

- Nie widzę dna - powiedział Jacob.

Retha przeżuwała strawę, jakby to była od dawna wyczekiwana manna.

- Widać dno. Patrz. - Wskazała mu ocieniony obszar niezmażonej wody, gdzie dno było rzeczywiście widoczne. - Pływałam tu.

- W ubraniu? - zapytał ze zdumieniem.

- Jasne, że bez. Kto miałby ochotę wracać do domu w mokrym odzieniu?

Zadziwiła go. Pływanie nago było śmiałym wyczynem w przypadku kobiety. Chyba że została wychowana przez Indian. Co wiedział o Indianach? Co wiedział o niej? Lecz ta dzika, nieznana strona jej przeszłości bardzo go pociągała. Ciągnęła go jak jastrzębia do jego samicy.

Albo jak wilka. Wilki, jak przeczytał, dobierały się parami na całe życie.

Oczyma wyobraźni ujrzał ją nagą w promieniach słońca, z rozpuszczonymi włosami. Z wodą opływającą wszelkie wgłębienia i wypukłości jej ciała, których bardziej się domyślał, niż dostrzegał. Poczul gorące pożądanie. Pocałował Rethę. Realną, nie jej wyobrażenie. I szybko się od niej odsunął.

- To nie jest odpowiednie miejsce... - powiedział, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie.

- Na co?

- Na to, co chciałbym z tobą zrobić.

Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Nie rozumiem, dlaczego miałoby nie być odpowiednie.

Rozejrzał się wokół. Kolce, jeżyny, kamienie, skała. Wilki, niedźwiedzie. Jej żywioł. Ale nie jego.

- Tu nie jest bezpiecznie.

Spojrzała na niego i roześmiała się.

- Tutaj nie ma żywej duszy, Jacobie. To najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Pływałam tu wiele razy.

- Możliwe - zgodził się Jacob. Ale nie próbował pocałować jej ponownie. - Przyszłaś tu także tamtego dnia, zanim kapitan Scaife... - przerwał. Głupi, ofuknął samego siebie, po co przypominasz jej tamten dzień i oskarżenia Scaife'a w chwili, gdy stała się taka uwodzicielska, swobodna, promienna.

Retha spuściła głowę. Ale Jacob zdążył spojrzeć na jej twarzy rumieniec zakłopotania. Pełen słodczy, niewinny rumieniec. Poczł wielką ulgę. Tak rumienia się dziewice. Miał nadzieję, że Retha spiekła raka na myśl o pływaniu nago w obecności męża. Jego podniecenie sięgnęło zenitu.

- Nie. Nie przyszłam tu tamtego dnia - powiedziała cicho. - I nie miałam zamiaru. Wybrałam się specjalnie, aby zobaczyć się z Alice. Wyłącznie po to.

To nieoczekiwane wyznanie zaciążyło mu na sercu jak kamień. A więc Retha jest szpiegiem. Czekał. Zaraz powie mu prawdę. Wszelkie jego zaprzeczenia, wiara w jej niewinność okazały się bezzasadne.

- Żeby porozmawiać z nią o uczuciach - wymamrotała Retha zakłopotana, nieomal zawstydzona. Nie podniosła głowy.

- O uczuciach? - powtórzył bezbarwnym tonem.

- Żeby ją spytać, na czym polega bycie żoną - wyszeptala, a jej słowa zagłuszył huk wodospadu.

Serce Jacoba zabiło żywiej.

Nikt jej nie powiedział.

Nikt jej nigdy nie uświadomił.

Ja także jej nie pomogłem, zdał sobie sprawę, zasmucony, że tak ją zawiódł. Jego dziewicza żona była całkowitą ignorantką. I poszła do przyjaciółki, aby się dowiedzieć, jak być mu żoną.

- Mogłaś mnie zapytać, *Liebling* - powiedział ochryplym z pożądania głosem. - Powiedziałbym ci.

- Tak. Siostra Rosina mówiła mi, że mnie pouczysz co do tego.  
- Naprawdę tak mówiła? - przygryzł wargi, kryjąc rozbawienie na myśl o tym, że stateczna niezamężna siostra poruszyła ten temat.

- Tak. Powiedziała mi, że wiesz, co robić - żarliwie zapewniła go Retha. - Ale pomyślałam sobie, że nie będziesz nic wiedział o moich uczuciach.

- Ach - mruknął Jacob, zaintrygowany. Jakie są uczucia Rethy? - pomyślał.

- Więc poszłam do Alice i ją spytałam.

- Więc poszłaś do Alice i ją spytałaś? - Czekał ze wzrastającą niecierpliwością.

- A ona wytłumaczyła mi... co czuje kobieta... do mężczyzny... jako kobieta.

Od wielu tygodni panował nad sobą. Ale opanowanie nigdy nie było jego mocną stroną. Przy tej kobiecie był namiętny i gwałtowny jak piorun, jak błyskawica, jak potoki deszczu.

.- I co czuje kobieta? - zapytał ochryple.

- To. - Zatoczyła ręką łuk, wskazując rozszalały wodospad. A potem położyła dłonie na spódnicy, która sfałdowała się na jej łonie. - Tutaj.

Wodospad zaryczał w uszach Jacoba, krew zadudniła w jego ciele i spłynęła do narzędzia pożądania. Alice i jego żona dobrze to określiły. Odczuwał swoją żądzę na podobieństwo tego nieprzerwanie spływającego wodospadem strumienia, równie gwałtowną jak jego spienione wody.

I Retha najwyraźniej czuła to samo. Cokolwiek zaszło w ich małżeńskim łóżu i do czegokolwiek w nim nie doszło, ona czuła to samo co on. Pragnęła go.

Drżącymi dłońmi powiódł po jej twarzy, szyi, ramionach, po opalonej skórze dekoltu powyżej piersi i po samych piersiach.

Za chwilę zacznie się kołysać, odrzucając go.

Westchnęła, garnąc się do niego i spoglądając nań swymi żłocistymi oczami.

- Dobrze to określiłam?



# 15

Bardzo dobrze, Retho. A ja sprawię, że poczujesz się jeszcze lepiej.

Baryton Jacoba zagrział w ciele Rethy, mocarniejszy od huku wodospadu. Po tym wszystkim, co mu wyznała, po wszystkim, z czym się pogodził i co jej wybaczył, kręciło jej się w głowie. Kocha ją. Właśnie to jej powiedział, zapewniając, że miłość do pierwszej żony nie wyklucza miłości do drugiej.

Jego dotyk muskał ją jak rzucony po powierzchni wody kamyk. Potrząsnęła spódnicą, by się ochłodzić. Spojrzała na niewielki występ skalny, na którym siedzieli.

Jacob wskazał ich prowizoryczne siedzisko.

- Na takim podłożu wiele nie zdziałamy - powiedział. Otaczały ich krzewy wrzосу, połamane gałęzie, i zwalone drzewa, a podściółkę stanowiły pokruszone skały.

Nie takiego łoża mu potrzeba, pomyślała Retha. Roześmiała się, wstając, i podała mu rękę.

- Nie musimy. - Czuła się zwiewna, lekka, beztroska. Po to go tutaj przywiodła. By zrobić to tutaj, pod gołym niebem, gdzie czuła się bezpieczna i nieskrępowana.

Ciepłym oddechem owionął szyję Rethy i sięgnął do tasiemek, mocujących jej spódnicę.

Była zaskoczona, lecz pragnęła jego dotyku. Teraz była gotowa, gotowa, by dociekać tajemnic, o których opowiedziała jej przyjaciółka.

Jacob rozpiął najwyższą haftkę stanika sukni. Retha lgnęła ku niemu, dygocząc z niecierpliwości i nadziei. Musnąwszy dłonią jej pierś, odrzucił różową suknię i białą halkę na splecione krzewy, które porastały brzeg.

Instynktownie skrzyżowała na piersiach ręce.

Jacob łagodnie je odsunął.

- *Bitte* - powiedział. - Proszę. Rozmawialiśmy o tym. Pamiętasz?

Pamiętam wszystko, pomyślała. Zbyt dobrze pamiętam.

- Pozwól, bym dał ci rozkosz. Nie bój się.

Nie chciała się bać. Chciała być wolna. Chciała poznać ten zżerający ją głód, owo napięcie, popychające ją do Jacoba. Zachwyty, który budził się w jej ciele pod wpływem dotyku męża.

Jacob rozwiązał skórzany rzemyk, krępujący jej warkocze, rozplątał sploty i udrapował rozpuszczone włosy na ramionach i plecach Rethy. Jedno niesforne pasemko owinęło się dookoła wrażliwego czubka piersi. Jacob zdjął je i odstąpił o krok do tyłu, zachwycając się Rethą.

- Nie mogłem się doczekać, by cię taką zobaczyć.

Onieśmielona i dumna, pozwalała na oględziny, a brodawki jej piersi pomarszczyły się i stwardniały pod jego spojrzeniem. Wzrok Jacoba powędrował niżej. W świetle dnia trójkąt kędzierzawego rana na podbrzuszu zdawał się płomiennorudy.

Włożyła dłonie pod kamizelkę Jacoba i zsunęła ją z jego ramion. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Przypomniała sobie, że nie chciał, by układała jego ubrania. Biorąc z niego przykład, rzuciła jego kamizelkę i koszulę na pobliski konar, po czym oswobodziła go z butów i bryczesów.

Nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Tak jak poprzednio, szybko musnęła wzrokiem jego ciało, aż do... i powróciła do bezpiecznie znanej twarzy.

- Obejrzyj mnie całego, Retho. Pragnę tego.

Zmusiła się, by spojrzeć w dół. Gąszcz włosów wokół męskości miał barwę ciemniejszą niż jego czupryna. A wzdół...

Stwierdziła, że jest pobudzony, czuła na sobie jego wzrok. Umknęła przed tą intymnością.

Odwrócił ją ku sobie.

- Spójrz jeszcze raz, żono - powiedział cichym i błagalnym głosem.- Pomyśl o mnie tak, jak myślisz o sobie. Jesteśmy jednością. Co moje, to i twoje. To także.

Żarliwość Jacoba... jej własna odwaga... zawiodła ją. Sytuacja przerosła jej siły, widok okazał się nazbyt intymny. Mimo zamiaru uwiedzenia męża musiała walczyć z chęcią ucieczki do lasu. Zwalone drzewa wydawały się bezpieczniejsze niż ten krok w nieznaną. Szukała odpowiednich słów.

- Alice nie mówiła, żeby to robić na stojąco - zaryzykowała. Uśmiechnął się wyrozumiale.

- Nie, nie tutaj. Tutaj nie kochałbym się z tobą na stojąco.

Niespodziewanie wypuścił z rąk jej dłonie, schylił się, uniósł Rethę i razem z nią wszedł do wyżłobionego przez wodospad zbiornika. Dno opadało szybko i Retha poczuła chłód wody najpierw na palcach u nóg, potem na zwieszonych dłoniach, wreszcie na pośladkach. Piszcząca i wrywała się Jacobowi, choć dzień był upalny, a jej nic nie groziło.

- Mam cię - powiedział Jacob, brnąc coraz głębiej, aż woda zalała piersi Rethy. Schylił ku nim głowę. Retha zamknęła oczy. Chwycił wargami jedną napiętą brodawkę i przygryzł ją pieczołowicie.

Kiedy dotarli tam, gdzie opadająca woda wznicała kropelki mgły, Jacob oswobodził nogi Rethy. Czubkami palców oparła się na jego wielkich stopach, stojących niewzruszenie na dnie zbiornika. Przywarł ciałem do Rethy. W ramionach Jacoba czuła się jak liść unoszony z prądem wody. Ponad nią huczał wodospad, zagłuszając ich oddechy. Cały świat sprowadził się do ciała Jacoba, jego wznoszącej się i opadającej piersi, jego masywnych ud i wezbranej męskości. Poczuli gdzieś w głębi pulsowanie, przypominające o tym, czego tak się bała, o odczuciach, których nie potrafiła nazwać. Teraz miała dla nich nazwy: Tęsknota. Nienasylenie. Żądza.

W oczach Jacoba dostrzegała ten sam głód.

- Obejmij mnie nogami, *Liebling* - powiedział ochryple. Zawahała się chwilę, nie bardzo rozumiejąc, o co ją prosi.

Przygarnął jej ciało ku sobie i uniósł o kilkanaście centymetrów. Zachwiała się, chwytając równowagę. Przytknął jej rękę do ust i pocałował.

- Chcę, żebyś trzymała się tylko mnie.

I prócz niego nie było nic i nikogo. Drżąc z niecierpliwości, rozchyliła uda i objęła nimi biodra Jacoba. Wsparła ramiona na jego szerokich barkach. Trzymał ją bez wysiłku.

Lecz stał taki nieporuszony.

Czy ona także powinna być taka nieruchoma?

Możliwe. Przyjaciółka nie poinstruowała jej, jak należy kochać się z mężem w pozycji stojącej. Za wszelką cenę starała się nie poruszyć. Lecz nie potrafiła zapanować nad ciałem, które otwierało się dla Jacoba, garnęło ku niemu, żądając rozkoszy, nacisku, ruchu. Mimo starań przywarła do niego biodrami.

Przycisnęła ją do siebie. Była zaskoczona, że ma taką nad nim władzę. Że go doprowadziła do tego. Ale on znów znie-ruchomiał.

- Jeszcze - wydyszała.

- Twoja kolej - odparł ochryple. - To posunięcie należy do ciebie. Zrób to, na co masz ochotę.

Przewidział jej ruch.

Pomógł Recie nasunąć jej tajemnicze, intymne wnętrza na swoją pragnącą jej męskość. Podtrzymywana ramionami Jacoba, była lekka, jakby pozbawiona wszelkiego ciężaru. Poczwała żar pomiędzy nogami. Jacob szeptał słowa otuchy, zaklinając ją, by do niego przywierała, szybciej i mocniej.

To, co robi, jest dalekie od delikatności, pomyślała, radując się jego siłą. I swoją własną. Ale bez względu na to, co mówił, to miało boleć, więc zwolniła.

Przyciągnął ją ku sobie.

- Nie przestawaj, Retho. Twoje ciało wie, co robić.

Podtrzymując silnymi dłońmi jej pośladki, zachęcił Rethę do szybszego, bardziej zdecydowanego ruchu. Wstrząsana dreszczami, zadyszana, naciskała na niego, poszukując czegoś, nieznanego, nienazwanego, czegoś, co znajdowało się tuż-tuż.

- Nie mogę przestać! - zawołała.  
- *Danke Gott* - powiedział i przysunął się bliżej wodospadu. Zalała ich woda. - Gdzie się podział twój strach, *Liebling*?  
- Minał, kompletnie minał - roześmiała się, wciąż garnąc się do jego żaru.

Powrócił na słońce. Radośnie otrząsnęła wodę z włosów, a ich wilgotne pasma opadły na nich obydwójce.

- Jesteś już tak blisko, tak bliźutko celu - powiedział niskim głosem. - Pozwól, że obudzę w tobie wodospad.

Wsunął dłoń pomiędzy ich ciała i czule muskał jej spragnione miejsce. Omal nie krzyknęła, gdy jej wewnątrz zacisnęło się wokół Jacoba. Straciła panowanie nad własnym ciałem, które gwałtownie się szarpnęło, wydając okrzyk. Rozpoznała go, zanim jeszcze wyrwał się z jej gardła. Był to ów krzyk, wydawany nocą przez kobiety, krzyk, który w jej uszach brzmiał jak krzyk bólu. Lecz to, co czuła, nie było bólem, było strumieniem rozkoszy, zaspokojeniem żądz, spełnieniem pragnień.

A ona była jego i była wolna.

Oparła głowę na ramieniu Jacoba, lgnąc ku niemu, drżąc, dygocząc. Zachwycała się własną siłą, mocą przepełniającą jej zmysły.

- Ach, Retho - powiedział. - Tak bardzo tego pragnąłem. Dla ciebie.

Czuła gorące pulsowanie jego ciała, ale Jacob pozostał nieruchomy jak kamień.

Nie zrobiliśmy tego, zdała sobie sprawę. Była zbyt zapalczywa. Zbyt samolubna. Jacob w nią nie wszedł.

- Ty nie... - zamilkła. Ich zachwycający akt miłosny okazał się łatwiejszy do niż opisanie go słowami.

- Nie skończyłem? - powiedział za nią. Uśmiechnął się z wygłodniałym wyrazem oczu. - Jeszcze nie. Mamy przed sobą cały dzień. Całe życie.

- Nie musisz? To znaczy, teraz?

- Możemy to zrobić teraz - powiedział powoli, jakby rozważając ten pomysł.

- Nie chcesz? - Może zrobiła coś nie tak, jak trzeba. Ale jak miała zrobić coś innego, skoro było jej tak cudownie.

- Chcę. I zrobimy to. - Pocałował ją mocno, a potem trzymał w wodzie, jakby była jego największym skarbem, umiłowaną kobietą. Woda wirowała wokół nich, kojąc Rethę. Usłyszała krzyk sójki, śpiew strzyżyka. Słońce osuszyło jej twarz. Wreszcie Jacob zaczął od nowa. Muskając ją tam, gdzie przedtem całował. Całując tam, gdzie przedtem muskał, rozniecając w jej ciele płomień. Po chwili dygotała, a on przestał być nieruchomy. A przynajmniej nie taki niezachwiany jak dotychczas.

- Ale czy my naprawdę możemy to zrobić tutaj? Stojąc? W wodzie? - Wciąż była ignorantką, ale ochoczą.

- Możemy spróbować - odparł z chytrym uśmiechem.

Objęła ramionami barki Jacoba i rozwarła nogi, a on wszedł w nią. Zadrzała na skutek tego nieznanego, najgłębszego dotyku. Jego trafności, która tak doskonale ją zadowoliła.

- Ach, *Liebling*, jesteś taka ciasna. - Poznała po jego tonie, że to dobrze. Wpychał się w nią, gorący, twardy i śliski. Ów nacisk był upajający, a potem raptem stał się bolesny. Krzyknęła zaskoczona i Jacob się wycofał.

Zebrała całą odwagę, której nauczyła się u Czirokezów. Ale zanim zdążyła pomyśleć, już w nią wszedł, napinając i rozdzierając jej dziewiczą zaporę. Pod wpływem bolesnego uderzenia oczy Rethy zaszyły łzami, lecz się nie ulękła. Jacob czekał z pulsującą męskością wewnątrz niej. Ból zapiekł, osłabł, ustał. Retha poczuła, że się zaciska wokół Jacoba. Zaczął się znowu poruszać, początkowo powoli, ale coraz głębiej, aż objęła go całkowicie. Otoczona dudnieniem opadającej wody, przejęła rytm Jacoba, aż uczuła wstrząsające nią kaskady.

Słodkie znużenie, myślał Jacob, rozciągając się na występie skalnym obok strumienia w oczekiwaniu na Rethę, która zbierała rośliny. Wciągnął już bryczesy i pomógł żonie włożyć suknię, a potem wysłał ją po zioła. Takiego widoku spodziewały-

by się dzieci. Czyjeś oczekiwania powinny się spełnić. Jego, dzięki Bogu, się nie spełniły. Spodziewał się całodniowej wyprawy poprzez las i miał nadzieję na jeden lub dwa pocałunki. Zamiast tego zyskał kochankę. I oddał jej serce.

Uniósł rękę i odmierzył dłonią drogę, jaką słońce przebyło na niebie. Nagle na tle nieba pojawiła się Retha. Pochyliła się nad Jacobem i podała mu kwiat.

- Indygowiec. - Uśmiechnęła się.
- Znalazłaś go tutaj?
- Dziki indygowiec. Tu i tam, nad wodospadem. Nie powinienam go używać.

Jacob zapomniał o tym. Nawet przed wojną, która wyczerpała zapasy tego popularnego barwnika, używali go tylko mężczyźni, ponieważ do utrwalenia koloru używano moczu.

- Ale ty go używasz?

Wzruszyła ramionami, nie przecząc jego słowom ani ich nie potwierdzając.

- Ostatnie kwitnienie.

Umieścił gałązkę ponad prawym uchem Rethy. W złocistym świetle wczesnego popołudnia jej uroda jaśniała, jasnobrązowe oczy iskrzyły się w słońcu jak miód, bursztynowe włosy lśniły tam, gdzie zdążyły już przeschnąć. Jacob zdjął z pobliskich gałęzi swoją koszulę i kołnierzyk. Retha przysiadła obok niego, zaplatając wilgotne włosy i patrząc, jak mąż się ubiera.

Jej wytężona uwaga zachwyciła Jacoba.

- Podoba ci się to, co widzisz?

Westchnęła słodko.

- Podobasz mi się cały.

Serce Jacoba zabiło mocniej. Kiedy niedawno trzymał ją w ramionach, czuł się tak, jakby jej krew pulsowała w jego żyłach. Gdy się z nim zespoliła, doprowadzając do wytrysku, czuł namiętność tak czystą i dziką jak nietknięte ludzką stopą ostępy leśne.

Ich dzisiejsze połączenie było cudem, o który Jacob się modlił. W końcu go przyjęła, całą sobą i bez strachu.

Ale czy rzeczywiście całą sobą? I czy rzeczywiście pozbyła się dręczących ją obaw?

Owego dnia, gdy Scaife przywiózł ją do domu, Jacobowi wydawało się, że Retha zachęca go do miłości, lecz gdy się zbliżył do łóżka, znów zastygła w przerażeniu. Możliwe, że poranne pocałunki pomogły odegnać strach. I wszystkie pieszczoty, którymi obsypywał ją w ciągu dnia. Możliwe.

Uśmiechnął się pełnym zadowolenia uśmiechem. Zabierze ją do domu z nadzieją, że tak właśnie się stało. Ale zawsze będzie mógł ją znów tutaj przyprowadzić. Z ochotą będzie ją tak uwodzić po kres ich dni.

- Spójrz, Jacobie. - Z zamyślenia wyrwał go szept Rethy. Wskazywała na przeciwległy brzeg.

- Co? Nic nie widzę - odrzekł cicho.

- W paprociach. Pod wiązem.

Wytężył wzrok. Jakiś szary cień, nieruchomy jak posąg. Z uniesioną głową. Czujny.

- To wilk. - Objął Rethę opiekuńczym ramieniem.

- Mój wilk. Odnalazł nas - wyszeptła Retha, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej zawiązane na supeł zawiniątko z jedzeniem. Ich lunch.

- Nie oddawaj zwierzęciu naszej stawy. - Wyciągnął rękę w stronę zawiniątka. Przedmiotem jego troski nie było ich pożywienie. Retha nigdy nie słuchała przestrogi i zawsze narażała się na niebezpieczeństwo. Chciał, by nauczyła się ostrożności.

- Tylko bekon - odparła. - Chcę się przekonać, czy rzeczywiście zupełnie wyzdrowiał.

Jacob okazał się nie dość szybki, by powstrzymać żonę. Wdrapała się na strome zbocze ponad wodospadem, przeszła przez strumień i wspięła się na przeciwległy brzeg, chwytając się gałęzi. W sposób pozbawiony wszelkiej ostrożności zbliżyła się do wilka i przyklękła w odległości kilku kroków od niego. Wyciągnęła ku niemu rękę. Jacob widział, że mówi coś, poruszając wargami, lecz huk wody zagłuszał jej słowa.

Wilk, nieco skulony, zrobił krok, a potem następny, w jej kierunku. Retha czekała, aż do niej podejdzie.



Merdając ogonem jak zwyczajny pies, pożałł bekon i obwąchał dłoń Rethy, szukając czegoś jeszcze. Stwierdziwszy, że nic więcej nie ma, przysiadł na zadzie, by chwilę przy niej zostać.

Zwierzę nie boi się Rethy, pomyślał Jacob ze zdumieniem. Ani ona jego. Otoczona dziką przyrodą, czuła się jak u siebie. Zbrodnią było więzienie jej w domu, trzymanie jej z dala od prostych, dzikich przyjemności. Bo część jej jaźni należała do lasu.

Jakaś część Jacoba także. Położył się na boku i przyglądał z zadowoleniem, jakiego nie odczuwał od lat, żyjąc w swoim ukochanym miasteczku. Złocistooka małżonka przywiodła go do lasu, o którym marzył, przybывая do tego kraju w wieku lat siedemnastu. A potem obowiązki pozbawiły go marzeń. Kochał Rethę za to, że go tutaj przyprowadziła. Kochał ją w otoczeniu przyrody.

Kochał ją. Swoją odważną, dziką żonę, która okazywała przyjaźń dumnym wilczkom, sprawiającym kłopoty córkom i nieznośnym synom. Która zaspokajała najgłębiej skrywane żądze swego męża. Przypomniął sobie słowa siostry Krause, wypowiedziane na kilka dni przed ich ślubem. „Źródło twego szczęścia”. Odetchnął wilgotną wonią roślin, napełniając pierś nieznanym dotąd ukontentowaniem. A potem zamknął oczy.

Obowiązki i wojna zdawały się takie dalekie.

Kiedy wraz z Rethą zbliżał się do domu, stwierdził, że w Salem panuje niezwykle ożywienie. Za nimi rozlegał się turkot kół wiejskiego wozu, zmierzającego w stronę placu. Przez miasto przegalopowało kilku konnych milicjantów, wzbijając tumany duszącego pyłu. Jacob starał się oddalić wszystkie przykre myśli o niebezpieczeństwie. Niektóre dni były po prostu bardziej pracowite od innych. Owionęła ich chmura pyłu i Retha zwolniła kroku. Uprawianie miłości pewnie ją zmęczyło. Albo sprawiło ból.

- A jeśli to widać? - wyszeptwała.
- Co widać?

- Że byliśmy... ze sobą?

Każdy, kto ma oczy, z pewnością to odgadnie, pomyślał Jacob. Zwłaszcza, patrząc na Rethę. Opuchnięte wargi, zarumienione policzki, podkrążone oczy - wszystko to świadczyło o tym, że została zdobyta. I to jak zdobyta, pomyślał z samczym zadowoleniem.

- Nie widać - powiedział, prosząc Boga, by wybaczył mu to drobne, wypowiedziane w dobrej wierze kłamstwo. - Wszyscy myślą, że to się stało dobrych kilka tygodni temu.

- Och - jęknęła, pąsowiejąc. - Tak myśleli? Przez cały ten czas!

Przystanęli koło młyna Steinera.

- Życzili nam tego, Retho. Tego związku. Tego, byśmy się stali mężem i żoną. Nawet Indianie, wśród których się wychowałaś...

- Tam było inaczej.

- Inaczej? Jak?

- Po prostu inaczej! - Odeszła energicznym krokiem. Jacob dogonił ją na drewnianym moście.

- Skoro już musisz wiedzieć - burknęła - przerażało mnie to, co robili.

- Przerażało cię?

- Nocne krzyki brzmiały przerażająco. A kiedy zamieszkałam u was, nikt ze mną nie rozmawiał o tym, co robią ludzie, kiedy są sobie poślubieni.

- Nawet twoja przyjaciółka, siostra Ernst? - zapytał.

- Nawet ona. Niektóre młodsze siostry niezamężne rozmawiały o tym między sobą, ale nie za mną.

- Teraz już wiesz - powiedział cicho i pogłaskał ją po karku. Rosina Krause nie powinna mu być pozostawiać edukacji żony.

W pobliżu garbarni stały świeżo rozstawione namioty, a wokół kręcili się mężczyźni w niebieskich mundurach.

- Nowe oddziały - powiedziała Retha i niespokojnie przyspieszyła kroku.

- Mają prawo tu stacjonować - przypomniał jej Jacob. I szybko powrócił do spraw osobistych. - Któregoś dnia bę-

dziesz życzyła równie szczęśliwego związku Nicholasowi, Matthiasowi i Annie Johannie. A później naszym własnym dzieciom.

- Naszym dzieciom? - spytała słabym głosem. - Nie sądziłam, że zechcesz ich mieć więcej.

Jacob przystanął w pobliżu małego domku brata i siostry Ernstów.

- Oczywiście, że spodziewam się liczniejszego potomstwa. Jeśli taka była wola boska, poczęliśmy dziś nasze pierwsze dziecko.

Na twarzy Rethy pojawił się wyraz zdumienia.

- Nie przyszło ci to do głowy - domyślił się Jacob.

- Marzyłam o dziecku - wyszeptwała. - Ale chłopcy nie chcą, żebyśmy mieli dzidziusia. Nicholas powiedział to wyraźnie.

- Nie chcieli także siostry. A popatrz, jak kochają Annę Johannę.

- Dokuczają jej!

- Właśnie. Uwielbiają Annę. Szkoda, że nie widziałas, jak się nią opiekowali po śmierci matki.

Jacob wziął Rethę pod rękę. Swoją, być może, brzemienną żonę. Uśmiechnął się. Anna Johanna czeka na nich u Ernstów. Przypomniał sobie, jaka kapryśna była dzisiejszego ranka.

Jacob zastukał do drzwi Ernstów. Eva wytknęła głowę i niespokojnie rozejrzała się naokoło, zanim szybko wpuściła ich do środka. Anna Johanna siedziała przy palenisku, ustawiając rząd napełnionych czymś spodeczków. Retha podeszła do niej, aby Jacob porozmawiał ze zmartwioną Evą.

- O co chodzi, siostrze Ernst? - zapytał z troską.

- Dziś rano znaleziono brata Bonnera - wyszeptwała. - Pobity prawie na śmierć.

- Powoli. Opowiedz mi wszystko od początku - powiedział Jacob, zdenerwowany na wieść o takiej bezsensownej napaści. Brat Bonner miał siedemdziesiąt siedem lat i żył sobie spokojnie na małej farmie w pobliżu Salem. Nie stanowił żadnego zagrożenia. - Kto go znalazł? Samuel?

- Jeden z nocnych strażników, robiąc ostatnią rundę.

- Kto go pobił?

- Żołnierze. Angielscy żołnierze. Poszło o kilka krów. Nadeszli, zanim nowe pułki Amerykanów przymaszerowały z Wirginii. Doktor Bonn zajął się nim. Potem nowy pułk zakwaterował kilku oficerów u siostry Baumgarten, a ona zabrała rodzinę do *Gemein Haus*, pod opiekę sióstr. Teraz, kiedy jej mąż odszedł, nie ma jej kto bronić. Jeżeli jacyś oficerowie zażądadzą naszego domu, także tam pójdziemy. Nie mamy pięterka, na którym moglibyśmy się schronić - mówiła bez tchu siostra Ernst.

- Minęliśmy teraz obozowisko na łące. Wygląda na to, że się tam osiedlili na dobre - powiedział Jacob. - W razie potrzeby możecie zamieszkać u nas.

- Och, dziękuję, bracie Blum. Od czasu tego okropnego... nieszczęścia z bratem Bonnerem jestem taka wystraszona.

- To zrozumiałe - powiedział uspokajająco. - Ale to z pewnością odosobniony przypadek. Gdyby te oddziały stanowiły rzeczywiste zagrożenie, już byśmy byli uwięzieni w wojskowym areszcie.

Eva pobladła. Jacob położył dłoń na jej napiętym karku. Tylko tego brakowało, myślał. Kiedy byłem tu potrzebny, wyszedłem z miasta. Ale potem przypomniał sobie, że dostał napomnienie. Właściwie nie wiedział, czego teraz po nim oczekiwano. Najważniejszym zadaniem była obecnie ochrona bliskich.

- W takim razie lepiej zabiorę Annę Johannę do domu.

- Była bardzo spokojna... do czasu lunchu - wyjąkała siostra Ernst. - Nie, właściwie już wcześniej stała się trochę nieznośna. Potem zjedliśmy. Po jedzeniu zaczęła kaprysić i nie udało mi się jej położyć. Wtedy pomyślałam o babkach.

Jacob podszedł do paleniska, obok którego przysiadła Retha, pomagając jego bardzo zaaferowanej córeczce w sporządzaniu kulinarnych arcydzieł.

- Babki z błota? - zapytał ponuro. Całe rączki miała upaprane w czerwonym błocie. Na wysłużonej sukience widniały pomarańczowobrazowe plamy. Jego niedotykalska córeczka z pewnością kosztowała siostrę Ernst niemało nerwów. Nie mógł się gniewać na przyjaciółkę żony, ale jak oni teraz domyją Annę Johannę?

Nachylił się nad córeczką.

- Czas do domu, kluseczko.

- Chcesz kawałek babki? - zapytała z dumnym uśmiechem.

Nie chciał. Ale gdy pulchna, ubłocona rączka Anny Johanny objęła go za szyję, gotów był zjeść kawałeczek, by zrobić jej przyjemność.

Dobrze być znowu w domu, pomyślała Retha, otwierając drzwi przed niosącym córkę mężem. W domu czuła się bezpiecznie. Na zewnątrz kręciło się zbyt wielu przybyłych z Wirginii żołnierzy.

- Będziemy potrzebowali mnóstwa wody - powiedział Jacob z zaskakującą wesołością, niosąc Annę Johannę przez wąską sień do kuchni.

- I cierpliwości.

- Nie wspominając o brutalnej sile. Zaraz wracam. - Jacob zabrał drewniane wiadro i wyszedł, zostawiając Rethę z pasierbicą. Najbliższy, wybudowany przez niego zbiornik z wodą znajdował się spory kawałek od domu. Budowniczości miasta, jak ja, powiedział kiedyś żonie, nie mogą siebie faworyzować.

Retha usadziła Annę Johannę, by bawiła się lalką, a sama zajrzała do pieca, myśląc o kolacji. Fasola, chleb, ser dla wszystkich i świeża kawa dla męża. Męża w pełnym znaczeniu tego słowa. A ona stała się prawdziwą żoną. Z radością wspomniała dzisiejszy cud. Jacob pragnie dzieci. Dotknęła ręką brzucha. Tam gdzie, być może, znajdowało się poczęte dziecko.

Kręcąc głową nad własnym marzycielstwem, sięgnęła po pogrzebacz, by zapalić ogień.

W salonie zaskrzypiało krzesło. Uniosła głowę i nadsłuchiwała. Była w domu sama. Tylko ona i Anna Johanna. Rozległy się kroki. Buty, tupanie butów. Jacob zawsze hałaśliwie stapał. Lecz także otwierał drzwi z łoskotem.

Poczuła przerażenie. Znajomy głos zniweczył jej niedawno odzyskany spokój.

- Wkrótce zechcemy zjeść kolację, *Frau Blum*.

# 16

Pobrzmiwająca w głosie pogrożka także była znajoma. Recie serce skoczyło do gardła. Odsunęła rygiel na drzwiach do salonu. Drzemiąca w niej dziewczynka, dziecko, które umknęło przed innymi żołnierzami, z innych domów, pragnęło uciekać. Lecz kobieta, żona i, być może, matka oparowała się, by stawić czoło intruzom. Ze względu na pasierbicę, niczego nieświadomą, która bawi się lalką przy piecu. Ze względu na chłopców, którzy wkrótce wrócą do domu, i na męża, który powierzył jej swoje dzieci i swój dom.

Dzierżąc pogrzebacz w dłoni, otworzyła drzwi.

Kapitan Sim Scaife, Liberty Man, jej dręczyciel, łypnął na nią z ukosa, przysuwając sobie fotel Jacoba.

- My mamy wszystkie pogrzebacze, których będziesz potrzebowała, *Frau Blum*.

- Rozpalałam w piecu, by przygotować kolację dla rodziny - warknęła i, nie zwracając uwagi na jego insynuacje, rozejrzała się po salonie.

Rechocząc, opadł na fotel.

- Jeśli chcesz, możesz użyć mojego.

Następnie wsparł obute nogi na jadalnym stole, jedną po drugiej. Jego ludzie huścili się na krzesłach, rysując oparciami pobieloną ścianę. Swoje muszkiety ustawili przy kaflowym piecu, a rogi z prochem i woreczki z amunicją położyli na

piecu. Trzy muszkiety. Trzy rogi z prochem. Trzy woreczki. W domu jej i Jacoba.

Gniew okazał się silniejszy od strachu. Że też ze wszystkich żołnierzy w Karolinie Północnej w jej domu musieli się znaleźć akurat Sim Scaife i jego obrzydliwi pachołkowie! Ich obecność pogwałcała świętość jej ogniska domowego. Wiedząc, do czego są zdolni, Retha powściągnęła złość.

- Będziemy potrzebowali tego więcej - powiedział Scaife, przysuwając w stronę Rethy dzban z jabłecznikiem i zarysowując blat stołu.

Rozgniewana jego niedbałością, odstawiła pogrzebacz i sięgnęła po dzbanek. Był pusty. Musieli się dostać do piwnicy, pomyślała, i są pijani. Przyniosła nowy dzbanek i ostrożnie postawiła go na stole.

Nigdy nie kwaterowali u niej żołnierze, lecz po doświadczeniach w domu Alice wiedziała, że należy im dać wszystko, czegokolwiek zażądata. Obsługiwanie ich tutaj, w pojedynkę, było jeszcze gorsze. Znajdowali się bliżej i zachowywali bardziej obraźliwie. I zagrażali Annie Johannie, która cicho bawiła się w kuchni. Retha modliła się, by pozostała milcząca. Ich bezpieczeństwo zależało od ustepliwości.

Po chwili trzasnęły kuchenne drzwi, zwiastując powrót Jacoba. Retha zadrzała, obawiając się mającej nastąpić konfrontacji. Jacob nie znosił kapitana. Kapitan nienawdził Jacoba. Chwyciła pogrzebacz i ukryła go w fałdach spódnicy.

- Kapitan Scaife. Cóż za niespodzianka - odezwał się Jacob.

Scaife zdjął stopy ze stołu. Przednie nogi fotela Jacoba opadły ze stukiem na podłogę. W żółtych oczach kapitana załśniła złośliwość.

- Kwaterujemy żołnierzy we wszystkich domach w mieście, Blum. Tobie przypadłem ja.

- Szczęśliwe zarządzanie losu - odparł Jacob ironicznie.

- Możliwe. Może to twój szczęśliwy dzień.

Rozlewając jabłecznik, napełnił sobie kubek i mrugnął do Rethy.

- To twój najlepszy jabłecznik?

Jednym szybkim krokiem, zadziwiającym u tak dużego mężczyzny, Jacob znalazł się obok kapitana.

Retha zacisnęła dłoń na pogrzebacz. Nie zaczynaj z nim, Jacobie, miała ochotę przestrzec męża.

Przecież wie, że żołnierze w domu są niebezpieczni.

Ja wiem o tym aż nadto dobrze, zdała sobie sprawę.

Wiem o nich wszystko! I wiem, że nic nie może ich powstrzymać. Zdarzenie, dzięki któremu posiadała tę wiedzę, zaczęło się tak jak teraz. Przytrafiło się jej ojcu, jej matce i jej samej, kiedy była dzieckiem. Wrócili do domu w ciche, letnie popołudnie i zastali w nim żołnierzy.

- To nasz najlepszy jabłecznik - powiedział Jacob, nachylając się nad kapitanem. - Podobnie jak ten stół i kubek.

Scaife prowokacyjnym gestem zadrapał gładką, wypastowaną podłogę.

- Podłoga także! - ryknął Jacob.

Kapitan przełknął ślinę i pokazał w uśmiechu długie, żółte zęby.

- Nie powstrzymasz mnie, Blum. Mam do tego prawo. Armia płaci za zakwaterowanie mnie tam, gdzie jestem potrzebny. Płaci za wyżywienie i poniesione szkody.

- Nie będzie szkód, obejdzie się bez płacenia.

- Papo?

Jacob się odwrócił. Retha bez namysłu ukryła pasierbicę w fałdach spódnicy i groźnie nastawiła pogrzebacz, choć nie zapewniał wystarczającej ochrony.

Anna Johanna, tuląc do siebie lalkę, pozwoliła się dotknąć.

- Kto to jest? - spytała.

- Żołnierz, kluseczko... - zaczęła Retha.

- Nie wiedziałem, że masz taką ładną małą córeczkę, Blum.

- Wyprowadź ją stąd - polecił Jacob.

Retha ruszyła ku drzwiom, ale nie dość szybko. Scaife nachylił się w fotelu, przybliżając do Anny Johanny miłym gestem uczciwego człowieka. W jego wykonaniu było to wstrętne.

- Jak masz na imię, kochanie? - zamruczał.

Jacob chwycił go za gardło i uniósł z fotela.



Ludzie Scaife'a poniewczasie rzucili się na pomoc. Udało im się sterroryzować Rethę, więc sądzili, że równie łatwo poradzą sobie z jej mężem.

Retha szybko wciągnęła Annę Johannę do kuchni, a Jacob popchnął Scaife'a na jego podwładnych.

- Zabierzcie go - warknął do zdumionych żołnierzy. - Nie mamy dla was nic do jedzenia. Chyba że macie ochotę na zimną mamałygę. Zjedzcie kolację w tawernie.

W kuchni Retha posadziła pasierbicę obok pieca, aby mogła się bawić w przygotowywanie kolacji w swoich miniaturowych naczynkach. Następnie wsparła się o ścianę i przytknęła głowę do półki, aby pozbierać rozproszone myśli. Anna Johanna nie okazała ani odrobiny strachu. Pozwoliła się dotknąć i szybko wyprowadzić. Najwyraźniej gwałtowność postępowania Rethy przełamała obsesję dziewczynki.

I nagle wspomnienie przeszło ją jak błyskawica. Znowu była małą dziewczynką. Ich niewielki domek stał w głębi lasu. Było w nim pełno brudnych i cuchnących żołnierzy. Ojciec bronił jej. Matka zaślaniała własnym ciałem.

Ale nic jej nie zdołało ochronić.

Retha zachwiała się, pomieszczenie wokół niej zawirowało. Przygryzła wewnątrz policzka. Nie zemdleję. Nie ucieknę. Poczują krew na języku. Miała metaliczny posmak.

Dobrze znany.

Nie teraz. Nie tutaj.

Poprzez zasłonę wspomnień dotarło do niej dudnienie butów na podłodze. Żołnierze wychodzili.

- Mamo Retho? - odezwała się Anna Johanna, zdziwiona, że Retha stoi oparta o półkę.

- Wszystko w porządku, kluseczko. Papa zaraz wróci.

- Będę tu spał - usłyszała głos Scaife'a. - Nie możesz nam zabronić, Blum.

- Możecie sobie pościelić na podłodze w salonie. Wieczorem. Po mszy, kiedy dzieci będą głęboko uspięne - stanowczo odpowiedział Jacob.

A potem wyszli i Jacob znalazł się u jej boku. Głaskał ją

po ramieniu i przemawiał głosem wciąż jeszcze gniewnym, lecz zatroskanym.

- Nic ci nie jest?

Opowiedziała mu o swojej chwili słabości, po angielsku, aby nie denerwować dziecka.

- Papo? - niespokojnie odezwała się Anna Johanna.

- Wszystko będzie dobrze, kluseczko. - Zdjął z półki garnuszek i wyspał do niego kilka bezcennych ziarenek kawy. - Masz. Chcesz się pobawić?

Anna Johanna uśmiechnęła się. Liczenie ziarenek było niezwykłym zajęciem. Kiedy dziewczynka usiadła, by się bawić, Jacob wyprowadził Rethę do salonu.

Tam dała upust swojej złości.

- Co chcesz udowodnić, Jacobie Blum? To bardzo niebezpieczne. A co gorsza, upokarzające.

- Annie Johannie nic nie grozi, prawda? - Jacob przechadzał się po pozostawionym w nieładzie pokoju, kopiąc poduszki, które porozrzucali żołnierze.

- Jakim kosztem? Już wychodziłam z salonu. Scaife przyszedł tu z doświadczonymi zabijakami...

- Myślisz, że nie broniłbym córki? - Rzucił poduszki do kąta, aby mu nie przeszkadzały. By ich nie oglądać.

- Dobrze wiem, że byś jej bronił. Jeden przeciwko trzem... i zginąłbyś. Scaife nie marzy o niczym innym, tylko żeby cię zabić. A potem resztę rodziny. Wyzionęlibyśmy ducha, skrwawieni, bez czucia...

Krew na ścianach. Krew na pościeli.

Chwyciły ją mdłości. Zakryła dłonią usta, drugą złapała się za brzuch.

Gniew Jacoba zamienił się w niepokój.

- *Hebe Gott*, Retho. Co ci ten człowiek zrobił, zanim wróciłem? Jesteś chora? Wyrządzili ci krzywdę?

- Nic mi nie zrobił. Nic mi nie jest.

W oczach Jacoba pojawił się wyraz powątpiewania. Obmacał palcami jej twarz, jakby szukając obrażeń. Odepchnęła je. Jacob musi zrozumieć, że jest silna.

- Twój ton przeczy temu. Co z moją córką?
- Musimy być silni ze względu na nią - udało jej się wykrztusić.

Jacob przesunął dłonie Rethy z twarzy na jej pierś.

- *Liebling*, nic ci nie zrobili? Powiedz mi prawdę.
- Nic mi nie jest - odrzekła ochryple. Musi być zdrowa. Silna. Dla całej rodziny.
- Możemy zabrać chłopców do domu braci, dla bezpieczeństwa. A Annę Johannę do niezamężnych sióstr... - dodała, starając się mówić rzeczowo.

- Nie możemy. Obydwa domy są pełne. Wdowy, starcy, wszyscy ci, którzy nie mogą się wspinać na piętro. Zostaniemy na górze. My w pokoju Anny Johanny, a ona u chłopców.

To ma sens, pomyślała Retha. Położony przy schodach pokój Anny Johanny łączył się z sypialnią chłopców. Na tę noc w pokoju położonym w głębi schronią się dzieci, a ja i Jacob będziemy na straży w pierwszym pokoju. Tak będzie bezpiecznie. Scaife jest podły, ale nie ośmieli się ich skrzywdzić. Nie wtedy, gdy w mieście stacjonuje cały pułk przybyłego z Wirginii wojska amerykańskiego, które zachowuje się bez zarzutu.

Jacob niespokojnie wyjrzał przez okno, a potem otworzył kuchenne drzwi.

- Na pewno jest już po lekcjach. Pójdę po chłopców.

Mimo że siła Jacoba gwarantowała jej bezpieczeństwo, Retha uczuła ulgę, gdy mąż wyszedł z domu. Może na zewnątrz ochłonie z gniewu. Przygotowała ich skromną kolację i uznała, że wykorzysta wolną chwilę na wykapanie Anny Johanny. Z szybkiego mycia gąbką uczyniła zabawę przy akompaniamencie starej angielskiej kołysanki. Miała nadzieję, że nieznana piosenka zainteresuje Annę Johannę. I udało się. Kołysanka ukołysała nawet Rethę. Kiedy chłopcy wrócili do domu, czerwone błoto Karoliny, którym wymazana była dziewczynka, zostało spłukane i zabarwiło wodę w wiadrze.

- Robiłaś babki z błota, Anno Ślamaz... - powitał ją Nicholas, lecz Jacob napomniał go kląpssem - Anno Jo?

Surowość ojca nie pohamowała Nicholasa. Z płonącymi

oczyna krytykował podłych Anglików za pobicie brata Bonnera, wychwalał bohaterski pułk, który nadszedł z Wirginii, by zagwarantować kłeskę Cornwallisa, i cieszył się, że prawdziwi milicjanci zajęli ich dom i powrócą, by w nim przenocować.

W końcu Jacob stracił cierpliwość.

- Nie życzę sobie, by w moim domu rozmawiano na temat żołnierzy.

- Sam zostałbym żołnierzem, gdybym tylko mógł! - wybuchnął Nicholas.

- Ale nie możesz. Jesteś tylko chłopcem - odparował Jacob surowo.

Retha uniosła głowę, przejęta. Jej mąż właśnie zaprzepścił efekty wielomiesięcznej pracy wychowawczej nad synem.

Nicholas Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale nie znalazł stosownych słów. Łzy gniewu napełniły oczy chłopca, który chciał być mężczyzną. Zaciśnął wargi i w milczeniu, gniewnym ruchem, otarł oczy. Jacob może i ma rację, ale przegrał tę bitwę.

Matthias wślizgnął się do salonu. Kiedy Retha zadrżała tam, by zawałać go na kolację, zastała go siedzącego na fotelu, czytającego z przejęciem Biblię. Przygotowany naprędce posiłek nie pobudził jego apetytu. Powrócił dawny Matthias, dłubiący jedzenie na talerzu.

Na *Singstunde* przybył do *Saal* cały pułk z Wirginii. Pokazał się nawet młodociany Calloway, lecz tylko po to, by wyjść, zanim rozpoczęły się śpiewy. Retha nie doznała pociechy na widok zdyscyplinowanych, a nawet rozmodlonych gości. Nikt nie potrzebuje modlitwy bardziej niż żołnierze, mówiła sobie. Ale ich spokojne zachowanie nie było w stanie naprawić postępowania Scaife'a w jej domu.

Scaife nie przyszedł na mszę. Nie należał do tych, którzy się modlą. Retha wracała do domu z niepokojem. Oczekiwała nadejścia Scaife'a. Jacob zapędził dzieci do łóżek. Retha szybko zbiegła do sypialni, by zwinąć materac z łusek kukuzydzy. Ona i Jacob mieli na nim spać w pokoju Anny Johanny.

Za dnia Jacob składał ich umieszczone na zawiasach łóżko, aby zajmowało mniej miejsca. Obsługa tego ciężkiego urzą-

dzenia była trudna dla kobiety. Retha wsparła dłonie na biodrach i przyglądała się skomplikowanemu sprzętowi. Jeżeli uda się jej wyciągnąć materac zza łóżka, nie będzie musiała go rozkładać i składać. Pociągnęła za materac, ale bez skutku. Szarpiąc za lniane pokrycie, mogła je podrzeć. Odłożyła łóżko i spróbowała znowu.

Na nic. Zaklinował się. Przywiązany linami, domyśliła się, zirytowana. Od góry nie mogła dosięgnąć do taśm. I nie potrafiła z powrotem złożyć łóżka.

Wpełzła pod łóżko. Wychudzony Matthias lepiej by się nadawał do tej pracy, pomyślała, wciskając się głębiej. Macała palcami szorstki spód łóżka, wyczuwając węzły, przymocowujące materac. Jeden już rozwiązany. Drugi, wreszcie trzeci.

Retha nie lubiła ciasnych ciemnych pomieszczeń.

Musi być jeszcze jeden węzeł. Łojowa lampka dawała mało światła. Retha macała palcami w ciemności.

I natrafiła na pajęczynę.

Powstrzymując okrzyk przerażenia, wyczołgała się tyłem spod łóżka. Z powrotem do słabo oświetlonego pokoju, obcierając sobie kolano i wbijając w dłoń drzazgę. Pajęczyny. Zadrzała. Podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękami, i zaczęła się kołysać.

Pajęczyny pod łóżkiem. Lepkie, klejące się pajęczyny z włochatymi pajakami. Wypełzła ze swej kryjówki, przerażona nieposłuszeństwem wobec matki, ale i tak jej nie słuchając. Lepkie pajęczyny przylgnęły do jej palców i do rzęs. Wstrząsa nią nieopanowane dygotanie. Tylko matka potrafi ją uspokoić.

Rozgląda się po domu. Chudy mężczyzna patrzy na nią.

Ściany i pościel Zbryzgane krwią.

Matka i ojciec siedzą pod ścianą. Śpią. Ich ubrania są splamione krwią.

- Proszę, proszę. Czekałem na ciebie - mówi chudy mężczyzna. Jego włosy mają barwę czerwonej gliny, jaką jej ojciec orze pługiem na polach. - To ty pewnie jesteś Elisabeth.

- Tak - odpowiada grzecznie, mrugając oczami w świetle. Była pod łóżkiem tak długo, aż zdrętwiały jej nogi, zatykając

rękami uszy, aby nie słyszeć brutalnych okrzyków, odgłosu ciosów, przerażających wrzasków. I ostatnich słów matki: „Schowaj się, Lilibet. Nie pozwól, by cię tknęli”.

- Elisabeth - mruczy, przyciągając ją ku sobie kościstymi palcami. Przerazona, wrzeszczy, kopie i drapie, dopóki jej nie wypuści. I nurkuje z powrotem pod łóżko, do jaskini pająków, gdzie nie mogą jej schwytać łapska mężczyzny.

Ułożywszy dzieci do snu, Jacob odnalazł Rethę w sypialni, klęczącą i kołyszącą się naprzeciw małej łojowej lampki, jakby to był jakiś ołtarz. Wszystkie jego modlitwy, cała cierpliwość, wszystkie starania i całe uwodzenie na nic.

- *Gott im Himmel, Liebling.* - Ukłęknał obok niej i przyciągnął Rethę do siebie. - Retho, lada chwila będą tu z powrotem.

Skierowała na jego twarz spojrzenie swych pustych, niewidzących oczu, które zaledwie kilka godzin temu lśniły pożądaniem.

- Jest przywiązany, Jacobie - powiedziała słabym głosem.

Jej uwaga wydała mu się pozbawiona sensu. Poczł pulśowanie w gardle.

- Co jest przywiązane?

Patrzył, jak Retha z trudem przełyka ślinę, a jej twarz przybiera nieco przytomniejszy wyraz. Na ten widok doznał przyływu nadziei.

- Materac jest przywiązany do sprężyn. Nie mogłam rozwiązać węzłów.

- Ach - powiedział, zadowolony, że Retha mówi tak rozsądnie. Ale zaraz ogarnęły go wątpliwości. Coś z nią jest nie w porządku. Ten nawrót zniweczył wszelkie postępy. Nie zostało ani śladu z jej dzikiej słodyczy przy wodospadzie.

Zmusił się do działania.

- Ja go Odwiążę. Popatrz. - Poprowadził ją w stronę łóżka i podniósł je. - Podeprzyj tutaj.

Przytrzymała łóżko, a Jacob sięgnął poprzez pajęczyny i rozwiązał dwa ostatnie węzły. Po czym wstał i otrzepał dłonie.

- Teraz nic go nie trzyma. - Czule pogłaskał ją po policzku. -

Miałaś dobry pomysł z tym materacem. Nie pomyślałem o nim. Teraz będzie nam wygodnie. Dobrze się wyśpimy.

Ale się nie wyspali.

Jacob w pojedynkę wciągnął materac na górę do pokoju Anny Johanny. Rozebrał się i położył przy żonie. Starał się usnąć, lecz nie mógł. Wciąż czekał na powrót Scaife'a i jego ludzi. Rozmyślał o nawrocie tajemniczej przypadłości Rethy. Co sprawiło ów nawrót?

Dotychczas dwukrotnie znalazła się w podobnym stanie: w czasie ich poślubnej nocy i owego wieczoru, gdy Scaife przywiózł ją od Voglerów. I w jednym, i w drugim przypadku doszło do tego w domu, razem z nim, w sypialni. Więc o jej lęki oskarżał siebie. Lecz tym razem nawet jej nie dotknął. Znajdował się w innym pomieszczeniu.

Usłyszał, że ludzie Scaife'a wtaczają się do domu. Mają prawo kwaterować pod moim dachem, napominał siebie, ścisnąc w dłoni kij, który przyniósł z dołu. Rozległ się łomot przewracanego krzesła i przekleństwo, a potem chłopięcy, pijacki śmiech. Po jakimś czasie na górę docierały tylko różnorakie pochrapywania.

Jacob przeturlał się na wznak, jedno jego ramię zwisało poza przyniesiony z dołu materac. Cichy, równomierny oddech żony nie rozproszył jego obaw. Jak może spać po czymś takim? Lecz Retha nigdy nie miała kłopotów z usypianiem.

On wciąż nie mógł zasnąć. Dzisiejszy dzień przyniósł zbyt wiele wrażeń. Ale nic nie równało się z jej nieoczekiwanym, niezrozumiałym... nie chciał tego nazwać obłędem. Co się z nią działo? Albo raczej co prowokowało jej... jak by to nazwać... stan? Strach? Za każdym razem była przerażona. Lecz czego się bała?

Przywołał się do porządku. Jest wszakże racjonalnie rozumującym, wykształconym człowiekiem, nawykłym do uporządkowanego myślenia. Ale tym razem nie miał nawet żadnych przesłanek, od których mógłby zacząć. Co wspólnego miały te epizody?

Wspólnym elementem nie jest moja obecność, pomyślał.

Zdawał sobie sprawę, że dwukrotnie spowodował je właśnie on. Lecz nie tego wieczoru. Tego wieczoru było inaczej.

Wieczoru. Za każdym razem było to wieczorem lub w nocy. Nocne lęki były często spotykaną przypadłością. Jedno z jego dzieci cierpiało z powodu koszmarów. Jednakże nie-normalne zachowanie Rethy należało do odmiennej kategorii, choć za każdym razem zdarzyło się po zapadnięciu ciemności.

I w sypialni. Nie gdziekolwiek indziej w domu, lecz właśnie w łóżku.

Gdy Retha obudziła się w nieznanym pomieszczeniu, było jeszcze ciemno, a ona już siedziała. I kołysała się. Znieruchomiła. Nie musiała już tego robić. Przypomniała sobie wszystko, co zdarzyło się w dniu śmierci jej rodziców. Sim Scaife ich zamordował.

Nic dziwnego, że Śpiewające Kamienie nauczyła ją jak, kołysząc się, wejść w trans, by odgonić prześladowające ją zmyły przeszłości. Nic dziwnego, że te wspomnienia tak ją dręczyły. Nic dziwnego, że łóżko Jacoba, oraz każde inne łóżko podobne do łóżka jej rodziców, cofało ją w czasie.

Z powrotem do splamionych krwią prześcieradeł.

Z powrotem do zbryzganych krwią ścian.

Z powrotem do wizji martwych ciał jej opartych o ścianę rodziców. Co uczynili z nimi żołnierze? Nigdy się nie dowiem, pomyślała. Nigdy, przenigdy.

Czuła, że leżący obok niej Jacob śpi niespokojnie. Jak bardzo musiało go zmartwić jej dziwne zachowanie. I to w chwili, gdy chciała mu sprawić przyjemność. Budzenie go jest ryzykowne, pomyślała, lecz w tej chwili nie dbała o to. Jutro, w dziennym świetle, będzie za późno. Musi mu powiedzieć teraz.

Potrząsnęła nim lekko.

- Jacobie - wyszeptwała. Wzruszyło ją, że tak szybko się obudził. Ten wielki niedźwiedź gotów był w każdej chwili bronić ogniska domowego i rodziny.



- Co się stało? - wymamrotał, opierając się na łokciu i pocierając twarz ogromną dłonią.

- Pamiętam - powiedziała przejęta. - Więcej, niż opowiedziałam ci przy wodospadzie.

- Opowiedz, co sobie przypomniałeś - poprosił, siadając i obejmując ją ramionami, jakby ją chciał ochronić przed całym światem.

Nie potrafił jednak jej ochronić przed przeszłością. Opowiedzenie wszystkiego po ciemku, zwłaszcza szeptem, aby nie zbudzić dzieci, nie przyszło jej łatwo.

Do domku rodziców przyszli żołnierze. Wybuchła kłótnia i matka ukryła ją pod łóżkiem. A potem rozległy się łomoty i straszliwe krzyki. Żołnierze ich zabili.

Po jakimś czasie, nie wiedziała, czy były to minuty, czy może godziny, skurcze w nogach zmusiły ją do wyjścia spod łóżka. W domu został jeden z żołnierzy. Retha nie ośmieliła się powiedzieć, że był to Sim Scaife. Młodszy wtedy i chudszy, z rudymi włosami, ale równie podły jak teraz. Jacob nigdy się o tym nie dowie.

- *Gott im Himmel*, czy cię skrzywdził? - zapytał Jacob ochrypłym głosem.

Pokręciła przecząco głową, ponieważ nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie mogła mu powiedzieć, kim był ten żołnierz. Jednakże gniewny pomruk Jacoba uświadomił jej, że ma w jego osobie obrońcę, jakiego nie miała nigdy dotąd.

- Możesz mi powiedzieć. - Delikatnie zwrócił jej twarz ku sobie. - Nie bój się.

Z oczu Rethy popłynęły gorące łzy upokorzenia, stoczyły się po jej policzkach i spadły na dłoń Jacoba.

- Skrzywdził cię? - powtórzył Jacob, głosem cichym i pełnym bólu. Retha była do głębi wzruszona. - Powiedz mi.

Nie. Tak. Nie wiem. Nie mogę ci powiedzieć, kto to był, pomyślała. Poruszała głową, przecząco, twierdząco, a wreszcie wydusiła z siebie kilka słów:

- Miał zamiar... chciał...

Jacob przyciągnął Rethę do siebie.

- Ach, *Liebling* - wyszeptał do jej ucha. - Chciałbym ci oszczędzić tych wspomnień, tego bólu.

- Nic mi nie zrobił. - Jej głos zabrzmiał ochryple, dziecinnie. Poczowała na plecach dużą ciepłą dłoń Jacoba. Gładził ją, pocieszał, zachęcał do dalszych zwierzeń. Lecz ona nie była w stanie powiedzieć mu nic więcej.

Coś przede mną ukrywa, pomyślał rozgniewany i zakłopotany. Z całego serca pragnął jej dopomóc. Wszystko, co wiedział na temat skrywanych w głębi serca sekretów, sprawiło, że za wszelką cenę chciał ją skłonić do wyznań. Wszystko. Lęk jego córki przed wodą. Niewyjaśniona awersja młodszego syna do jedzenia. Ukradkowe nocne spacerory Rethy. W każdym przypadku kryła się za tym jakaś okropna tajemnica.

Po raz kolejny usiłował odwołać się do swej mądrości, by pomóc żonie, którą wielokrotnie zawiódł.

- Wyjdźmy z domu, by nie obudzić dzieci - powiedział, wkładając ubranie. Lecz nie chodziło mu o niezmacony sen dzieci. Na dworze Retha czuła się taka wolna i swobodna. Może tam przemówi.

- Wyjść? Kiedy na dole są ci ludzie? - spytała z niepokojem, nie chcąc zostawić pasierbicy pod jednym dachem z okrutnym kapitanem.

- Wrócili do domu późno. Pijani. Śpią jak zabici. Ale na wszelki wypadek zarygluję drzwi do salonu.

Otoczył ramieniem talię żony i razem zeszli po schodach, zamknęli drzwi do salonu, unieszkodliwiając pochrapujących żołnierzy, a potem przecięli małe podwórko.

Nie przestając jej obejmować, posadził Rethę na ławce, na której kiedyś łuskała fasolę.

- *Danke Gott*, że cię nie skrzywdził. Ale musiałaś być przerażona. Czy możesz mi opowiedzieć, co zaszło?

Gdy wreszcie przemówiła, uczyniła to szeptem zawstydzonego dziecka:

- Nie mogłam pomóc moim rodzicom. Nie mogłam go powstrzymać.

Na myśl o okropieństwach, które przeżyła, i o nieracjonalnym

poczuciu winy, które ją gnębiło, postanowił ją przekonać, że nie uczyniła nic złego.

- Byłaś tylko dzieckiem, *Liebling*. I ukrywałaś się pod łóżkiem, tak jak słusznie nakazała ci matka.

- Ale ona tak strasznie krzyczała.

- I co stało się później? - zachęcał ją, obawiając się prawdy, lecz zdecydowany ją poznać.

- Od dawna panowała cisza, a mnie bardzo bolały nogi, więc wyszłam spod łóżka. Chociaż mama kazała mi tam pozostać. On wciąż był w domu.

Jacob poczuł, że ściska mu się żołądek. Podejrzewał najgorsze.

- Opowiedz mi, Retho. Zaufaj mi - dopominał się. Ile lat wtedy miała? Pewnie była w wieku Anny Johanny, pomyślał, bo ton, jakim opowiadała o tych zdarzeniach, przypominał głos jego córki.

- Prześcieradła były czerwone. Ściany. Od krwi. I zobaczyłam rodziców, opartych o ścianę. Myślałam, że śpią. - Zadrzała i zamknęła oczy. - Nie wiedziałam. Byłam wtedy bardzo mała.

- *Jesus*, co on ci zrobił? - zapytał Jacob pełen współczucia i gniewu.

Oparła głowę na jego ramieniu i wymamrotała coś tak cicho, że jej nie dosłyszał. Poprosił, by powtórzyła.

- Powiedział: „Pomogę ci”. Ale miał krew na rękach. Jakby zarznął świnię. I wtedy zrozumiałam.

- Że chciał także zabić ciebie... - odpowiedział jej Jacob, wiedząc w głębi duszy, że mężczyzna chciał jeszcze czegoś.

Ku jego zaskoczeniu Retha uniosła głowę i uśmiechnęła się lekko.

- Właśnie. Chwycił mnie, ale się wyrывałam... jeszcze bardziej niż Anna Johanna, kiedy się broni przed kąpielą. Choć może nie aż tak, jak wtedy, gdy wyrывałam się tobie, na placu. - Ukryła twarz na piersi Jacoba. - Myślałam wtedy, że ty także chcesz mnie zabić.

- Och, *Liebling*. *Main Gott*. - Oparł policzek na czubku głowy Rethy, wyrzucając sobie, że dodał bólu do jej nieszczęs-

cia. - Nie miałem pojęcia. Nie chciałem cię skrzywdzić. Muszę ci wyznać, że choć zwyciężyłem w tej samotności, miałem sine gołenie i sińce nie schodziły z nich przez wiele tygodni.

- Ugryzłam go - powiedziała tonem pełnym zachwytu.

Przygarnął ją mocniej, ciesząc się z tej iskiarki poczucia humoru. Kimkolwiek był ów żołnierz, Retha umknęła przed jego najniższymi zamiarami. Tego był pewien. Bo wstąpiła w związek małżeński zdrowa na ciele.

Musiała ponieść ogromne szkody, skoro ukryła je tak głęboko i na tak wiele lat. Pomyślał o tym, jak wielki wpływ na dzieci i na niego miała naturalna śmierć Christiny. Trudno mu było sobie wyobrazić cierpienia Rethy po utracie wszystkiego, co kochała i co było jej bliskie.

- Byłaś bardzo dzielna, *Liebling*.

- Przytul mnie, Jacobie - powiedziała.

Przez chwilę równie słodką, jak ta, kiedy Retha poddała się jego namiętności, tulił ją do serca.

Dokąd idą wszyscy żołnierze, papo? - spytała Anna Johanna z niepokojem, wyglądając następnego popołudnia przez okno salonu.

- Na południe, pulpeciku... - odparł Jacob w roztargnieniu, zajęty projektowaniem ławki dla szewca.

- Co to jest południe? - spytała obrażona córeczka, że tak ją zbył byle czym, i pociągnęła ojca za rękaw.

- Południe jest daleko stąd. - Wskazał piórem w kierunku wnętrza domu. Południe jest tam, gdzie amerykańskie oddziały gromadziły się pod wodzą Nathaniela Greena, uciekając przed Brytyjczykami. Południe jest tam, gdzie Cornwallis miał nadzieję dopaść Amerykanów i zakończyć tę wojnę.

- Nicholas mówi, że to będzie straszliwa bitwa.

Jacob zacisnął szczęki i uniosł głowę znad pracy. Ten niedoszły żołnierz straszy swoją małą siostrzyczkę, że odbędzie się bitwa. Ma drań szczęście, że jest teraz w szkole.

Rankiem, kiedy wojsko szykowało się do drogi, Jacob odpro-

wadził chłopców do brata Schoppa. Następnie przyprowadził ich do domu na lunch, a potem znów do szkoły. Resztę dnia spędził w domu, aby zapewnić bezpieczeństwo Annie Johannie i żonie. Sim Scaife wyniósł się z domu dopiero wczesnym popołudniem.

Jacob posadził sobie Annę Johannę na kolanach.

- Ale my nie boimy się, że jakaś bitwa odbędzie się tutaj, prawda?

Spojrzała mu w oczy badawczym wzrokiem.

- Nieee... - powiedziała niepewnie. A potem poweselała. - Bo Matthias powiedział, że będzie się modlił i... - Pulchną rączką zakryła sobie buzię.

- Modlił i co jeszcze, klusieczko? - spytał Jacob podejrzliwie.

- Modlił i... modlił bardzo mocno.

Uśmiechnęła się z przymusem. Jej pełna sprytu nieszczerłość zaniepokoiła Jacoba. Modlił... i co? Matthias zawsze był pobożny, ale o co się modlił? I co jeszcze zamierzał?

Jacob pozostawił swoje plany na stole kreślarskim i posadził Annę Johannę na podłodze, by się bawiła lalką.

- Może poprosimy Gertrudę, aby pomogła zrobić kolację?

- Mama Retha już wszystko zrobiła - odparła Anna Johanna.

I rzeczywiście. Retha przez cały dzień zajmowała się domem. Rano zastał ją w sypialni, jak z czystą bielizną pościelową na kolanach wpatrywała się w przestrzeń. Obawiając się nowego nawrotu, pomógł jej zdjąć brudną pościel, a potem leciutko ucałował. Zareagowała lekkim pocałunkiem, rozmarzona, jakby nieobecna duchem.

- W takim razie pobawimy się w arkę - powiedział, grzebiąc w drewnianej skrzyni z zabawkami, szukając modelu arki Noego. Kilkadziesiąt par maleńkich zwierzątek stanowiło istną plagę dla pragnących utrzymać porządek rodziców.

Postanowili, że ustawiają je od największych do najmniejszych, a potem od najmniejszych do największych. A potem Anna Johanna wpadła na pomysł, by oddzielić te, które latają, od tych, które pływają, i od tych, które chodzą po trawie.

Jacob uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To może być interesujące.

Wkrótce zgromadzili kaczki i kurczęta, ryby uczyły się w szkole w wymyślonym stawie, a krowy, jelenie i osły pasły się na dywaniku, czekając na swoją kolej, by wejść po trapię na arkę.

- Oj! To nie jest w porządku - zachichotała Anna Johanna, łapiąc się za głowę gestem tak podobnym do ruchu Rethy, że Jacob poczuł ciepło w sercu. Takie naśladownictwo było najlepszą oznaką tego, że dziewczynka zaakceptowała nową matkę.

- Co nie jest w porządku, kluseczko?

- Ryby pływają, ale kaczki też. Więc... więc, czy kaczki mają być z kurczętami, czy z rybami?

Jacob pokręcił głową.

- Kaczka to nie ryba.

Anna Johanna otworzyła ze zdumieniem oczy.

- Skąd ty to wiesz?

Przez chwilę nie bardzo wiedział, co jej odpowiedzieć.

- No cóż, widziałas kiedy rybę z piórami?

- Głupi pomysł.

Jacob roześmiał się i wrócili do zabawy. Zwierzęta z piórami, kopytami i łapami szybko ustawiły się w kolejce do trapiu, podczas gdy te z łuskami pływały w wymyślonej sadzawce.

Jacob przeciągnął się zadowolony przynajmniej z jednego dziecka. I wtedy rozległo się ciche stukanie do drzwi.

Jacob sprawdził, czy kij stoi na miejscu, i otworzył, mając nadzieję, że to Samuel Ernst przyszedł powiedzieć, że w mieście panuje spokój.

Na ulicy stał Philip Schopp z Matthiasem, trzymając dłoń na ramieniu chłopca.

- Bracie Blum - zaczął, lecz musiał odchrząknąć. - Bracie... Jacobie. Twój syn... twój drugi syn, Nicholas... - Na jego górnej wardze ukazały się kropelki potu. - Nicholas zniknął.

# 17

Zniknął! Co to znaczy, zniknął? - ryk Jacoba odbił się echem od belek nisko sklepionego sufitu kuchni. Wiszące wzdłuż ściany suszone zioła zadygotały. Retha, z bijącym sercem, wrzuciła do miski nie wyłuskaną fasolę i popędziła do męża.

- Jak mogłeś spuścić z oka któregoś z chłopców?! - wykrzyknął Jacob. - A zwłaszcza tego. W mieście jest ze stu osiemdziesięciu żołnierzy.

Nieszczęsny Philip Schopp obracał w dłoniach kapelusz.

- Mogę... możemy wejść do środka?

Jacob pochylił głowę i ustąpił im z drogi, z trudem opanowując gniew.

Nauczyciel wszedł przez wąską sień do salonu. Matthias, ze łzami w oczach, pobiegł do Rethy. Wzruszona jego ufnością, przytuliła go do swego boku. Anna Johanna, najwyraźniej przerażona wybuchem ojca, także przypadła do Rethy.

- Dlaczego mówisz, że zniknął, bracie Schopp? - zapytał Jacob.

Nieżonaty brat Schopp zerknął niepewnie na Rethę.

- Nicholas, hm... spytał, czy może wyjść z klasy, i, jak sądzę, nie wrócił.

- Jak sądzisz? - powtórzył ostro Jacob. - Dotychczas nie spuszczałeś z oka swoich najbardziej kłopotliwych uczniów, bracie Schopp.

Schopp miał kapelusz w chudych dłoniach.

- Wykładałem. Historię.

Jacob rzucił mu miążdzące spojrzenie, chwycił surdut i poszedł do drzwi.

Schopp wyciągnął ku niemu kościstą rękę.

- Mogę spytać, dokąd się wybierasz, bracie Jacobie? - zapytał, przytrzymując go za rękaw.

- Szukać mego syna - gniewnie warknął Jacob.

- Szukaliśmy. Ja i chłopcy, sprawdziliśmy wszystkie zakątki w moim domu, przeszukaliśmy dom braci, a potem stodołę. Pytałem w tawernie.

- W takim razie przeszukam młyn - wybuchnął Jacob, - Garbarnię. Cmentarz.

Retha nie mogła tego słuchać. Miała okropne przeczucie, dokąd poszedł Nicholas. Zostawiła dzieci i podeszła do męża.

- Jacobie, czy to możliwe... - Wypowiedzenie myśli, która tak ją dręczyła, przychodziło jej z największym trudem. Tym bardziej że spodziewała się, jak Jacob to przyjmie. - Zeszłego wieczoru powiedział, że chce dołączyć do żołnierzy.

Pułk z Wirginii opuścił Salem. Poraziła ich niewypowiedziana myśl.

Złość Jacoba opadła.

- Poszedł na południe - powiedział beznamiętnie.

- Możliwe. Może jeszcze nie odszedł daleko - powiedziała Retha.

- Jeśli mogę się wtrącić - przerwał im Schopp z nieszczerą nieśmiałością. - Jego zachwyty wzbudzili milicjanci, którzy kwaterowali w waszym domu.

Jacob roztarł sobie kark.

- Sim Scaife. To także możliwe. Późno wyszedł z naszego domu. Ale kto będzie wiedział, dokąd poszedł mój syn?

- Z żalem odpowiem, że nie mam pojęcia - odparł Schopp. - Ale gdy podniesiemy tę sprawę na dzisiejszej *Singstunde*, ktoś może nam odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie będziemy czekali do tego czasu!

Retha odważyła się położyć współczującą dłoń na ramieniu męża.



- Nie możesz wyruszyć na poszukiwanie, nie wiedząc, dokąd poszedł.

Ostrożnie, jakby obawiał się rozjuszonego niedźwiedzia, Schopp dodał:

- Ona ma rację. Musimy zebrać informacje.

- My? - zapytał Jacob, unosząc brwi. - To mój syn.

- Ale mój uczeń i zniknął spod mojej opieki - jęknął Schopp. - Przecheszę miasto, może ktoś go widział.

W tej sytuacji pomysł Schoppa wydał się Recie rozsądny. Nauczyciel wyszedł, lecz jego obietnica pomocy nie uspokoiła jej. Nicholasowi groziło niebezpieczeństwo i Jacob był gotów wyrzucić świat do góry nogami, narażając przy tym własne życie. Jakie to dziwne, pomyślała. Nie wymieniłam z Nicholasem ani jednego życzliwego słowa, a oto drzę z niepokoju, że mogłabym go stracić, zupełnie jak kochająca matka.

Przeszli do salonu i Jacob zwrócił się do młodszego syna.

- Co wiesz o tej sprawie?

Matthias wzruszył ramieniem.

Jacob walnął pięścią w ścianę.

- Czekam na odpowiedź, synu. Nie na wzruszenie ramionami. Powiedz mi, gdzie jest twój brat.

Matthias się obruszył.

- Nie wiem, ojcze.

- Czy wiesz, z kim odszedł?

- Nie, ojcze - odparł Matthias zdecydowanym tonem. Ale podejrzanym, pomyślał Jacob. - To znaczy... - dodał pod wpływem wrodzonej prawdomówności.

- Czekam na coś więcej.

- Myślę, że odszedł z żołnierzami.

Jacob znów poczuł przypływ wściekłości. Był tak rozgniewany, że chętnie podniósłby chłopca nad podłogę i wytrząsnął z niego całą prawdę. Tylko że tym sposobem niewiele by osiągnął. Nie mógł Matthiasa zmusić nawet do jedzenia.

- Nie musisz mi mówić, że odszedł z żołnierzami, Matthiasie. Domyśliliśmy się tego sami. Chcę się dowiedzieć z którymi.

- Powiedział, że to tajemnica, ojcze.

- Wiedziałeś? Odkąd?  
- Od lekcji łaciny. Dzisiaj mieliśmy łacinę zaraz po lunchu.  
- Powiedział ci, że odchodzi... miał plan... ale nie chciał ci powiedzieć z kim?

- Nie chciał mnie... wymieszać...  
- Nie chciał ciebie w to wmieszać - machinalnie poprawił go Jacob i zaczął spacerować po pokoju. - Jesteś w to wmieszany, synu. Posłuchaj, jestem na niego zły. A na ciebie jeszcze bardziej. Wiedziałeś, co zamierza, wiedziałeś, że chce postąpić źle, ale pozwoliłeś, by uciekł. Jestem zaskoczony, że nie próbował cię namówić, żebyś poszedł razem z nim.

- Nie chciał, żebym z nim poszedł. Miałem zostać, żeby... - wymknęło mu się nielojalnie, lecz szybko zamilkł.

- Zostać, żeby co? Powiedz mi, synu.

Matthias cofnął się w stronę Rethy, a ona otoczyła go ramionami. Jacob zacisnął szczękę.

- Żeby się modlić, ojczu.

- Modlić się?

Szorstki, arogancki Nicholas nigdy się nie przejmował konsekwencjami swoich wyczynów. I nagle pojał. Nicholas poprosił brata, by się modlił, bo planował ucieczkę. Młodszy brat miał powód, by zostać w domu i pomóc mu w ucieczce.

Jacob uszczypnął chude ramię Matthiasa.

- Chciał, żebyś się modlił za niego, kiedy będzie uczestniczył w bitwie.

- Nie za niego, papo - odparł Matthias z dumą. - Za zwycięstwo.

- *Gut Gott im Rimmel!* - zawołał Jacob. - Mój syn zmierza ku samozniszczeniu.

Retha zdjęła rękę Jacoba z ramienia Matthiasa.

- Nie mogą go wziąć do wojska. Nicholas jest za młody.

Jej poczyniona w dobrej wierze uwaga chybiła celu. Nicholas wyglądał na siedemnaście lat, a zaciągali się nawet czternastolatki. Jako pomocnicy. I żołnierze frontowi.

- Owszem, mogą go wziąć - ponuro odparł Jacob. - I chętnie to uczynią.

Nie mam żadnych nowych wieści - oświadczył brat Schopp, spotkawszy Rethę i Jacoba koło *Saal* przed *Singstunde*. Kilku chłopców cieszyło się z powodu eskapady Nicholasa, ale tylko Matthias został jego powiernikiem.

Retha pozostawiła Jacoba, by wypytywał członków gminy, a sama wprowadziła dzieci do środka, by znaleźć miejsce na ławce.

Po kilku minutach Jacob ciężko usiadł obok żony.

- Bez powodzenia- powiedział, nadal rozgniewany, ale z nową nutką niepokoju w głosie.

Położyła dłoń na jego ręce, zdając sobie sprawę, że w tej sytuacji nie jest to wielka pociecha.

Chór kończył ostatni chorał, gdy Retha zorientowała się, że jakiś duży, stojący za nią człowiek szepcze coś do Jacoba.

Kiedy muzyka umilkła, Jacob przedstawił jej swego kuzyna Andreasa. Miał on znacznie ciemniejszą karnację niż Jacob, ale był równie wysoki i mocno zbudowany. I w tej chwili ponury.

- Nowym rekrutem był Nicholas, nie mam co do tego wątpliwości, ale widziałem go tylko przelotnie.

- Nie pozwolili ci z nim porozmawiać? - spytał Jacob. Retha poznała po jego tonie, że jest zrozpaczony. Teraz, kiedy Nicholasowi grozi niebezpieczeństwo, pomyślała ze ściśniętym sercem, Jacob z pewnością dosiądzie konia i pogalopuje mu na pomoc.

- To właśnie było najciekawsze - odparł Andreas. - Nie chcieli powiedzieć, jak się nazywa. Tylko tyle, że się zaciągnął.

Zapadła noc. Retha patrzyła, jak jej mąż odjeżdża na południe wraz z Andreasem. Jacob dosiadł małej szkapy, stanowiącej własność oberżysty, Andreas wielkiego konia pociągowego. Andreas żartował, że tym razem żaden z nich nie ma ochoty na pieszą wędrowkę.

Kilku niezonatych i paru żonatych braci upierało się, by dotrzymać im towarzystwa, odgrządzając się, że odbiją Nicholasa z pomocą kijów i zardzewiałych muszkietów. Lecz Jacob przemówił im do rozsądku, przypominając, że jest jedynym członkiem gminy, nawiążył do kontaktów z obydwoma

armiami. Zażądał jedynie zaświadczenia, że opłacił trzykrotny podatek oraz świadectwa urodzenia Nicholasa. Frederic Marshall szybko przygotował obydwa dokumenty.

- Pilnuj dzieci - błagał Jacob Rethę, wsuwając papiery za pazuchę surduta. A następnie ucałował ją tak gorąco, że poczuła dreszcz. - Wkrótce będę z powrotem. To znaczy, my będziemy. Mój syn i ja. Trzymaj się dzielnie, *Liebling*. Kocham cię - powiedział ochryple.

Ze względu na dzieci starała się ukryć radość. Nie byłoby dobrze, gdyby w tej trudnej sytuacji zaczęła wirować w indiańskim tańcu.

Ale mąż ją kochał. Kochał ją. Tak powiedział.

Gdy Retha weszła do pokoju Mathiasa, jak co wieczór, klęczał przed otwartą Biblią, opartą o jego wąską prycę. Głowę miał pochyloną, dłonie mocno złączone do modlitwy. Bezbłędnie odmówił dłuższą wersję modlitwy dla dzieci, po czym dodał prośbę o bezpieczeństwo ojca i brata. Retha oparła się o framugę i z uśmiechem czekała, aż Matthias skończy się modlić. Był takim dobrym, poważnym chłopczykiem.

- Obiecuję, że nigdy więcej nie zaprzestamę postu. Amen - zakończył.

Retha niedowierzająco zamrugała.

Post! Nagle zrozumiała. Przez cały ten czas chudy jak szczapa Matthias pościł. Jego zagadkowa, wyniszczająca choroba nagle się wyjaśniła. Kto by pomyślał? I skąd taki pomysł przyszedł mu do głowy? Bracia morawscy bardziej byli skłonni do biesiadowania niżli do poszczenia. Nie było nikogo, kto by mu dał przykład lub zachęcił do postu. Retha przyklekła obok chłopca, modląc się o właściwe słowa.

- Nie wiedzieliśmy, że pościsz, Matthiasie.

Rozejrzał się wokoło, skonfundowany.

- To była moja tajemnica.

- Twoja tajemnica?

- Moja i Boga.

- Ale dlaczego, synu? Mogłeś nam o tym powiedzieć.

- Nie mogłem - przerwał, mnąc powłoczki na kołdrze.

- Ojciec bardzo się o ciebie martwi.
- Robię to dla niego - odparł gniewnie.
- Pościsz ze względu na ojca?

Matthias zwiesił głowę.

Retha uznała to za potwierdzenie.

- Nie musisz dla niego pościć.
- Muszę - powiedział krótko.

Aby zyskać na czasie, Retha odłożyła Biblię na małą nocną szafkę, na której paliła się słaba lampka. Nie czuła się mocna w zachęcaniu dzieci do spowiedzi. Po dłuższej chwili, rzekła:

- Hm. Nie rozumiem, Matthiasie. Wyjaśnij mi to.

Matthias, z ciężkim westchnieniem, padł na łóżko.

- To i tak nie ma znaczenia. Chyba nie działa.
- Aha. A jak miało podziałać?
- Miało mnie oczyścić - mruknął, odwrócony do ściany. -

Tak powiedział brat Schopp.

Retha poczuła gwałtowną złość. Philip Schopp i tak nie cieszył się jej sympatią.

- Powiedział ci, żebyś pościł?
- Niezupełnie.
- W takim razie wytłumacz mi, co powiedział. - Nachyliła się, by go okryć, lecz zamiast tego wygładziła lekką letnią kołdrę. - Tak, żebyśmy zrozumiąta.

Pokręcił głową.

- Mówię poważnie, Matthiasie. Musimy o tym powiedzieć ojcu. A ja się muszę dowiedzieć, zanim ojciec wróci do domu.
- On nigdy nie wróci do domu.
- Oczywiście, że wróci. Zawsze wraca - odparła z pewnością, której nie czuła.

Spojrzał na nią miazdzącym wzrokiem.

- Moja matka nie wróciła.

Matka? Retha starała się pojąć logikę dziecka.

- To prawda - zgodziła się. - Twoja matka umarła w *Gemein Haus*, gdzie pielęgnowaliśmy wszystkie chore siostry w czasie epidemii. Ale twój ojciec nie zachorował na ospę, a ja nadal nie rozumiem, dlaczego pościsz.

Sięgnął po Biblię i otworzył ją na Księdze Mateusza. Na swojej księdze, pomyślała Retha. I wskazał jej rozdział i wers.

Następnie zacytował go z pamięci, bezbłędnie, podczas gdy ona odczytała go z Biblii. Jezus pościł na pustyni przez czterdzieści dni i powiedział szatanowi, że człowiek żyje nie samym chlebem.

- To nie wyjaśnia, dlaczego ty pościsz - powiedziała.

Jej typowa dla dorosłych głupota rozgniewała Matthiasa.

- Brat Schopp mówi, że Jezus pościł, by oczyścić swoją duszę z wszystkich swoich dawnych grzechów, zanim podjął się duszpasterstwa.

- Jakie popełniłeś grzechy, Matthiasie? - spytała łagodnie, zachowując dla siebie złość na nauczyciela. Nie była teologiem, lecz brat Schopp najwyraźniej wypaczył znaczenie tekstu Biblii.

Matthias zastanawiał się przez chwilę.

- Czasami nienawidzę mego brata. A nawet Anny Johanny, kiedy dostaje ataku. Gdybym nie był taki niedobry, Bóg nie zabrałby mojej matki.

- Bóg nie zabrał twojej matki dlatego, że byłeś niedobry, Matthiasie. To nie jest takie proste.

- Ale ja obiecałem Bogu, że się oczyszczę i że nigdy więcej nie zgrzeszę, jeżeli pozostawi mi ojca.

Do oczu Rethy napłynęły gorące łzy. Kiedyś uczyniła to samo, by wrócili do niej Śpiewające Kamienie i jej prawdziwi, słabo zapamiętani rodzice. Bez skutku. Jakież trudne zadanie wyznaczył sobie Matthias.

- Bóg nie chce, abyś dotrzymał tej obietnicy, Matthiasie. Nie pragnie, abyś się zagłodził na śmierć.

- Nawet jeśli grzeszę?

- Bóg wie, że czasami nie potrafimy powstrzymać się od grzechu.

Matthias z ociąganiem zamknął Biblię.

- Jesteś pewna?

- Równie pewna jak tego, że jutro wszędzie słońce.

- To co ja powinienem robić?

Retha przechyliła głowę i zastanawiała się przez chwilę.

- Rób to, co dotychczas. Bądź grzecznym chłopcem.

- I to wystarczy?
- Nie przestawaj się modlić. Możesz poprosić Boga, by pobłogosławił twego brata i ojca, aby bezpiecznie wrócili do domu.

Poważna twarz Matthiasa wypogodziła się, ukazując jej naturalną czystość.

- I naprawdę nie muszę już pościć?
- Nigdy.

Wynędniała twarz przybrała nowy, nieśmiały wyraz zuchwałstwa.

- Czy w takim razie mogę dostać kawałek ciasta, zanim pójdę spać?

Na drugi dzień po odjeździe męża Rethy powrócił Sim Scaife i postawił młodego Callowaya na posterunku przed jej drzwiami.

- Ty! - zdziwiła się Retha na jego widok, gdy wyszła z domu, by wraz z Anną Johanną odprowadzić Matthiasa do szkoły. - Co tutaj robisz?

Szeregowiec wzruszył ramionami.

- Kapitan przydzielił mi ten posterunek, proszę pani.
- Na jak długo? - I dlaczego? - zastanawiała się ponuro. Nieobecność Jacoba i jej powód zaprzętały całe miasto. Scaife także musiał o nich usłyszeć. Dlaczego tu wrócił? Dlaczego zostawił strażnika? Gorliwy milicjant z pewnością zaaprobował decyzję Nicholasa, by związać swój los z armią amerykańską, i nie był zadowolony, że Jacob wyruszył na jego poszukiwanie.

Calloway ponownie wzruszył ramionami.

- Jak długo będzie trzeba, psze pani.

Jego pełne szacunku zachowanie sprawiało, że Retha poczuła się starsza i pewniejsza, ale jego obecność osłabiała jej pewność siebie. Czy teraz, kiedy Scaife wie, że jej mąż odjechał, pozostawiając ją samą ze swymi młodszymi dziećmi, zdoła im zapewnić bezpieczeństwo?

Teraz już z moimi dziećmi, pomyślała dumnie, biorąc

Annę Johannę za rękę i ponaglając Matthiasa. Po zniknięciu Nicholasa ani na chwilę nie pozostawiała młodziej dwójki bez opieki.

Cały czas, z wyjątkiem wyjścia po Matthiasa, by go przyprowadzić na lunch, który pochłonał z apetytem, spędzała z Anną Johanną, wykończając jej sukienkę z jeleniej skóry.

Powinna zreperować wiecznie postrzępione ubrania chłopców, pomyślała. Albo zająć się ogrodem. Lecz wołała pracę nad indiańską sukienką.

Mimo obecności Callowaya Retha nie miała ochoty pójść z Anną Johanną i niezamężnymi siostrami do *Gemein Haus*. Wołała zostać z pasierbicą w domu. Pomyślała też, że Matthias będzie się czuł samotny wśród niezamężnych braci. Że będzie tam bezpieczny, ale pozbawiony opieki. Nie chciała zostawić go samego. Miała zamiar pilnować, ile chłopiec je.

Z zamyślenia wyrwały ją brutalne głosy. Uzbrojona w dużą igłę do szycia skóry, pośpieszyła do drzwi.

Sim Scaife spojrział na nią z udawanym przestraszaniem.

- Nie bardzo serdeczne powitanie, *Frau Blum*.

- Męża nie ma w domu - wyjaśniła, a potem ugryzła się w język. Po co się przyznawać, że czuje się niepewnie?

- W takim razie będzie więcej miejsca dla nas - powiedział, szczerząc zęby i wskazując na czterech towarzyszących mu mężczyzn.

- Wirgińczycy wyjechali. Na pewno jest miejsce w ta-wernie.

Pokręcił głową z udawanym współczuciem.

- Nowy oddział. Właśnie nas stamtąd wykopali. - Dotknął dłonią przepoconego kapelusza, jakby dobór mniej wulgarnych słów czynił z niego dżentelmena.

Jego udawana grzeczność nie zrobiła na Recie wrażenia. Serce waliło jej ze strachu. Mężczyźni wtargnęli do salonu i nie zdejmując broni, układali na ziemi poduszki.

Po chwili wyszli, ale Scaife wciąż się ociągał. Retha udawała, że nie zauważa jego obecności, i w skupieniu wykończyła sukienkę. Anna Johanna bawiła się swoją porcelanową lalką.



- Ładna dziewczynka - powiedział Scaife, wskazując na Annę Johannę.

Retha zacisnęła zęby. Igła nie stanowiła wystarczającej broni.

Nagle Scaife schwycił dziewczynkę i podniósł z podłogi. Zbyt zaskoczona, by dostać napadu, Anna Johanna zaczęła płakać

- Wciąż nie wiem, jak ci na imię, kochanie - powiedział, przybliżając twarz do buzi dziecka.

Retha błyskawicznie wyrwała mu pasierbicę z ramion i przytuliła do piersi.

- I nigdy się nie dowiesz — wysyczała, modląc się, by Anna Johanna się nie wygadała. - Nigdy, przenigdy nie dowiesz się, jak ma na imię.

Sim Scaife wcale się tym nie przejął.

- Ale znam twoje - powiedział, pokazując w uśmiechu zęby. Po czym niespiesznie wyszedł z domu.

Zna moje imię, pomyślała z przerażeniem Retha. I wciąż czatuje na małe dziewczynki.

Uznała, że w tej sytuacji jedynym wyjściem jest ucieczka.

Drżąc na całym ciele, spakowała węzełek. Jedzenie, krzesiwo, świece oraz dobry myśliwski nóż. Zrolowała pikowaną kołdrę z łóżka chłopców. Schronienie się w domu niezamężnych sióstr nie zapewni Annie Johannie bezpieczeństwa. Muszą odejść, lecz nie tak, jak to uczynił Nicholas. Muszą zniknąć niepostrzeżenie.

Zabierze dzieci do jaskini. W jej wspomnieniu z dzieciństwa schronienie przy wodospadzie było dobrą, bezpieczną kryjówką.

Anna Johanna skrzywiła się, gdy macocha zdjęła z niej koszulę, lecz Retha nie przejmowała się jej protestami i ubrała dziewczynkę w sukienkę ze skóry jelenia. Indiańska sukienka nie pasowała do solidnych, zapinanych na klamery trzewików, ale taki ubiór nadawał się do wędrówki po skałach, poprzez zarośla dzikiej róży i jeżyn.

- Spójrz na twoją sukienkę, pulpeciku. Jest gotowa - wyszeptła Retha, wygładzając sukienkę na dziewczynce. Leżała jak ulał, ale była odrobinę na wyrost.

Anna Johanna ocierała się o zamszowy spód sukienki i głaszała jej aksamitny wierzch.

- Taka... mięciutka.
- Można ją nosić, chodząc po lesie.

Na twarzy dziewczynki pojawił się ostrożny uśmiech.

Galloway wciąż sterczał przy drzwiach domu. Retha zabrała zawiniątko i zrolowaną kołdrę, wzięła za rękę Annę Johannę i podeszła do kuchennych drzwi.

Ale jak odnajdzie nas Jacob? - pomyślała nagle. Nie mogę mu zostawić liściku. Scaife i jego podwładni odnaleźliby go i wytropili nas. Musi być jakiś sposób pozostawienia wiadomości. Przemierzyła kuchnię, tak jak Jakob, gdy był zdenerwowany.

Znak. Musi pozostawić jakiś znak, zrozumiały dla Jacoba, lecz nieczytelny dla innych. Uniosła dłoń i natrafiła na gałązkę indygowca. Ofiarowała mu ją wtedy przy wodospadzie. A on zatknął ją jej za ucho.

- Noś ją dla mnie - wyszeptał. - Będę ją widział na tobie.

Nosiła gałązkę, aż przywiędła. Teraz Retha położyła ją na łóżku Anny Johannы, pewna, że Jacob przeszuka dom, kiedy wróci i nie zastanie jego mieszkańców.

Pobliskim opłotkiem przeszła na skróty do domu brata Schoppa, z którego właśnie wysypali się uczniowie. Rozwrzeszczał chłopcy z tupotem gnali za piłką przez plac. Retha zatrzymała się przy ogrodzeniu, czekając, by Matthias ją zauważył. Nie chciała zwracać na siebie uwagi innych chłopców.

W końcu ją dostrzegł. Uniosła rękę z zawiniątkiem, a on zmarszczył brwi. Następnie spojrzał na sukienkę Anny Johannы i podeszedł bliżej.

- Musimy na jakiś czas opuścić miasto - powiedziała Retha. Gwizdnął z zachwyty.
- Będziemy szukać Nicholasa?
- Zrobimy coś jeszcze lepszego. Zamieszkamy w jaskini, dopóki Nicholas i wasz ojciec nie wrócą bezpiecznie do domu. Spojrzał na nią z powątpiewaniem.
- W indiańskiej jaskini?
- Być może - odparła tajemniczo.

## 18

J a to poniosę - upierał się Matthias. Sięgnął po zawiniątko. - Musisz mieć wolne ręce, żeby w razie potrzeby nieść Annę Johannę.

Retha z wdzięcznością oddała mu zapasy. Byli w połowie drogi do wodospadu i znajdującej się nad nim jaskini. Okazało się, że przeceniła siły płochliwej pięcioletniej dziewczynki i poważnego dziesięcioletniego chłopca. Bez Jacoba las straszyl niebezpieczeństwami, których Retha nie dostrzegała, będąc dzieckiem, i jeżył trudnościami, których nie doświadczała, będąc dorosłą kobietą: zbyt strome zbocza, zbyt nisko zwisające gałęzie, zbyt gęste jeżyny i pnącza. Zbyt wielkie odległości.

Straszliwa prawda jeszcze do niej nie dotarła. Retha celowo zablokowała pamięć o Simie Scaifie, człowieku, przed którym teraz uciekała wraz z dziećmi, i który kiedyś zamordował jej rodziców i usiłował zamordować ją samą. Nie miała czasu przeżywać dawnych urazów. Nie daj się schwytać, ale musimy się śpieszyć, powiedziała sobie w duchu. Pocieszała się, że jaskinia znajduje się już niedaleko. A w niej będą bezpieczni. Podrzuciła nieco Annę Johannę, którą niosła na plecach.

- Widzisz to, mamó Retho? - spytała dziewczynka drżącym głosem.

- Co?! - zawołał idący za nimi Matthias.

- Wygląda mi to na jelenia, pączuszku - skłamała Retha.

Ona także dostrzegła przemykające w pobliżu zwierzę. Bo pojawiło się już trzeci raz. Mój wilczek, myślała z nadzieją, lecz zniknął z oczu zbyt szybko, by mogła mieć pewność. Mogło to być również jakieś inne stworzenie. Jednak jelenie czyniły więcej hałasu niż ów przemykający cień. Szopy w ciągu dnia spały, a króliki były zbyt płochliwe. Jeżeli to niedźwiedź, nie pójdzie za nimi, o ile mu nie przeszkodzą. Pantera nie podchodziłaby tak blisko. Lecz czy na pewno?

Na wszelki wypadek zatrzymała się i zrzuciła chustę i fartuch. Tak nauczyła ją Śpiewające Kamienie. Kilka pozostawionych sztuk odzienia da drapieżnikowi coś, co będzie mógł zaatakować, nie czyniąc krzywdy ich właścicielowi.

Dotarli do wodospadu na godzinę przed zapadnięciem zmroku. Dzieci nie posiadały się z zachwytu, a ich zadrapania, poparzenia i zmęczenie natychmiast poszły w niepamięć. Nie spuszczać z oka swoich podopiecznych, Retha umieściła dobytek w jaskini. Nawet w chłodniejszej niż otoczenie jaskini noc będzie zbyt ciepła, by rozpałać ogień.

Matthias przeskakował z kamienia na kamień, a Anna Johanna, posłusznie Zdjąwszy buty, brodziła w płytkim, spokojnym strumieniu, powyżej wodospadu. Od czasu do czasu piszczała, udając przestraszona na widok położonego niżej zbiornika.

Do kolacji zasiedli w jaskini, u jej wylotu. Retha wyjęła suszoną dynię, ser i po kawałku chleba.

- O, znowu jest - wyszeptała przerażona Anna Johanna.

Przez chwilę Retha bacznie przyglądała się przeciwległemu brzegowi zbiornika, do którego opadały wody kaskady.

- Co to jest? Niedźwiedź? - zapytał Matthias z wielkim przejęciem.

- Pantera! - wykrzyknęła Anna Johanna.

- Ciii. Nie ruszajcie się - powiedziała Retha, teraz już pewna, że to jej wilczek. - Ani jedno, ani drugie. Nie podejdzie do nas, jeżeli będziemy hałasowali.

- Co to jest? - spytała Anna Johanna.

Retha sięgnęła do zawiniątka po kawałeczek mięsa.

- Mój wilczek.

- Twój wilczek? - zdumiał się Matthias.
- Był ranny i pozwolił, bym się nim zajęła. Teraz jest już zdrowy - uspokoiła dzieci Retha. - Lubi bekon.
- Ja też lubię bekon - zachichotała Anna Johanna.
- Ciii - uciszył ją Matthias, nie spuszczać wzroku z zarośli. - Chcę mu się przyjrzeć. Naprawdę do nas podejdzie?
- Możliwe - odparła Retha. - Musimy zaczekać. - Zagarnęła dzieci ramieniem. - Stańcie za mną.

Anna Johanna wstała i otrzepała ręce.

- Myślę, że do nas nie podejdzie.

Ale wilczek podszedł. Retha wyczuła jego obecność. Spojrzała w górę potoku, potem w dół. Ominął wodospad, przeszedł przez strumień i wspiął się na przeciwległy brzeg, aby stanąć przy wlocie do jaskini.

- Tam - pokazała, trzymając rękę dłonią do góry tak, aby widziały ją dzieci i wilk. - Nie ruszajcie się. Jeszcze was nie zna. - Obejrzała się przez ramię.

Dzieci ani drgnęły. Wilk powoli, ostrożnie ruszył ku nim. Chwytał bekon z dłoni Rethy i uciekł poza jaskinię.

- Zrobi nam *coś* złego? - spytała Anna Johanna z niepokojem.

- Zostanie z nami? - spytał Matthias z nadzieją.
- Chyba nie zostanie, ale na pewno nic złego nam nie zrobi.

Wilczek został w pobliżu przez całą noc. Rankiem, kiedy badali jaskinię, czaił się za nimi. Nie było wiele do oglądania. Po kilku krokach dotarli do ściany, którą oświetlały skośne promienie wschodzącego słońca. Później, kiedy zebrali się przy wylocie jaskini, aby zjeść śniadanie, wilczek znów się pojawił, czekając na poczęstunek.

Rethę wzruszyło jego przywiązanie. Zajrzała do zawiniątka, szukając czegoś, co mogłaby mu oddać.

Jeszcze kawałeczek bekonu. Wyciągnęła dłoń w kierunku wilczka, który wydał niski, groźny pomruk. Zaniepokojona Retha rzuciła mu bekon, który upadł przy jego wielkich łapach. Zwierzę szybko połknęło przysmak.

I znów zawarczało. Dzieci, z własnej inicjatywy, ukryły się

za plecami macochy. Podejrzewając najgorsze, Retha wyjęła z pochwy nóż, przechowywany w przepaścistej kieszeni. Wilk nigdy jej nie zagrażał, lecz przygotowała się na atak.

Wilczek, ze zjeżoną sierścią, umknął na przeciwny brzeg potoku.

Retha pochwyciła męskie głosy. Jacob! - pomyślała z ulgą. I Nicholas.

Przez zarośla zbliżali się mężczyźni. Zbyt wielu mężczyzn. Doleciały do niej słowa przekleństw.

- Dzieci, ukryjcie się! - wyszeptała, wpychając ich do jaskini. - Schowajcie wszystko! Szybko! Wejdźcie, jak najgłębiej zdołacie.

Dzieci schowały się w jaskini, wciągając za sobą kołdrę i resztki jedzenia. Cicho, jak małe Indianki. Retha ścisnęła w dłoni nóż, kryjąc go za plecami. Poprzez strumień nadchodził Scaife; Za nim Calloway i Pickens.

- Pozostawiłaś ślady! - zawołał Scaife.

Wolną ręką dotknęła szyi. Jej chusta i fartuch, pozostawione, by zaspokoić drapieżną bestię. Tymczasem jej podarunki dla dzikich zwierząt stały się zaproszeniem dla ludzkiej bestii.

- Tym razem nie umkniesz mi, Lillibet - powiedział Scaife, przystając tuż przed nią.

- Nie mam na imię Lillibet - wychrypiła Retha, teraz już zupełnie pewna.

Podszedł jeszcze bliżej.

- Och, przepraszam. Teraz wszyscy jesteśmy dorośli i oficjalni, prawda? Byłaś ładną dziewczynką, Elisabeth Harmon.

Poczuła ucisk w gardle. Nazwisko poruszyło w niej jakąś dawno zapomnianą strunę.

- Znasz moje nazwisko?

Dotknął palcem jej warkocza. Strzepnęła jego dłoń.

- Wskazówką są twoje włosy. Ale wydały cię te żółte oczy. Takie same jak u twojej matki.

Poczuła wściekłość. On znał jej rodziców.

- Kim oni byli, kapitanie Scaife? Powiedz mi, co o nich wiedziałeś. Zanim ich zamordowałeś.

- Kiedy chodzi o torysów, nie używamy słowa „morderstwo”, prawda, panowie?

Jego podwładni chrząknęli potwierdzająco. Pickens sprawiał wrażenie równie okrutnego i niebezpiecznego jak Scaife. Calloway przyglądał się zafascynowany. Retha nie mogła na nich liczyć.

- Nieuzbrojeni torysi. To jednak morderstwo - powiedziała, rzucając ponure spojrzenie.

- Złodziejscy, kłamliwi torysi - powiedział z zawziętością.

- Ty jesteś złodziejem. Ukradłeś im życie.

- Ukradli moją własność. Należną mi prawnie. Nasz ojciec dał jej to, kiedy wyszła za tego torysa.

Nasz ojciec? - pomyślała Retha, nie rozumiejąc. Czy on ma na myśli swego ojca? Czy ojca mojej matki? Boże miłosierny, czy mogli mieć tego samego ojca?

Sim Scaife przyglądał się jej jak kościsty rudy kot igrający z ofiarą. Retha nie mrugnęła powieką.

- O czym ty mówisz? - warknęła.

Jego blade, wodniste oczy zabłyśły triumfalnie.

- Mówię o moim ojcu. O ojcu twojej matki. O twoim dziadku, Lilibet.

Retha poczuła ucisk w żołądku. Brat i siostra. Prawie zapomniane, płomienne włosy jej matki były bardzo podobne do brudnych miedzianych włosów Sima Scaife'a. I jego oczy... jej oczy. Moje niespotykane, jasnobrazowe oczy. Omal nie zwymiotowała.

- Nie jestem twoją krewną.

- Owszem, jesteś. Jesteś moją słodką, małą siostrzniczką. Twoja matka, Eleonor Scaife, poślubiła tego twojego toryskiego ojca i naciągnęła naszego ojca, pozbawiając mnie połowy mego dziedzictwa.

- Moi rodzice mieli posiadłość?

Scaife wskazał ręką w górę i w dół strumienia.

- Tak im się wydawało. Sądziło, że posiadają ten niewielki kawałek ziemi. Pięć tysięcy akrów, razem z wodospadem. A ja chcę go odzyskać.

- To ziemia braci morawskich. - Retha była tego całkowicie pewna.

- To, droga siostrzenico, jest wątpliwe. Posiadłość powinna wrócić do mnie. I wróci. Po tym, jak ty i ja załatwimy kilka niedokończonych spraw.

Wytrzymując jego złowieszcze spojrzenie, nie miała wątpliwości, jakie to sprawy. Starła się zyskać na czasie. Jeszcze mnie nie zgwałcił, myślała. Jeszcze nie zabił. I nie mogę zawieść dzieci. Już raz go pobiłam. Tym razem będę walczyła, póki go nie zabiję.

Zacisnęła dłoń na rękojeści myśliwskiego noża. Scaife był wystarczająco blisko niej, ale zbyt czujny.

- Chciałbym to zrobić w wodzie, Lilibet. - Zachichotał groteskowo. - Lubię to robić w wodzie. Bardziej niż w skrwa-wionym łóżku twoich rodziców.

Nagle w jej udreżonym umyśle pojawiło się ostatnie wspomnienie.

- Co się tam dzieje? - doszedł do niej wrzask sprzed domku.

Koścista łapa macała pod łóżkiem, starając się na nią natrafić. Zwinęła się w kłębek, listewki ramy łóżka wpijały się w jej plecy.

- Nie waż się pisnąć, panienczko. - Rozszerzonymi ze strachu oczami patrzyła na dłoń poklepującą podłogę.

- Torysi, sir - odpowiedział głos przymilnie. - Mordercy. Usiłowali mnie zabić.

Wstrząsając się, bo dotykały jej pajęczyny, wyrzała spod łóżka. Do postrzępionych getrów zbliżyły się śniące buty. Rozległy się przekleństwa, słowa, których nie rozumiała.

- Ale nie kobieta, szeregowy.

- Szła na mnie z pogrzebaczem.

- Cholernie mało prawdopodobne.

Buty i getry zaczęły się szamotać. Usłyszała odgłosy uderzeń, pomruki, przekleństwa. Później wyszli. Została sama.

- Kto cię przyłapał, wuju? Wtedy, gdy zamordowałeś moich rodziców?

Splunął do potoku.

- Ten pies, Martin Armstrong. I od tamtej pory nie przestaje



mnie śledzić. Ale tym razem cię nie obroni. Ani tej małej, która jest tu z tobą. Widziałem ślady. Wiem, że tu jest.

Parsknęła pogardliwie i rzuciła się na niego z nożem. Scaife chwycił ją za nadgarstek, by się ratować, odskoczył do tyłu, chichocząc, jakby jej pomysł bardzo mu się spodobał.

- Prędzej szczeźniesz, niż jej dotkniesz - warknęła Retha ostrzegawczo.

Obydwaj mężczyźni ruszyli mu w sukurs. Powstrzymał ich ruchem ręki. Jedną ręką trzymał nadgarstek Rethy. Drugą otoczył jej talię. Popychał ją w stronę potoku

- Kiedy już skończę z tobą - wydyszał prosto w jej twarz - znajdę dziewczynkę.

Z siłą, która przez piętnaście lat karmiła się gniewem, wyrwała trzymającą nóż rękę z uchwytu Scaife'a. Smagnęła go po twarzy. Patrzyła, jak ostrze rysuje czystą prostą linię na jego czole, grzbiecie nosa i policzku. Jego krew trysnęła na nią, oślepiając i budząc obrzydzenie.

Zawył, odsuwając Rethę od siebie, ale łapiąc ją znowu za rękę. Zatoczyła się do tyłu, do potoku i runęła na kamienie. Upadł na nią. Uderzyła nadgarstkiem w otoczek i wypuściła nóż z dłoni. Poczuła ostry ból w boku. Z trudem chwyciła oddech. Udało jej się uwolnić rękę i otrzeć krew z oczu.

Scaife brutalnie zadarł jej spódnice i wcisnął swoje chude ciało pomiędzy nogi Rethy. Krew z jego twarzy kapłała prosto na nią.

Ta krew jej nie przerażała. Ani ten mężczyzna.

Wiedziała, że już nigdy nie będzie swobodnie oddychać.

Straciła nóż. Ale będzie walczyła do ostatka swych sił. W razie potrzeby użyje zębów.

Jak dzika kobieta. Jak jej wilczek.

Wyrzuciła kolana w górę, kopnęła go w uda i strąciła z siebie. Upadła na skały, które otarły jej plecy.

- Ha! Mała czarownico - mruknął, starając się ją unieruchomić swoim ciężarem. Poczuła odór skwaśniałego potu i brudnego ubrania. - Teraz mi nie umkniesz, dziwko!

Pokrył ją swoim ciałem w budzącej młodości parodii miłos-

nego aktu, którego nauczył ją Jacob. Chude ramię Scaife'a znalazło się przy jej twarzy. Wpiła w nie zęby, podrzucając głowę jak wilk, rwący mięso swojej ofiary.

Wywrzaskując ordynarne przekleństwo, gwałtownie się szarpnęła i uderzyła Rethę pięścią w głowę. Zadzwoiło jej w uszach.

- W porządku, w takim razie zrobimy to brutalnie. Pickens, chodź tutaj. Calloway, ty jeszcze tego nie robiłeś. Potrzymaj tę nogę.

Uwijali się wokół niej. Retha kopała, gdzie popadło, drapała ich twarze, ugryzła jakieś ramię, wymierzała razy łokciami. Oni okładali pięściami jej głowę, szczękę, tułów. Szarpały nią fale bólu.

Poczuła gwałtowne pragnienie zemsty. Nie dostaną jej żywej. Urządzi ich tak, że nie będą w stanie tknąć jej małej córeczki.

I co najmniej jeden z nich, poprzysięgła sobie, nie dożyje jutra.

- Trzymajcie ją, do cholery! - wrzasnął Scaife. - Nic nie widzę. - Po jego twarzy spływała krew.

- Jeśli Bóg tak zechce, już nigdy nic nie zobaczysz! - ryknął jakiś niski głos.

Głos Jacoba. Mocny, męski i pełen gniewu. Serce Rethy zabiło z radości. Przyszedł jej na pomoc.

W jednej chwili przygniatające ją, odrażające cielsko Scaife'a zostało uniesione. Rozległy się odgłosy dzikiej szarpaniny w wodzie. Słodkie uczucie ulgi ustąpiło rozpacz. Czy jeden mężczyzna i chłopiec dadzą sobie radę z uzbrojonymi żołnierzami? - pomyślała, zanim otaczający ją zielononiebieski świat nagle stał się czarny.

Jacob ze ściśniętym sercem zdał sobie sprawę, jak ciężki jest stan omdlejącej Rethy. Cała skrwawiona, leżała na kamienistym dnie płytkiego strumienia. Woda z pluskiem przepływała nad jej przemokniętą spódnicą, warkocze unosiły się jak dwa bliźniacze węże wodne.

Posiniaczona i zmaltretowana głowa.

Przyszedł za późno.

Obrócił Scaife'a i z rykiem walił go w brzuch, z całą siłą swego masywnego ramienia i gniewnego serca.

Scaife zgiął się wpół. Krew z jego głowy zabarwiła wodę strumienia. Jacob usłyszał pomruki i plusk wody.

- Zostaw ich mnie! - zawałał Andreas.

- Nicholas! - rozkazał Jacob. - Do jaskini.

Scaife podszedł chwiejnym krokiem, trzymając się za brzuch.

- Tym razem żadnych zasad, Blum. Tylko ty i ja. I ona. Jeszcze nie wyzionęła ducha.

Jacob z nadzieją spojrział na Rethę. Poruszyła ręką. Otworzyła oczy.

- Uważaj, Jacobie! - krzyknął Andreas.

Za późno. Coś chrupnęło w karku Jacoba. Zwały się na niego jakieś ciała, zmuszając, by przykląkł na jedno kolano.

- Mam jednego, papo!

Jacob spojrział w górę. Rozwścieczony Nicholas siedział na grzbiecie Callowaya jak młody niedźwiedź na nieszczęsnym koźle.

Ślizgając się po wilgotnych skałach i podpierając się o piaszczysty brzęg, Jacob podźwignął się i przyłączył do bijatyki.

- Do jaskini! - ryknął, ściągając swego rozgorączkowanego syna z grzbietu żołnierza. Nicholas opierał się ojcu równie energicznie, jak przedtem okładał Callowaya, lecz Jacob schwycił go i odwrócił w stronę jaskini. Ktoś rzucił się na Jacoba, unieruchamiając mu nogi. Scaife. Jacob nie miał wyboru. Wypuścił syna i zajął się kapitanem. Walczyli w zwarciu, okładając się seriami suchych uderzeń, przepychając się i unikając ciosów, na krawędzi wodospadu.

Jacob pierwszy spostrzegł niebezpieczeństwo i popchnął Scaife'a w stronę przepaści.

Jego odwieczny wróg odskoczył w bok, poślizgnął się na omszałym głazie i chwycił ręce Jacoba. Przez chwilę Jacob utrzymywał ich obydwu na krawędzi łupka, stanowiącego obrzeże wodospadu.

Łupek chwiał się pod ich stopami.

Jacob wykonał gest głową

- Jeszcze jeden ruch, a obydwaj spadniemy. Cofnijmy się - powiedział. - Razem.

Oczy Scaife'a zabłyśły niezdrowo. Wzmocnił swój uchwyt.  
- W wodzie będziemy mieli równe szanse.

Łupek zapadł się pod ich ciężarem. A potem były już tylko powietrze, ramiona i kolana, a wreszcie ściana wody i zupełny brak powietrza.

Nagle i nieoczekiwanie Jacob był wolny, do góry nogami. Walczył z prądem napierającej wody. W końcu jego stopy natrafiły na skałę, od której odepchnął się, wychynął na powierzchnię i zaczerpnął powietrza w płuca.

- Papa! Papa! - dotarli do niego okrzyki Nicholasa.

- Cofnij się - wykrztusił Jacob. Co Nicholas robi na krawędzi wodospadu? Nie mógł teraz o tym myśleć. Jeszcze raz nabrał bezcennego powietrza.

Scaife zniknął. Jacob znów zanurkował w kipiącą wodę. Szukał, nic nie widząc. Szukał swego wroga. Aby wyratować jego strzaskane ciało. Coś ciężkiego uderzyło Jacoba w biodro. Pień drzewa? Czyjaś ręka. Noga? Sięgnął po to. Daremnie. Wypadł na powierzchnię, zaczerpnął haust powietrza i znów zanurkował.

Woda w zbiorniku nieustannie burzyła się i wirowała. Była nieprzejrzysta. Jacob płynął tuż przy dnie, wzdłuż wygładzonej przez wodę skały. Spadające kaskady okładały go po plecach, płuca domagały się powietrza. Po raz trzeci wypłynął na powierzchnię. Ciało Scaife'a unosiło się na wirującej wodzie. Jego żółte oczy były otwarte i nieruchome. Jacob przepłynął na spokojniejszą wodę i spojrzał na Scaife'a z nienawiścią.

- Jeśli zgwałciłeś moją żonę, już nie żyjesz - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Scaife wypluł wodę.

- Chciałem jeszcze raz... spróbować z... małą Lilibet, Blum. Pomimo upału i ciepła płytkiej wody, Jacoba zmroziły te słowa.

- Mała Lilibet? Jeszcze raz? Co to ma znaczyć?

- Już niemal ją miałem. Kiedy była... małą dziewczynką. - Na w pół żywy Scaife kpił sobie z niego.

Jacob zaklął szpetnie. Nie domyślił się. Retha przez cały czas utrzymywała w tajemnicy, kim był Scaife.

- Nigdy jej nie miałeś, przewrotny potworze! - ryknął.

Scaife uśmiechnął się słabo, bez najmniejszej skruchy.

- Ale próbowałem.

Jacob rzucił się ku niemu, by go zamordować.

Scaife nie stawiał oporu. Nie mógł. Jego ciało było bezwładne jak worek piasku. Jacob niósł go na brzeg strumienia. Spojrzał na pobrużdżoną twarz swego znenawidzonego wroga. Prześladowcy żony. Mordercy jej rodziny.

Ciało Scaife'a dziwnie obwiśło, głowa opadła do tyłu. Tracił przytomność. Jacob ułożył go na skalistym brzegu.

Walczył z nieprzepartą chęcią, by go stłamsić, przysypując próchniczą leśną glebą.

- Nie mogę się poruszyć, Blum - wymamrotał Scaife. - Nic nie czuję... cholera.

Jacob pochylił się nad nim i sprawdził, czy Scaife ma władzę i czucie w rękach i w nogach. Nic. Przysiadł na piętach.

- Masz złamany kark, kapitanie Scaife - powiedziała, pozabawiając go resztek godności.

Scaife spojrzał na niego rozbieganym wzrokiem.

- Los kpi sobie ze mnie - wychrypiał. - Dopilnuj, żeby moja... siostrzenica... nie oszukuj... wynoś się z przeklętej ziemi.

Gada od rzeczy, pomyślał Jacob. Oczy Scaife'a wywróciły się białkami do góry, skonał. Jacob pieczołowicie zamknął mu powieki i wstał, odczuwając ulgę i niezadowolenie.

Retha. Pragnął, potrzebował pociechy Rethy, jej kojącego dotyku. Wspiął się po urwistym zboczach do jaskini, czepiając się grubych pnączy.

Ostrożnie. Był nieuzbrojony i, od czasu ostatniego krzyku Nicholasa, nie słyszał żadnych odgłosów. Ukryty w zaroślach na szczycie, zatrzymał się z mocno bijącym sercem. Strumień był tu spokojny, kamienie płaskie, woda płytka, w drobnych falach lśniło słońce. Ale w polu widzenia nie było żywej duszy.

Ani żołnierzy. Ani kuzyna. Ani dzieci. Ani żony.

- Retha! - zaryczał przerażony.

- Wyciągnij nas stąd! - doleciał z jaskini gniewny głos Andreasa.

Boże, miej nas w swojej opiece, modlił się Jacob i bez namysłu rzucił się w kierunku głosu. Cokolwiek się stało, oni mnie potrzebują. Dzieci. Żona.

Wszedł pod nawis i uderzył głową w występ skalny. Zatrzymał się. Jego oczy powoli przyzwyczajają się do mroku.

- Gdzie jesteście?! - zawołał.
- Ciii. - Rozległo się syknięcie u sklepienia pieczary.
- Co? Kto tu jest?
- Ciii, Jacobie. To my, twoja rodzina. Wszyscy.

To Retha. Stała pod ścianą, przygarniając ku sobie dwojkę młodszych dzieci. Jacob rozejrzał się po płytkiej pieczarze, przypominając sobie jej kształt. Przy przeciwległej ścianie stali Andreas i Nicholas, przywierając do wilgotnego mchu. U ich stóp, skrępowani plecami do siebie, kulili się Pickens i Calloway.

Kilka kroków od nich stał wilczek Rethy. Bo przecież, pomyślał z nagłym biciem serca Jacob, nie mógł to być żaden inny wilk. Ze zjeżoną sierścią, pilnował swoich czterech więźniów.

- Co się dzieje? - spytał szeptem Rethę.
- Trzeba go stąd wyprowadzić - odpowiedziała także szeptem. - Myśli, że wszyscy czterej mężczyźni są wrogami. Bałam się, że nie żyjesz.

- Mama Retha bała się, że wodospad zrobi ci krzywdę, papo. Ale ja jej mówiłam, że to niemożliwe - zachichotała Anna Johanna.

- Staraliśmy się wyciągnąć ją z wody - dodał Matthias. - Ale się rozzłościła.

- Wcale nie - powiedziała Retha. - Nie powinniście mnie byli oglądać w takim stanie.

- To prawda - zgodził się Matthias. - Była mokra i cała okrwawiona. Ale teraz jest już wmyta.

- Wyciągnij nas stąd, *Kusin!* - warknął Andreas.

Retha schyliła się i podniosła z ziemi coś, co wyglądało na zawiniątko z jedzeniem.

- Żebym tylko znalazła coś odpowiedniego.

- Nie ma już bekonu - powiedział Matthias, zniechęcony. - A wilk je tylko bekon.

- Wiem - odparła Retha. - Może zjadłby coś innego, ale widzę tu tylko ciasto.

- To moje ciasto! A zresztą wilki nie jadają ciasta.

- Miejmy nadzieję, że ten wilk jada, Matthiasie! Bo to wszystko, co nam zostało.

Serce Jacoba rosło z dumy, gdy słuchał tej wymiany zdań. Za każdym razem, gdy był poza domem, między Rethą a dziećmi nawiązywało się nowe porozumienie. I tym razem także. Prawdziwy cud. Odkąd straciły matkę, nie żartowały w taki bez troski sposób. A teraz jego niejadek Matthias wyklóca się o porcję ciasta.

- Chcemy stąd wyjść! - przypomniał im zniecierpliwiony Andreas.

- Andreasie. - W małej jaskini rozległ się podwojony echem głos Rethy. - Gdybyś zachowywał się mniej groźnie, mój przyjaciel wilk już by się wycofał.

- Z całym szacunkiem, *Kusine*, wolę nie ryzykować.

Przemawiając łagodnie, Retha powoli, krok za krokiem, podeszła do wilka i położyła na ziemi mały kawałek ciasta.

Wilk schylił głowę, obwąchał ciasto i połknął łapczywie.

Retha cofnęła się, położyła następny kawałek i poczekała chwilę, mając nadzieję, że więź, która ją łączyła ze zwierzęciem, oraz jego słabość do smakołyków odniosą skutek.

Wilk spojrział ukradkiem na mężczyzn, których pilnował. Pozostawił ich i ruszył za Rethą, która, podkładając mu kawałeczki ciasta, wyprowadziła go z jaskini. Jaskrawe słońce oślepiło ją na chwilę. Wilk cicho umknął w zarośla.

- Pomogę ci, *Kusine* - powiedział Andreas poważnie, ujmując dłoń Anny Johanny i kłaniając jej się uroczyście. - Jeśli madame pozwoli, przewiozę panią.

Dziewczynka zachichotała i wyciągnęła do niego rączki.

- Galopem?

- Lepiej trzymajmy się starego, wypróbowanego truchtu. Ten biedny koń już się nagalopował.

To powiedziawszy, Andreas posadził ją sobie na szerokich barach, jakby jej waga i jego zmęczenie w ogóle nie miały znaczenia.

- Moja wilczyca odeszła - powiedziała Retha ze smutkiem, zwracając się do męża. - Przypuszczam, że widzieliśmy ją po raz ostatni.

- Teraz już wiesz, gdzie jej szukać - odparł Jacob i spojrzał na nią tęsknym wzrokiem. Chodziło mu o to, że Retha zawsze może tu wrócić i odnaleźć wilczycę. Wrócić tu z nim. Tu, gdzie odnaleźli swoją namiętność.

- Mam nadzieję, że już jej nie spotkamy - powiedział Matthias nieświadomy emocji, które przepływały pomiędzy jego rodzicami. - Chyba że nie będzie chciała mego ciasta.

- Chciałbym już pójść do domu - odezwał się zmęczony Nicholas.

Jacob uściskał swego syna marnotrawnego.

- Ja także, synu - powiedział ze wzruszeniem. - Walczyłeś dzisiaj w obronie rodziny jak młody tygrys. A teraz wszyscy chcemy, byś bezpiecznie powrócił na jej łono.

Nicholas objął ojca.

- Przepraszam, że uciekłem z żołnierzami, papo. Myślałem, że skoro ty nie możesz walczyć, musi to zrobić ktoś inny z rodziny. Ale bardzo za tobą tęskniłem. - Spojrzał ponad szerokimi barami ojca i jego wzrok padł na Rethę. - Za wami wszystkimi - dodał. Ten dumny, waleczny chłopak jest teraz także mój, pomyślała wzruszona.

Nicholas spiekł raka.

- A zresztą - dodał. - Mieli tam obrzydliwe jedzenie. Nie to, co twoje.

Retha uśmiechnęła się, szukając słów, by go zapewnić o swoim uczuciu, nie raniąc jego dumy.

- Będziesz mi potrzebny, żeby zjadać do czysta to, co wam przygotuję. Bez ciebie po każdym posiłku zostawały bekon i fasola.

Andreas, kłusujący z jasnowłosą bratanicą na grzbiecie, uśmiechnął się konspiracyjnie.

- Nick i Matty - ryknął głosem niepodobnym do głosu kuzyna - pomóżcie nam zająć się prawdziwymi końmi!

- Co? - zdziwiła się Retha.



- Nieopodal, w kotlinie, zostawiliśmy dwa konie. Przeprowadźmy je, chłopcy, zanim wasi rodzice skończą się pakować.

Andreas skinął znacząco do Jacoba i mrugnął do Rethy. Zrozumiała, co oznacza jego konspiracyjny uśmiech. Dawał im chwilę we dwoje.

Andreas i dzieci przeszli przez strumień, Anna Johanna na barana, chłopcy, rozstawiając ramiona, dla złapania równowagi, kiedy przeskakiwali z kamienia na kamień.

Wszyscy bardzo się zmienili. Anna Johanna w swojej sukience ze skóry jelenia tuliła się ufnie do kuzyna, którego prawie nie знаła. Matthias wyszukał kawałeczek ciasta, aby mieć co jeść w drodze powrotnej. Nicholas z radością wracał do domu.

Retha napotkała wzrok Jacoba. Obydwoje przeżyli. Jacob jeszcze raz ją wyratował.

- Tak się bałam, że nie żyjesz - powiedziała cicho, padając w opiekuńcze ramiona męża. Załkała z radości. Lecz gdy ją mocniej przygarnął, krzyknęła z bólu.

Natychmiast wypuścił ją z objęć.

- Jesteś ranna.

- Nic mi nie będzie.

Jacob odwrócił ją twarzą ku słońcu i obejrzał podrapane policzki, Zapuchnięte oko i siniejącą szczękę.

- Nie wyglądasz najlepiej.

- Podobnie jak Sim Scaife. Rozorałam mu gębę.

- Odpłaciłeś mi za wszystkie krzywdy. - Przytulił ją do piersi. Teraz, gdy wiedział, co Scaife usiłował jej zrobić, wahał się, co powiedzieć żonie. - Sim Scaife nie żyje.

Na twarzy Rethy odmalowały się uczucia zaskoczenia, wstydu, żalu.

- Jacobie, muszę ci powiedzieć coś, czego do niedawna nie wiedziałam. On był moim wujem. Znał mnie. Znał moich rodziców. Przez cały czas wiedział, kim jestem.

- Powiedział mi o tym.

- Powinnam go chyba nienawidzić. I chyba go nienawidzę. Czy mu kiedykolwiek przebaczę?

- Na pewno nieprędko, *Liebling*.
- On także nieprędko mu przebaczy.  
Retha oparła głowę na piersi Jacoba.
- Aż nie mogę uwierzyć, że znów mnie uratowałeś. To już tyle razy.
  - Nie przypominam sobie.
- Spojrzała na niego z niedowierzaniem.
- Przyjąłeś mnie do waszej społeczności. Wyciągnąłeś z domu niezamężnych siostr. Wyratowałeś mego wilczka. Obroniłeś mnie przed moim wujem wtedy, przy młynie, tego dnia, gdy przywiózł mnie od Alice Vogler. Stałeś po mojej stronie przeciwko całemu miastu.
  - To... to nie było nic wielkiego - powiedział zdziwiony.
  - Dla mnie to było najważniejsze na świecie.
  - Jesteś moją żoną. Matką dla moich dzieci. To oczywiste, że cię bronię. - Uniósł jej podbródek i pocałował z zaskakującą u tak wielkiego mężczyzny delikatnością. - Jesteś dla mnie kimś więcej. Jesteś moim sercem.
- I teraz, gdy wreszcie mogła wypowiedzieć to, co od dawna, narastało w jej sercu, nie bardzo wiedziała, jakimi słowami to wyrazić.
- Kocham cię, Jacobie Blum - powiedziała.
- Pełne miłości spojrzenie jego oczu powiedziało jej, że nie potrzeba żadnych innych słów.

## Epilog

*4 lipca 1783 roku*

Wyglądasz mi na kobietę potrzebującą pomocy - powiedział Jacob, a jego oddech owionął szyję Rethy, która poczuła dobrze znany dreszcz rozkoszy.

- Harmon jest trochę zmęczony - odrzekła, chętnie oddając mu ich dwuletniego synka. Jasnowłosa tłuścioszka uparł się, by go trzymała na rękach, dopóki ojciec nie skończy śpiewać, nie zdając sobie sprawy, że jest jej ciężko, bo nosi pod sercem następne dziecko.

Zapadał zmierzch po miłym, bezwietrznym dniu. Retha wsparła się na ramieniu męża, gdy wmieszali się w tłum, wypełniający plac z okazji uroczystości. Gubernator Alexander Martin proklamował dzień 4 lipca Dniem Dziękczynienia za Pokój. Z tej okazji zgromadzili się wszyscy mieszkańcy miasta. Bracia morawscy z pobliskich osad przybyli pieszo i na wozach. Mieszkańcy Salem dołożyli wszelkich starań, by ich sąsiedzi także dowiedzieli się o tym zdarzeniu i wzięli udział w obchodach oraz posłuchali muzyki.

Jacob był zachwycen wykonaniem nowej kantaty brata Johna Fredericka Petera, którą odśpiewał głębokim i mocnym głosem. W przeciwległych krańcach placu rozbrzmiewała muzyka kilku zespołów, które grały rozmaite utwory, wypełniając wieczorne powietrze radosną kakofonią dźwięków, podniecającą bardziej niż śpiew ptaków o poranku.

Lecz zbliżała się noc. Wkrótce plac miejski w Salem zajaśniał od dziesiątków świeczek trzymanyh ponad głowami przez prawie dwustu uczestników uroczystości, którzy zebrali się na końcową procesję ulicami miasta.

- Gdzie jest moja świeczka? - spytała Anna Johanna, zwracając się do towarzyszącego jej Matthiasa.

- Sprawdź w kieszeniach mamy, Anno Jo. Wiesz, jaką są skarbnicą - odparł Matthias, na swój literacki sposób, załamującym się z powodu mutacji głosem. W przyszłym tygodniu przeprowadzi się do domu braci, aby rozpocząć siedmioletnią naukę zawodu, jaką przechodzili wszyscy chłopcy. Zarumieniony z podniecenia, opowiedział Recie, że zamierza uczyć się na nowego farbiarza. Gdyby został duszpasterzem, nie mogłaby się pysznić tym, że wybrał zawód, który ona kiedyś wykonywała.

- Widziałaś panią Vogler? - spytał Rethę w języku Czirokeżów. - Powiedziała, że mogę z nią ćwiczyć, kiedy zechcę.

- Jest tam. - Retha wskazała przeciwległą stronę placu, gdzie ostatnio widziała Voglerów. Matthias pomknął na poszukiwanie.

- Na początku nie mogłam uwierzyć, że naprawdę chce się uczyć tego języka - powiedziała Retha, zwracając się do Jacoba. - I nie sądziłam, że w tym wytrwa. Ale Alice przepada za nim. Jest pierwszym spośród wspólnoty braci morawskich, który po coś się do niej zwrócił.

- Z wyjątkiem ciebie - przypomniał jej Jacob, śmiejąc się i obejmując jej pogrubiałą talię.

Retha poczuła, że na myśl o owym dniu, gdy Alice opowiedziała jej, na czym polega miłość małżeńska, jej policzki oblewa słodkie ciepło.

- Ona jest moją przyjaciółką.

Poprzez tłum przedzierał się ku nim Andreas Blum. Wielki brązowy niedźwiedź, podczas gdy Jacob był niedźwiedziem złocistym.

- Wyglądacie na dobraną parę - odezwał się tonem swata. - Twoje miauczenie było głównym punktem programu, kuzynie.

Jacob uśmiechnął się, a Anna Johanna zatańczyła u stóp Andreeasa.

Andreas przykląkł na jednym kolanie.

- Jesteś już za duża na jazdę na tym wysłużonym koniku, madame. - Lecz podniósł ją, posadził sobie na ramionach i pokłusował poprzez tłum.

Retha patrzyła na nich z czułością. Kuzyn Andreas był wystarczająco duży i silny, by ponieść Rethę wraz z jej brzemieniem.

Dziecko kopnęło i Retha krzyknęła cicho. Jacob natychmiast objął jej obolałe plecy. Uśmiechnęła się, wdzięczna za jego pełną miłości troskliwość.

- To był bardzo trudny dzień. Dzidzius z pewnością jest zmęczony.

Jacob pogładził ją po brzuchu.

- To będzie dziewczynka - powiedział, burząc jasne włosy Harmona. - Mamy już wystarczająco wielu płowowłosych chłopców. Teraz będzie dziewczynka o złocistych oczach i bursztynowych włosach.

Retha zarumieniła się, słysząc te słowa.

- Chcę tylko tyle, by donosiła się zdrowa. I byś był z nami w czasie porodu.

- Będę przy was, *Liebling*. Teraz, gdy żołnierze odjechali, nie muszę być bohaterem wojennym.

Nie wszyscy żołnierze odjechali. Pułkownik Martin Armstrong, w swoim eleganckim mundurze, podszedł do nich wraz z Nicholasem. Powitał ich z serdecznością, świadcząca o głębokim szacunku.

- Chłopiec opowiada mi, że został rusznikarzem.

Jacob wruszył ramionami, lecz w sposób nie pozbawiony dumy. Przemiana, jak dokonała się w Nicholasie, była najtrudniejsza. Kiedy wojna zbliżała się do końca, z żalem porzucił marzenie o bronieniu swej rodziny. Ani razu nie uciekł z domu, by przyłączyć się do armii. A w końcu znalazł sobie nowe zainteresowanie i uspokoił się, ucząc zawodu rusznikarza.

- Zawsze robiliśmy strzelby, pułkowniku - powiedział Jacob. — Do polowania.

- I dla obrony - przyznał Andreas, wróciwszy z krótkiej przejażdżki wokół placu.

- Ostatnio nie - sprostował Jacob. - Ostatnio panuje spokój.

Wszystko się uspokoiło, pomyślała Retha. Nawet jej sny. Dawna posiadłość jej rodziców została zasiedlona. Jacob uzyskał od gubernatora tytuł własności i ziemia należała teraz do braci morawskich. Ale wodospad pozostał ulubionym celem wędrówek rodzinnych oraz sekretnych wypadów Rethy i Jacoba, podczas gdy Ernstowie pilnowali ich dzieci.

Nagle poczuła nie pozostawiający wątpliwości skurcz.

- Jacobie, sprowadź siostrę Sarah - wydyszała. - Myślę, że twoja Elisabeth jest gotowa.

- O, nie. Tym razem cię nie zostawię. Zabieram cię do domu. - W głosie Jacoba brzmiały radość i panika. Szybko wziął Rethę na rękę.

- Ależ ja mogę chodzić - zaprotestowała, śmiejąc się, że doświadczony ojciec tak bardzo się przejął.

- Nie teraz, *Liebling*. Nie, kiedy mam ramiona, by cię ponieść - powiedział z troską, która rozczuliła Rethę i dodała jej sił na czekającą ją próbę.

- Mamy jeszcze kilka godzin.

- Po siostrę Sarah może pójść Nicholas. A ty pospacerujesz sobie innym razem.

- Nie ma potrzeby, byś był laki rycerski. Nie musisz mnie nieść. - Ale dobrze wiedziała, że potrzebuje jego pomocy, a Jacob Blum zawsze był gotów ją ratować, od chwili gdy spotkali się po raz pierwszy. Jego niezachwiana miłość towarzyszyła Recie w najstraszniejszych okolicznościach i Jacob na zawsze pozostanie jej bohaterem.